

Institut
Giulianiego

©
Michel Yittoz

Institut
Giulianiego
Rozmowy umarłych

przełożyła Ewa Wieleżyńska

I

„Słonecznie, sucho i chłodno!” — trzeszczał głośnik; dzień jeszcze się nie obudził, była zima.

Gruby Joe oderwał pióro od kropki, którą postawił drżącą ręką po słowie „zima”, objął wzruszonym spojrzeniem portret matki, wiszący na ścianie przed nim, i do samego siebie albo, kto wie, może do niej, wyszeptał:

— Najwyższy czas, bym jednak napisał bardzo piękne zdanie, najpiękniejsze ze wszystkich, a potem umrę.

Pozostawił atrament do wyschnięcia.

Odczekał dłuższą chwilę, aż znikną refleksy na malutkiej płynnej kropelce, ciemnej, lśniącej i ruchliwej niczym oko owada, który uczepił się do ogonka końcowej litery, kiedy Gruby Joe nacisnął nań odrobinę za mocno.

Ależ się opiera — pomyślał. Myślał o tym wciąż, gdy kropelka znikła, wchłaniana przez papier jak wszystkie słowa, które zużywał, by oznakować ciąg własnego życia, i które, jedno po drugim, gubiły się w oceanie granatowych linii, jakie staranny ruch jego palców i nadgarstka, zawsze ten sam, rozciągał na setkach stron w nie kończącą się arabeskę drobnych fal o zastygających grzebieniach.

Od ponad trzydziestu lat, kiedy wciąż pozostawał siedmioletnim chłopcem, Gruby Joe napisał bardzo dużo, lecz zrobił niewielkie postępy.

Włożył obsadkę pióra w nacięcie szkolnego pulpitu, który służył mu za biurko, i naciskając na guzik dzwonka umiejscowiony tuż obok kałamarza, wydał z siebie smutne chrząknięcie.

— Życzy sobie, żeby przyszła, szybko, natychmiast. Życzy sobie panny wdowy Krienbull! — wykrzyczał przenikliwym, chropawym głosem.

W głośniku dało się słyszeć splunięcie, potem jakby odgłos rozdieranego płótna i ktoś odpowiedział, skrzecząc do aparatu, z przerażeniem, niemal z wrzaskiem:

— Już, już, panie Joe, już biegnę!

Czekając, wygramolił się, nie bez pewnych trudności, z małej drewnianej ławki, która go więziła, i kołysząc się na swoich krótkich nogach, poszedł usiąść na pufie stojącym pośrodku perskiego dywanu.

Na zewnątrz dał wiatr; senny, nostalgiczny, znużony obieganiem świata. By się zabawić u progu nadchodzącej nocy, ciągnął za sobą dwa czy trzy martwe liście, które pochodziły z Australii, i kilka ziaren piasku skradzionych ze wschodniej pustyni. Na wszelki wypadek, przelatując obok pokoju Grubego Joe, wiatr postanowił dać mu znak, byli bowiem zaprzyjaźnieni od długiego już czasu. I choć humor go opuścił, pozwolił radośnie unieść się jednemu z liści pod oknem pokoju, w którym, jak się domyślał, znajdzie swojego przyjaciela.

Gruby Joe dostrzegł liść i powiedział:

— Witaj, wietrze, idę zatańczyć z kostuchą, wiesz o tym?

Wiatr nic nie odpowiedział, nie leżało bowiem w jego naturze zabierać głos w doniosłych chwilach, jednak rzuciwszy kilka ziaren złotego pyłu na ramę okienną, oddalił się w porywie tak nagłym i gwałtownym, że dało się słyszeć przerażający trzask, a ziemia i wody dokoła, co miasto pamięta po dziś dzień, zamarzły na ponad metr głębokości. Panna wdowa Krienbull, która w tej właśnie chwili, przeskakując stopnie, wbiegała po schodach, myślała, że Gruby Joe znów narobił głupstw, więc otwierając drzwi, przeciągle westchnęła. Siedział na pufie, dokładnie naprzeciw niej,

-6-

szarpiąc krótkimi i pulchnymi palcami za guzik kołnierzyka swojej koszuli.

— Joe chce mi-lo-sci, teraz, szybko! — rozkazał.

Panna wdowa musiała się poddać nadzwyczajnej sile, która emanowała z jego ogromnych oczu w kolorze głębokiego granatu. Poczowała lekki

zawrót głowy i, jakby przeniesiona na mostek statku płynącego przez Ocean Indyjski, zbliżyła się do niego chybotliwym krokiem. Z przyćmionym spojrzeniem, właściwie nie patrząc, zaczęła rozpinąć mu koszulę.

Kiedy był już rozebrany, ściągnęła swój gorset, ukazując na torsie o wystających żebrach, jakby wypolerowanym i suchym niczym stara dębowa skrzynia, dwie cudowne białe piersi, ledwie tknięte przez czas. Wciąż kołysząc ciałem w rytmie wyimaginowanych fal, skierowała się w stronę toaletki z marmurowym blatem, gdzie czekała ją mnogość słoiczków i flakonów poukładanych w drewnianych pudełkach. Chwyła bez wahania słoik z karneolu w kolorze czerwieni przybrudzonej ciemnobrunatnym kremem, mieszanką szarej ambry i żółtego tłuszczu, którym posmarowała sobie dłonie, ramiona, a potem piersi. W końcu panna wdowa, ze spojrzeniem wciąż zagubionym w niedosiężnych dalach, niczym luna-tykujący majtek, wróciła do Grubego Joe, który w swej nagości przypominał małego sflaczałego Budę. Wzięła go na ręce i usiadła na krześle naprzeciwko okna, gdzie kilka chwil wcześniej nostalgiczny wiatr wyszeptał swój niepokój.

Gruby Joe zanurzył swą pucołowatą twarz w białości piersi.

— Mi-lo-sci — wzdychał.

Aksamitna dłoń panny wdowy ślizgała się po jego szyi, plecach, oddalała się i przybliżała, przebiegała teraz przez uda, oddalała się i znów przybliżała, obracała się wokół bioder, by pieścić lędźwie, brzuch i dojść wreszcie do tego miejsca wyzutego z własnej istoty, gdzie się unosiła męskość — choć wystająca i twarda, na zawsze już dziecięca i bezpłodna.

By wzbudzić w sobie zapal do pracy, nie wyrzekając się jednak dalekiej podróży za morza, jaką wszczeła, panna wdowa Krienbull zanuciła niskim, chrapliwym głosem piosenkę marynarzy, która opowiadała o bosmanach i marynarskich czapkach, o białych wielorybnikach i wielkich straconych miłościach. Grubego Joe przeszedł potężny dreszcz, wtulił się jeszcze mocniej w hojne piersi panny wdowy. W jego członkach płynął ołów i czynił go ciężkim, tak ciężkim, iż wydawało mu się, że zapada się w krzesło, a potem w podłogę, aż do głębi ziemi. Kształty pokoju zaczęły się zacierać. Pulpit, kałamarz, puf, dzwonek, perskie dywany i półki, gdzie stały jego liczne zeszyty, rozmywały się, wyzbywając się swoich konturów, rozciągały się, wchodziły w nieoczekiwane związki, mieszały się, by wkrótce, połączone, unieść się do sufitu, wszystkie złane w olbrzymią różnobarwną koronę, która zaczynała majestatycznie krążyć. Gruby Joe nigdy wcześniej nie

słyszał marynarskich piosenek. W jego uchu kontrabasowy głos panny wdowy dźwięczał niczym głuchy pomruk burzy, który wstrząsał jego ciałem i wprawiał je w drganie mocniej niż wszystkie pieszczoty. Zobaczył, jak w tym wirze dobrze znane przedmioty mącą się, tworząc wielką czarną chmurę, która wznosi się powoli, by pochłonąć słońce. Gruby Joe poczuł, że rozpoczyna zawrotny upadek, chciał się uchwycić którejs z okrągłych i pięknych piersi, ssąc je nerwowo, ale członki ciążyły mu teraz tak, że był zmuszony przestać. Wówczas ponad jego głową zagrzmiała burza. Wydawało mu się, że błyskawica rozsadziła sufit, i w chwili gdy panna wdowa zaczęła krzyczeć, miał jeszcze czas, żeby pomyśleć, zanim pogrzyżył się w ciemnościach: „A jednak to dziwne, jeżeli to śmierć, to otwiera ją wspomnienie”.

2

Było lato, piękne popołudnie, Gruby Joe skończył właśnie sześć lat. Niebo było bezchmurne i nic nie zapowiadało, że pogoda może się zmienić. W owym czasie nie był jeszcze gruby i nie nazywał się wcale Joe, ale Bruno, Bruno Giuliani. Gruby Joe to imię, które sobie wymyślił, by upodobnić się do pewnego gangstera z Chicago. Poza kilkoma grymasami i manią pociągania za prawe ucho przy jednoczesnym zaciskaniu szczęk, co miało mu nadać wygląd mordercy, jego powierzchowność nie zdradzała niczego, co by go mogło odróżnić od rówieśników.

Tego dnia bawił się na trawniku w ogrodzie wielkiego domu. Odłożył na bok groty do oszczepu, który sobie wystrugał z długiej jesionowej gałęzi. Walczył z siedmioma wojownikami wysłanymi przez krainę cieni i czarnych demonów, pragnącymi zawładnąć skarbem, który on, Gruby Joe, zdobył uczciwą walką na początku historii, jaką sobie opowiedział poprzedniego dnia przed zaśnięciem. Trzej potężni wojownicy dogorywali już na trawniku z piersiami rozdartymi uderzeniem oszczepu, ale pozostali walczyli dzielnie i Gruby Joe, czując, że opuszczają go siły, zastanawiał się, jakim fortem mógłby przechylić szalę na swoją stronę. Nagle gwałtowny ból przeszył jego nogę w kostce, stracił równowagę i padł na ziemię.

— Wielki Boże! — wykrzyknął. — Demony odcięły mi stopę!

Usiłował się podnieść, ale bezskutecznie, toteż przykleknąwszy, zaczął obracać oszczepem ponad głową i jednym, nieubłaganym

jego przejściowej słabości, gotowali się już, by go dźgnąć. Świdrujący ból przewiercał mu kostkę. Rzeczywiście stopa wpadła do dziury w ziemi i skrzył ją, upadając. Nie chciał jednak zrezygnować z walki, gdyż ostatni i najdzikszy wojownik, którym był Krocionóg, mały czarny piesek, wierny towarzysz jego zabaw, trzymał koniec jesionowego patyka w zębach i pieniać się ze złości, usiłował mu wyrwać broń z ręki.

— Do licha! — wykrzyknął Gruby Joe. — Niech piorun strzeli w tego czarnego demona!

Natychmiast nad wierzchołkami drzew zebrały się ciężkie chmury i burza jak kataklizm spadła na miasto. Wydawało się, że wrogie ciemności w jednej chwili pochłonęły dzień, by doprowadzić świat do chaosu pierwotnej nocy. Strach utkwiał w ludzkich spojrzeniach, można było sądzić, że pod wpływem kaprysu bądź urazy Bóg obudził w sobie twórcze pragnienie, by powtórzyć — na wspak i zgrzytając zębami — słowa, które oddzielały wody od nieba i ziemi. Wszystko zostało pomieszane, przestały istnieć prawa zrozumiałe dla ludzkiego umysłu. Nawet czas, oszołomiony unicestwieniem wszelkiej wiedzy, wyrzucał kolejne stulecia i chwile, jakby grał kośćmi na załamującym się fundamencie teraźniejszości. Widziano chmury archeopteryksów, wyjące i skrzeczące, które rozbijały się o słupy wysokiego napięcia, podczas gdy grecki kapłan wróżący z wnętrzości ofiar unosił pałeczkę, na próżno usiłując zinterpretować tę przepowiednię. Widziano ulewne deszcze stułbi i sinego szlamu, cyklony owadów zboczonych krwią i ropuch pokrytych szkarłatnym piaskiem, widziano oczywiście szatana z orszakiem diabłów szydzących na widok tego spustoszenia, kiedy wniwecz obracała się sama istota rzeczy. Widziano również parę jaskółek na szczycie wulkanu i biedaków, którzy na ulicy, w dole miasta, zbierali pieniądze. Słowem, przez chwilę, zanim owa apokaliptyczna wizja zniknęła za wierzchołkami drzew równie szybko, jak się pojawiła, oglądano przeraźliwą moc Boga w jego nieobecności.

-10-

Niebo znów stało się pogodne. Słońce spokojnie oświetlało trawnik, na którym Gruby Joe z oczami pełnymi migoczących gwiazd budził się z krótkiego omdlenia. Ale podczas kilku sekund jego zamroczenia piorun najwyraźniej strzelił prosto w najwyższy komin domu i Krocionóg, mały czarny piesek, naprawdę leżał martwy o niecałe dwa kroki od chłopca, przygnieciony stosem kamieni i cegieł.

Gruby Joe nie był jeszcze w stanie odtworzyć przebiegu wydarzeń.

Kostka sprawiała mu potworny ból. Bardzo dobrze pamiętał, że krzyczał z przekonaniem: „Niech piorun strzeli w tego czarnego demona”. I swoje zdziwienie, kiedy natychmiast usłyszał donośny odgłos burzy. Dalej pamięć go raczej zawodziła. Przypomniawszy sobie jakiś straszliwy huk i nagłe światło, ale nie mógł wówczas zdać sobie sprawy, że u źródła całej tej katastrofy leży piorun i że Krocionóg padł jego ofiarą. Faktycznie, rzeczywistość, jaka ukazała się jego oczom, kiedy odzyskał świadomość, choć na pozór zupełnie banalna, wydawała się przewyższać niezwykłości i cuda, które jego wyobraźnia, skądinąd płodna, mogła wytworzyć. Wielki dom i ogród wypełniły się tłumem mężczyzn i kobiet. Byli wszędzie, pod każdym oknem, stali w dwu- lub trzyosobowych grupkach, w ciasnych szeregach, na balkonach i na tarasie, i wszyscy, absolutnie wszyscy, nieporuszeni i milczący, utkwili w nim nieruchome spojrzenia. Gruby Joe pomyślał, że nie odzyskał jeszcze w pełni władz umysłowych albo że rozgrzane powietrze i oślepiający blask słońca nadały temu, co widzi, formę zatrzymanego w oddali obrazu. Naliczył siedemdziesiąt dwie osoby, z których większość była mu nie znana. Mężczyźni i kobiety ubrani byli w szaroniebieskie piżamy bądź koszule nocne tego koloru; niektórzy mieli długie białe bluzy z kieszenią lub bluzy i fartuchy, inni włożyli letnie ubrania: lekkie pstrokate sukienki, jasne lniane marynarki, nieco pogniecione, bądź lśniące koszule z podwiniętymi rękawami. Uderzyła go różnorodność rysów twarzy, dramatyczne napięcie ciała, siła spojrzeń znieruchomiałych w obliczu katastrofy. Powoli rozpoznawał niektóre osoby: na tarasie w pierwszym rzędzie stał Eli, mizerny

-11-

staruszek ogrodnik, a przed nim, u stóp schodów, stała Madame Yvonne, kucharka o ciele mocnym i obfitym. Zdołał odróżnić za oknem na pierwszym piętrze pannę Amalię Krienbull, w tamtym czasie już wdowę po niezliczonych mężczyznach zmarłych w jej ramionach, która spoglądała na niego z bezgraniczną czułością, podczas gdy młody blondyn o nazwisku Paul Simon wpatrywał się w niego z przerażeniem. Wydawało mu się, że rozpoznał również nieopodal bramy wujka, Inżyniera Morela, ale trwało to jedynie ułamek sekundy, gdyż zniknął szybko za wysuwającą się na pierwszy plan signorą Anną, która z twarzą wykrzywioną niepokojem pierwsza przerwała urok tej niepowtarzalnej chwili, podbiegając ku niemu i wykrzykując:

— Żyje! Żyje!

Obraz rozmazał się niczym akwarela na deszczu. Odsunięto się od

okien, zaciągnięto zasłony, jakiś samochód odjechał, grupki się rozeszły, rzędy rozproszyły we wzburzającym na nowo szmerze banalnych rozmów. Emocje opadły; udało się uniknąć najgorszego, syn domu wyszedł cało z wydarzenia, które mogło się okazać prawdziwą katastrofą, a śmierci psa na razie nie zauważono. Każdy usunął się przezornie w cień własnych przyzwyczajęń i czynności. Wielki dom na powrót zamknął się w sobie, odnajdując dawny wygląd tajemniczego, pogrążonego w dumaniu gmaszyska, drzemiącego na słońcu w porze sjeisty. Gruby Joe, jakkolwiek z oporami, mężnie zniósł namiętne uściski matki. Jednak ugryzł się w język, by nie krzyknąć z bólu, kiedy korpulentna Yvonne wzięła go w ramiona i przeniosła do salonu, gdzie małomówny pielęgniarz, którego nigdy wcześniej nie widział, unieruchomił mu kostkę w gipsowym opatrunku.

Nazajutrz Eli, staruszek ogrodnik, odnalazł ciało Krocionoga pod gruzami z komina.

Serce podeszło mu do gardła, odskoczył wstecz i przeklął:

—Do licha, na świętego Jerzego, toż to diabeł!

Trzeba dodać, że najpierw dostrzegł jedynie głowę Krocionoga, która zdawała się wyrastać wprost z wielkiego kamienia, jakim pies

-12-

był przywalony. Pod wpływem uderzenia dwa długie siekacze dolnej szczęki przecięły psu pyszczek i wystawały z nosa niczym kły dzika, tak że przypominał bardziej skrwawioną maskarę niż ładnego czarnego pieska, który kiedyś biegał tak szybko, że można było odnieść wrażenie, iż jego łapki się zwielokrotniają. Kiedy chwila osłupienia minęła, Eli zbliżył się ostrożnie do sterty kamieni i tonem cokolwiek sentencjonalnym wypowiedział po łacinie:

— *Scientiam in cuius possessione genus humanum adhuc ver-satur, ad certitudinem et magnitudinem operum non accedere!*

Co, z grubsza tłumacząc, oznacza: „Wiedza, w której posiadaniu jest dzisiaj rodzaj ludzki, pozostaje niepewna i nie stoi na wysokości swojego zadania!”. Lubił to zdanie, ponieważ szczęśliwie kładło kres irracjonalnemu drzeniu, w które wprawiał go pobożny lęk, jaki jeszcze czasami odczuwał. Zaraz też wyjął z kieszeni notesik, którego kartki były pokryte matematycznymi symbolami, by odnaleźć formułę zanotowaną kilka miesięcy wcześniej. Już miał wnieść do niej jedną z tych nieznaczących poprawek, których tajemnicę zgłębił, kiedy zdał sobie sprawę, że głowa owego diabła wyrastająca z kamienia należała do nieszczęsnego

Krocionoga, unieruchomionego przez okrutną śmierć, jaką zesłał mu zły los. Staruszek Eli poczuł ohydny przyływ zwątpienia i goryczy, który pojawiał się za każdym razem, kiedy śmierć znajdowała sposób, by dać mu o sobie znać, przypominając, że swoje obecne życie zawdzięcza jakiemuś gorszającemu sofizmatowi bądź też pospolitemu błędowi w rozumowaniu.

3

Nikt nie znał dokładnego wieku Eliego, staruszka ogrodnika, i on sam już od dawna wołał go nie pamiętać.

Kiedy z uporem pytano go, ile ma lat, odpowiadał w końcu niechętnie: „Nie jestem z tego stulecia”, po czym nieodmiennie dodawał: „Urodziłem się z wyciągniętymi nogami” a zawierało się w tym zdaniu tyle goryczy i rezygnacji, że trudno było go pytać dalej.

Prawda jest taka, że z niejaką zawziętością upatrywał w owym fakcie narodzin przyczynę i źródło dziwnego nieszczęścia, które go prześladowało.

Już we wczesnej młodości Eli spostrzegł, że upływ dni i lat następował w jego życiu według mało naturalnego rytmu. Czuł się zawsze w tyle, zapóźniony, jakby wszystko, co mógł przeżyć, już się wydarzyło.

Podczas gdy jego koledzy szli przez młodość z brawurą, beztrąsko i lekko, wpatrzeni w przyszłość, nie oglądając się na przeszłość, Eli pogrążał się nieustannie we wspomnieniach, którymi jego pamięć zasnuwała terazniejszość niczym gęstą mgłą.

Jeżeli pięknym letnim wieczorem wspinał się rue Lepie ku place des Abbesses, by spotkać tam młodą kobietę, która zajmowała jego myśli, powolny i nieco ociężały rytm jego kroków przypominał mu z zadziwiającą precyzją chwilę, kiedy dwa, trzy lata wcześniej zawstydzony opuszczał dom publiczny, by wrócić do swojego studenckiego pokoju u góry rue Lacedede. Kilka sekund później, przegoniwszy

-14-

to wspomnienie, by nie zepsuło w żaden sposób spotkania, dołączał pełen nadziei do swojej pięknej pani. Ale gdy sięgał po jej dłoń i unosił ją do ust, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w zagłębieniu tej dłoni, tak upragnionej, w jej pulchnym wnętrzu, kryje się zapach piernika wypiekanego przez młodą Polkę, opiekującą się nim w dzieciństwie, którą całował niegdyś z takim samym zapalem. Uczucie było tym bardziej nieznośne, że od tej chwili jego towarzyska stawała się niejednorodnym zlepkiem wszystkich wcześniej napotkanych kobiet. Co gorsza, kiedy całując ją, zamykał oczy,

by zgubić pastwiące się nad nim obrazy, delikatny jasny puszek, subtelnie okalający górną wargę kochanki, przyprowadził go o dreszcz przypominający mu dawne pieścizny. Tak, jego wargi dotykały delikatnego, jedwabistego futra, którym obszyty był płaszcz matki — któregoś dnia, kiedy schował się w szafie stojącej w jego pokoju, niespodziewanie dla samego siebie pokrył je czułymi pocałunkami.

Nieustające wyłanianie się tych wspomnień, które narzucały się teraźniejszości zawsze nie w porę, zdawało się skazywać Eliego na upatrywanie w tym, co zazwyczaj nazywamy przypadkiem bądź kaprysem losu, widma własnej przeszłości, tak że przez długi czas uważał, iż raz na zawsze jest pozbawiony jakiegokolwiek przyszłości.

By umknąć temu aż nazbyt oczywistemu przeznaczeniu, odnalazł niezwykle dogodnie schronienie w spaniu. Śnił zatem bez przerwy, wiodąc w ten sposób równoległe życie pełne przygód, cudów, zadziwiających spotkań i nieoczekiwanych powrotów, które sprawiały, że z jeszcze większym żalem i goryczą przyjmował moment, w którym budząc się, stykał się, rozczarowany, z dręczącą powtarzalnością wszystkiego, czego doświadczał na jawie.

Potem, gdy jego sen stał się bardziej kapryśny, uciekał w książki. Po krótkim okresie oczarowania, który pozwolił mu wierzyć, że został ocalony, musiał, niestety, zderzyć się z oczywistością: świat literatury do złudzenia przypominał ten, z którego chciał umknąć. Książka po książce, zawsze w końcu odnajdował te same tematy, te same myśli, tak czy inaczej skomentowane, przedstawione bądź przekształcone, jakby pisanie, to ludzkie dziwactwo, w ostatecz-

-15-

nym rozrachunku było jedynie transkrypcją gigantycznej pamięci, która już nadto obficie zdążyła się rozlać po całym jego życiu.

Odrzuciwszy książki, szukał zapomnienia w podróży; przemierzył pustynie i oceany i przy licznych okazjach, które czyniły go w pełni szczęśliwym, udawało mu się choćby na chwilę zapomnieć. Niestety, pewnego dnia, kiedy stał na mostku jakiegoś okrętu przybijającego do portu w Aleksandrii, doznał nagle nieprzyjemnego uczucia, że widzi samego siebie, stojącego na przystani i machającego radośnie ręką w geście powitania. Głęboko westchnął i uznając za zbyt cenne znalezienie się w miejscu, które najwyraźniej nie kryło już przed nim żadnych tajemnic, kazał zanieść swoje kufry do kabiny i zdecydował o powrocie do Paryża.

Kiedy wrócił, to, co nazywało się jego młodością, dawno już dobiegło końca.

Eli szykował się więc, by przeżywać w sposób pozbawiony radości i pasji niestrudzoną powtarzalność dni i lat, jaką obiecywał mu wiek męski, kiedy przypadek odkrył przed nim grę w szachy.

Po raz pierwszy odczuł ekscytację do tej pory mu nie znaną. Natychmiast dostrzegł radosną zgodność między swoim życiem a ową grą. Odnalazł w końcu prawdziwą pasję. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

W ciągu dnia widywano go w kawiarniach, wieczorami zaś w klubach. Nigdy nie włączał się do gry, gdyż nadto dobrze przeczuwał, że angażując w nią swoje istnienie, straci wprawiający go w zachwyt jej obraz. Była to miłość, którą chciał zachować, nie konsumując jej.

Eli był nieodłącznym cieniem gry. Przemieszczał w milczeniu swoją smukłą sylwetkę od stolika do stolika, trzymając się w pewnej odległości z obawy, by jego spojrzenia, zbyt chciwe, nie zakłóciły przebiegu cichych walk, w które wdawała się ściśle określona liczba pionków z hebanowego i bukszpanowego drewna.

Bardzo szybko nauczył się sporej liczby otwierających posunięć i przyglądał się zafascynowany najbardziej doświadczonym gra-

-16-

czom przesuwającym się z miejsca na miejsce dzięki niezwykle subtelnym rozwiązaniom. Każdy początek partii jest historią, która już kiedyś się wydarzyła. Naprawdę nowe posunięcia są rzadkie — stanowią wynik albo długich studiów, albo niezwyklej intuicji. Ale choć analiza pokazuje, że były do przewidzenia — jakkolwiek odbiegałyby od normy — nigdy, jak daleko sięga ludzka pamięć, nie rozegrano dwóch identycznych partii szachów.

W tej grze było wszystko: określona liczba pionków, sytuacje znane od zawsze, przewidywalne, ale tworzące nieskończoną liczbę kombinacji.

To było jego życie, dokładnie jego życie: ciągle nowe ułożenie zdarzeń spisanych w wykazie i dobrze znanych.

Musiał stwierdzić jednak, że niektóre spośród nieskończonej liczby możliwych kombinacji proponowanych przez grę w szachy wracały

częściej, ponieważ spryt ludzki uznał je za lepiej dostosowane do celu gry. Jakiego celu? Ograniczenia możliwości kombinatoryjnych przeciwnika, tak by jego pionki stopniowo, lecz nieubłagane znalazły się na pozycjach, na których niewzruszona teoria końca partii właściwie czyniła niemożliwą wszelką improwizację. Każda partia, niezależnie od przebiegu, zawsze kończy się albo matem, który w języku perskim oznacza śmierć króla, albo patem — z włoskiego *patta*, czyli „opuść” — który unieruchamia wszystkie pionki, albo remisem wynikłym z powtarzalności posunięć, która skazuje pionki na zajmowanie w nieskończoność tych samych pozycji. Zapytywał się więc, nie bez lęku, czy sam nie doszedł w życiu do momentu zakończenia partii. Skoro bowiem tak dobrze znał każdą sytuację, która mu się przytrafiła, czyż jego życie nie było po prostu partią dobiegającą końca, podczas gdy on nie zdawał sobie nawet sprawy, że ją rozpoczął?

Wiele miesięcy żył w towarzystwie śmierci. Dostrzegał ją w każdym zdarzeniu ze swojego życia niczyrzt dłoń Niebios uniesioną nad szachownicą świata. Przygotowywała swoje zasadzki od nie-

chcienia, rozbawiona, niczym wielki mistrz, który z zawiązanymi oczami rozgrywa jednocześnie kilka milionów partii przeciwko debiutującym graczom. Nie tylko wszystko zmierzało do nieuchronnego końca, ale wyglądało na to, że przegra, nie zdobywając się na najmniejszy protest. Każde wspomnienie, każda reminiscencja stawały się groźbą, posunięciem, które zrećźnie ukartowało przeznaczenie, co tworzyło fatalną kombinację, zapowiadającą jego zgubę na siedem czy osiem posunięć naprzód, nie dając mu żadnej możliwości obrony. Doświadczał tego bardzo silnie.

I dało mu to dużo do myślenia.

Życie powinno być wszakże bardziej skomplikowane niż partia szachów.

Pogrzebał swoją namiętność podczas pamiętnej partii, w której sam postanowił wreszcie wziąć udział, a którą przegrał niezwykle honorowo z Tchigorinem w Ostendzie w 1905 roku.

Oczywiście nie wyobrażał sobie, aby mógł zapomnieć najmniejszą część tego doświadczenia, i to wówczas postanowił pisać dziennik intymny, który mimo licznych powtórzeń, jakimi z konieczności był usiany, miał mu stworzyć możliwość algebraicznego zapisu

inspirowanego systemem używanym przez szachistów do notowania posunięć. W ten sposób — przekonywał siebie — mógłby kontrolować przebieg rozgrywającej się partii.

Podszedł do tego nowego eksperymentu z dużą ostrożnością i rozwagą. Faktycznie pierwsze rezultaty go rozczarowały. Sytuacje, które mu się przydarzały, nawet jeśli nie były bardzo urozmaicone, okazywały się jednak na tyle skomplikowane, by opierać się jego zdolnościom analizy, tak że ich uproszczony zapis często zajmował o wiele więcej miejsca niż opisowe zdanie.

By rozwiązać ten problem, zabrał się poważnie do studiów matematycznych i logicznych, które w ciągu trzech lat pozwoliły mu całkowicie zapomnieć o własnych stanach ducha i w konsekwencji o całym projekcie.

-18-

Matematyka pozwoliła mu żyć „poza czasem”. Mimo swojego zaawansowanego już wieku na początku 1911 roku zdał błyskotliwie egzamin wstępny do Trinity College, dzięki czemu mógł uczestniczyć w wykładach, które prowadził wówczas w Cambridge Bertrand Russell.

Lata, które dzieliły go od wojny, były najszcześniejszymi w jego życiu. Spacerował brzegiem rzeki Cam, uprawiał żeglarstwo, choć z pewnym umiarem, jako że jego długie ciało, którego wiek trudno było określić, niezbyt dobrze znosiło ten rodzaj ćwiczeń. Smakował z rozkoszą teorie Cantora, Bolzana, Fregego, Peana, Carnapa, a także Zemerla, z dużą pomysłowością rozwinął własny skomplikowany system logiki kombinatorycznej, zagustował w piwie angielskim i kilku uroczych dziewczynach o piegowatych policzkach, które wypadało zabierać na pikniki.

Nawiązał przyjaźń z Davidem Pinsentem i spotkał Ludwiga Wittgensteina, który w wieku dwudziestu dwóch lat miał już na swoim koncie wynalazek silnika turbodrzutowego*. W obecności tak wyjątkowego kolegi Eli czuł się radosnym „hobbystą”, ale podobnie jak wszyscy był zafascynowany owym dziwnym połączeniem zapachu i rezygnacji, sposobem, w jaki Wittgenstein rzucał całe swoje ciało i duszę, nie wierząc za bardzo w skuteczność tego działania, w przepastne otchłanie, które myśl rozwierała przed nim na każdym kroku, jakby jego niewiarygodna siła intelektualna wzrastała wprost proporcjonalnie do jego sceptycyzmu i niepokoju.

Jeśli chodzi o Elię, wydawało się, że ostatecznie zapomniał o ograniczeniach, które Pamięć, Czas i Przeszłość zwykły mu narzucać: żył.

Krańcowa lekkość ducha, jaką udało mu się osiągnąć, uniemożliwiła mu nawiązanie bliższych stosunków z młodym Wittgenstei-

* Szkice owego silnika i inne dokumenty dotyczące życia młodego filozofa są złożone w bibliotece uniwersytetu w Manchesterze (jeśli nie zaznaczono inaczej — przypis autora).

-19-

nem, który w swoich relacjach z innymi kierował się tymi samymi rygorami, co w postępowaniu myślowym.

Wybuch wojny w sierpniu 1914 roku skazał Elię na banicję z królewskich ogrodów myśli, gdzie żył, nie przejmując się dniem wczorajszym i jutrzejszym, i brutalnie przywrócił do dawnego porządku.

Znalazł się w Paryżu sam, zdeorientowany. Wszystko, co mogło go ocalić od niego samego, książki, podróże, gra w szachy, matematyka i logika, było w jego zrozpaczonych oczach drzwiami, które zatrzasnął raz na zawsze w niedostępnej już przeszłości.

Nie pozostało mu nic więcej, jak poświęcić życie, które od tej chwili mogło się jedynie powtarzać, na ołtarzu ojczyzny. Tymczasem dumna armia francuska nie chciała wysłać na pierwszą linię frontu mężczyzny, który dawno przekroczył czterdziestkę i zdradzał — według raportu adiutanta rekrutującego żołnierzy — naturę „fantasty”. Wysłano go więc na tyły, gdzie jego znajomość logiki i matematyki mogła się przydać w księgowości.

Wobec tych zadań Eli po raz kolejny zupełnie zapomniał o swojej rozpaczy i zmartwieniach. Zapomniał nawet, że toczy się wojna i że na jego oczach odbywa się największa masakra, jakiej historia do tej pory doświadczyła. Stał się maszyną do deszyfracji. Odnalazł prawdziwą rozkosz w posługiwaniu się aparatem i systemami kombinatoryki, które pozwalały mu wyłuskiwać sens z tekstów zakodowanych w sposób najbardziej wyrafinowany. Żaden komunikat nie stawiał mu oporu. Dekodował wszystko i nieraz w nocnym majaczeniu czuł się zdolny do odczytania petroglifów z Wyspy Wielkanocnej, skóry zebry bądź leoparda, jak również przypadkowych śladów pozostawionych przez deszcz na plażach Południa.

Koniec wojny go zaskoczył.

Musiał się wówczas zmierzyć z głęboką depresją, która pozostawiła go w stanie szoku po tym, jak ciężar przeszłości znów na

-20-

niego spadł, odkrywając przed nim przytłaczającą prawdę: ostatni okres entuzjazmu i „zapomnienia” jaki przeżył, nie był niczym innym jak powtórzeniem wszystkich tych, które go poprzedzały.

Znajomość logiki kazała mu gorzko smakować paradoks, który tkwił w pamięci o tym, że się zapomina. I skoro mógł już przewidzieć, że pojawiają się kolejne okazje, by zapomnieć o tym, iż się pamięta, doskonale wiedział, że te chwile nie będą już nigdy równie doniosłe.

Jego życie przybrało wówczas bieg bardziej spokojny. Oczywiście zdarzało mu się jeszcze od czasu do czasu zapomnieć o pokrętnej sieci własnych wspomnień, ale nie miał już w sobie wiary i jego świadomość czuwała nad tym, by nie dał się ponieść emocjom wobec jakiejś domniemanej nowości.

Możliwość chwilowego zapomnienia otworzyła się przed nim ponownie, przez przypadek — ale czy rzeczywiście był to przypadek? — kiedy wpadła mu w ręce znakomita książka Armanda Delatte'a* o dziełach Pitagorasa.

Ta mała książeczka zrodziła w nim myśl, by włączyć sen, książki, podróże, matematykę, logikę i praktykę deszyfrowania do badań podjętych przez tego uczonego nad ezoterycznymi pismami Pitagorasa i w ten sposób nieco je pogłębić.

* Opublikowana w 1915 roku przez Librairie Ancienne Honore Champion.

4

4 sierpnia 1924 roku Eli znalazł się w Pawii w Collegio Borromeo, by zbadać tam odpis Helmstedta (1590) *De Magia Mathematica* Giordana

Bruna.

Przejrzał już jakąś setkę stron, gdy pewien fragment przyciągnął jego uwagę:

„Bardziej doskonale i czyste jest stanowisko Pitagorasa niż Platona; ponieważ to jedność jest przyczyną i istotą niepodzielności oraz punktu, jest to zasada bardziej absolutna od punktu i lepiej odpowiadająca uniwersalnemu bytowi. [...]

Istota jednostek miary nie daje się pojąć w oderwaniu od natury liczb. Dlatego właśnie wszelkie systemy sformalizowane i stosunki arytmetyczne są lepiej przystosowane, by prowadzić nas przez wielość ku kontemplacji i zrozumieniu zasady niepodzielności"

Owo stwierdzenie, które sprowadzało Platona do poziomu błędzącego ucznia Pitagorasa, zachwyciło Elię, pozwalało bowiem przypuszczać, że Giordano Bruno miał dostęp do wiarygodnych źródeł dotyczących Pitagorasa.

Eli odwrócił stronę, by kontynuować lekturę, i ujrzał przyklejoną do oprawy książki kartkę peluru złożoną w kwadrat. Zaintrygowany, otworzył ją.

Była pokryta pismem tak drobnym, że potrzebna była lupa, by je odszyfrować. Niemniej spróbował odgadnąć, co było napisane, i z kilku bardziej czytelnych urywków zrozumiał, że były to notatki

-22-

i przepisane fragmenty książki, upstrzone banalnymi osobistymi spostrzeżeniami. Wszelako jego serce zaczęło bić mocniej, kiedy w lewym dolnym rogu kartki dostrzegł kilka linijek, tym bardziej zagadkowych, że bardzo starannie wykaligrafowanych.

Natychmiast przepisał je do notesu:

Dio sa U Numero dei tuoi giorni Poiche quanto tu ignori, Dio conosce. Se oblii U Numero dei tuoi ricordi, Ricorda U Numero dei tuoi oblii. Poiche al Settimo oblio, Il Tredicesimo giorno si compie Come si compie ogni vita.

Jamblich

1, 8, 2, 15, 9, 3, 22, 16, 10, 4, 29, 23, 17, 11, 5, 36, 30, 24, 18, 12, 6, 43, 37, 31, 25, 19, 13, 7, 44, 38, 32, 26, 20, 14, 45, 39, 33, 27, 21, 46, 40, 34, 28,

47, 41, 35, 48, 42, 49.

Damascjusz

MARASIABOPANULA

Zamknął książkę, zastanawiał się przez chwilę, a potem najzwyczajniej w świecie wsunął kartkę w notes, który natychmiast schował do torby.

Ta drobna kradzież wprawiła go w wielką radość. Żył od nowa.

Karta biblioteczna wskazywała, że ostatnim czytelnikiem książki był niejaki Tommaso Giuliani. Na odchodnym zapytał ojca Bellana, kustosa biblioteki, czy przypadkiem nie znał Tommasa Giulianiego.

— Giuliani! Proszę nawet o nim nie wspominać! To socjalista! Komunista, który ośmiela się, drogi panie, oczerniać Kościół najgorszymi potwarzami! Och, proszę pana, nasz kraj cierpi z tego

-23-

powodu, że wydał na świat podobną młodzież! To nieszczęsne plemię jest owocem przykrego zobojętnienia Matki Ojczyzny, ulegającej pokusom rozwiązłości i sromoty. Niech Bóg nas chroni w czasach upadku! Mam nadzieję, że nie ma pan nic wspólnego z tym wyrzutkiem.

Przesada w jego tonie przeszła w ledwie skrywaną pogroźkę.

Eli dziwił się, że pocziwy ojciec z Collegio Borromeo podpisuje się pod faszystowską logomachią, ale słuchał spokojnie jego wywodu.

— Na razie jeszcze nie wiem. Bardziej ciekawią mnie teksty niż ludzie. Przekazał mi kilka słów, które pozwalają sądzić, że interesu ją nas te same problemy logiczne. Czy myśli ojciec, że jeszcze będą można w tym pięknym kraju dyskutować o logice?

Ojciec Bellano wydawał się nieco zbity z tropu tą wypowiedzią i odrzekł, tym razem w sposób przymilny:

65535 Naturalnie, naturalnie... Ale ja pana uprzedzałem... Nie wiem, gdzie pan go może znaleźć... Ale jeżeli panu na tym szczególnie zależy... proszę spytać... Armando Lomonaca, to jeden z jego przyjaciół, on powinien wiedzieć. Via Mafia 3. Zostawił pan książkę na miejscu?

65536 Tak, jutro tutaj wrócę — odpowiedział Eli. Pożegnał się z ojcem Bellanem i wyszedł.

Armando Lomonaco zachował się bardzo podejrzliwie, kiedy Eli poprosił go o spotkanie z Giulianim. Oglądał uważnie kartkę znalezioną w *De Magia Mathematica*, którą Eli postanowił mu pokazać, żeby go

uspokoić.

65537 To jego pismo — wyszeptał w końcu — ale tylko w niektórych miejscach. Nie wiem, czy pan zauważył dwa różne charaktery pisma, proszę spojrzeć...

65538 Na pewno ma pan rację — odpowiedział Eli. — Nie miałem jeszcze czasu przyjrzeć się temu dokumentowi bliżej. Uderzyły mnie jedynie formuły, które są zapisane większymi literami... Chciałbym wiedzieć, co mogło go doprowadzić do połączenia dwóch formuł Jamblicha i Damascjusza i czy przypadkiem nie po-

-24-

siadał dokumentów dotyczących ezoterycznych pism szkoły aleksandryjskiej.

Lomonaco ponownie pochylił się nad kartką.

65539 Jestem bardzo zdziwiony — powiedział. — Tommaso nigdy nie interesował się matematyką ani logiką, podobnie zresztą jak ezoteryzmem... i właśnie te formuły, o których pan mówi, nie są zapisane jego ręką. Tu musi chodzić o coś innego... To wszystko wydaje mi się bardzo dziwne, zupełnie nie rozumiem. Lepiej będzie, jeśli pan mu zwróci tę kartkę. Mógł się pan na niego natknąć, wychodząc z uczelni, miał tam wrócić dzisiaj po południu. Może jeszcze tam jest, niech pan spróbuje... Proszę uważać na ojca Bella-na, który pana tutaj przysłał. Kolaboruje z faszystami.

65540 Tak sądziłem — odpowiedział Eli. — Chociaż nie sprawia wrażenia człowieka niebezpiecznego.

65541 On, nie — odpowiedział Armando Lomonaco — ale nie życzę panu spotkać jego przyjaciół.

— **5**

Tego samego dnia, a więc 4 sierpnia 1924 roku, około pierwszej po południu, czyli niespełna pół godziny po tym, jak Eli opuścił ojca Bellana, młody Giuliani szedł wzdłuż prawego brzegu Ticino, stale przyspieszając kroku. Szedł coraz szybciej i szybciej, nagle skręcił w prawo i zaczął biec aż do utraty tchu uliczką G.B. Perellego w kierunku Collegio Borromeo.

Należy powiedzieć, że już od dobrej chwili deptało mu po piętach kilku dosyć rozemocjonowanych przedstawicieli *squadre d'azione*, którzy w imieniu Benita Mussoliniego — niech papież błogosławi naszego Duce — obstawili miasto z gorliwością i zapałem, wyrażonymi w pięknej dewizie:

„Wierzyć! Być posłusznym! Walczyć!". Jej wartość przy tej szczególnej okazji podnosiły ciężkie i solidne kilofy.

Giuliani więc biegł, lecz wpadł na fatalny pomysł, by stracić cenny czas na stukanie do drzwi kolegium, które, jak było do przewidzenia, nie otworzyły się wcale, by udzielić mu schronienia. Kilka minut później dopadła go na corso Garibaldi i powaliła na ziemię rozwrzeszczana grupa młodzieży, gotowa wysławiać poetycką i ekspiacyjną wartość czynu polegającego na zrównaniu z ziemią ciała i wykreśleniu imienia, jakie jeden z sumiennych denuncjato-rów wpisał na listę.

Wcześniej nic nie pili, było jednak gorąco. Stali łeb w łeb, ciało przy ciele, i upajali się własnym zapachem, zapachem potu, zarazem gorzkim i cierpkim jak młode wino. Pot ściekał spod ich pach

-26-

niczym sok ze świeżo wyciskanych winogron, zraszał włosy porastające piersi, spływał między łopatkami, gdzie ciemny materiał koszul przyklejał się dużymi płatami. Ich nozdrza się rozszerzały, by poczuć ten kolektywny swąd bestii: wilczy cy rosnącej w każdym z nich, okazałej, wolnej, dzikiej, bezlitosnej i wypasionej, teraz podskakującej i warczącej nad swoją ofiarą.

Niezliczone łapy pochwyciły Giulianiego, by rzucić go twarzą na ziemię. W ustach, między zębami, miał słony piasek corso Garibaldi, a przed oczyma nierealny, powiększony, nazbyt bliski widok zielonkawego i powolnego chrząszcza — tak bardzo powolnego, że jego brzuch rozpekł się pod podeszwą buta w chwili, gdy Giuliani dostał pierwsze cięgi.

— Idź do piachu! Chwała ojczyźnie! Zdychaj, czerwona zgnilizno! Niechże cię wybrandzluje twój Matteotti!

Wydzierali się i dyszeli niczym pijani drwale, uderzali ze wszystkich sił kilofami, bili, zaczynając od nóg, aż trzeszczały i pękały kości, bili do wyczerpania się ich szalonej pasji, rozpalonej nienawiści, bili ze zdwojoną siłą po lędźwiach, głowie i klatce piersiowej, bili, jakby czuli zbliżającą się niemoc, jakby skrajne okrucieństwo i unicestwienie ciała wroga nie mogły nasycić ich pragnienia, żeby jeszcze pozostać razem; nieodróżnialni w czasie tej jatki, zjednoczeni w akcie zadawania śmierci. Potem nastąpił trzask — może bardziej złowrogi niż inne, może też marionetka przestała się opierać ciosom, a może pasja jednego czy drugiego osłabła, w każdym razie jakaś tajemnicza dysharmonia doprowadziła do załamania się wspólnego porywu. Bestia się rozdzieliła na pięciu czy sześciu mężczyzn o pustych spojrzeniach, którzy ustawili się w szeregu na corso Garibaldi, by natychmiast wybuchnąć pierwszymi nutami ulubionej pieśni. Na nowo

złączeni oddalili się, wrzeszcząc na całe gardło: *Allarmi siam Fasciti, terror dei comunisti...*

Pośrodku corso dogorywał młody Giuliani. Nieskończony ból palił każde włókno jego ciała, ale to właśnie ten ból i tylko on dzielił go od śmierci. Nie było już myśli w jego głowie, nie było bicia serca, jedynie okrucieństwo nazbyt ostrego światła, które prze-

my-

szywało ciemności jego oczu. Były tuż obok radosne, przyjazne dwie ptasie samice, podobne niebezpiecznym syrenom, których natchniony śpiew unosi się w niebiosach, a on nie miał ani wosku, ani łańcucha, jego okręt zaś został opuszczony.

W tym samym czasie o dwa kroki dalej mała dziewczynka wychodziła z kościoła San Michele, gdzie poszła do spowiedzi, by przygotować się do pierwszej, uroczystej komunii. Jej matka, Elizabeth Krienbull, silna, piękna kobieta, Austriaczka z pochodzenia, czekała przed kruchtą — perłą sztuki romańsko-lombardzkiej. Wzięła ją za rękę i pociągnęła za sobą na corso Garibaldi z troską i powagą, jakich wymagały okoliczności. Znalazły się w ten sposób naprzeciw faszystowskiej kohorty, która skandowała, wybijając krokiem rytm swojej pieśni.

Amalia, takie było imię dziewczynki, szła, trzymając rękę matki, i ta ręka tkwiła w jej dłoni niczym kamień. Nie widziała nic, nie słyszała nic, gdyż ogarnęło ją święte przerażenie.

Na spowiedzi wyznała zawiść, łakomstwo, lenistwo, wszystko, co przyszło jej do głowy, jednak nie to, że dotykała się tam, w dole, między nogami, i że popłynęła krew, tak, krew, kiedy się tam dotykała! Zdajecie sobie sprawę?! Czy to, czy można to powiedzieć? Chciała, ale słowa nie przyszły, czuła gulę w żołądku, supeł, a może coś na kształt dziury, jakiegoś uporczywego drzenie, które nie przestawało jej dręczyć, rozwierała się w niej jakaś otchłań. Nie ośmieliła się, nie mogła nic powiedzieć, ponieważ poczuła nagle zawrót głowy i strach, by nie zapaść się w tę dziurę we własnym żołądku. A straszny głos krzyczał do niej:

„Trzeba być czystym, Amalio, by przyjąć ciało naszego Pana Jezusa Chrystusa! Czystym i bez żadnej skazy, Amalio, by krew naszego Pana nie zmieniła się w plugawą truciznę, bo jeśli zgrzeszyłaś i pijesz tę krew, Amalio, pokryją cię parchy i wrzody! Twój język stanie się zielony! I umrzesz w jednej chwili w okrutnych męczarniach! Słyszysz, Amalio? Zgrzeszyłaś, ciało Chrystusa będzie splamione twoim grzechem, a Boży gołąb wskaże na ciebie pośrodku kościoła przy wszystkich! Przy twojej

matce! Słyszysz? A w sam

-28-

wielki dzień twojej pierwszej komunii szatan przyjdzie cię dotknąć między udami i oblejesz się krwią! I wyznasz swoje winy przed całym Kościołem! Bóg wie, że się dotykasz! Bóg to wie i niczego ci nie daruje, słyszysz, Amalio?!"

Upał tego sierpniowego dnia, naturalna przezorność mieszkańców nadbrzeża i godzina — ponieważ wszystko działo się w porze posiłku — tłumaczyły bez wątpienia to, że corso było całkowicie wyludnione. W promieniach nieokrzesanego słońca bezwładne ciało młodego Giulianiego, którego kości i, by tak rzec, cielesna tkanka były rozerwane, stanowiło punkt orientacyjny, od którego wyszedłszy, można było przewidzieć i zrozumieć to, co nastąpi. Zgodnie z logiką wydarzeń hałaśliwi i dobitnie skandujący członkowie *squadre cTazione* musieli się zderzyć z kobietą i dzieckiem co najmniej pięćdziesiąt metrów od tego punktu. Kobieta, ujrawszy przed sobą ciało leżące na ziemi i grupę brunatnych koszul oddalającą się od niego, bez trudu zrozumiała, co się wydarzyło. Grupa, która zmierzała dumnie prosto przed siebie, niesiona własnym śpiewem, widziała, że kobieta dostrzegła ciało, i każdy czekał na jej spojrzenie, by nie spuścić wzroku, aż kobieta ich nie wyprzedzi, tak, nie spuścić wzroku i stawić opór temu spojrzeniu, które ona utkwi w zakrwawionych kilofach.

Szli w jej stronę, szli i śpiewali coraz głośniejsze. Wtem tuż przed nimi wyrosła dziewczynka z szeroko otwartymi oczami. Nie chciała już słyszeć nienawistnego głosu, który mówił jej, że pójdzie do piekła, że jest przeklęta i że obleje się krwią w kościele pełnym ludzi. Zatkąła więc sobie uszy.

I widzieli, że zatyka sobie uszy i rzuca się w ramiona matki, wydając okrzyk przerażenia.

— O Jezu! O Jezu!

Wrzeszczała, przestali śpiewać.

Wszystko pod słońcem znieruchomiało, absolutnie wszystko: kobieta, dziecko, mężczyźni, światło, ptaki, czas i tuż obok ciało młodego Giulianiego skulone na zakurzonym asfalcie corso. Tak w ów pamiętny dzień sierpnia czas został ujęty w nawias, zdawało

-29-

się, że wydarzenia zatrzymuje jakaś niematerialna siła, jakby przeznaczenie, wahając się, nie chciało przyjąć konsekwencji nazbyt

widocznego kaprysu. Tymczasem w tym nawiasie Orlando Volpe, młody szef bandy, pomyślał, że to upokarzające być pohamowanym przez małą dziewczynkę i stać tak z rozdziawionymi ustami przed kobietą na samym środku ulicy. Upokarzające, zwłaszcza gdy jest się szefem, a w skierowanym ku nam spojrzeniu kryją się odraza i pogarda. Poczuł nienawiść, gdyż kobieta była piękna, i to owa nienawiść popchnęła przeznaczenie, które — jak widzieliśmy — jeszcze się wahało. Szef zrzucił niedbale kilof z ramienia i oparł się na nim jak na lasce.

—No i co, dziwko — powiedział, nie podnosząc głosu. — Twojej córce nie podobają się nasze śpiewy?

Od razu pojęła, że nie należy odpowiadać, że nie warto podejmować próby wysłuchania, daremnie rozplýwać się we łzach czy błagać. Nigdy nie myślała, że może jej się to przydarzyć. To były rzeczy, o których jej opowiadano, o których czytała w gazetach. Nie była ani syndykalistką, ani socjalistką, po prostu bogatą cudzoziemką od dwóch lat zamieszkałą w Pawii, jakże mogłoby to jej dotyczyć? Dziwiła się sama sobie, że jest tak spokojna, że się nie boi, dziwiła się, że patrzy na młodego dowódcę z taką rezygnacją.

Ujęła córkę za ramię i bardzo delikatnie ją odepchnęła. Na jej twarzy pojawił się uśmiech, dziwny, wieloznaczny, wyrażający zarazem wielkie zmęczenie i przebiegłość, jakąś wulgarną, prowokacyjną ironię, doskonale odpowiadającą określeniu dziwki, które jej przypisano.

65542 Pójdę z wami, panowie — powiedziała głosem zdecydowanym, a zaraz potem, na jednym wydechu, tak by nie zrozumiała jej córka, oblizując powoli i niezręcznie wargi, dodała:

65543 Zrobię wszystko, co zechcecie, tylko pozwólcie odejść mojej córce!

Była groteskowa i tragiczna.

Orlando Volpe nie musiał się oglądać na towarzyszy. Kobieta była groteskowa, ale piękna, a oni byli młodzi. Uśmiechnął

-Amalio — powiedziała. — Amalio, widzisz tego pana, który leży tam na środku ulicy? Jest ranny. Nie bój się, podejdź do niego, pójde po pomoc z tymi panami, weź go za rękę, nie bój się, zostań przy nim, ja zaraz wrócę, słyszysz mnie, Amalio, zaraz wrócę, słyszysz?

-Mamusiu?...

Chciała powiedzieć... Nie rozumiała... Wyczuwała kłamstwo, coś brzydkiego, biedna mama, pobijają ją, to przez nią, przez Amalię, mój Boże, ukarż mnie natychmiast! Brzydkiego i niebezpiecznego jak to, czego nie mogła wyznać na spowiedzi! Mój Boże, ukarż mnie, ukarż mnie, ukarż!

Już zawsze będzie grzeczna, będzie grzeczna!

W słońcu odchodziła w stronę ciała, które spoczywało przed nią, odchodziła, nic nie mówiąc, nawet nie odwróciła się ku matce stojącej nieruchomo i dumnie pośród mężczyzn, śledzącej każdy jej krok i szepczącej: „Amalia, moja córeczka, moje dziecko, moja mała, niech Bóg mi wybaczy, niech się za nas, za mnie, modli”.

6

Amalia Krienbull liczy swoje kroki: raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy, cztery, pięć, sześć, strasznie głodna jest... Dlaczego „jest” skoro to się nie rymuje? Lepiej byłoby: zaraz będzie jeść, no i cześć... Siedem, osiem, dziewięć, sama już nie wiem. Gdzie poszła mama?

Amalia Krienbull zaczyna od nowa, liczy swoje kroki: raz, dwa, trzy, i na trzy się zatrzymuje, jej matka coraz bardziej się oddala, *squadre d'azione* już nie śpiewają, na ulicy rozlega się jedynie odgłos ich kroków. Powinna kroczyć jak oni, maszerować, zmierzać ku rysującej się przed nią ciemnej plamie. Corso zbiega łagodnie w dół, trzeba tylko pozwolić nogom się unosić. Amalia doliczyła do trzech, czas biegnie, ona się nie rusza. Czuje dziurę w żołądku i dobywające się z niej drżenie, długie, uporczywe, bolesne: jakby rozdarcie. Chciałaby iść, przyrzekła być posłuszna, waha się, czy się nie odwrócić, by znaleźć wsparcie w spojrzeniu matki. Kiedy się odwraca, jest za późno, matki już nie ma, zniknęła za rogiem ulicy, tak, poszła z panami.

Amalia Krienbull została sama, nikt nie przyjdzie. Robi jeden krok więcej i znowu tutaj, w żołądku, coraz silniej ją boli, więc się zatrzymuje. Kiedy przystaje, czuje to nadal, ale jest lepiej. W jej brzuchu tkwi śpiący zwierz. Jeżeli się poruszy, on się obudzi, by przegryźć jej wnętrzności. Dziwne to jej ciało...

— Dziwne — mówi do siebie Amalia. — Przecież naprawdę chcę tam iść, przecież obiecałam, że będę posłuszna, przecież muszę zaopiekować

się tym panem, który śpi śmiertelnie ranny. Mój

-32-

brzuch... Tak samo jak na spowiedzi, powinnam była wszystko powiedzieć księdzu, powiedzieć wszystko od razu: Ojcze, pokrwawiło mi palce, kiedy... To takie podobne uczucie, zupełnie to samo, nic nie powiedziałam, gdybym powiedziała, zapadłabym się w dziurę swojego żołądka. A teraz nie mogę się ruszać. Mama sobie poszła. A temu panu tutaj, co mu jest? Wydaje się, że stęka. Jest tak gorąco. Muszę słuchać mamy... Jeszcze raz policzę, raz, dwa, trzy... To z mojej winy mama sobie poszła, muszę być posłuszna.

Amalia liczy, odrywa od ziemi stopę. W brzuchu ugryzło ją zwierzę.

To zbyt daleko, za dużo kroków, w środku mnie rozerwie. Trzeba, muszę coś zrobić, żeby zapomnieć... to przeze mnie... Przeze mnie, bo krzyczałam. Zatrzymali się i jeden spojrzął na mamę! To z mojej winy powiedział: „No i co, dziwko?”. Co to jest dziwka? Był wściekły, bo krzyczałam, ale to przez Chrystusa, komunię i brzuch! A tutaj blisko, co to jest, ta ciemna plama, to ciało, które jęczy, a teraz się porusza, wyciąga ku mnie rękę, co mu jest? Mój Boże, ten zmarły się porusza i jakby chciał mi coś powiedzieć...

Amalia Krienbull widzi wyciągniętą dłoń, zgaduje, że ten człowiek coś mówi, nie wie co. Słucha, patrzy, zapomina wszystko: Chrystusa, dziurę, niepokój w żołądku, komunię, matkę, krew, spieszy do tego, który ją woła.

—Proszę pana! Proszę pana! — wyrzuca z siebie, jakby chciała powiedzieć: „Proszę się nie bać, już idę! Zaraz będę!” — i w jednej chwili znajduje się przy nim.

Jest młody, mógłby być jej starszym bratem, jak Giuseppe, syn dozorczyń, albo na przykład Vittorio, narzeczony praczki. Bierze go za rękę i mówi:

—Mama poszła po pomoc z panami, zaraz wróci. Proszę pana, czy pana coś boli? Proszę dać mi rękę! Nie trzeba umierać!

Kiedy się ku niej odwraca, widzi ogromne oczy w kolorze głębokiego granatu, przejrzyste, tak przejrzyste, że ją nimi przenika i wciąga. Ciepły powiew delikatnie wydyma jej sukienkę, by potem owinać materiał wokół nóg. W palącym słońcu wiatr pieści jej na-

-33-

skórek jakby delikatna dłoń sunęła i przemykała się po plecach; gładzi jasny, niemal biały puszek porastający szyję, układa włosy, które teraz

falują przed jej oczami, dotyka twarzy. Życzenie Amalii spełniło się, wszystko zapomniała: nie ma już Chrystusa ani krwi, ani dziury w brzuchu, czuje się eteryczna, lekka, lekka. Jak łódka z trzciny unosząca się na błękitnej przezroczystej fali spojrzenia przepastnego jak ocean. Wie, że mężczyzna umrze, ale w jego ostatniej chwili to ona na niego patrzy, i kiedy jego oczy się powiększają, tracąc granice, widzi właśnie ją. I lekka bryza staje się wiatrem, dmie w spódnicę, która jest teraz żaglem, a dwie nogi to maszty feluki, pochylone do przodu, gdy piersi Amalii przemierzają morze. Na oceanie jego spojrzenia Amalia stała się cieniem feluki, która się oddala i opuszcza wybrzeże. Ale mężczyzna wyciąga rękę, czepia się jej kostki i niczym zapomniana kotwica jednym szarpnięciem przyciąga ją do brzegu, gdyż nie powinna była go opuszczać: do corso Garibaldi, słońca, dwóch ubranych na czarno kobiet, które właśnie podchodzą, i drobnego staruszka z laską, krzyżącego:

— Święta Panienko! Święta Panienko, na pomoc!

Ręka, która uchwyciła się jej kostki, jest zimna i ciężka niczym kamienny łańcuch. Amalia Krienbull zachowuje spokój, mówi do staruszka z laską, który natychmiast się ucisza, i dwóch kobiet, z których jedna przyklękła:

— Moja mama poszła z panami po pomoc, zaraz wróci...

I być może dlatego, że przez wszystko, co przeżywała, jej dzieciństwo nie mogło się dopełnić, albo dlatego, że widziała już, jak się oderwała od siebie i wrzucona w świat pierwszych wzruszeń, które zaludniły jej sny pięknymi postaciami mężczyzn — dodaje:

— Myślę, że mnie kocha, on umiera, zostawcie nas!

Mówi to bardzo wyraźnie, ze spokojem i determinacją, ale oni jej nie słuchają, otaczają ciało młodego mężczyzny; jakiś cyklista podchodzi i brutalnie ją odpycha. Ręka trzymająca jej kostkę rozluźnia się, pozostawiając ją ze wspomnieniem zimnego uścisku. Czuje się nim naznaczona i natychmiast odczuwa jego brak. Chwyta mężczyznę za rękaw, za poły kurtki, chce go znów widzieć, ale

-34-

jest już ich siedmiu czy ośmiu, odciągają ją od ciała, wypychają za mur z nóg i spódnic. Amalia się dusi, spazmy i szloch ją paraliżują, wreszcie, w pełnym słońcu, z twarzą skapaną we łzach, krzyczy:

— To mój brat! Zostawcie mnie z moim bratem! Ja muszę przy nim być!

Ot, jakie to proste, skłamała. Wystarczy kłamstwo i krąg ludzki, który

się zacisnął wokół młodego Giulianiego niczym stado drapieżnego ptactwa wokół padliny, rozstępuje się, pozwalając jej przejść pośród szeptów zdziwienia i współczucia, tak by mogła się połączyć z tym, który ją woła. Jest siostrą umierającego, tak, roztrzęsioną siostrą i przecież, mój Boże, zbyt młodą, by miało ją dotykać takie nieszczęście! Wzięła go za rękę, podobnie jak na obrazie, który wisi nad ołtarzem w kościele San Michele, gdzie piękna pani obmywa Chrystusowi skrwawioną pierś, i poczuła, jak łzy wzruszenia napływają jej do oczu. W jej życiu nigdy nie było nic równie wielkiego i pięknego, ci wszyscy ludzie, którzy patrzyli na nią z taką miłością, to było o wiele wspanialsze niż wszystko, co mogła sobie wymarzyć, myśląc o pierwszej komunii. Kłamstwo, które pozwala osiągnąć taką błogość, może być tylko bardzo pięknym kłamstwem.

Dłoń, którą ujęła, była zimna. Miała absolutną pewność, że jest już martwy, i miłość, którą go obdarzyła, nie mogła być mniej absolutna niż ta pewność.

Pies przebiegł przez corso dokładnie naprzeciw kościoła, z oddali dobiegał sygnał karetki. Znow wszystko znieruchomiało. Czas zamknął nawias, który przypadek otworzył nie w porę. Kilku mężczyzn krzątało się zwinnie wokół niemalże trupa.

Parę ulic dalej Elizabeth Krienbull podążała za patrolem *squadre d'azione*.

Szli, ona i oni, pięciu czy sześciu mężczyzn i jedna kobieta, wszyscy milczący, pospieszni, zasapani. Miarowe tempo wojskowego kroku, do którego przywykli, należało teraz do nich tak samo jak do przypadku, porządkowało ich krok na trzy lub cztery czwarte,

-35-

by potem ich opuścić, rozproszyć się i znow powrócić. Obserwowany z zewnątrz, ich ruch był płynny, ciągły, szli szybko w stronę cienia, jaki rzucały wysokie mury miasta. Naprawdę jednak ich chód był brutalny, rwany. Kobieta poruszała się szybciej od mężczyzn, co było absurdalne. Nie uszli nawet dwustu metrów; mężczyźni nie bardzo wiedzieli, gdzie pójść i co zrobić, podążali dalej tylko dlatego, że tak zostało postanowione. W pewnej chwili wszyscy zapragnęli tego samego i sądzili, że wypowiedzieli to bez słów. A przynajmniej kobieta wypowiedziała to za nich. Należało teraz to wykonać i już. Pożądanie zamieniło się w powinność. To było absurdalne, ale szli. Elizabeth Krienbull czuła ową chwiejność, to aktywne niezdecydowanie członków *squadre*, ale nie

potrafiła sobie wyobrazić, jak im umknąć. Biec, uciekać? Owa niepewność istniała w nich tylko dlatego, że się zgodziła. Przy pierwszym objawie wykręcania się czy odmowy naprężyliby ciało, swoje wielkie ciało dzikiego zwierza. To było absurdalne, lecz szli, owa absurdalność stanowiła jednak dla wszystkich ostatnią chwilę wytchnienia.

Młody przywódca Orlando Volpe, piękny dwudziestodwuletni samiec, postanowił skręcić w prawo, potem jeszcze raz w prawo i w lewo, by w końcu podążać prosto. Szedł na przodzie, zdecydował tak, by coś zdecydować, żeby wydawało się, że wie, dokąd idzie, był przecież szefem. Doszli do wąskiej uliczki. Po prawej stronie przywódca dostrzegł prześwit i arkadę prowadzącą na podwórze, weszli tam. Był to surowy dziedziniec potężnego budynku z XIII wieku, małe, nieliczne okna.

Szła za nimi, zgodziła się, więc postanowili to wykonać.

I wszystko się odbyło. Nie miało nazwy, to nie był ani zły sen, ani koszmar, o wiele gorzej, płaska, brudna rzeczywistość.

A więc dokonało się, w sposób szary i zakurzony, z wymuszoną ekscytacją, więcej w tym było strachu i tchórzostwa niż przemocy.

Członek każdego z nich nie wznosił się triumfalnie przed ofiarującą im się kobietą, musieli się rozmarzyć, marzyli o czymś, co się dzieje między nimi, samcami, o zakazanym promiskuityzmie, by pobyć jeszcze chwilę razem, zobaczyć owłosione udo, zaciśnięte

-36-

pośladki podpierającego się kompana, tyłek szefa, jego lędźwie... więc tak... wszystko się odbyło.

Ona, Elizabeth, nie wylała ani jednej łzy, odcięła ciało od duszy, odcięła je z taką siłą, że potem była już niczym.

Ubrała się, czy raczej coś ją ubrało. Ona czy coś, co było nią, zrobiło pierwszy krok, nikt jej nie zatrzymywał, to coś wychodziło z cienia i zmierzało ku ulicy, oddalało się w sposób mechaniczny jak lunatyk.

7

W szpitalu San Matteo, gdzie zawieziono młodego Giulianiego, profesor Spinelli ze złością zarzucał sanitariuszom, że nabrali paskudnego zwyczaju, by przywozić mu „pobitych” w coraz bardziej opłakanym stanie.

Wystarczył mu jeden umęczony rzut oka, by stwierdzić, że silne uderzenia, które kaskadą spadły na ciało młodego człowieka, musiały

zatomować oddychanie, a wobec tego zbędna jest jakakolwiek operacja. Wskazał leniwym gestem wąski korytarz z odpadającą płatami farbą i nakazał głosem, który rozbrzmiał niczym dzwon, zanieść ciało do sali San Damiano.

Amalia, sprawiając wrażenie nieobecnej, słuchała go, nie wypuszczając ręki Giulianiego, którą ścisnęła niczym lalkę.

Wówczas, jako że naszła go ochota, by odnaleźć w sobie odrobinę ludzkich uczuć, czy też — co bardziej prawdopodobne — za sprawą rutyny, gdyż jego zawód wymagał, by robić wrażenie ludzkiego człowieka, chirurg uśmiechnął się szeroko i przyjaźnie i przycupnąwszy, by znaleźć się na wysokości dziewczynki, powiedział, ujmując ją za podbródek:

— A cóż tutaj porabia taka malutka dziewczynka?

Długie ciemne loki falowały wokół twarzy Amalii w rytmie lekkiego kołysania, w jakie ręka chirurga wprawiała jej ciało. Była gdzie indziej. Chirurg puścił jej podbródek i przestała się kołysać. Patrzył na nią, zdawało mu się, że go nie widzi. Zamachał ręką przed jej oczami, uśmiechnęła się jedynie, ciągle go nie dostrze-

-38-

gając, ale po kilku sekundach powiedziała powoli, lecz wyraźnie władczym tonem:

— Mam na imię Amalia, jestem jego młodszą siostrą, muszę tu zostać, trzeba... mama poszła z panami, zaraz wróci, tak trzeba, po prostu muszę.

I choć to było sprzeczne z regulaminem, chirurg nie ośmielił się rozdzielić dziewczynki z umierającym. Wyprostował się, wydając z siebie głębokie westchnienie, pogładził z roztargnieniem ciemną czuprynkę i poważnym skinieniem głowy dał znać sanitariuszom, że zgadza się, by z nimi poszła.

Weszli w wąski korytarz, a podczas gdy się oddalali, głos chirurga dźwięczał jeszcze za nimi:

— Nie zapomnijcie spytać, jak się nazywa i gdzie mieszka! Trzeba zawiadomić rodziców!

Pokonawszy znajdujące się na końcu korytarza stopnie, znaleźli się wreszcie w sali San Damiano, która — długa, niska, ciemna i sklepiona — przywodziła na myśl kryptę. Wypełniały ją cienie, ledwo uwydatnione wątlm blaskiem jasnych prześcieradeł i białych łóżek. Kilka rozproszonych wyprostowanych sylwetek, nieruchomych i uroczystych, czujnych wobec agonii, łączyło oddechy i modlitwy w monotonnej litanii

uspokajających szeptów, podczas gdy rozgorączkowane palce przesuwały paciorki różańca.

Pod masywnym sklepieniem mężczyźni i kobiety jednoczyli się w początkach żałoby, nie było jednego głosu, który nie byłby przepelniony rezygnacją, jednego ciała, które by nie zgodziło się już zamilknąć; atonalny koncert religijnej żarliwości przerywały nieustannie przeciągłe jęki, zduszone skargi, rżenie, nieraz krzyki, które nie wynikały z bólu, lecz z trwogi.

— Chryste Panie! Mój Boże, jakie to piękne! — szeptała do siebie Amalia, podczas gdy niewielki pochód postępował naprzód środkową alejką, oddzielającą dwa rzędy łóżek, gdzie leżeli ci, którzy opuszczeni przez ludzi, szamotali się w przemożnych rękach Pana.

-39-

Amalia nigdy nie potrafiłaby sobie tego wyobrazić, nigdy. To było jak msza, tylko że działo się naprawdę!

Tak, naprawdę! Księża, kościoły, Chrystus, Bóg, w to wszystko, owszem, wierzyła prawdziwie i szczerze, ale to było zawsze jak na obrazkach albo w książkach, fałszywe, podobnie jak historie, które sobie opowiadamy. A tutaj, w krypcie, nie było miejsca na wątpliwości, Bóg czy Chrystus byli obecni, zesłali w ciała mężczyzn i kobiet, lepił je i kształtowali tak, by wszystkie rozbrzmiały owym mistycznym śpiewem. A ona, Amalia, miała swojego mężczyznę jedynie dla siebie, z ciałem zboczonym krwią, lecz wypełnionego Bogiem w środku; sanitariusze kładli go teraz na łóżku, przykrywając dużym białym prześcieradłem! Ach, Boże! Boże! Amalia, oszołomiona, w pełni szczęścia, padła na kolana i zanosła się szlochem.

Sanitariusze, wzruszeni tym widokiem, wycofali się w milczeniu, zwinawszy nosze. Zapomnieli spytać o jej imię.

Trzy następne dni i noce Amalia, czulsza niż matka, spędziła u boku swojego dziecka.

Kiedy była spragniona, dostawała wodę, kiedy była głodna, znajdowały się dla niej ciastka i chleb, czujna społeczność krypty wiedziała, jak uczepić się życia.

Wydawało się, że od czasu do czasu przez ciało młodego Giu-lianiego przebiegały jakieś drgawki oraz że utrzymuje się ono w stanie tak dobrym, iż sanitariusze, którzy dwa, trzy razy dziennie opróżniali sale z umarłych, wahali się, czy je zgarnąć.

Czwartego dnia, ponieważ wyglądało to już na cud i przekraczało zwyczajne opóźnienia, jeden z nich wziął na siebie odpowiedzialność i zawiadomił pielęgniarkę, która stwierdziła, że młody Giuliani żyje; udało jej się nawet sprawić, by przełknął trochę wody przez rurkę, jaką włożyła mu do przetyku. Piątego dnia został powiadomiony lekarz dyżurny, a następnego dnia udało mu się przekonać profesora Spinello, który oglądał Giulianiego zaraz po przywiezieniu do szpitala, by go obejrzał raz jeszcze, gdyż pomimo utraty świadomości i innych oznak śmierci Giuliani nie rozkładał

-40-

się, a nawet od czasu do czasu jego ciało stawało się cieplejsze. Dokładniejsze badanie wykazało, że medycyna nie jest w stanie wytłumaczyć utrzymywania się przy życiu ciała, które wydawało się jedynie zbieraniną szczątków. Niemniej profesor Spinelli postanowił i tym razem interweniować, dowodząc, że przedziwny i tajemniczy upór funkcji życiowych, by zachować minimalną aktywność, nie będzie miał i tak dla pacjenta żadnego znaczenia, jeżeli ta aktywność miałaby się utrzymywać w ciele, które znajduje się w tak opłakanym stanie. Oczywiście próbował nieudolnie ukryć pod tym rozumowaniem pożerającą go ciekawość i pragnienie, by zbadać bliżej fenomen, którego do tej pory nie potrafił wytłumaczyć.

Federico Lorelli, najstarszy z sanitariuszy, był bardzo zdziwiony, kiedy szedł po rzekomo umarłego do sali San Damiano. Nie przypominał sobie, żeby coś takiego kiedykolwiek wcześniej się zdarzyło. Wspólnie z kolegą radośnie więc skłonili się Amalii, kiedy do niej podeszli. Ale ledwie dotknęli prześcieradła, którym Giuliani był przykryty, zaczęła wrzeszczeć tak potężnie i donośnie, że przez chwilę można było sądzić, iż kryptę owładnął nagły wybuch życia. Pod rozległym sklepieniem zamiast śpiewu agonii słychać było jedynie niesamowity krzyk Amalii, a kiedy umilkła, zapadła cisza.

Sanitariusze przezornie zaczęli się wycofywać, a ona, zwrócona w ich stronę, wsparta o pręty łóżka, sztywna, mroczna, przyczajona, raptem jak oszalała wyprężyła się niczym wąż gotowy ugryźć i wysyczała przez zęby:

— Oszaleliście?! Dajcie mu umrzeć, to mój brat, zostawcie go!

Federico Lorelli zdał sobie sprawę, że zupełnie zapomniał o dziewczynce, po tym jak zostawił konającego w sali San Damiano. Kiedy tylko przybyła, rozwiała się w powietrzu krypty, upodobniła do uderzeń zegara i ograniczyła do kilku zrezygnowanych ruchów, do których życie

postanowiło się zredukować, by nie przeszkadzać oczekiwaniu na śmierć.

Fakt, że nigdy nie chciała się zobaczyć z matką, wydawał się jeszcze bardziej zagadkowy i bulwersujący niż krzyk, który z siebie wydała ostatkiem sił, jakie jej pozostały. I oto Amalia zemdląca.

-41-

Szepty, modlitwy, skargi i jęki znów rozbrzmiały w sali San Damiano.

Federico Lorelli i towarzyszący mu sanitariusz skorzystali z okazji, by zabrać młodego Giulianiego, oznajmiając w przejściu pielęgniarce, że dziewczynka, która czuwała przy chorym, ma się nie najlejiej.

8

Ciało Giulianiego nie ujawniło wiele w kwestii cudu, który utrzymywał je przy życiu. Jego temperatura obniżyła się o wiele stopni, co mogło nasuwać myśl o katalepsji. Najdziwniejsza jednak była tężyczka, która opanowała wszystkie mięśnie i czyniła jakąkolwiek interwencję szczególnie trudną. Chirurg nie odważył się użyć chloroformu, w obawie, że wraz ze skurczami ustanie tajemniczy mechanizm, który do tej pory zastępował oddychanie. Uważna obserwacja wstrząsów pozwoliła mu stwierdzić, że ciało pacjenta podlegało im zgodnie z pewnym złożonym, ale w miarę regularnym rytmem, tak że mógł interweniować względnie bezpiecznie w tych chwilach, gdy wiedział, że ustępują na nieco dłuższy czas. Na początku odnalazł mięśnie w kolorze pięknej hebanowej czerni i nie bez zdziwienia odkrył, że wszystkie źródła wewnętrznego krwotoku wyschły same z siebie. W rezultacie, co było nie mniej dziwne, żaden z ważnych organów nie był nieodwracalnie uszkodzony. Wyciągnął z żołądka pięć skrzepów pociemniałej krwi wielkości pięści, po czym zszył popękane naczynia i założył dreny. Następnie wziął się za nastawianie kości, które pękły pod uderzeniami kilofów. Spieszno mu było dojść do kręgosłupa, myślał bowiem, że jeśli wydarzył się cud, to jego źródło musiało tkwić właśnie tam. Sześć godzin po rozpoczęciu operacji młody Giuliani żył jeszcze, a chirurg, pracując jak w transie, kończył zszywać powierzchowne rany.

-43-

Pokryty bandażami, z członkami unieruchomionymi na szynach lub naciągniętymi przez ciężarki, tak by znajdowały się w pozycji wyprostowanej, młody Giuliani został umieszczony na oddziale

chirurgicznym.

Amalia, którą ocucono amoniakiem, wydawała się jeszcze bardziej zagubiona i nie odpowiadała na żadne pytania. Sytuacja stała się męcząca, jednak nie tracąc nadziei, że ktoś z rodziny w końcu się pojawi, postanowiono położyć Amalię na oddziale chirurgicznym, gdzie siostra Enrica — delia Santa Croce di Gesu — najmłodsza córka możnych Cambierich i pielęgniarka odpowiedzialna za ów oddział, zajęła się nią i pilnowała, by mogła pozostać w pobliżu brata.

Amalia była bardzo rozczarowana nową salą, do której zaprowadziła ją siostra Enrica. Pomieszczenie wyposażone jedynie w dziesięć łóżek, rozstawionych w dużym oddaleniu od siebie, nie pozostawiało miejsca na marzenia. Wyczuwało się tu czystość bez przenikającego kryptę smrodu środka dezynfekującego, który Amalia wdychała z uniesieniem i zachłannością, podobnie jak zapach kadzideł. Sala była widna, nie kryła żadnej tajemnicy, a przede wszystkim nie rozbrzmiewała żadną modlitwą, żadnym szeptem ani śpiewem. Nic, tylko zwykłe odgłosy, brzęk naczyń, codzienne rozmowy, śmiech pielęgniarek i głęboka cisza w porze sjesty, kiedy siostry wychodziły, zamykając delikatnie za sobą drzwi.

Amalia nie potrafiła już rozpoznać ciała młodego Giulianie-go, zawiniętego w bandażę i pokrytego opatrunkami. Zmienił się w białą kukłę skrepowaną sznurkami; kiedy obmyto go z krwi, to jakby jednocześnie obmyto go z cierpienia. Nie był już jej umarłym, został jej wykradziony, zastąpiono go rannym, owszem, bardzo poważnie rannym, jednak oddychał zupełnie normalnie.

Opuścił ją cały zapach, czuła, że ogarnia ją niewypowiedziany smutek.

Czekała przygnębiona w kącie i kiedy siostra Enrica przyszła, by zabrać ją do jadalni, powiedziała:

-44

— Nazywam się Amalia KrienbuU, moja mama poszła z panami, trzeba jej powiedzieć... Mieszkam za teatrem Fraschini, na piazza Petrarca, trzeba zawiadomić Annę, to moja guwernantka, jest Francuzką.

Minał już tydzień.

Anna zatrzymała się u progu drzwi wiodących do kamienicy na piazza Petrarca. Rozczulona patrzyła na Elizabeth i Amalię, które przechodziły przez plac, trzymając się za ręce, ale kiedy zobaczyła, jak znikają za rogiem via Malaspina, serce jej się ścisnęło i pomimo ostrego sierpniowego słońca nie mogła opanować dreszczy. Obawiała się, że Amalia nie przejdzie przez próbę spowiedzi. Ostatnio stała się dzika, zamknięta, nieufna, jakby zdążyła zapłonąć ogniem skrywanej namiętności, a jednocześnie była taka niewinna... Wymarzony kąsek dla pierwszego lepszego księdza, odczuwającego pociąg do tego, co tajemnicze i czyste.

Około trzeciej po południu, gdy jeszcze nie wróciły, Anna zaczęła się denerwować. O czwartej wysłała domowników, by zaalarmowali wszystkie osoby, które mogły je spotkać; dwie godziny później nikt się

jeszcze nie pojawił. Przemierzała wzdłuż i wszerz korytarz i nie mogąc się opanować, podskakiwała na najmniejszy odgłos z ulicy.

Była siódma, kiedy zapukano do drzwi. Anna rzuciła się w ich kierunku, otworzyła: przed nią stała Elizabeth z nieobecnym spojrzeniem.

Weszła bez słowa, pokonała korytarz i, wciąż milcząca, skierowała się ku schodom, które prowadziły do sypialni.

Amalii z nią nie było.

— Elizabeth! — zawołała Anna. — Elizabeth...!

Nie słyszała, szła dalej, wchodziła po schodach.

-46-

— Gdzie jest Amalia? Słyszysz mnie, gdzie ona jest?

Elizabeth zawahała się, z ręką na poręczy — był to moment zatrzymania prawie niedostrzegalny — odwróciła w stronę Anny twarz: nieruchomą, zgaszoną; jej długie czarne rzęsy trzepotały jak muchy za szybą.

Rozpaczliwy trzepot, znak, że usłyszała wezwanie, ale że odpowiedź jest niemożliwa.

Zniknęła u góry schodów.

Anna, zdezorientowana, chciała pospieszyć za nią, ale serce waliło jej zbyt mocno i zachwiała się. Trzeba się uchwycić poręczy, by nie upaść, i przede wszystkim powstrzymać się od płaczu. Westchnęła głęboko i zaczęła się wspinać, a podczas gdy wchodziła tak stopień po stopniu, myślała o tym, jak powinna się teraz zachować. Postanowiła nie dać się ponieść rozpaczcy ani przerażeniu. Stopień: po pierwsze, zawiadomić lekarza Elizabeth, po drugie, wszcząć poszukiwania Amalii. Stopień: uprzedzić sędziego Salinia, dawnego przyjaciela rodziny, będzie wiedział, co robić. Na półpiętrze niemal już biegła i płakała: nie! Trzeba się bardziej postarać, pomyśleć o wszystkim: zaopiekować się domem, a zatem... Wyjęła chusteczkę, wytarła oczy... a zatem zachować największą ostrożność, dopóki okoliczności dramatu — nie było wątpliwości, że wydarzył się jakiś dramat — nie zostaną wyjaśnione. Otworzyła drzwi: Elizabeth spała, leżąc skulona w poprzek łóżka.

Lekarz długo rozmawiał z Anną. Nie stwierdził żadnych zaburzeń psychicznych, ale Elizabeth zdradzała wszelkie objawy wstrząsu, poważnego psychicznego wstrząsu, jak sądził. Powinna spać, nie trzeba się niepokoić, jeżeli będzie spała długo. Kiedy się obudzi, należy unikać stawiania jej pytań, lepiej poczekać, aż sama zacznie mówić.

— Wiem — powiedział — jaką ona darzy panią przyjaźnią i jak

dobrze pani na nią wpływa, odkąd tutaj pani przyjechała. Ale ona ma bardzo wrażliwe usposobienie... Nie mogę na razie nic powiedzieć ani niczego przewidzieć. Musi pani być czujna, proszę śledzić jej oddech i wzywać mnie, gdy tylko dostrzeże pani jakkolwiek nie-

-47-

pokojący objaw... Mam do pani całkowite zaufanie, wiem, że nikt inny nie potrafiłby się nią zaopiekować lepiej od pani.

Elizabeth spała bardzo długo. Otworzyła oczy koło szóstej rano, trzydzieści siedem godzin po tym, jak przepadła. Trzepotanie rzęs, nieruchome spojrzenie... Dostrzegła Annę siedzącą przy niej, ale nic nie powiedziała.

Sędzia Salinio bardzo szybko się dowiedział, że patrol *squadre d'azione*, dowodzony przez młodego Orlanda Volpego, „zatrzymał” znanego komunistę o tej samej godzinie, kiedy Elizabeth Krienbull w towarzystwie córki wychodziła z kościoła San Michele. Ten narwaniec, zwymyślawszy najpierw członków patrolu, usiłował zaatakować jednego z nich nożem. Oczywiście zachowali nóż jako dowód winy. Zeznanie młodego Orlanda Volpego było kategoryczne, owszem, widział młodą kobietę i jej córkę na corso Garibaldi tuż po przeprowadzonej przez nich akcji, ale poszły dalej swoją drogą, nie poświęcając im uwagi. Trzej świadkowie potwierdzili słowa Orlanda Volpego w jego obecności.

Sędzia Salinio nie widział potrzeby, którą skądinąd mógł odczuć, by poszukać innej wersji przedstawionych faktów. Prawdą jest, że ktoś wysoko postawiony poradził mu, by nie tracił czasu na drobiazgi, które wydarzały się codziennie. Najlepiej będzie rzecz zakończyć, odnajdując małą. By uspokoić sumienie, sprawdził listę przyjęć w szpitalach i klinikach. Bez żadnego rezultatu.

Piątego dnia Elizabeth nie wydobyła z siebie jeszcze najmniejszego słowa i wciąż nie było wieści o Amalii.

Anna, na skraju wyczerpania, pozwoliła sobie w końcu na mały odpoczynek.

Szóstego dnia, z duszą na ramieniu, postanowiła zawiadomić rodzinę: brata i ciotkę mieszkających w Wiedniu.

Wreszcie po tygodniu, gdy po raz pierwszy w życiu Anna była skłonna ulec rozpaczycy, chłopiec na posyłki stawił się przed wejściem dla służby, krzycząc wysokim i donośnym głosem, że przychodzi ze szpitala San Matteo z bardzo ważną wiadomością

-48-

i że wszystko z chęcią opowie za drobnym wynagrodzeniem. Wręczono mu monetę, a on wyrecytował swoją przemowę jednym tchem:

— Mała dziewczynka o nazwisku Amalia Krienbull czeka by ją odebrać w szpitalu San Matteo na oddziale chirurgicznym u profesora Spinellogo trzeba się pospieszyć ciągle płacze sanitariusz Lorelli tak powiedział.

Zmierzchało się już, kiedy Anna wkroczyła w towarzystwie siostry Enriki na oddział chirurgiczny szpitala San Matteo. Dostrzegła Amalię na końcu sali, siedziała na krześle wyprostowana, nieruchoma, z błędnym spojrzeniem. Podchodząc, Anna widziała, że usta Amalii się poruszają, tak jakby opowiadała cichym głosem jakąś historię. Od czasu do czasu jej twarz się ożywiała, podnosiła trochę głos, niezbyt mocno, ale na tyle, by można było zrozumieć, co mówi.

Amalia mamrotała, że to panowie, panowie i mama, kiedy poszła, i kłamstwo, dlatego chciała być posłuszna, posłuszna, posłuszna, i podejść do ciała, które leżało na słońcu, posłuszna, bo skłamała, biedna mama, wstrętne kłamstwo, Amalia, to wszystko jej wina, ci panowie, to wszystko jej wina, krew, krew, która ciekła jej po nogach, to wszystko jej wina, bo się tam dotykała. Mój Boże, ukarż mnie! Ukarż! Ukarż! A widząc siostrę Enrikę i Annę u jej boku, osunęła się powoli z krzesła, padła na kolana, z pochyloną głową i rękami złożonymi na skroniach, jakby chciała się osłonić, a potem zanosła się szlochem i wyjąkała:

— Ukarżcie mnie, ukarżcie...

Anna pochyliła się, bez słowa wzięła ją w ramiona i przycisnęła do piersi, gładząc delikatnie po włosach. Amalia płakała i płakała, wylewała z siebie cichy potok łez, prawdziwych łez, które przynosiły jej ukojenie.

Za oknami słońce już zaszło, było chłodniej.

-49-

Na oddziale chirurgicznym szpitala San Matteo rozrzedzone powietrze, ociężałość dnia, zastygły czas panoszyły się po kątach, podobnie jak we wszystkich szpitalach.

Na ścianach pobielonych wapnem gdzieniegdzie widniały wilgotne smugi, które pokrywały tapety mapami wyobraźniowych krain.

Po lewej stronie siostry Enriki, na nocnym stoliku, Amalia dostrzegła

szary papier i kilka okruchów chleba obok małego drewnianego krucyfiks skapanego w strużce wody, która płynęła z przewróconej szklanki.

Nie było już miejsca na jakikolwiek cud.

Łzy wyschły. Amalia na powrót zamknęła się w sobie.

W ramionach Anny była już tylko milcząca i zagubiona dziewczynką.

Jakiś chory poruszył się na łóżku.

W ciszy, która potem nastąpiła, słychać było dobiegający z łóżka młodego Giulianiego, jednak z daleka, bardzo daleka, szum przedziwnej i rozdzierającej litanii. Dźwięk ten przywodził na myśl sunięcie papieru ściernego po metalowej sztabie: zgrzyt, chrzęst, echo. Słychać było również między kolejnymi skrzypnięciami jakby plusk wody czy żwiru dobywający się z dna wiadra.

Giuliani oddychał i, co dość niepokojące, jego oddech zdawał się coś mówić. Sylaby nawiedzały jego tchnienie, z pewnością również słowa, ale były niedosłyszalne.

-To pan umarły — powiedziała Amalia.

-Tak, pan umarły — powtórzyła Anna, by dodać jej otuchy. — Znasz go?

Amalia zawahała się, nie wiedziała, co należy odpowiedzieć...

-To tamci panowie! — westchnęła. — A mama, gdzie jest mama?

-W domu, wiesz, teraz jest trochę zmęczona, myślę, że bardzo się bała, sama rozumiesz, ponieważ nie mogliśmy cię znaleźć.

-A panowie?

-50-

-Nie wiem, nic nie mówiła, pamiętasz jakichś panów?

-Tak, całych czarnych.

W tym momencie przedziwna oddechowa artykulacja Giulianiego znów dała o sobie znać.

-To pan umarły — powtórzyła Amalia. — Jest miły, wiesz, i bardzo, bardzo piękny, bardzo piękny, przede wszystkim oczy.

-Czy mogę go zobaczyć?

-O tak, musisz go zobaczyć, ale teraz pan umarły, jego oczy, i spojrzenie, wszystko to jest skończone.

Anna zbliżyła się do łóżka. Na ustach młodego człowieka, rzeźącego jakieś sylaby, pojawił się pienisty pęcherzyk.

Nie mogła się powstrzymać, by rogiem prześcieradła nie wytrzeć cienkiej strużki krwistej śliny, która zostawiła plamę na podbródku. A

jednocześnie jakby słyszała nagłą prośbę, równie stanowczą jak noworodka domagającego się piersi, i wzięła go za rękę.

Powietrze poczerwieniało w przenikającym wszystko świetle zachodzącego słońca.

Dłoń Anny, niczym drugie słońce, które jaśniało w spokojnej sali szpitala San Matteo i potęgowało blaski zmierzchu, owa dłoń, samo ciepło i życie, zacisnęła się mocno i zdecydowanie na dłoni młodego Giulianiego, którego ciało całkowicie pograżyło się w ciemnościach.

10

— Anno, masz taką ciepłą dłoń, to wielki dar!

Stara ciotka Eliza brała dłoń Anny, wsuwała ją pod kołdrę i kładła na biodrze, które ją bolało.

— Widzisz, jaką to mi przynosi ulgę, wystarczy, że położę twoją dłoń tam, gdzie mnie boli, i wszystko od razu się rozgrzewa!

Anna miała jakieś dwanaście, trzynaście lat, gdy zaczęła niewyraźnie wyczuwać, że w jej ciele zachodzi coś szczególnego, jakaś gorączka, ekscytacja, które trudno opanować. Wszystko robiła za szybko, za głośno, śmiała się, płakała, tańczyła, rozmawiała, krzątała się, za dużo, o wiele za dużo, ale z takim wdziękiem i taką naturalną elegancją, że chętnie jej to wybaczano.

Była piękna, nic nie można było na to poradzić, doskonale piękna, absolutnie piękna: twarz, ciało, oczywiście, ale również myśli, serce, spojrzenie — była życiem, samym pięknem życia.

Owo życie i ów entuzjizm odczuwała jako coś naturalnego, otrzymała to w darze, jak niektórzy otrzymują jasne włosy, tak po prostu było i nie zastanawiała się nad tym.

Miewała także chwile przygnębienia. Po raz pierwszy, kiedy stan ciotki Elizy się pogorszył.

Anna codziennie przychodziła zobaczyć się z nią i spędzała długie godziny z ręką położoną na jej czole. Wieczorem wracała do swojej sypialni wyczerpana, wydawało jej się, że choroba ciotki kradła jej przez dłoń wszystkie siły. Ale dzień po dniu trwała przy

-52-

chorej, a stara Eliza patrzyła na nią i uśmiechając się, sprawiała wrażenie

szczęśliwej.

— Anno — powiedziała któregoś wieczoru — nie wiesz, nie możesz wiedzieć, jak dobrze cię mieć. Gdybym nie była rozsądna, prosiłabym Boga, by mi pozwolił odejść z twoją dłonią, jest na moim czole jak kawałek nieba.

Powiedziała to, a nazajutrz już nie żyła.

Annie przyszła do głowy przerażająca myśl, że życzenie ciotki zostało spełnione. Jej dłoń, bez przerwy zdrętwiała, przebiegało nieprzyjemne mrowienie. Dotykała ją, szczypała się w skórę, ale nic już nie czuła. Po raz pierwszy w życiu odczuwała zimno, i to zarówno w środku, jak i na zewnątrz ciała. Powietrze, które wdychała, sprawiało jej ból. Kuliła się w łóżku, domagała się kolejnych kołder, bała się, czyniła nadludzkie wysiłki, by nie krzyczeć, w jej duszy było coś, czego nigdy wcześniej nie zaznała, coś zimnego i twardego jak kawałek lodu.

Ale wtedy zerwał się silny wiatr, gorący i porywisty, który niósł z sobą czerwony piasek z pustynnych gór Hoggar, zapukał do okna, otworzył je i dmuchnął w nie odrobinę pyłu, wszystkie zapachy pustyni, a także te, które wydarł wzgórzom dalekiego południa, wypełnione ambrawą i piżmem. Zaczęła ponownie wdychać radość południa, życie do niej wróciło.

W tamtym czasie duży dom zwano jeszcze pensjonatem Żywe Kamienie; nazwa ta pochodziła od skał, których poszarpane przez wiatr sylwetki wznosiły się na końcu parku. Matka Anny, Mme Grunenwald, odziedziczyła go wraz z oszczędnościami po świętej pamięci mężu, zabitym w sposób najgłupszy na świecie — podstawą działa 115, które spadło z ciężarówki. Wypadek zdarzył się 29 września 1915 roku, kiedy Grunenwald dotarł na tyły frontu, tuż po rozpoczęciu drugiej ofensywy w Szampanii.

Śmierć małżonka nie dotknęła Mme Grunenwald przesadnie, nie przez brak uczucia dla niego, ale dlatego że bardzo mało ją pociągał świat mężczyzn, którzy w tych okolicznościach dorzucili do listy swoich zwykłych wad również tę, by wzajemnie się mordować z taką zajadłością, że śmierć tych po jednej i po drugiej stronie, nawet najbliższych, była w jej oczach zwykłą, jeżeli nie zasłużoną kolejną rzeczą.

Jej polityczne poglądy były bardzo zacofane. Stroniąc od sufrażystek, uważała, że sprawy kraju — skoro pozostawały w rękach mężczyzn — nie miały znaczenia, a w konsekwencji, że jest absolutnie zbyteczne, by kobieta wyrażała na nie swój pogląd. Status wdowy doskonale jej odpowiadał. Poświęciła się więc z egzaltacją jednemu celowi: zgromadzeniu wokół siebie sporej liczby wdów wojennych lub kobiet

samotnych, dzielających w mniejszym lub większym stopniu jej poglądy, by stworzyć towarzystwo wzajemnej pomocy i ochrony kobiet, z którego każdy samiec, zarówno dziecko, jak i dorosły, był wykluczony.

W ten sposób Annę już od wczesnej młodości otaczały kobiety, nad którymi jej matka sprawowała niepodzielną władzę, jednak z wystarczającym wdziękiem, by jej gineceum kipiało radością i werwą. Mężczyzna, czy samo pojęcie mężczyzny, nie zajmował, rzecz jasna, najlepszej pozycji w tym towarzystwie kobiet uszczęśliwionych faktem, że znalazły się razem. Toteż samiec, choć nie znienawidzony, na ogół spotykał się tutaj z szyderstwem, a nawet z niejaką pogardą.

Ale kiedy podpisano rozejm — ów wyjątkowy i ekscytujący stan, w którym żyła mała społeczność Mme Grunenwald, stan, który pozwolił, by członkinie owej społeczności zdały sobie sprawę z własnej siły i niezależności, powoli się rozwiewał.

Rutynowa władza mężczyzn znów dała znać o sobie i wiele młodych wdów uległo tym, których od dawna nie widziały, odkrywając ze wzruszeniem odmienność własnego ciała, i w większości wypadków, poddawszy się sentymentalnym wspomnieniom minionych uścisków, wybrały one łatwiejsze rozwiązanie, przystając na poświęcenie swojej wolności na ołtarzu nowych więzów małżeńskich.

W krótkim czasie „klientela” Mme Grunenwald ograniczyła się do dwóch zgryźliwych starych panien, w których towarzystwie znajdowała niewielkie upodobanie.

-54-

Mme Grunenwald miała siłę charakteru, rzadką energię, potrzebę poświęcenia się innym i sporo pieniędzy. I choć sądziła, że nie ma żadnych uprzedzeń, doświadczenie z wojennymi wdowami oraz z innymi kobietami przekonało ją, że łatwiej było porozumieć się z tymi, które posiadały jakiś majątek, niż z tymi, które były go pozbawione.

Wkrótce postanowiła opuścić stolicę, pozostawiając tym samym dawne przyjaciółki, które mogła już jedynie, nie bez goryczy, oglądać w ramionach nowych małżonków.

Wtedy właśnie kupiła pensjonat Żywe Kamienie, znajdujący się o jakieś dziesięć kilometrów od Vittel, skąd pochodziła. Uruchomiła tam w marcu 1919 roku Home, jak lubiła o nim mówić, przeznaczony dla wdów, które w towarzystwie swojej żeńskiej progenitury, bądź bez niej, pragnęły wypocząć nieco od mężczyzn i wojny, zażywając kąpieli.

Ceny w pensjonacie były wystarczająco wysokie, by dokonywała się

naturalna selekcja, która pozwalała przebywać między swymi. Ale zakład był otwarty dla wdów wszelkich narodowości, co Mme Grunenwald dawało pewność, że przyjdą do niego tylko te klientki, dla których płeć i status wdowy będą ważniejsze od małostkowych urazów, jakimi żywiły się głupawe męskie potyczki.

Pomysł Mme Grunenwald — skoligaconej ze środowiskami dyplomatycznymi — odniósł ogromny sukces i pensjonat był wypełniony przez całe lato. Kiedy przychodziła jesień, sześć czy siedem kobiet wraz z córkami pozostawało na miejscu — były to fanatyczki, które bardziej dla rozrywki niż z konieczności robiły na drutach olbrzymie swetry i nie kończące się szaliki, szykując się do stawienia czoła srogiej zimie w Wogezach.

11

Elizabeth Krienbull przybyła do Żywych Kamieni na początku listopada w towarzystwie swojej córki Amalii, która wówczas miała siedem lat. Była wdową po przystojnym kapitanie austriackim, który zginął w maju 1916 roku podczas austriacko-węgierskiej ofensywy przeciwko Włochom w południowym Tyrolu. Elizabeth Krienbull nie miała szczególnych powodów, by skarżyć się na mężczyzn, nie pałała też namiętnością do stowarzyszenia kobiet. Strata kapitana była dla niej dotkliwa, żaloba długa i bolesna. Nie umiała odnaleźć smaku życia, często ogarniała ją trudna do przewyciężenia obojętność.

Pod koniec lata przeczytała krótki artykuł o pensjonacie Mme Grunenwald w szanowanym wiedeńskim dzienniku z dużymi tradycjami, „Neue Freie Presse”. Była zdziwiona, że podobna instytucja działa również poza sezonem. Opis miejsca wydawał się jej kuszący, a koszt pobytu gwarantował komfort i dobre towarzystwo. W jednej chwili zamarzyło jej się, by natychmiast wyjechać, i równie szybko o tym zapomniała. Dwa miesiące później wyjechała bez zastanowienia, nie zrobiwszy nawet rezerwacji. Po prostu taka była.

Elizabeth Krienbull przyjęto z otwartymi ramionami. Z początku wesoła atmosfera, która panowała w tym wielkim domu, podziałała na nią jak mocny alkohol. Czy jej melancholia przystosuje się kiedykolwiek do takiej wesołości? Nie mogła się jednak długo

ćwierkały i śpiewały niczym rajskie ptaki.

Istotnie, Mme Grunenwald udało się dokonać cudu — z pewnością dlatego, że uważała się za opiekuńczą matkę — i przywrócić wszystkim tym kobietom, z których wiele osiągnęło już wiek czcigodny, beztroskę lat dziecinnych. Nie zważając na różnice pokoleniowe, matki, córki, przyjaciółki, wszystkie stawały się siostrami. Łączyło ich koleżeńskie porozumienie, rozmawiały o swoich ciałach, uczuciach, a także sporo o mężczyznach, co najczęściej wywoływało wybuchy śmiechu, choć od czasu do czasu zdarzało im się wyjąć chusteczkę i otrzeć dyskretnie łzy. Powoli, jedna za drugą, z upływem dni i godzin, które kradły nocy, obalały bariery ustanowione przez obyczaj, by zacieśniać więzi i od czasu do czasu poczuć pradawną i cudowną słodycz czulej przyjaźni.

Annie, która miała siedemnaście lat, owo graniczące z cudem szczęście małego stowarzyszenia w sposób oczywisty było doskonale znane. Jej matka wspaniale grała rolę założycielki i protektorki miejsca, była jego prawem i rządem, podczas gdy Anna była jego duszą, ciepłem i ruchem.

Była słońcem, wokół którego reszta towarzyszek krążyła niczym planety, paląc się, gdy pozostawały zbyt długo pod jego wpływem, i irytując się, gdy kpiło sobie z nich, znikając, by tym bardziej olśnić je promiennym uśmiechem, kiedy znów pojawiała się wśród nich w pełnym blasku. Krótko mówiąc, wszystkie te kobiety, w ten czy inny sposób zranione przez życie, odkrywały dzięki niej siłę, która na nowo napełniała je weselem.

Po kilku tygodniach nikt już nie wątpił, że Elizabeth Krien-bull odnalazła radość istnienia. Wprawdzie nie uczestniczyła we wszystkich zabawach, nie podbiegała jak dziecko na najmniejsze wezwanie, z rzadka brała udział we wspólnym robieniu na drutach czy też bitwach na śnieżki, jednak patrzyła na młodzieńczą ekscytację tych pań z uśmiechem na ustach i błyskiem w oczach, który pokazywał wszystkim, że cieszyła ją ta idylla. Co więcej, Amalia, która przyjechała z miną jeszcze bardziej posępną niż jej mat-

-57-

ka, spędzała teraz cudowne dni, bawiąc się i śmiejąc do rozpuku z dziewczynkami w swoim wieku.

Elizabeth i Anna stały się wkrótce nierozłączne.

Gdzieś w połowie wiosny Mme Grunenwald zaczynała dostawać zgłoszenia na turnusy letnie. Spytała więc każdą ze swoich „klientek”,

jakie są ich plany na najbliższy sezon.

Wywołało to nieporozumienie i ponura atmosfera zapanowała w całym domu. Ton, jakim posłużyła się Mme Grunenwald, był niefortunny. W rzeczy samej przypomniała, w sposób niezbyt zręczny, że szczęście, jakim się cieszyły, zależało od regularnych płatności. Kilka pań, które od wielu miesięcy nie opłacały swojego utrzymania, uznało, że w pytaniu Mme Grunenwald kryje się ostrzeżenie. W każdym razie dobry humor na pewien czas zniknął. Później okazało się, że trzy panie postanowiły opuścić pensjonat wraz z córkami w pierwszych dniach czerwca.

Ku wielkiemu zdziwieniu Mme Grunenwald Elizabeth Krien-bull była jedną z nich. Brak pieniędzy nie mógł być przyczyną tego wyjazdu, Mme Grunenwald zaniepokoiła się więc, czy przypadkiem coś się nie stało, tym bardziej iż wydawało się, że Elizabeth opanowała taka sama melancholia jak na początku pobytu.

Elizabeth tłumaczyła się, że dostała list od rodziny w sprawie starego wuja, który mieszka sam w wielkim domu w Pawii — nie chciał go opuścić nawet podczas wojny — musi go odwiedzić, by uregulować pewne sprawy spadkowe... I po tych słowach rozplakała się.

65544 Ależ to potrwa jedynie kilka tygodni — próbowała ją uspokoić Mme Grunenwald — bez problemu mogę dla pani zatrzymać miejsce, proszę nie płakać.

65545 Niestety, proszę pani, to niemożliwe, bardzo żałuję — odpowiedziała Elizabeth, łykając łzy, nic więcej nie chciała dodać.

Mme Grunenwald tym bardziej była niezadowolona z tego wyjaśnienia, że aż do dnia wyjazdu jej córka nie okazywała zwykłej radości. Anna nieustannie się skarżyła i mówiła wszystkim, że jest jej zimno.

-58-

W oznaczonym dniu wyjazdu, 3 czerwca, padało.

Wyprowadzano z garażu piękny automobil voisin, wszyscy stali na tarasie przed domem, przejęci i wzruszeni. W chwili pożegnania Anna i Elizabeth zalały się łzami.

Kilka chusteczek dyskretnie wysunięto z rękawów.

Nastąpiło rozstanie.

Nieco później Mme Grunenwald usiłowała wypytać córkę o prawdziwe przyczyny tego wyjazdu. Anna jednak z uporem powtarzała, że nie zna innego powodu niż związany z włoskim spadkiem i że poza kamienicą w Pawii dotyczy on również poważnych interesów w Mediolanie. Ale pewnego dnia wymknęło się jej, że chodziło tu o zazdrość i plotki

rozpuszczane przez niektóre panie, o więzi, jaka rzekomo łączy ją i Elizabeth. Prawdopodobnie Elizabeth nie potrafiła tego wytrzymać.

Minęło trochę czasu i wkrótce o tym zapomniano.

W pensjonacie Żywe Kamienie życie „pośród kobiet” znów obrało tory przedłużonego dzieciństwa.

Wydawało się jednak, że Anna była nieco mniej spontaniczna i nieco bardziej rozsądna.

Otrzymywała listy z Włoch.

Pensjonat Mme Grunenwald z każdym dniem coraz lepiej prosperował.

Minęły dwa lata, potem trzy, nie było już nikogo poza Anną i jej matką, kto by pamiętał dziwny wyjazd Elizabeth Krienbull.

Pewnego ranka Mme Grunenwald dostała list. Elizabeth donosiła o śmierci starego wuja i swojej decyzji o pozostaniu w Pawii, która bardzo jej się podobała i gdzie, czego nie należało lekceważyć, dysponowała znacznym majątkiem.

Przyznawała również, że zaproponowała Annie, by przyjechała do niej zająć się Amalią, i nie ukrywała, iż wyczuła z odpowiedzi, że ten pomysł wzbudził w niej entuzjazm.

Mogłaby nauczyć się włoskiego i uczęszczać na wykłady uniwersyteckie, a ponadto — w co Mme Grunenwald nie powinna wątpić — będzie miała doskonale towarzystwo.

-59-

Elizabeth sformułowała prośbę zgodnie z najlepszymi wzorami, dołączając do niej liczne i bardzo finezyjne grzecznościowe zwroty.

Mme Grunenwald nie potrafiła się oprzeć córce, która patrzyła na nią błagalnym wzrokiem, i pomimo przykrego ucisku w żołądku dała jej swoje błogosławieństwo.

W ten sposób Anna znalazła się w Pawii po letnim sezonie 1923 roku, by zająć się Amalią, dla której była zarówno guwernantką, jak i nauczycielką.

Ta niezwykle godna i oficjalna funkcja miała i tę istotną korzyść, że rzucała dyskretną zasłonę na więzi łączące Annę i Elizabeth, więzi, których cokolwiek dwuznaczna natura nie umknęła uwagi części towarzyszek z pensjonatu Mme Grunenwald, a które teraz, wyzwolone wreszcie spod jakiegokolwiek kontroli, mogły w pełni rozkwitnąć pod słońcem Italii.

Niecały rok później na oddziale chirurgicznym szpitala San Matteo,

podczas gdy słońce zachodziło za dachy miasta, Anna stała całkowicie wyprostowana przy chorym, o którym nic nie wiedziała. To ciało — bezkrwiste, zimne i twarde jak kamień, z dziwną mocą wołało o jej ciepło i blask, więc niewiele myśląc, odpowiedziała na to wezwanie.

Kilka sekund później, kiedy chory otworzył oczy, zdała sobie sprawę, wzdrygając się, że po raz pierwszy w życiu ujęła dłoń mężczyzny.

12

Dostał ostatni cios i poczuł, jak pęka mu coś w plecach. Wtedy czas się zmienił. Nie tylko czas zegarów, ale również słońce, temperatura, chmury, wiatr, susza, burze, deszcz, czas gwiazd i czas pór roku, czas przyływów i odpływów, czas przyszłości i przeszłości. Sekunda otwierała się na otchłań wieczności, dzień trwał tyle co przymknięcie powiek, jeden rok był równy trzem stuleciom, a trzy stulecia mgnieniu chwili. Ognisty krąg wirował w niebie i wyrzucał na chybił trafił pierścienie gwiazd niczym świetliste cyfry loterii.

Najpierw pokazał się symbol początku, 1, odległy, blady, uformowany z mlecznej konstelacji, a wówczas deszcz, wiatr, zgnilizna, mróz, ostre słońce przejściowych pór roku, szczury, robactwo, które nawiedza złe sny, wszystko to zebrało się na dziwnym narzędziu do tarcia, ciosania, przycinania, skrobania i pod jego działaniem Giuliani począł się rozszczepiać.

Czas mijał w sposób nieokreślony i niebywały. Wielkie niebiańskie koło wyrzuciło 2 i 8: wtedy on, prawdopodobnie on, Tommaso Giuliani, obudził się, pośród bluszczu, porostów, piargów, gruzowiska, obskurnych ruin, które obrastają w pokrzywy, ciernie, rdzę i potłuczone szkło, on, prawdopodobnie on, wśród tej kupy resztek i odpadów, która w swoim nieładzie jest bezwzględnie brukana przez czas. Nie czuł już ciężaru swoich członków i sądząc, że się porozpraszały na wszystkie strony, otworzył oczy i spytał:

-61-

— Umrę czy jedynie się rozpadnę?

Ziemia, na której spoczywał, milczała. Jego rozkład nie był jeszcze całkowity, gdyby bowiem był już prochem, jak proch do prochu ziemia by doń przemówiła. Z pewnością jego ciało, z uległej materii, nie było odporne. Widział, jak jego kości, ustawione i wypolerowane, ocierają się o pokryty pleśnią gips, widział jeszcze swoje ciało bezkształtne, tu i ówdzie

zamienione w skamielinę, swoje organy porośnięte chwastem niczym porzucone maszyny, oko myśli jednak tkwiło w nim nadal i wciąż mogło widzieć.

Garstka gwiazd utworzyła trójkąt, w który wpisała się blada figura księżycy: 15, 9 i 3.

Dio sa U Numero dei tuoi giorni.

Znów zasnął, potem się obudził. Policzył: na niebie 22, 16, 10 i 4, róża wiatrów, która kieruje światem.

Upłynęło jeszcze trochę czasu, nierzeczywistego, szalonego, 29, 23, 17, 11, 5, koło nadal się kręciło.

Nie wiedział już, czy to jeszcze on sam, czy coś zupełnie innego. Teraz wydawało mu się, że jest podzielony na dwie części: z jednej strony była jego myśl, z drugiej pamięć w zupełnym nieładzie.

-Czy to śmierć? — zapytywał się pełen niepokoju.

-Proszę pana! Proszę pana! Głos dziecka tuż obok.

Dziewczynka, brunetka, całkiem mała, która siedziała pośród cierni i porostów, wiotka niczym liana. Nigdy wcześniej jej nie widział.

-Należy więc do myśli — stwierdził — skoro nie ma jej w mojej pamięci.

-Mama poszła po pomoc z panami, zaraz wróci, proszę pana, czy pana coś boli? Proszę dać mi rękę! Nie trzeba umierać!

— Nie umierać...? Trzeba spróbować... — pomyślał.

Spróbować co? Wstać na przykład? Jednak czy umysł może wstać?

Poiche quanto tu ignori, Dio conosce.

-62-

Nie wierząc w to, spróbował. Spróbował odnaleźć doznanie przebudzenia, tę mętłą chwilę, gdy z pewnym wahaniem siadał na brzegu łóżka i spuszczał nogi na podłogę, szukając zaczepienia w ciemności. Nic się nie wydarzyło, ale jemu, mimo wszystko nadal jemu, udało się podnieść. Otulała go cienka, przezroczysta, prawie niewidzialna, delikatna, delikatniejsza niż jedwab osłona. Kuląc się w niej, czuł słabe i bezładne drgania, czuł, że wibruje w powietrzu i wydawało się, że ma niejasne pragnienie, by czegoś dokonać. Dokonać czego? Nie wiedział, więc po raz kolejny spróbował. Koło zaiskrzyło się cyframi: 36, 30, 24, 18, 12, 6.

Znajdował się na wrzosowisku i to coś zrobiło krok, dziwny beznogi

krok.

— Moja mama poszła z panami po pomoc, zaraz wróci... — powtórzyła dziewczynka. — Myślę, że mnie kocha, on umiera, zostawcie nas! — Po czym niespodziewanie wrzasnęła: — To mój brat! Zostawcie mnie z moim bratem! Ja muszę być przy nim!

„To” nie rozumiało nic, dziewczynka była siostrą, mówiła teraz, że on umrze. Ależ nie, „to” nie było martwe, jeszcze nie, było w drodze...

Oko myśli obejrzało się jeszcze w stronę pamięci, ale nic tam nie dostrzegło, żadnego cienia dziewczynki, żadnego cienia siostry. „To” wahało się, jednakże zrobiło wysiłek, by zobaczyć.

„To” postąpiło jeszcze odrobinę do przodu, było w nim jakieś ciśnienie, ciśnienie, które nim powodowało.

Se oblii U Numero dei tuoi ricordi.

A koło, jakby chciało mu dodać otuchy, zaznaczyło niebo siedmioma błyskawicami: 43, 37, 41, 25, 19, 13 i 7. Wydawało się, że czas ponownie obrał określony kurs. On czy „to” coś, Tommaso Giuliani, odnalazł umiejętność chodzenia, jakieś tempo, rytm, puls, które go prowadziły, i wkrótce, krok po kroku, które sobie przypominał, znalazł się na piaszczystej drodze u brzegu morza: na ścieżce w blasku księżyca, utkanej skałami biegnącymi po zboczach nie zamieszkanym wzgórz, tysiąckrotnie przebieganej, przemierzanej, przemierzanej ponownie, ścieżce kolistej, ścieżce dnia poprzedniego, i Giu-

-63-

liani oraz dziwna materia posuwająca się naprzód po omacku, drżał przy najmniejszym podmuchu wiatru, który był zbyt słaby, by przepędzić ostatnie chmury brzasku. Kiedy na horyzoncie pojawiło się rozżarzone słońce, Giuliani znalazł się u progu dawnego dnia, kilka mew unosiło się wysoko na niebie, tuż obok nowych cyfr: 44, 38, 32, 26, 20, 14, gwiazd czy planet, ociągających się o poranku.

Ricorda il Numero dei tuoi oblii.

Dziewczynka obok wzięła go za rękę i powiedziała:

— Mam na imię Amalia, jestem jego młodszą siostrą, muszę tu zostać, trzeba... mama poszła z panami, zaraz wróci, tak trzeba, po prostu muszę. Jestem Amalia, młodszą siostrą, muszę zostać, trzeba... mama poszła z panami, wróci, tak trzeba, ja muszę.

A teraz szli długim korytarzem, szli, to nie była jego siostra, nigdy nie miał siostry, kłamała, była kłamstwem! Tak jak kłamstwami były cyfry, które koło wyrzucało, tworząc kolejną przypadkową serię: 45, 39, 33, 27,

21, w chwili gdy opuszczali korytarz, by wkroczyć w długi czarny tunel przecinany białawym światłem.

MARASIABOPANULA

Kołysał się, pograżał w otchłaniach, gdzie Czas zapuszcza korzenie, by nasycić się wrzeniem wulkanów, które kipiały u pra-początków Ziemi. Kroczył jeszcze dalej, wreszcie wydawało się, że nie ma już nic albo prawie nic.

Jeszcze jeden zagadkowy obrót gorejącego koła na niebie, które znaczy kolejne cztery cyfry: 46, 40, 34, 28.

Poiche al Settimo oblio.

A potem przyszedł wieczór, suma wszystkich wieczorów i nastał kolejny ranek, gdy Giuliani znalazł się na skraju lasu, gdzie rozpościera się wyciągający swoje macki świat bagien i moczarów, gdzie w plątaninie lian rosną gigantyczne wysokopiennie lasy. Wokół majaczyło nieposkromione życie, bulgoczące i magmowate, pośród wrzawy wędrownego ptactwa, wycia małp i wibrującego szaleństwa owadów, które opanowały powietrze chropawym brzęczeniem i chrzęstem skrzydeł.

-64-

MARASIABOPANULA

Posuwając się dalej, ciągle naprzód, stał się glonem, potem pnącym bluszczem, pożerał chmary szkarłatnych much, przemierzał gęstwinę roślinnych potoków, na których dnie życie i jego początki spoczywają na gąbczastym łożu z błota. Był dżunglą pijaną umieraniem i zwielokrotnianiem.

Szedł dalej i dalej, czując, jakby przemierzał samego siebie, od skóry po mięśnie, od mięśni po kości. Kilka cyfr wypisanych na niebie, 47, 41 i 35, wymknęło się z koła, by uczcić jego przemianę.

W końcu pewnego jesiennego poranka, otoczonego nimbem rdzawych mgieł, zapuścił się na polankę, na której środku wznosiły się ruiny antycznego pałacu. Giuliani, czy to, co zajmowało jego miejsce, poczuł nagle, jak jego kroki przytłacza kamienny ciężar porządku. Wziął od posągów ich spojrzenie, od pałacowych marmurów błękitnawe wypolerowane żyłki, odkrył w sobie abstrakcję ścisłej geometrii, zebrał kąty, osie, idealne okręgi, o których do tej pory nie miał pojęcia, 48 i 42 znaczyły jego niewiedzę.

Przemierzył polankę i pałac, spojrział na samego siebie jak na odbicie wszystkiego, co wychodziło mu na spotkanie, ale posuwając się coraz

bardziej naprzód, wkrótce widział jedynie, jak sam się zaciera.

Czuł, że coś go niesie, a kłamstwo o twarzy dziewczynki wrzeszczało:
— Oszaleliście, dajcie mu umrzeć, to mój brat, zostawcie go!

Tak, śmierć jest już blisko, pomyślał, i jestem znowu zgubiony.

MARASIABOPANULA

W licznych krainach, jakie przemierzył, nie znalazł miejsca prawdziwie uporządkowanego, gdzie jego świadomość mogłaby wreszcie odpocząć czy przynajmniej dotrzeć do jakiegoś zarysu sensu, który położyłby kres jej udręczeniu.

Do tej pory stykał się jedynie z nonsensownym alfabetem, przypadkowo porozrzucanym po ziemi, proliferacją znaków, ale z ani jednym słowem.

-65-

I on sam postrzegał siebie teraz jako fragment alfabetycznej materii, łańcuch wyrazów, ciąg nieznanymi słów, pozbawiony formy, zagubiony, zawieszony w czasie jak nie odebrany list.

Wreszcie pojawiła się i jego śmierć: biorąc go do ręki niczym pierwotną glinę, ugniatała go, ścierała, wykreślała jedno po drugim wszystkie słowa na zawsze już ogołocone z sensu.

// Tredicesimo giorno si compie

Come si compie ogni vita.

W końcu pokazało się 49, promieniejąc samotnie pośrodku koła, które zakończywszy swoje trzynaste okrążenie, rozproszyło się w świetle gwiazd, jakim dało początek, i zobaczył po raz ostatni niezrozumiałe

MARASIABOPANULA.

Tak oto umarł lub sądził, że umarł, gdyż potem nie było już nic.

Nic.

Nic z porządku czy z nieporządku wszystkich tych cyfr i słów, które nie miały czasu ani miejsca, by istnieć.

Poczuł gorąco, rzeczywiste, obecne, które uchodząc z jego lewej dłoni, szło w górę ramienia i rozlewało się radosną falą po całej piersi.

Otworzył oczy.

Słońce, czerwone i okrągłe, chowając się za kaplicą szpitala San Matteo, pociągało za sobą złote światło dnia.

Anna, całkiem wyprostowana, stojąc u brzegu łóżka niczym nad

brzegiem przepaści, nadal ścisnęła dłoń młodego Giulianiego.

Amalia, skulona przy sąsiednim łóżku, uczestniczyła — przerażona — w zmartwychwstaniu jej umarłego.

— Wszystko skończone... — westchnęła ostatni raz, a po jej twarzy spłynęła łza. To była jej pierwsza żałoba.

13

Słońce dopiero wzeszło, gdy ojciec Bellano dyskretnie wprowadzał młodego Orlanda Volpego — gorliwego szefa *squadre*, a przy tym dosyć przystojnego chłopca — do środka Collegio Borromeo. Skierowali się w milczeniu w stronę biblioteki, potem przeszli przez trzy ogromne magazyny, minęli labiryntowe witraże licznych korytarzy wypełnionych regałami i doszli w końcu do małego gabinetu, gdzie ojciec Bellano czym prędzej zamknął drzwi.

Tam natychmiast wybuchnął:

— Orlando, pańskie metody są nie do przyjęcia! Prosiłem pana jedynie, by przejął pan dokument z wiadomością, który skradł mi ten Giuliani, a nie o to, by go pobić czy tym bardziej zabić! Pod moim kościołem! Przed San Michele! Oszalał pan! Nie mogę tego tolerować, nie możemy, to niemożliwe! Kościół i Przenajświętsza Pani — niech Bóg ją błogosławi — nie mogą być współwinni takiego okrucieństwa!...

Stał nieprzejejdany w swojej czarnej sutannie, całkiem wyprostowany, z lekko pożółkłą twarzą i wydrażoną pośrodku czoła, wypełnioną bólem bruzdą, która niknęła gdzieś pod prawym okiem. Zaczerpnął głęboko powietrza, pragnąc uspokoić myśli, by znów zabrać głos i trzasnąć nim jak z bicia. Ale już nie zdążył. Orlando, piękny samiec, przyskoczył do niego, przylepił wargi do jego warg, zanurzył język w jego ustach, przełamał przy tym delikatny opór, jednak nie musiał z nim walczyć.

-67-

Wściekłość i oburzenie pocziwego ojca Bellana — niech będzie przeklęta niestałość naszych nastrojów — natychmiast obróciły się wniwecz, ustępując miłosnej ekscytacji, której gwałtowności nie mógł pohamować inaczej, niż poddając ciało i duszę męskiemu natarciu młodego szefa *squadre*.

Kilka chwil później, z sutanną w nieładzie, skórą tym razem zaróżowioną i zupełnie gładką, ojciec Bellano patrzył z podziwem na

pięknego Orlanda, który poprawiał swój mundur.

— Orlando, jesteś wilkiem... — westchnął — a na wilki nie ma rady... — Po czym dodał pospiesznie: — Orlando, jestem straszliwie znudzony... Wiesz, że nigdy tak naprawdę nie chciałem robić dla was tej roboty... gdybyś ty mnie o to nie poprosił... Ach, ty! Właśnie ty!

Zrobił dłuższą pauzę — jakby chciał sobie przypomnieć, co Orlando znaczył w jego życiu od czasu, kiedy go spotkał. W jego spojrzeniu było coś dziecięcego, jakiś błysk, jednocześnie nieufny i pełen zachwytu, ale gorzka zmarszczka wokół ust rzuciła nagle cień na jasność oblicza jak złe wspomnienie, które natychmiast z siebie wydobył:

-Nie lubię tego twojego przyjaciela Farinacciego! Źle mu z oczu patrzy, to brutal... Gdybyś wiedział...

-Gdybym wiedział co, mój ojciec? — spytał Orlando.

Nade wszystko lubił go nazywać swoim ojcem po tym, jak go przerznął: rznąć swojego ojca i pieprzyć swoją matkę — oto co znaczy być prawdziwym mężczyzną! Mógł to powtarzać bez przerwy towarzyszom ze *squadre*, rycząc przy tym ze śmiechu.

— Ach, nie powinienem ci tego mówić, Farinacci przychodził do mnie, wiele razy... Prosił mnie, bym zaszyfrował dla niego wiadomości, dla niego, osobiście... Powinieneś był widzieć jego spojrzenie, kiedy prosił mnie o to osobiście!... Tego samego dnia, gdy usunięto Matteottiego, wyobrażasz sobie! Farinacci wiedział o wszystkim! Jakby sam... właśnie, zastanawiam się...

-68-

— Nie zastanawiaj się ani nie zadawaj sobie zbyt wielu pytań — przerwał Orlando delikatnie, gładząc go po twarzy. — Czy ja je sobie zadaję? Wydają mi rozkazy i jestem posłuszny, to takie proste: ty mnie poprosiłeś, bym odnalazł poufny dokument skradziony przez kogoś o nazwisku Giuliani. Szukałem go, ktoś inny mi poradził, bym dał mu zakosztować *manganello*, żeby nauczył się życia... To nie moja wina, że to chucherko nie zniosło pieszczoty pałek! Ale powiedz mi... czy w tym dokumencie były jakieś istotne informacje?

— Nie wiem, nowy kod i wiadomość, której nie miałem czasu odszyfrować.

— Ach... nie miałeś czasu, to przykre... A Giuliani, myślisz, że on miał czas?

-To by mnie zdziwiło, nowy kod wyglądał na trudniejszy niż zwykle... a ten dokument, znaleźliście go?

-Właśnie nie... i to, mój ojciec, jest z tego wszystkiego najbardziej przykre, rozumiesz?

— Tak, rozumiem — powiedział ojciec Bellano ze smutkiem.

— W rzeczy samej... — podjął, jakby chciał udzielić sobie rozgrze-

I

szenia, niczego nie pomijając — zapomniałem ci powiedzieć, to czysty zbieg okoliczności, w dniu, w którym, jak dobrze pamiętasz, prosiłem cię, byś odzyskał dokument, złożył mi wizytę pewien Francuz, staruszek chudy jak szczapa, i wiesz, to dziwne, ale studiował właśnie *De Magia*... jak Giuliani!

— To dziwne... — powtórzył Orlando, uśmiechając się, podczas gdy ręką czule gładził Bellana po szyi — a czy przypadkiem nie przypominasz sobie innych zbiegów okoliczności tego rodzaju?

— Ach tak! — ojciec Bellano nie mógł się powstrzymać od śmiechu. — Tak... wybacz mi, to doprawdy idiotyczne, dopiero te raz mi się przypomniało, że ten pocziwy staruszek, Francuz, zu pełnie na to nie zwróciłem uwagi, chciał się spotkać z Giulianim...

-No i co?

-No i oczywiście posłałem go do Lomonaca.

-69-

-Oczywiście... — Orlando nadal się uśmiechał. — To wszystko? Przypomniałeś sobie teraz już wszystko?

-Tak, wszystko, jestem pewien, a nawet, jeśli chcesz, mogę dać ci kartę biblioteczną tego starego, jest na niej wypisany adres...

-A gdzie jest ta karta? Nie zawieruszyłeś jej, mam nadzieję... — spytał Orlando z roztargnieniem.

-Na moim biurku, nie miałem czasu jej jeszcze zaklasyfikować — odpowiedział księżulek.

Orlando skinął głową i pomału, nieubłaganie zacisnął mocną dłoń na szyi ojca Bellana. Udusił go sumiennie, bez nienawiści, przepraszając, jakby chodziło o kureę lub królika, do których zdążył się przywiązać. Nie trzeba mieć mu za złe, dostał rozkazy.

Po drugiej stronie miasta, pod numerem 19 na piazza Policlini-co, w pokoju 27 hotelu Rosengarten Eli nagle spostrzegł, że jest już za ciemno,

by dalej pracować.

Wstał, rozprostował swoje długie członki, rozluźnił mięśnie ramion i pleców, zeszywniałe od zbyt długiego siedzenia. Zamyślony, wciąż pochłonięty tokiem rozumowania, który z premedytacją mu umykał, zaczął przemierzać pokój, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Chodził od ściany do ściany, z rękami założonymi na plecach, przystawał na krótko, by podrapać się w głowę albo złapać za brodę. W pogłębiającym się półmroku przedmioty i meble traciły powoli kontury.

Eli rozkoszował się tymi chwilami, gdy jego ciało stapiało się z jego myślą w świecie, którego granice się zacierały i gdzie nieostra percepcja rzeczywistości otwierała przed jego świadomością pole do refleksji bardziej rozległej, uwalniając wyobraźnię i zwiększając zdolność do pochwycenia tego, co niedostrzegalne.

Kiedy przerwał swoją przechadzkę, ciemność opanowała już cały pokój. Zbliżył się po omacku do stołu, przy którym pracował, i zapalił światło. Na stojąco, lekko pochylony nad notatkami, które przed chwilą sporządził, przeczytał jeszcze raz swoje ostatnie hipo-

-70-

tezy na temat interpretacji *Aforyzmów* Jamblicha i *Serii* Damascju-sza, spisane na bileciku pozostawionym przez tajemniczego Giulia-niego w *De Magia Mathematica*.

Pracował siedem dni. Zapytywał się, czy powinien się śmiać — czy też niepokoić ową koincydencją, która zetknęła rzeczywistość upływającego czasu z cyfrą bez ustanku nawiedzającą jego myśli.

Ledwie wrócił z biblioteki, zasiadł do tłumaczenia aforyzmów, co nie sprawiało mu większych trudności.

*Dio sa U Numero dei tuoi giorni Poiche quanto tu ignori, Dio
conosce. Se oblii U Numero dei tuoi
ricordi, Ricorda U Numero dei tuoi
oblii. Poichó al Settimo oblio, II Tredicesimo giorno si compie Come si
compie ogni vita.*

Bóg zna Liczbę twoich dni Bo to, czego ty nie wiesz, Bóg
zna. Jeżeli zapomnisz Liczbę twoich
wspomnień, Pamiętaj Liczbę twoich
zapomnień. Bo z Siódmym zapomnieniem, Trzynasty Dzień się kończy
Tak jak kończy się całe życie.

Nie trzeba było wielkiej mądrości, by zauważyć, że język, jakim się tu posłużono, jakkolwiek złożony i hermetyczny, odnosił się do symboliki cyfr, a ściśle do 7 i 13.

Eli, który jak każdy interesował się trochę neopitagorejczykami ze szkoły aleksandryjskiej, wiedział o Jamblichu tyle, że historia jego życia jest bardzo tajemnicza. Znamy ją jedynie z niezbyt wiarygodnych opowieści Eunapiusza. Nie ryzykując błędu, możemy co najwyżej stwierdzić, że urodził się w Chalcis w drugiej połowie III wieku i umarł, jak się przyjmuje, około roku 333.

Adept nauk Platona i Pitagorasa, połączył studia nad ich filozofią z badaniami nad filozofią Chaldejczyków i Egipcjan. Obalił teorie Porfiriusza i Plotyna (w które wprowadził go niejaki Anatoliusz,

-71-

uczeń Porfiriusza), uznające stan ekstazy za niezbędny przy studiowaniu filozofii. Niemniej uważał, że człowiek może wejść w bezpośredni kontakt z boskością za pośrednictwem tajemnych rytuałów, i przywiązywał wielką wagę do misterii oraz ceremonii inicjacji. Niezwykle płodny Jamblich zostawił bardzo mało śladów swojej działalności. Ocalało pięć ksiązek z dziesięciu, które składały się na *Poglądy Pitagorasa*, będące rodzajem wprowadzenia do filozofii Platona. Kilka fragmentów *Traktatu o duszy* zostało zacytowanych w *Florilegium* Stobaeusa* razem z tytułem wielkiego dzieła: *Noty o starożytnej filozofii Chaldejczyków*, z którego kilka urywków znalazło się w *Traktacie o zasadach* Damascjusza.

Jako że seria cyfr naniesiona na papier przez tajemniczego Tommasa Giulianiego została podpisana „Damascjusz”, istniały podstawy, by założyć, że całość została znaleziona w *Traktacie o zasadach*.

O Damascjuszu Eli wiedział trochę więcej i przeczytał ponownie notatki, które zrobił w trakcie swoich wędrówek.

Damascjusz, urodzony w Damaszku około 480 roku, studiował najpierw u Theona i Ammoniusza, potem zaś pojechał do Aten, gdzie u Zenodota i Mariniusza pobierał nauki z zakresu matematyki i filozofii.

Dekret Justyniana, zabraniający nauczania pogańskiej filozofii, zmusił go do schronienia się u boku Chosroesa, króla Persji, który wkrótce ułatwił otrzymanie pozwolenia na jego powrót do Aten w roku 533. Jednak szkoły nadal pozostały zamknięte.

Damascjusz był ostatnim reprezentantem szkoły aleksandryjskiej, który publicznie wykładał zasady neopitagorejskie. Podążając śladami

Jamblicha, oddalił się od teorii hipostaz.

„Przypisywał Bogu — jak stwierdził Jules Simon — całkowitą i absolutną jedność, czyniącą go niezrozumiałym i niewysłowio-

* Pierwsza edycja ukazała się w Wenecji w roku 1535. Warto zajrzeć do wspaniałego wydania Meineke opublikowanego w Lipsku w latach 1855-1856.

-72-

nym [...]. Był bardzo bliski odnalezienia tajemnicy, która zakłócała spokój szkoły neoplatońskiej, oraz nadania mistycznemu Bogu aleksandryjskich właściwego charakteru Boga rozumu".

Jego głównymi dziełami są: *Komentarze do kilku dialogów Platona*, *Historia najważniejszych eklektyków*, niezwykle obszerna praca podzielona na szesnaście rozdziałów, oraz słynny *Traktat o zasadach*.

To właśnie w *Traktacie o zasadach** Eli kilka lat wcześniej odnalazł wiele odwołań do tajemniczych badań nad Liczbami i Czasem. Badania te po raz pierwszy zostały opisane w *Notach o starożytnej filozofii Chaldejczyków* Jamblicha (niestety, Eli nigdy się na nie nie natknął), dzięki którym Damascjusz mógł stwierdzić, że Bóg przyznał każdemu człowiekowi zdolność do przewidzenia własnej śmierci. Niektóre teksty donosiły, że Damascjusz zaangażował się w prorokowanie dla samego siebie, jednak trudno powiedzieć, czy jego przepowiednie okazały się prawdziwe.

Kiedy Eli już odświeżył sobie nieco pamięć na ten temat, począł analizować *Serię* Damascjusza. Po pobieżnej lekturze zauważył, że prawo podstawowego szeregowania obraca się tu wokół cyfry 7.

Pozorna niejasność porządku, w jakim cyfry po sobie następowały:

1 8 2 15 9 3 22 16 10 4 29 23 17 11 5 36 30 24 18 12 6 43 37 31 25 19
13 7 44 38 32 26 20 14 45 39 33 27 21 46 40 34 28 47 41 35 48 42 49

wyjaśniała się, gdy seria była zapisana w formie trójkąta:

* Jos Kopp odwoływał się do jego pierwszej części (Frankfurt 1826, tom 8), J. Ch. Wolff w *Anecdota* i Cudworth w *Systema Intellectuale* do kilku fragmentów, natomiast M. Charles Ruelle do dziewięciu fragmentów ineditów przełożonych na łacinę (Paryż 1861, tom 8).

-73-

1

```
8 2
1 9 3
2 1 1 4
2 2 1 1 5
3 3 2 1 12
4 3 3 2 19
4
```

Ciąg cyfr naturalnych układał się po przekątnych, a w liniach pionowych rozkładały się one w rosnących seriach co 7. Pewna dziwaczność czy też nieregularność objawiła się po cyfrze 7, na której Eli zakończył trójkątną kompozycję. Podczas gdy logika i regularność sugerowały, że następną cyfrą w pierwszej linii pionowej bezpośrednio po liczbie 43 powinno być 50 [43 + 7], seria zawierała 44, a więc liczbę, która prawidłowo powinna być umiejscowiona na drugiej linii pionowej — bezpośrednio pod 37 (37 + 7). Wystarczyło więc przesunąć dalszy ciąg serii o jedną kolumnę, by otrzymać spójny zapis, który przybierał formę równoległoboku:

```
1
8 2
1 9 3
2 1 1 4
2 2 1 1 5
3 3 2 1 1 6
4 3 3 2 1 1 7
  4 3 3 2 2 1
    4 3 3 2 2
      4 4 3 2
        6 0 4 8
          4 4 3
```

-74-

Seria została odtworzona dokładnie wzdłuż linii poziomych, od lewej do prawej, bez żadnych pominięć. Eli mógł zanotować, że w tej formie seria ujawniała kilka osobliwości: całość dzieliła się na 13 linii i w każdej linii liczba cyfr wzrastała stopniowo od 1 do 7, a następnie zmniejszała się od 7 do 1: [1], potem [8, 2], potem [15, 9, 3], potem [22, 16, 10, 4], potem [29, 23, 17, 11, 5] itd., a następnie, poczynając od linii środkowej, znów

zaczynała się zmniejszać: [43, 37, 31, 25, 19, 13, 7], potem [44, 38, 32, 26, 20, 14], potem [45, 39, 33, 27, 21] itd., tworząc w ten sposób szczególną kompozycję, która wskazywała, iż liczba końcowa jest sumą 13 cyfr:

$$1+2+3+4+5+6+7+6+5+4+3+2+1 = 49$$

Ta pierwsza, dosyć pobieżna analiza wydobywała zatem wszechobecność jednego motywu (liczby 7), który był uporządkowany przez główny wektor (liczbę 13), co wywoływało oczywiste skojarzenie z motywem numerycznym *Aforyzmów* Jamblicha.

Więcej nie było trzeba, by pobudzić wyczulony węch Eliego, wytrawnego łowcy tajemnic.

A skoro treść *Aforyzmów*, których sens z całą pewnością dotyczył trwania życia (w każdym razie odliczania dni przypisanych życiu), była związana z liczbami 7 i 13 (bo z Siódmym zapomnieniem Trzynasty Dzień się kończy), stwierdzenie, że seria mogła przedstawiać numeryczną interpretację aforyzmów, nie wydawało się przesadą.

Wychodząc od tej hipotezy, Eli szukał w szczególnym ułożeniu cyfr jeżeli nie bezpośredniej symbolizacji wspomnienia i zapomnienia, to przynajmniej znaku lub znaków będących wyobrażeniem początku lub końca.

Z tego punktu widzenia rzucał się w oczy jeden szczegół — zgodnie z naturalnym porządkiem liczb tylko trzy człony serii znajdowały się na swoim miejscu: 1, które było na samym przedzie, 25, które zajmowało dwudziestą piątą pozycję jako środkowy skład-

-75-

nik, i 49, które było ostatnie. Mógł więc zaryzykować dodatkową hipotezę, że 1 oznaczało początek, a 49 — koniec.

Jeżeli wniknęło się teraz w nowe rozmieszczenie liczb na liniach poziomych serii ułożonej w formie równoległoboku, gdzie 49 pojawiało się na trzynastej pozycji, można było uznać, że każda linia (każdy z 13 podzbiorów serii) symbolizuje Dzień, Trzynastego Dnia bowiem... objawił się „koniec”.

Eli położył się wieczorem bardzo usatysfakcjonowany wynikami pierwszego dnia poszukiwań. Ale sen miał niespokojny, nawiedzały go wizje i marzenia. Między innymi dostrzegł młodego Tommasa Giulianiego o twarzy staruszka, która była właściwie twarzą Damascjusza (a jeśli się

lepiej przyjrzało, łączyła rysy twarzy ojca Bellana i Armanda Lomonaca). W ręce trzymał książkę i wymachiwał nią nad głową. Z ziemi raptownie wydobyl się płomień i tysiące książek rozgorzały.

Giuliani-Damascjusz stał teraz bez ruchu w sercu pożogi, która czyniła spustoszenie w Bibliotece Aleksandryjskiej, i skinął w kierunku Eliego, by ten podszedł bliżej. Eli uczynił krok do przodu, ale wszystko zniknęło. Stał teraz przywiązany do masztu jakiejś przypadkowej barki. Morze było spokojne, nie zakłócał go nawet najmniejszy podmuch wiatru, i dziwne melodyjne głosy muskały jego ciało niczym język kameleona. „Eli, Eli”, powtarzały. „Pamiętaj swoje zapomnienia, pamiętaj swoje zapomnienia...! Co zrobiłeś z MARASIABOPANULA?” I powoli, nieubłaganie Eli pogrązał się w ciemnych głębinach morza.

Tymczasem tego samego dnia, 6 sierpnia 1924 roku, około dziewiątej rano, we Francji, niedaleko Hawru, inaczej niż w Pawii, było chłodno i ponuro. W czajniku stojącym na piecu pokrytym kaflami z niebieskiego fajansu zaczynała właśnie wrzeć woda i kilka sekund później położna, która szykowała się, by wysterylizować niezbędne instrumenty, sparzyła się mocno w rękę.

Wrzask, od którego zadrżały ściany domu, nieskończenie bardziej przeraźliwy i dramatyczny niż kilka krzyków, jakie zdążyła

-76-

z siebie wydać rodząca, zaalarmował sąsiadów, którzy rzucili się do środka w wielkim zamieszaniu. Pokój, w którym oczekiwano radosnego zdarzenia, wkrótce opustoszał: wszyscy zgromadzili się w kuchni, gdzie próbowano cucić zemdloną położną leżącą w kałuży wody, co było w końcu spektaklem rzadszym, zatem ciekawszym niż poród.

I w takiej oto chwili przyszedłem na świat. Matka powiła mnie sama, pośród frenetycznego ożywienia i wrzawy, których powodem bynajmniej nie były moje narodziny.

Nie widzę żadnego logicznego związku między faktem, że urodziłem się w podobnych okolicznościach dokładnie w tym samym czasie, kiedy Eli rzucał się w proroczym koszmarze, tak jak i nie usiłuję sobie tłumaczyć, dlaczego o wiele później, podczas czterech lat, które musiałem spędzić w Instytucie Giulianiego, zaszczepił mi niczym infekcję swoją namiętność do abstrakcyjnego świata liczb.

Jednak pewne prawa rządzą nami, umykają nam i prześladują nas z tym większą mocą, im bardziej wydają się absurdalne.

Nazywam się Paul Simon. Z natury jestem desperatem. Prawdę mówiąc, określenie „desperat” nie jest właściwe. Obce są mi romantyczna gloria i nihilistyczna energia, które w historii wiązano z desperatami. Co więcej, nie mam żadnych cierpiętniczych skłonności i moją ostatnią deską ratunku nie jest działanie, lecz sen. „Konsternacja” jest słowem, które lepiej oddaje moje usposobienie, gdyż łączy w sobie smutek i zdziwienie. Konsternacja jest więc moja naturą, jestem skonsternowany życiem, światem, a przede wszystkim sobą samym.

To prawda, że długo udawało mi się napawać swoimi niedostatkami, lenistwem, głupotą, a własny upór uznawać za dobrą wolę, jedynie po to, by wierzyć w złudzenia, które są mi drogie. Dopóty odnosiłem sukcesy na tej drodze, dopóki mogłem się mierzyć ze światem z powodu defektu, braku lub nieadekwatności. Dzięki temu bowiem, że byłem niczym, niczym więcej niż zerem i samemu sobie przeszkodą, by stać się kimś innym, skonstruowałem wystarczającą niepowtarzalność, bym mógł istnieć pomimo wszystko, aczkolwiek nie bez bólu.

Dzisiaj moja konsternacja wynika z tego, że w końcu zacząłem się domyślać, iż świat jest zamieszkiwany przez olbrzymią liczbę jednostek, które są do mnie bardzo podobne, co powoduje, że czuję się nieswojo z żalną wyjątkowością, w jaką się przybrałem. Któż podczas tego stulecia nie był karmiony głupotą, nieudolnością, lenistwem, zaślepieniem i kłamstwem? Któż nie uległ złudze-

-78-

niom, owym marzeniom z papier-mache, z powodu których wylało się tyle krwi? Stulecie, które śniło o nauce, wolności, sprawiedliwości, bogactwie i równości, a doprowadzając do szczytu wszelkie okropności poprzedzających je czasów, dokonało ich rekapitulacji! Stulecie utuczone owocami rozumu, który stał się religią absolutnie niewiarygodną i sam, jak dziecko, wierzył w opowiadane przez siebie bajki!

Stulecie dziecko. Dziecko, którego sam jestem dzieckiem, kocham je zatem i nienawidzę z tym większą mocą, że wiem dzisiaj, jak bardzo jesteście do siebie podobni!

Teraz się śmieję, nie jest to jednak ani śmiech pogardy, ani szyderstwo, to śmiech dziwniejszy, charkotliwy i aksamitny zarazem, coś pradawnego i jękliwego, co rechocze i wzdycha: bieg podziemnej wody, chichot wody,

która zrodzona z burzy cieknie po skale i spływając, zżera ją niczym kwas. Śmiech pogrzebany, śmiech z trzewi — czuję w głębi falę, której źródła nie znam, zamiera łagodnie na moich wargach, podczas gdy mój brzuch delikatnie pulsuje. Śmiech okrutny, lecz spokojny, niczym śmiech dawno umarłego dziecka. Śmieję się prastarym śmiechem, wygładzonym przez czas. Słowa, wszystkie te słowa sprawiają, że chce mi się śmiać. Widzę je, unoszące się jedne obok drugich, jak szykują się do boju zamiast mnie i tworzą linię frontu, by podtrzymać dyskurs, zawsze gotowy do walki... Ja do walki?... Słowa, słowa, słowa...

Mój brat, Hamlet, śmiał się tak samo, myśląc o zdrażliwych maszyniach, jakie uruchomił, gdy wysłano go do Anglii — jego, który był Duńczykiem.

- Ale czemu wysłano go do Anglii? — pyta pierwszy grabarz drugiego.
- Ano dlatego, że zwariował, a tam nikt tego nie zauważy.
- Dlaczego nikt nie zauważy?
- Bo tam wszyscy tacy sami wariaci.

Oto jak sens wraz z uderzeniami grabarskiej łopaty odwraca się przeciwko samemu sobie i spłaszczony w grobie, staje się zupełnie

-79-

nieczytelny. I to właśnie tutaj, w tym, co nieczytelne i bezładne, spoczywa zgroza i niepojęte: śmierć znaczenia.

Znaczenie nie umiera, jak moglibyśmy sądzić, z powodu odwrócenia bądź wypaczenia przez szaleństwo, szaleństwo bowiem zachowuje sens — sens człowieka niezrównoważonego. Znaczenie umiera, kiedy staje się formą, która nie różni się od tła, niebieską plamą na niebieskim tle: podnosimy oczy, a niebo jest puste.

A zatem pod niebem, tutaj, blisko grobu, lepiej śmiać się z grabarzem, niż wyobrazać sobie wariata od urodzenia, który żyje wśród wariatów, Hamleta wśród Hamletów, krzyczącego i paplającego w nieskończoność na ziemi opuszczonej przez znaczenie. Człowiek ślepy i głuchy, który ani na słowie, ani na spojrzeniu, ani na jakiegokolwiek innej formie nie może zbudować czegoś na kształt porządku czy ucześć się choć skrawka rozumu, człowiek pośród ludzi wrzaskliwych i nieprzeniknionych — nawet dla bogów.

Niech Bóg nas chroni od takiego piekła! Niech Bóg nas chroni, a tymczasem... gdy zdarza mi się mówić albo słuchać, jak mówią, wpadają mi do uszu słowa, te dziwne fragmenty brzmieniowej materii, które niczym ziarnka piasku lub kurzu niesione podmuchem wiatru łączą się i

rozłączają, zgrzytając na szybie i w tym samym czasie, gdy są wypowiedane lub myślane, formują małe zlepki o wymyślnych kształtach, które są jedynie śladami przypadku i kaprysmi wiatru. Zatem wszystkie zdania rodzą się i przepływają między ludźmi nie tyle jako dźwiękowy wyraz pragnień czy myśli, u których początku i końca stoimy, ale jako wyraz nieorganicznego porządku wśród zgiełku świata, porządku, w którym człowiek stanowi jedynie przejściowe szaleństwo.

Words, words, words...

Z Elim, starym ogrodnikiem z Instytutu Giulianiego, często rozmawialiśmy o Hamlecie.

— Otóż widzisz, Paul — mówił mi, gdy opatuleni w ciężkie płaszcze szliśmy w przerywanym rytmie jego drobnych kroków wzdłuż alej usłanych liśćmi klonu i kasztanowca — Hamlet to nie-

-80-

bezpieczna postać, wątpi w mowę; słowa, które padają z jego ust, są martwe, odseparowane od jakiegokolwiek działania, są jak te opadłe z gałęzi liście, które szeleszczą pod naszymi nogami bezużytecznym śpiewem. Hamlet nie lubi słów, ponieważ przychodząc na świat, umierają niczym zmarniałe obrazy naszych myśli i pragnień, mogą jedynie zranić, ale nie są zdolne zabić. A on, sam niezdolny do czynu, marzy o słowach, które mogłyby zabić niczym ostrze noża.

Ja natomiast odpowiadałem:

— Nie, Hamlet jest moim bratem i dobrze wiem, co mu się przydarzyło. To nie w siłę słów powątpiewał, tylko własną. W to, czy potrafi je ułożyć w zborną mowę. Był jedynie rolą, nieszczęśliwym aktorem tekstu podszeptowanego mu przez zjawę. Nie wymagał od słów, by stały się bronią, odmawiał przejścia do czynu, ponieważ podrzucano mu te myśli, tak jak wiatr przywiewa kurz i piasek, wywłaszczając go raz na zawsze z wszystkich czynów, w tym również z aktu mordu. Dlatego czekał, cóż mu pozostało innego? Czekał, aż nieład świata objawi w każdym człowieku za bójcze skłonności, tak by on sam mógł stać się wówczas mordercą. Nie we własnym imieniu ani nawet w imieniu ojca, ale w imieniu całej ludzkości, w imieniu pierwszej zbrodni, w imieniu zaciśniętej szczęki Kaina: podczas rzezi odegrać rolę mordercy jak każda isto

ta ludzka, wyłącznie dlatego, że Bóg — niechaj będzie przeklęty — wymyślił pierwszego zabójcę.

Staruszek Eli wyciągnął rękę z kieszeni i uśmiechnął się.

— Dziecko, nie należy przeklinać Boga — powiedział. — Nie zasługuje na to, nie ma aż tak wielkiego znaczenia.

Piszę to w Perigueux, jest godzina jedenasta, niedziela. Siedzę w kawiarni obok katedry Saint-Front — pod dzwonnica o bardziej nowoczesnej konstrukcji można dostrzec trójnawową bazylikę, zwaną łacińską, która zachowała cenną fasadę z X wieku. Dzwony rozpaczliwie przywołują wiernych. Jest to szczególna niedziela, dzień wyborów do senatu. Elektorzy opanowali miasto.

Znów ogarnął mnie ten sam śmiech co przed chwilą.

-81-

Słowa, ciągle słowa, niosą mnie... Rzuciłem się bez hamulców w ten siódmy początek, zachłannie, z niecierpliwością, by wreszcie być sobą, powiedzieć, kim jestem. A teraz historia, którą piszę, się rozpada. Ta historia jest dla mnie fundamentalna, walczę z nią już od dłuższego czasu, ale wciąż obiera nieprzewidziane kierunki, staje się dygresją, której końca nie widać, jakby nie była sobą, tylko fragmentem szerszej historii, w której stanowią jedynie drugoplanową postać. Ja, centrum, źródło tej opowieści, niepodzielny władca tworzących ją słów, być może jestem w gruncie rzeczy tylko strzępem zdania zagubionego pośród wielu innych, które napisałem i których masa rośnie, w miarę jak posuwam się do przodu, spychając mnie coraz bardziej na zarysowany przez nie margines, jakby akt pisania był samowystarczalny i chciał zabrać głos w moim imieniu.

W tej chwili moją refleksję przerywa jakaś dziesiątka elektorów, którzy wchodzą do kawiarni, gdzie znalazłem schronienie, a zaraz za nimi pojawiają się dwie kolejne i niezwykle hałaśliwe, siedmio- czy ośmioosobowe grupy.

Wszyscy są ubrani w garnitury, szare, szaroniebieskie albo granatowe. Różnica tkwi jedynie w prążkach. Kobiety mają szerokie spódnice, które w większości wypadków opadają na dosyć masywne kształty. Niemal wszystkie włożyły też blezery. Elektorzy reprezentują społeczeństwo. Bez wątplenia przeprowadzono ostrą selekcję. Wśród mieszkańców prowincji zanurzano coraz drobniejsze sita i cierpliwie nimi potrząsano, by wreszcie wyłowić ten szczególny gatunek. Kilka lat temu łatwo byłoby wychwycić upodobania polityczne każdego z nich, ale dziś tworzą jednolity blok —

przesuwający się między lewicą a prawicą środka. Nikt nie wydaje się bogaty, a jeżeli jest, to skrzętnie to ukrywa; nie wyróżnia ich ani widoczna majątność, ani żaden wyraźny na twarzy czy w zachowaniu ślad władzy, którą sprawują w gminach bądź departamentach. I tylko dlatego, że obejmują ich wszystkich jednym spojrzeniem,

-82-

zauważam, że funkcja, jaką sprawują, nadaje im szczególny styl i postawę.

Elektorzy to nie byle kto — widać to na pierwszy rzut oka, zwłaszcza gdy są razem — są odpowiedzialni, wiedzą o tym i w milczeniu sobie to powtarzają. Ich włosy, podobnie jak ich garnitury, na ogół są popielate. Wszyscy zamówili soki owocowe. Czuję sympatię do tych mężczyzn i kobiet, gdyż reprezentują ludzkość odpowiedzialną i przychylną. Czuję do nich sympatię, chociaż mnie przerażają. Wybór, zamiast ich wyróżnić, uczynił ich jednakowymi, wszyscy są tacy podobni, zatrważająco podobni.

Kobieta, na której zatrzymałem teraz spojrzenie, w niebieskim blezerku z emblematem przedstawiającym herb angielskiego miasta bliźniaczego z malutką miejscowością, gdzie została radnym miejskim, ta kobieta nie jest już tą, która lekko kuśtyka, robiąc rano zakupy, i zastanawia się czasem, dlaczego śni o przystojnym, dobrze zbudowanym blondynie, przecinającym błyskawicznym uderzeniem tasaka żeberka wołowe, które ona zamawia co czwartek. Dzisiaj jest elektorem. Dlatego włożyła niebieski blezer z emblematem. Jest na swoim miejscu, tak jak i pozostali, którzy weszli tu razem z nią, dwudziestu sześciu z dwóch tysięcy trzystu albo czterech tysięcy dziewięciuset dwudziestu siedmiu elektorów obecnych w Perigueux. Przyjechali tu po to, by zagłosować, ponieważ jest niedziela, dzień, który wybrano na zmianę jednej trzeciej członków senatu.

Wszyscy są na swoim ściśle określonym miejscu, jak atomy kryształu, i podtrzymują więzi, które muszą podtrzymywać, będąc tym, kim są. I dlatego się ich boję. Odczuwam w tej chwili takie samo przerażenie, jak wówczas gdy myślę o Hamlecie albo o kon-krecjach piasku, które tworzą się na szymbach. Jakby słowa, uczucia, instytucje, wszystko co ludzkie, zarówno w tym, co najpiękniejsze, jak i zakrawającym na kpiny, jawiło się przed moimi oczami niczym drganie materii, wielofunkcyjna i brutalna kuźnia, w której panują najbardziej szalone i niepojęte prawa, do jakich — w sposób oczywisty — świadomość nie ma dostępu.

-83-

Ale, być może, ten strach pochodzi stąd, że moja własna materia

poddała się zaburzeniom sił natury, które zniszczyły mój dziecięcy szkielet. Pewnego dnia moje ciało zamieniło się w grobowiec. Moje kości rozłożyły się i zbutwiały od środka, jakbym był ulepiony z ziemi i miał przynajmniej tysiąc lat.

15

Skończyłem zaledwie dziesięć lat, kiedy zapadłem na chorobę Potta, inaczej nazywaną gruźlicą kości, z której nigdy — jak sądzono — nie powinienem się wyleczyć. W 1935 roku, kiedy przyjechałem do Instytutu Giulianiego, miałem już za sobą dwa lata spędzone w Bercku, „stolicy” gruźlicy kostnej. To tam powoli przekształciłem się w ślimaka.

Choroba ta charakteryzuje się bowiem okrutną właściwością zżerania kośćca i powolnego przekształcania dotkniętych nią ludzi w bezkręgowce, których najmniejsze poruszenie jest powstrzymywane przez paraliżujący ból. Kiedy choroba postępuje, koniecznością staje się przeniesienie na zewnątrz tego, co niszczy od środka, tak by zachować jakąkolwiek sztywność nieszczęsnego, wycieńczonego cierpieniem ciała. Bardzo wcześnie byłem więc zmuszony znosić gipsową muszelkę o ściankach wyłożonych niezbyt szorstką bawełną, która była moim skurczonym światem, gdzie zwijałem się z bólu.

W Bercku każdy z nas leżał na wózku w takiej właśnie muszli; ci bardziej sprawni mogli odbywać przejażdżki po plaży ciągnięci przez konie. Ja musiałem zrezygnować z tych spacerów, ponieważ nie były mi dane krótkie okresy poprawy, jakimi cieszyli się moi towarzysze niedoli.

Podczas zimy 1935 roku choroba osiągnęła nieoczekiwanie końcową fazę. Byłem pokryty wrzodami, infekcja „zaogniła się” jak to się mówi. W ostateczności zdecydowano, że muszę „zmienić

-85-

klimat” Czasami zmiana klimatu wywoływała remisję. Jak powiadano, wpływała na chwilowe uspokojenie, jednak nie wyleczenie.

W ten sposób znad morza udałem się w góry, w Wogezy, niedaleko Vittel.

Wielki budynek Instytutu Giulianiego wznosił się ponad drogą, która z boczami doliny Chevre-Roche biegnie z Thuillieres do Darney. Instytucja ta cieszyła się świetną opinią wśród nieuleczalnie chorych. Krążyły pogłoski, że przy braku nadziei na wyleczenie nie ma lepszego miejsca, by dokonać swych dni; faktycznie wydawało się, że śmierć jest tutaj bardziej łaskawa, a czas biegnie inaczej, jakby wydłużał się w nieskończoność. Tak

więc do Instytutu Giulianiego przybywano z całego świata w nadziei odnalezienia pełniejszej radości z ostatnich chwil, jakie jeszcze mogło darować wycofujące się życie.

Przybyłem tam pewnej niedzieli. Wszystko było pokryte śniegiem, samochód instytutu przemierzał wzgórze w sposób rozmyślnie powolny. Miałem dwanaście lat.

Można sobie bez trudu wyobrazić, że pierwsze dwa lata, jakie spędziłem w muszli, miały decydujący wpływ na ukształtowanie się mojej umysłowości i charakteru.

Skrajna niesamodzielność, na którą byłem skazany przez tak długi czas, wytworzyła we mnie niewiarygodną i niemal okrutną skłonność do oczekiwania wszystkiego od innych.

Mój czas upływał wyłącznie na tym oczekiwaniu. Zegary, tupot kroków, rozmowy, światło, skrzypienie fotela, położenie słońca, temperatura, głosy, deszcz, wiatr, szczekanie psa... nic nie umykało mojej uwagi, najmniejsze zdarzenie, dźwiękowe czy świetlne, było pochłaniane przez oczekiwanie i natychmiast stawało się znakiem, zapowiedzią tego, co niedługo miało nastąpić, gdyż było nieuniknione. Ktoś przychodził, ktoś pchał mój wózek, ktoś dawał mi jeść, ktoś mnie głaskał po włosach, ktoś mnie mył, ktoś mnie przebierał, ktoś mi opowiadał bajki, ktoś kładł mi do stóp najmniejsze okruchy dnia... Wystarczyło poczekać, wszystko miało przyjść samo, i tak

-86-

przychodziło już od dwóch lat. Był to jeden ze sposobów — równie dobry jak inne — oczekiwania na śmierć, ponieważ ona również została przewidziana, tego czy innego dnia miała nieuchronnie nadejść. Jaki wówczas rozlegnie się dźwięk na zewnątrz i w środku? Jaką pozycję zajmie słońce, która to będzie noc?

Inną, również przewidywalną, konsekwencją mojej przemiany w wegetującego ślimaka był kolosalny rozwój wyobraźni. Skłonność do marzycielstwa i zamyślenia, jaką zdradzałem już wcześniej, przerodziła się w zawrotny skok w wyobraźniowe i abstrakcyjne otchłanie.

Z tego punktu widzenia spotkanie z piękną Amalią w dniu mojego przyjazdu do Instytutu Giulianiego okazało się katastrofalne w skutkach.

W sali, do której mnie zabrano, było bardzo zimno. Pamiętam, jak dygotałem z zimna w gipsowej muszli i w żaden sposób nie mogłem przezwyciężyć drżenia i spazmów, które wstrząsały moim ciałem. Ledwie

bowiem dostrzegłem signorę Annę — tak właśnie nazywano Mme Giuliani — która przysłała mnie powitać, zauroczyła mnie stojąca u jej boku Amalia Krienbull. Również Amalia skierowała swoje spojrzenie ku mnie — ach, Boże, pamięć o tym jest tak okrutna! — poczułem, jakby wewnątrz mojego ciała zapłonął ogień. Ja, który przyjechałem umrzeć, miałem wrażenie, że moje życie jeszcze się nie zaczęło. W rzuconym mi spojrzeniu tlił się jakiś zbłąkany i czuły ogień, jakieś wezwanie, które wzięłem za wezwanie życia i faktycznie Amalia stała się moim życiem. Nie miałem pojęcia o tym, czym jest miłość, ale moje ciało, chociaż bezkosztne, osiągało właśnie dojrzałość. A ona była kobietą. Patrząc na nią, odkrywałem, czym może być kobieta, istota chimeryczna, której ciało było mi jeszcze nie znane i której twarz była twarzą dziecka, choć miała wówczas prawie dwadzieścia trzy lata.

Mogło jej nie być w zasięgu mojego wzroku, a już zaczynałem na nią czekać, i to oczekiwanie było jak rozdarcie, w którym moja wyobraźnia rozpalala się niczym żywica sosny. Muszla stała się piekłem, jaskinią, ogrodem, pałacem o tysiącu i jednej komnacie,

-87-

a w każdej z tych komnat znajdowała się Amalia, twarz Amalii, przede wszystkim twarz, oczy, spojrzenie. A także dużo, trzeba to powiedzieć, dużo piersi, bo nie znałem innych organów kobiecych oprócz piersi.

Przechodziłem z jednego pomieszczenia do drugiego, przemierzałem biegiem ten pałac z gipsu i bawełny, tu się do niej umizgi-wałem, tam znowu tuliłem się, czerwony ze wstydu, do jej piersi, krok dalej ona się wzbraniała i opuszczałem ją z płaczem, by na powrót odnaleźć ją w korytarzu, wtedy wychodziliśmy do ogrodu, ona na mnie patrzyła, a ja brałem ją za rękę i przechadzaliśmy się nieskończenie szczęśliwi, i kładłem wargi na jej ustach, i nagle pojawiał się żółty pies, który nas rozdzielał, potworny pies, który walał błotem mój pałac i który codziennie w olbrzymim salonie przyska-kiwał z wściekłością do gardła Amalii, a wtedy rzucałem się, by wyrwać moją ukochaną ze strasznej paszczęki dzikiego zwierza, i każdego dnia dziękowała mi z płaczem, podczas gdy niosłem ją w ramionach do łazienki, by tam lizać jej piersi. A kiedy indziej jeszcze, wtedy gdy sny miałem szczególnie intensywne, zanosłem ją do okazałej komnaty o ścianach wyściełanych atłasem, robiłem siusiu na jej piersi, a wówczas moja muszla pękała, rozpadając się na kawałki, i pałac zalewała rzeka, i w całej jaskini rozlegało się straszliwe i wściekłe wycie, a potem nagle, nie wiem dlaczego, trzęsienie, coś się we mnie działo, coś czego nie

rozumiałem, to była zgroza, niewypowiedziana zgroza...

Do dziś zachowałem palące wspomnienie tych pierwszych poruszeń, ponieważ narodziły się z nieporozumienia czy też iluzji, która prysła w tej samej chwili, gdy moje cudowne wyzdrowienie niechybnie zdawało się potwierdzać. Cztery lata później, pięknego letniego popołudnia, gdy wydawało się, że kości mojego kręgosłupa zaczęły się stopniowo umacniać, komin, wyrastający cokolwiek krzywo z instytutowego dachu, zawalił się — jakby rażony piorunem — i spadł na wielki trawnik tuż przed gankiem, gdzie Bruno, pupilek domu, który w tamtym czasie życzył już sobie

-88-

z pewnością, by nazywać go Grubym Joe, bawił się w wojnę z psem Krocionogiem.

Przypadek chciał, bym znalazł się w tamtej chwili w sali opatrunkowej na pierwszym piętrze, gdzie czekałem na Amalię, która, trochę jakby nieobecna, pojawiła się po kilku minutach, piękna, piękna i podniecająca. Amalia. Skończyłem właśnie szesnaście lat i wyobrażałem ją sobie nagą pod fartuchem, tak, całkowicie nagą!

Zbyt zajęty nią i sobą, by zauważyć katastrofę, już miałem jej wypomnieć, że tak długo kazała na siebie czekać, kiedy ona, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi — co mnie oburzyło — rzuciła się do okna, a widząc Bruna leżącego na trawniku i sądząc, że jest martwy, obdarzyła go spojrzeniem, które tak mnie poruszyło, kiedy przybyłem do instytutu. Było w nim to samo promieniujące i szlachetne uczucie, które oślepiło mnie tak, iż uwierzyłem, że dla mnie jest przeznaczone, lecz ono zwracało się jedynie ku śmierci. Śmierci, która była we mnie i która, wzięwszy się porządnie do roboty, zżerała mi w tamtym czasie kości.

Tego dnia zrozumiałem Amalię, w nagłym olśnieniu dostrzegłem, że tak naprawdę kochała śmierć, a ja stałem się jej całkowicie obcy, ponieważ byłem żywy. Skończyłem szesnaście lat i nie pozostało mi nic więcej, jak przyznać, że zostałem całkowicie wyleczony.

Dzisiaj, w niedzielę, jakieś trzydzieści lat później, przeciągam się w kawiarni w Perigueux po napisaniu tych zdań i czuję realność własnych mięśni i kończyn. Moje ozdrowienie stało się faktem.

Jeżeli uznać, że począwszy od tamtego dnia, naznaczonego upadkiem komina, proces rozkładu zaczął ustępować z ciała i kości, trzeba również przyznać, że tego samego dnia zawładnął on moją duszą. Tak.

Wciąż widzę ogród, trawnik i grupę ludzi skupionych nad ciałem ulubieńca domu. Moja myśl przemierza jeszcze raz wszystko, co napisałem, i powraca spokojna, obstając przy swoim początku, bo właśnie tutaj wszystko się zaczęło, nad Brunem czy Grubym Joe, jak kto chce, w słońcu pięknego letniego popołudnia.

16

Było już po wszystkim, gips wysechł, pani Yvonne i pielęgniarz wyszli, Gruby Joe leżał na kanapie w salonie.

Anna siedziała na krześle obok niego. Słysząc było hałas w korytarzu, ktoś zapukał do drzwi.

Gruby Joe odwrócił od niej wzrok i utkwiał spojrzenie w plamie, która widniała na suficie, brunatnym zacieku w kształcie psiej głowy. Krocionóg... — pomyślał — nawet nie pozwolili mu tutaj wejść.

Zawołał:

— Mamo... mamo...

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, już wyszła.

Signora Anna nie miała ani chwili dla siebie, cały dzień biegała po wielkim domu. Cały okrągły dzień, by zdążyć ze wszystkim, co miała do zrobienia. Co robiła? Gruby Joe nie miał zielonego pojęcia.

Później wróci, na pewno, był o tym przekonany... Wróci, by wziąć go za rękę, nie potrafiła się powstrzymać, zawsze tak robiła. Nie znosił tego.

Za każdym razem, kiedy przydarzało mu się coś poważniejszego, wypadek, choroba, znajdowała chwilę, by zostać z nim sam na sam, z poważną miną brała go za rękę i powtarzała nieobecnym głosem: „Moje kochanie, moje maleństwo, moje kochane maleństwo...”.

Ścisnęła mu rękę za mocno, o wiele za mocno, chwytła jak w rozpalone kleszcze, natychmiast potworne gorąco rozchodziło się po całym jego ciele, wielki przyływ odrażającego ciepła, które opanowywało wszystkie jego członki, ogarniało całe jestestwo, pochła-

-90-

niało je całkowicie, aż stawał się gorejącym płomieniem, żarem, bezmyślną magmą, wlewającą się do tygla mrocznego, ciężkiego snu.

W salonie panował półmrok, przymknięto okiennice. Gruby Joe zamknął oczy. Może, jeżeli będzie udawał, że śpi... skulony w kłębek, rękami ściskając kolana, zdoła się ukryć, może nie ośmieli się go obudzić, może zaśnie na dobre, głębokim, twardym snem, zanim ona zdąży wrócić.

Z zamkniętymi oczami Gruby Joe jeszcze raz badał obraz, jaki zobaczył, wyszedłszy z omdlenia: wszystkie twarze i ciała skamieniałe w pełnym świetle. I choć jego umysł był jeszcze za młody, by pojąć znaczenie tego obrazu, wiedział z pewnością obdarzonego łaską niewiniątka, że gdy pod bezlitosnym słońcem cierpiał na trawniku, mógł kontemplować materialne odbicie tajemnicy, którą wielki dom aż do tej pory zazdrośnie chował w mrokach i zakamarkach swoich murów.

W obrazie tym kryło się wiele zagadek: kim byli ci wszyscy ludzie, których nie znał? Skąd przyszli? Dlaczego prawie wszyscy byli w piżamach? Zwłaszcza jeden szczególnie intrygował go najbardziej: na prawym krańcu zatrzymanego obrazu tajemnicy, tak czystego i tak precyzyjnego, poruszała się jakaś niewyraźna plama, jakby ktoś nie chciał uszanować pauzy. Tak, ktoś się poruszał w chwili, gdy obraz wlewał się w pamięć Grubego Joe. Nie potrafił się domyślić, kto to mógł być, był jednak pewien, że ta na wpół zatarta sylwetka nie była mu obca. Otworzył oczy, zamknął je, obraz się nie zmienił. Pomyślał, że to będzie niezłe zajęcie, kiedy czekając na powrót matki, przypomni sobie wszystkich, których rozpoznał, by tym lepiej utrwalić ich w obrazie.

Mme Yvonne na pierwszym planie i tuż obok stary Eli, a potem, tak, na pierwszym piętrze Amalia... i... Gruby Joe, zmęczony emocjami, zasnął.

Potem się obudził i znowu zasnął. Popołudnie przeszło, signora Anna nie wracała. Obudził się i zadrżał. Okiennice w salonie były otwarte i do środka wpływało piękne światło zmierzchu.

-91-

Wujek Morel! Nagły przebłysk pamięci.

To był Naczelnny Inżynier Morel, bez wątplenia, to był on, pochwycony w obrazie w chwili, gdy próbował z niego umknąć.

A ona, Anna, signora Anna, jego matka, w tej właśnie chwili pchnąwszy drzwi, weszła do salonu. Miał jedynie czas na zamknięcie oczu.

Podeszła do kanapy, złożyła łagodny pocałunek na czole syna, po czym, nie sprawdzwszy nawet, czy śpi, spytała, czy nie chciałby czegoś zjeść.

- O wiele bardziej wolałbym zobaczyć wujka Inżyniera — wyszeptał Gruby Joe, z oczami uparcie zamkniętymi na swoim obrazie, zapominając, że miał udawać śpiącego.

- Nie ma go tu — odpowiedziała signora Anna tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Dobrze wiesz, że od tygodnia jest w Soetrich, na budowie, pracuje tam, kochanie. Zobaczysz go za jakieś dziesięć dni, kiedy wróci...

- To nieprawda, jest tutaj! Widziałem go, rozmytego, niedaleko bramy! — jęknął Gruby Joe.

Odwrócił się do matki i w końcu otworzył oczy. Widział, jak sztywnieje i jak wzbiera w niej złość. Krzyknęła:

— To ci się śniło! No, chodź, daj mi rękę.

Rękę, tak, oczywiście... nie uniknie tego. Spróbował jednak, nieśmiało.

- Wiesz, signora, mam, już dobrze się czuję, nie jest mi zimno, przysięgam, wcale nie jest mi zimno i dużo spałem.

- Tak, to dobrze, ale trzeba, żebyś jeszcze trochę pospał, moje kochane maleństwo...

Pochyliła się nad nim, wzięła go za rękę, którą wyciągnął spod ud, zrezygnowany, godząc się na przegraną.

— Moje kochane maleństwo...

Dziś było dziwnie i inaczej, nie tak gorąco jak zwykle, jedynie trochę ciepło, nawet przyjemnie... Co nie zmienia faktu, że Anna, signora Anna, jego matka, skłamała w sprawie Morela!

Na zewnątrz świat powoli się zacierał. Ciągle było gorąco, pomimo zmroku. Wydawało się nawet, że jeszcze trudniej jest oddychać z powodu ciężkiego, nieruchomego powietrza.

Anna stała wyprostowana w salonie tuż obok łóżka śpiącego syna. Potem odwróciła się i przekroczyła próg drzwi, które zamknęła bezgłośnie. Trzeba było zrobić jeszcze jeden krok i odejść... Ruszyła do przodu, jak zawsze, obierając normalny kurs życia, które przemierzała wymuszonym krokiem: zawoła Odettę i powie jej, by przygotowała pokój dla nowo przybyłego (grzecznie zwróci jej uwagę na ślady palców, które ktoś zostawił na ścianach klatki schodowej), potem porozmawia z Yvonne, choć ona — ona źle ją zrozumie, mimo wszystko trzeba jej to powiedzieć, powie jej to, kolacja wczoraj wieczorem, jeden z chorych się skarżył, wiedziała, że co trzeci posiłek był podawany do pokojów zimny, a jutro przyjmie Varina, właściciela pralni, musi otrzymać kolejną prolongatę z powodu komina, zapłaci część za tydzień, komin może poczekać do zimy, trzeba jednak zacząć odkładać pieniądze, przynajmniej naprawić dach, a potem... Mme Lublin nie przeżyje tej nocy, trzeba powiadomić rodzinę i zakład pogrzebowy Pautratów, trzeba się pospieszyć w tym upale, tak, zarezerwuje kaplicę na jutro, na późne popołudnie, i pomyśli o panu Du Bertrand, ten lekarz jest obrzydliwy, przychodzi jedynie po pieniądze, nie spędza nawet minuty z chorymi, zdychają, a ja mam z tego zyski, powiedział to przy pie-

łęgniarkach, jest nieludzki, nienawidziła go, oczywiście zdawała sobie sprawę, że sprowadza jej wielu klientów, ale nie, ona na to nie pójdzie, nie ustąpi, trzeba się go pozbyć, nie chciała go więcej widzieć w tym domu, ale jak to zrobić... nie trzeba, żeby inni... musi się poradzić... Wtem nagłe westchnienie, gwałtowny ucisk w piersi zmusza ją, Annę, bóstwo opiekuńcze tego domu, by zatrzymać ciało i myśli; osuwa się, jej mięśnie słabną, musi się oprzeć o ramę drzwi, żeby znowu złapać oddech. Na plecach wciąż czuje klamkę, którą przed chwilą puściła, zamykając drzwi.

Odnosi wrażenie, że ma coś wilgotnego na policzku, unosi rękę, jakby chciała strzepnąć owada. Łza, nie chce w to uwierzyć, łza, to absurdalne... ja! I zaczyna płakać.

To nie jest łkanie, łzy spływają niczym woda leniwej rzeki, zagłębiają się w bruzdach jej twarzy, a ona nie próbuje ich powstrzymać. Skoro to trwa, a ona nie chce okazać sobie miłosierdzia, prostuje się i wprowadza myśli w jeszcze bardziej histeryczny ruch. Jest jej zimno, zbyt zimno, i tego obawia się najbardziej. Nie ma prawa być jej zimno, nie jej, chyba że wyjedzie, rzuci wszystko. Nie, to nic takiego, na pewno nic poważnego, nic takiego... to normalne, po prostu odreagowuje, tak się bała: Bruno!

Wymówiła imię syna, wykrzyczała je. Przecież wie. Kiedy wzięła jego rękę, nie poczuł jej ciepła.

Oderwała się od drzwi, zawstydzona, nie, to nigdy jeszcze jej się nie zdarzyło. Pobiegła do swojego gabinetu i zamknęła drzwi. Potrzebuje trochę czasu dla siebie, czasu, którego zawsze jej brakuje.

Usiadła za biurkiem, ściska drewnianą linijkę i trzęsie się z zimna. W samym środku lata! Musi się ogrzać. Przemierza gabinet wzdłuż i wszerz. Dreszcze jak węże, które wymknęły się z klatki, ześlizgują się i znów wchodzą jej po nogach, oplatają brzuch, muskają piersi, ściskają szyję i syczą jej tuż nad uchem:

— Komin, komin, komin!

Komin! Julian mówił jej już trzy lata temu, że trzyma się jedynie cudem! Trzeba było go zburzyć i wybudować od nowa! Nie chciała o tym słyszeć, to było zbyt drogie. Poprosiła murarza, by podparł

komin metalową obręczą, to miało wystarczyć. Dał trzy obręcze i schodząc, powiedział, że będzie się trzymać, ale niedługo; jeżeli zima będzie mroźna, nie można poprzestać na łataniu, trzeba wszystko wybudować od nowa. Już teraz, proszę spojrzeć, jak się pochyla! Ostatniej

zimny nie było jednak mrozu. A potem już o tym nie myślała; ot i wszystko.

Katastrofa była cierpliwa, czekała przyczajona w cieniu zapomnienia, ukryta w czasie, gdzie wypełnia się porządek rzeczy. Poczekała na swoją godzinę i oszczędziła jej syna cudem. A gdyby to nie była godzina sjeisty? A gdyby Bruno znajdował się o krok bliżej ganku? A gdyby chorzy i ich goście przebywali o tej porze w ogrodzie? O tak, były powody, żeby się bać i odczuwać zimno.

Anna jeszcze raz idzie usiąść za biurkiem; ma wrażenie, że to nie są jej myśli. Ona nigdy nie wyobraża sobie tego, co „mogło być” się zdarzyć — ów trwożliwy tryb warunkowy, który się nie spełnia. Jest zbyt konkretna. To, co się nie wydarzyło, nie liczy się. Nie, taka reakcja nie jest dla niej typowa, coś się za nią kryje.

— Coś w moim sercu kłamie!

Mówi to powoli, poważnie, chce zrozumieć.

Jeszcze raz wspomina scenę z Brunem, podbiegła do niego, bała się, bardzo się bała... tak, ale nie było jej zimno. Wzięła go w ramiona... owszem, czuła, jak sztywnieje, zawsze był taki szorstki i zimny dla niej, odrzucał jej ciepło... Bruno! Nic nie powiedział, ani słowa, nawet: mamo. Tylko kiedy było już po wszystkim, kiedy jego kostka była już w gipsie, kiedy spytała go, czy czegoś sobie życzy, powiedział, że chciałby zobaczyć wujka Inżyniera...

Dlaczego? Nie mógł wiedzieć, że Julian tutaj był, a zresztą i tak wyjechał już dwie godziny temu! Nie zostawił ani słowa! A winda? Musi spytać Amalii... Czy widział go, jak wyjeżdża, nie, to niemożliwe, Julian zawsze był taki ostrożny, zatem? Ależ nie, to niemożliwe, Bruno nie mógł wiedzieć, nikt zresztą nie wiedział...

Chłód w niej się wzmacnia, mur, który tak cierpliwie wznosiła, by móc przeżyć w towarzystwie duchów, z jakich składała się jej klien-

-95-

tela, zaczyna pękać. Jest słaba, bardzo słaba. Kładzie linijkę przed sobą, otwiera prawą szufladę biurka, drżącą ręką ujmuje klucz, który się w niej znajduje. Nie boi się, ale nie może powstrzymać dygotu, w który wprawia ją zimno. Tak czy owak zbliża się do ogromnej wiejskiej szafy, stojącej w głębi pomieszczenia. Tu jest jej życie, jedyna siła, która ją do tej pory podtrzymywała. Otwiera na oścież masywne drewniane drzwi. W środku nakazała stolarzowi zrobić setki szufladek, zawierających po dwadzieścia, trzydzieści, a nawet pięćdziesiąt listów w kopertach, wszystkie w

doskonałym porządku, równo ułożone. Stoi nieruchomo, patrzy na swój skarb, czeka. Chłód stopniowo ustaje, łatwiej jej się oddycha. Z większej niż pozostałe, środkowej szuflady, która zawiera tylko jeden czy dwa listy czekające na sklasyfikowanie, wyjmuję kartkę białego papieru, kopertę i długopis. Wraca do biurka, zasiada do pisania, znajduje się dokładnie naprzeciw szafy z szeroko otwartymi drzwiami. Pisze:

Poniedziałek, 17 lipca 1939

Julianie,

Pan, który wiedział, jak mnie prowadzić drogą, którą przemierzamy razem od przeszło ośmiu lat, jest mi dziś potrzebny bardziej niż kiedykolwiek. Och, Mój Najdroższy, jest mi zimno, nie wiem, co się dzieje, wydaje mi się... nie wiem, jak Ci to powiedzieć, boję się, że niechcący, boję się, że źle postąpiliśmy...

Anna odkłada pióro, czuje się trochę lepiej, odczuwa mniejsze zimno, ale ciepło, jej ciepło i promieniowanie zniknęły. Dla siebie samej jest nieznana planeta, błakająca się i porzuconą przez swoje słońce.

18

Poniedziałek, 17 lipca 1939

Godz. 17 w samochodzie instytutu

Piękna i Słodka Dziecino, nie mogę się od Ciebie oddalać ani na chwilę! Wie Pani o tym dobrze i śmieje się na samą myśl, że siedząc z podkulonymi kolanami w trzęsącym się samochodzie, niezręcznie usiłuję Pani powiedzieć, jak bardzo mi jej brakuje. Mam Pani do powiedzenia rzeczy ważne, przerażające nawet, ale nie mogę się jeszcze na to zdobyć, tak wielka wciąż jest radość, jaką odczuwam w sercu, że na godzinę mogłem wyrwać Pani wspaniałą osobę temu potwornemu domowi.

Godz. 19.30 w pociągu do Metzu, w drodze do Soetrich

Omam nie spóźniłem się na pociąg ponieważ chciałem za wszelką cenę nadać te poprzednie linijki jeszcze przed wyjazdem, tak bardzo pragnąłem, by przybyły o świcie i czekały na Ciebie nazajutrz w instytutowym worku na pocztę. Nie było żadnej możliwości, by kupić znaczek. Pocieszam się

jednak, pisząc do Ciebie znowu.

Czy wie Pani, Piękna Dziecino, że zastanawiam się czasami, jaka mnie dotknęła choroba, kiedy Panią spotkałem, gdyż za każdym razem, kiedy okrutny los nas rozdziela, nie mogę opanować

-97-

drżenia rąk ani pohamować zbyt silnej energii, z jaką, wbrew mnie, rozwijają one tę nie barwioną atramentem, która usiłuje utkać sam nie wiem jaki węzeł wokół Twojej nieobecności.

Anno, chciałem Ci powiedzieć... nie, jeszcze nie czas na to...

Starannie zawiązałem na szyi wspaniałą szalik, który mi Pani podarowała. Może Pani sobie wyobrazić, że wywarłem pewne wrażenie, kiedy zająłem miejsce w przedziale, gdzie przy otwartych oknach pięciu czy sześciu pasażerów nadaremnie oczekiwało podmuchu świeżego powietrza pod koniec tego parnego, lecz jakże cudownego letniego dnia.

Naczelny Inżynier Julian Morel patrzył na przesuwający się pejzaż i więcej już nie pisał. Usiłował być wesoły, chciał, by wyobrażała go sobie szczęśliwym i dumnym z niestosownego prezentu, jaki mu zrobiła, ale słowa nie chciały płynąć spod jego pióra.

Pociąg jechał, oddalał go od Anny, i w miarę jak dystans się zwiększał, jego wzrok się gubił, stawał się coraz bardziej zamglony. Czy to naprawdę on siedział w tym pociągu? Czy może ktoś inny?

Pociąg jechał i oddalał go od niego samego. Julian Morel, jakiego znał, został na miejscu. „Pusta muszla”, pomyślał. Pociąg jechał i go unosił. Niczym we śnie powiedział:

— Julian Morel nie żyje.

Wyraźne zdanie wyrwało mu się z ust. On sam, był o tym przekonany, milczał. Przemówił przez niego ktoś inny.

Naprzeciwko, na ławce, gruby mężczyzna, który wyglądał na komiwojażera, potrząsnął poważnie głową. Usiłował sobie przypomnieć, kim też mógł być ów Julian Morel. Gdyby był bokserem, przypomniałby sobie bardzo szybko, ale sposób, w jaki imię zmarłego zostało wypowiedziane, bez emocji czy prawdziwego smutku, świadczył o tym, że musiał to być jakiś akademik czy ktoś w tym rodzaju, nikt naprawdę ważny. Gruby mężczyzna zaczynał żałować, że zdradził zainteresowanie i obawiał się, że konwersacja się nie rozwinie. Ten, który przemówił, dokładnie naprzeciw niego, poprzestał na uśmiechu i sam teraz potrząsał głową. Śmieszny ty-

pek, bardzo szczupły, ubrany jak burżuj, ale w takim upale nosić szalik... z całą pewnością oryginał.

Naczelny Inżynier uśmiechnął się niczym szachista, który odkrył, że jego przeciwnik zrobił właśnie bardzo udane posunięcie. Kiwnięcie głową i ten szczególny uśmiech znawcy, który delectuje się trafnością i elegancją ruchu, jaki go zabija. Po dłuższej chwili powtórzył, jakby chciał przekonać samego siebie:

— Julian Morel nie żyje!

Przyłożył się, by tym razem zdanie naprawdę należało do niego, i niestety udało mu się to bez najmniejszej trudności. Zrozumiał, co chciał powiedzieć, zrozumiał tak dobrze w chwili, kiedy to powtórzył, że łkanie wstrząsnęło jego głosem, a do oczu napłynęły mu łzy.

Nikt nie zwracał na niego uwagi, poza grubym komiwojażerem, który wciąż siedząc naprzeciwko, myślał i myślał. Przyszło mu do głowy, że jego reakcja nie była właściwa, powinien znać tego Morela, z całą pewnością był to ktoś znany, musiał to być ktoś ważny, przecież to naprawdę smutne, to widać, bolesne zdarzenie, w końcu dwa razy powtórzył nazwisko... Był jednak pewien, że nie był to ani bokser, ani polityk, ani rowerzysta, Morel, z całą pewnością nie... Ależ tak! Morel oczywiście, Tour de France!... z drużyny Vietta, no przecież! I nawet nie dojechaliśmy jeszcze do Alp!

— Niemożliwe! Morel!... A co mu się mogło przytrafić? — wykrzyknął zbulwersowany, ale mimo wszystko zadowolony, że wreszcie przypomniał sobie, kto umarł.

Tymczasem w stanie półświadomości Naczelny Inżynier Morel nie zauważył nawet istnienia grubego handlarza. Usłyszał jedynie pytanie, jakie mu zadano: „Morel!... A co mu się mogło przytrafić?”. Lecz wydawało się, że to pogрузyło go w jeszcze głębszym otępieniu.

Nic nie odpowiedział. Komiwojażer był tym zraniony. Traktowano go z góry! Jego, porządnego Francuza! Nie odpowiadano mu, ponieważ był jedynie handlarzem albo...

W istocie Naczelny Inżynier uginał się pod ciężarem popołudniowych wydarzeń, od których — zdawał sobie z tego sprawę aż nadto dobrze — już się nie uwolni.

— Tak — mówił do siebie. — Co ja zrobiłem, co mi się stało? Anno! Anno! — Mimowolnie wracała do niego ta skarga.

Spędzili więcej niż godzinę razem, rozmawiając o wszystkim, o nich samych, o świecie, i jak zawsze, w chwili gdy miał odjechać, wziął Annę w ramiona. Była w ich uścisku ta sama namiętność, to samo cudowne ciepło, które go ogarniały za każdym razem, kiedy musieli się pożegnać. I jak za każdym razem, musiał wykonać potworny wysiłek, by uwolnić się od tego uścisku, odnaleźć w sobie wolę odjazdu i powrotu na budowę. Ach, Boże! Boże, jak trudno było rozstać się z tą kobietą!

Ale nauczył się tego, wiedział, jak stać się twardym i zimnym kamieniem i nic więcej nie czuć, w ten właśnie sposób odjeżdżał, nieczuły jak posąg. Kiedy ją opuszczał, przestawał ją kochać. Potem oczywiście miał wyrzuty sumienia, więc pisał do niej gorączkowo bez przerwy, w dzień i w nocy.

Nie było dnia spędzonego z dala od niej bez jednego, czy nawet trzech, czterech, czasami pięciu listów, które dostawała zawsze o tej samej porze nad ranem.

Między jedną a drugą tartinką na śniadanie myślę o Tobie, kocham Cię.
Julian

I w kolejnej kopercie:

Niekiedy w nocy okruchy gwiazd spadają na moje łóżko. Obudziłem się dzisiaj rano, było nimi zupełnie pokryte. Anno, mój Skarbie, dlaczego płakałaś wczoraj wieczorem? Jestem przy Tobie, całuję Cię!
Julian

-100-

I jeszcze długie akapity, w których rozpisywał się o życiu na budowie, pracy, niezliczonych kłopotach technicznych, opóźnieniach, przeszkodach, chwilowych sukcesach, a także swoich filozoficznych przemyśleniach, podsuwanych mu przez potężne dzieło, jakiemu powinien był, jak sądził, poświęcić swoje życie. Ona natomiast zbierała jego listy, porządkowała je, czytała i znów do nich wracała. Miała chorych i szafę wypełnioną listami, dzięki temu żyła.

Zatem owego ranka pierwszy zrobił wysiłek, wrywając się z jej ramion. Ona tymczasem, gładząc od niechcienia koniuszkiem palców jego twarz, powiedziała:

— A, Julianie, zapomniałabym, czy mógłbyś pójść na strych i sprawdzić maszynę windy dla chorych, nie wiem, co się dzieje, słysząc trzaski, które mi się nie podobają.

Zrobiło mu się nieprzyjemnie, ta nagła obojętność, zbyt wczesna, jakby rozstanie nic jej nie kosztowało, i jej ręka, położona na jego policzku tak od niechcienia... Poczul jej palące dotknięcie, a potem wycofała się trochę za gwałtownie. .

- Coś nie tak, Julianie?

- Ależ nie, to nic. Twoja ręka, nie wiem, wydawało mi się, że parzy.

- To możliwe, wiesz, mam teraz dużo pracy. — Rzuciła mu pełen zrozumienia uśmiech. — Amalia dezynfekuje pewnie w tej chwili narzędzia w sali opatrunkowej, pójdz jej poszukać, pokaże ci, jak dostać się na strych. — Zrobiła pauzę, w jej spojrzeniu było trochę więcej czułości: — Napiszesz mi słówko przed odjazdem?

—O windzie?

-Tak!

Chciało jej się śmiać, kiedy odchodziła. Naczelny Inżynier także powinien się śmiać, ale nie za bardzo wiedział z czego i nie miał na to ochoty, czuł jakiś ucisk na policzku, być może w sercu także. Ruszył jednak, szybko odpędzając złe myśli, i kiedy, znalazłszy się w hallu, chwycił ciężką poręcz schodów, by wspiąć się do sali opatrunkowej, o wszystkim już zapomniał.

-101-

Wziął z sobą Amalię i razem wjechali windą na ostatnie piętro, by posłuchać osławionych trzasków. Przed drzwiami spotkali się z Elim, ogrodnikiem. Wydawał się zaskoczony, widząc ich razem. Rzucił jakieś dziwne spojrzenie Amalii, uporczywe, badawcze, a potem, odwracając się ku niemu, powiedział: „Ach, to wy!”. Wyczuwało się wyrzut w zazwyczaj tak życzliwym głosie staruszka. Weszli do windy razem, milczeli, kiedy się wznosiła, by usłyszeć... by ukryć rodzaj zażenowania, pomyślał Morel. Kiedy dotarli na ostatnie piętro, Naczelny Inżynier zrobił powątpiewającą minę. Nie usłyszał nic alarmującego, jedynie skrzypienie liny, to wszystko.

— Pójde jednak sprawdzić tę maszynę — powiedział, wychodząc.

Eli udał się w stronę swojej klitki na poddaszu.

Amalia i inżynier uszli kilka kroków korytarzem.

Otworzyła drzwiczki, które prowadziły do wąskiego przejścia znajdującego się między dwiema ściankami z dziurawych desek, u jego końca widać było wiodącą na strych drabinę. Było gorąco, w powietrzu unosił się zapach drewna, Amalia wchodziła przed inżynierem, wchodziła po szczeblach, jeden po drugim, a on widział, widział pod białym fartuchem nogi i... kiedy już na górze się odwróciła, spojrzeli sobie w

oczy. Teraz on zaczął wchodzić.

Wyciągnęła do niego dłoń, by pomóc mu postawić nogę na strychu, ta dłoń, której dotykał, i nogi oraz wspomnienie, czarna kępka na środku pod fartuchem, była naga, pod fartuchem była całkowicie naga, poczuł uderzenie gorąca, ich spojrzenia znowu się spotkały i było to jak potężne oparzenie, pożar, lato, pustoszące łoże z suchej słomy, gdzie, łącząc się w gwałtownym uścisku, zaspokajali bez słowa swoje szaleńcze pragnienia.

19

Zrobiłem to, to niemożliwe, pomyślał Naczelnny Inżynier.

Julian Morel nie żyje, umarł na dobre! Wszystko skończone! Miał ochotę zedrzeć z siebie skórę, taki sprawiała mu ból, i wydłubać sobie oczy, bo nie chciał widzieć siebie samego, jak płacze. Naprzeciw niego gruby typ, wystraszony, chował się za swoją gazetą.

Przemowa Hitlera o sztuce

Naczelnny Inżynier Morel miał ten wytłuszczony grubym drukiem tytuł przed oczami, pochylił się zatem do przodu, by móc przeczytać artykuł i w ten sposób uspokoić rozpalone myśli, poskromić rozbiegane spojrzenie, zapomnieć...

W Monachium, gdzie odbył się Dzień Sztuki Niemieckiej, Fuhrer wygłosił wczoraj mowę o prawach i powinnościach państwa wobec sztuk pięknych, w której zarzucił rządowi cesarstwa poważne zaniedbania na tym polu. „Jest oczywiste”, stwierdził, „z grubsza rzecz ujmując, że epoki wielkich rewolucji politycznych pozostawiają ślad również w sztuce, która musi się podporządkować przewodniej idei. Trzeba stworzyć sztukę wychodzącą od życia narodu nawet za cenę interwencji ze strony państwa. Ostatnie stulecie nie stanęło na wysokości zadania. Niemcy, które utworzyły Rzeszę w 1870 roku, miały dużą polityczną siłę. Z punktu widzenia etnicznego i rasowego ogra-

-103-

nieżyty się jednak w sztuce do biernej obserwacji tego, czego na jej polu dokonywano.

..., „Sztuka przestała być przywilejem gruźliczych estetów”, stwierdził Fiihrer.

Według niego obecna wystawa sztuki współczesnej ukazuje postęp w tej

dziedzinie. Wyraził nadzieję, że artystów coraz częściej będą inspirować wielkie osiągnięcia III Rzeszy. Jego przemowa została zwieńczona zapowiedzią wybudowania drugiego centrum sztuki niemieckiej, które zostanie wzniesione w Monachium. Co więcej — Fiihrer zamierza wydać niezwłocznie broszurę poświęconą sztuce i architekturze. To będzie jego pierwsza książka od czasów Mein Kampf. Píše w niej o swojej decyzji wzniesienia ogromnego pałacu...

Wznieść ogromny pałac... jak w bajkach. Ogromny pałac z wielką komnatą w środku, w której odrażający potwór pożera dzieci. Pociąg unosił Juliana Morela w stronę granicy, tam gdzie zdążyło się już rozpętać szaleństwo, dokładnie tam, gdzie przygotowywano już glebę pod cmentarzysko.

—Oto — powiedział sobie — dołączam do nieszczęścia świata — i pożałował, że nie wierzy w Boga, tak bardzo pragnął się modlić.

Nie miał jednak poczucia, że popełnił jakiś błąd. To wydarzyło się tak, jak wydarzają się trzęsienia ziemi i burze. A czy świat, czy świat popełnił jakiś błąd?

Fala nas porywa i wyrzuca na brzeg, nie jestem przecież skałą — pomyślał, cóż można poradzić na szal morza, gdy jest się jedynie garścią piasku?

—Dosyć, dosyć — wyszeptał Morel, który siedział wściekły i łkający. On czy też wąty fragment jego osoby, który wciąż jeszcze żył, siedział na wyściełanej moleskinem ławce pociągu zmierzającego w kierunku Metz, podczas gdy w przedziale było gorąco, ciągle tak samo gorąco u progu tego pięknego letniego wieczoru, a przerażeni pasażerowie nie śmieli podnieść na niego oczu ani napotkać jego spojrzenia.

-104-

To Żydek — pomyślał komiwojażer, ukryty za gazetą. — To widać, tak, tak z całą pewnością, cóż to jest — nie odpowiadać mi na pytania i nosić szalik w samym środku lipca! Powinienem był się domyślić — i ponownie pogрузił się w lekturze „Action francaise”.

Naczelnny Inżynier podniósł się i przepraszając, wykonał kilka kroków, jakie dzieliły go od korytarza. Rozwiązał szalik, który go uwierał, po czym przygarbiony, jakby na jego ramiona miał dopiero spaść ogromny ciężar, ale jemu już złamał się kark, oparł czoło na grzbietach dłoni kurczowo

ściskających miedzianą poręcz, która biegła przez cały korytarz w połowie wysokości wagonu. W tym momencie spostrzegł, że mankiet jego koszuli wysunął się z rękawa marynarki. Przyjrzał mu się uważnie i dokonał fatalnego odkrycia, że zgubił spinę. Dwie sześciokątne złote blaszki połączone łańcuszkiem, na których było wygrawerowane jego imię. Prezent od Anny. Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, załamany. Wszystkie głosy, obawy, wyrzuty umilkły, niepotrzebne. Cóż bowiem można powiedzieć wobec nieuniknionego? Mógł jedynie przywołać bolesne, niejasne chwile, gdy na poddaszu spełniała się jego namiętność.

Wszystko odbyło się za szybko, zachwiali się i połączyli w kurzu podłogi, Amalia jęczała, sapała, gwałtownie oddychała, otworzyła się na nim jak przejrzały owoc, Amalia naga pod fartuchem, naga pod fartuchem, zupełnie naga!

Julian Morel wzruszył ramionami. Pomału, jakby wracając do siebie, a może raczej jakby wyrwany z siebie samego, przez nawałnicę, która wstrząsała jego umysłem, zderzał się ze zlodowaciałymi wysepkami, które rozdzierają zasłony i rozbijają maski zwykle łagodzące nasze sądy o siebie samych. Wydawało mu się zbyt łatwe oskarżać jakiś mityczny szal zmysłów. Jego ciało nie odczuwało ani wstydu, ani wyrzutów sumienia, nie, chodziło o coś innego. Pociągnęła go jakaś siła, która nie płynęła z ciała, jakaś siła w spojrzeniu Amalii, budząca w jego duszy najbardziej przerażające pytania. To spojrzenie, jakby krótkowzroczne, ale sięgające poza horyzont, gdzie ona, Amalia, która z upływem dni stała się panną wdową,

-105-

celebrowała potajemnie miłość w towarzystwie umierających, to spojrzenie, które wiedziało, co jest na krańcach lądów, na krańcach oceanów, spojrzenie otwierające się na bezbrzeżną noc rzuciła mu ze szczytu drabinki z całą mocą, jednocześnie ofiarowując mu skryte pod fartuchem ciało, gdzie, jak sądził, miłość zapisała wszystko, co wiedzą o niej umarli.

Chciał zejść, zanurzyć się w otchłań pytań, lecz zamknąwszy oczy, pograżył się we własnej nocy. Jego usta zawładnęły ustami Amalii, usłyszał świst, który był jak początek odpowiedzi, i opuścił brzeg, zrozumiał w końcu, że nie ma już odwrotu.

Zaczęło się od nieco kwaśnego zapachu próchniejącego drewna i suchych liści, a potem odnalazł w jej ustach słodko-gorzki smak judejskich winorośli. Amalia o ciele filigranowym i jędrnym oplotła go kończynami,

które były jak żywe pędy. Biodra w biodra, połączyła się z nim jak morze z dziobem pięknego statku, a on powoli, jednak silnymi, gwałtownymi uderzeniami lędźwi wywołał w niej potężne falowanie, które ją porwało. Oboje, jakby na zawsze związani, niepewni celu żeglarze, oddalali się od portu ku nieznanym kontynentom, o których marzyły ich objęcia.

Wkrótce niebo pokryło się postrzępionymi chmurami, które zawisły w oddali niczym szare łachmany. Na zachodzie, nad oceanem, rozciągały się skrawki ciemności poprzecinane spóźnionymi promieniami słońca. Amalia zaczęła jęczeć, skarżyła się, jak skarży się kadłub statku, kiedy nękany przez morze drga i w końcu obiera przeciwny kurs, by się nie rozłamać. Jej śpiew stawał się coraz bardziej przejmujący, gromki i donośny, jakby udzieliła ludzkiego głosu podmuchom wiatru, a głos ten rozpadał się na kolejne tysięczne, tworząc potężny chór; nieprawdopodobne wycie niesione falami oceanu. Tymczasem Julian Morel, jakby nieobecny, mocnymi, jednostajnymi ruchami lędźwi popychał ich barkę do przodu.

Powietrze, woda, piana, światło, wiatr, gnane tyloma głosami, zmieszały się wkrótce w gęstą materię, pochłanianą przez chaos zmysłów i dźwięków, w którym ich zlepione ciała, jakby skamie-

-106-

niałe na dźwięk pięknego głosu Amalii, trwały teraz nieruchomo, zawieszane w tym nieokreślonym punkcie świata, gdzie słyhać śpiew umarłych.

Wówczas Julian Morel otworzył oczy i niczym Ulisses ujrzał, jak „wnet z Erebu się zbiegły / Dusze posepnych umrzyków: wyległy oblubienice, / Junaki i umęczeni zeszli się wraz staruszkowie. / Przyszły dziewczeczki, jak pąki, ze świeżą w sercach żałobą — / A którzy w boju Aresa padli od mieczów spizowych, / Wojowie cni — z ujuszoną zbroicą — ćmą przybieżali”*

Kiedy Amalia Krienbull i Julian Morel trwali tak w absolutnym bezruchu, przygwożdżeni do siebie, na podłodze strychu, ich przygoda okazała się fatalna, gwałtowny poryw bowiem, jakiemu ulegli, i prawdziwe wstrząsy, w jakie wprawili podłogę, oraz pospólne pchnięcia niczym strugiem w komin — za wysoki i pochylający się już nad dachem instytutu — były katastrofalne w skutkach dla murarskiej roboty, która, jak wiemy, trzy lata wcześniej miała stanowić jedynie prowizoryczne umocnienie, toteż częste mrozy ostatniej zimy, o wiele silniejsze niż w latach poprzednich, ostatecznie ją nadwerężyły. Tak oto ich orgazm nabrał

cech kataklizmu, ponieważ wspólny krzyk — a trzeba to powiedzieć, krzyczeli — został zagłuszony hukiem gwałtowniejszym niż uderzenie pioruna w tej dokładnie chwili, gdy pod wpływem ich ostatnich drgnień komin się zawalał.

W korytarzu pociągu Naczelnny Inżynier Morel, prostując się, otworzył oczy.

Jeżeli nie jestem martwy, umrę — pomyślał. — Wycisnęła na mnie swoje piętno.

Ale był o wiele spokojniejszy, a nawet zrezygnowany. Przyłożył obie ręce do twarzy, zmrużył oczy, przetaił je niczym wyrwany ze zbyt krótkiego snu i wrócił do przedziału.

* Homer, *Odyseja*, przeł. Józef Wittlin (przyp. tłum.).

-107-

Komiwojażer prowadził ożywioną rozmowę z dystyngowaną damą, która, w kapeluszu przybranym kwiatami, siedziała wyprostowana, pod oknem wychodzącym na peron. Mówił do niej, wymachując rękami, rozparł się na siedzeniu, by czuć się swobodnie, jedną nogę wyciągnął przed siebie, tarasując przejście pomiędzy ławkami. Zdawał się nie zauważać obecności Naczelnego Inżyniera, który chciał z powrotem usiąść na swoim miejscu. Ten odczekał więc kilka chwil, aż gruby mężczyzna skończy przemowę, podrapał się w szyję i przepraszając, spytał z uśmiechem, czy może go przepuścić. Gruby podróżny odwrócił się w jego stronę, zmierzył go wzrokiem, skrzywił się i nie zmieniawszy pozycji, wrócił do rozmowy.

—Przepraszam pana — powtórzył grzecznie inżynier, który był jeszcze nazbyt pogrążony we własnych myślach, by mogło go urazić grubiaństwo pasażera — chciałbym usiąść na swoim miejscu.

Gruby mężczyzna znów się ku niemu odwrócił z twarzą wykrzywioną grymasem. Atmosfera w przedziale stawała się coraz bardziej napięta.

- Swoim miejscu? A jest tu dla pana jakieś miejsce? — zapytał, śmiejąc się głupkowato, po czym pociągnął bardzo głośno trzy lub cztery razy nosem i dorzucił, zwracając się do dystyngowanej damy: — Nie wydaje się pani, że śmierdzi tu Żydem?

- Wydaje mi się, że śmierdzi tu przede wszystkim stopami — odpowiedział Julian Morel, patrząc na wytartą skórę butów grubego podróżnego. — A dla pana wiadomości: nazywam się Morel i nie jestem Żydem!

Natychmiast zrobiło mu się wstyd i poczuł się godny pożałowania. On, Julian Morel, zdradził swoje idee, zdradził siebie! Poczerwieniał, dłuższą chwilę trwał bez ruchu, nie wiedział, co by tu jeszcze dodać. Czy należało uderzyć tego człowieka, pokazać mu dokumenty, zawstydzić go, ośmieszyć, udowadniając, że nie jest Żydem? Czy takie zaprzeczenie, takie wyznanie, że nie chce być brany za Żyda, nie byłoby jeszcze gorsze? Zacisnął gwałtownie dłonie i w tej samej chwili wyczytał strach w oczach grubego komiwo-

-108-

jażera, więc powoli, wzruszając ramionami, jakby niechętnie, bez słowa, odwrócił się i odszedł w kierunku korytarza. Wydawało mu się, że odzyskał w ten sposób trochę utraconej godności, ale zamykając za sobą drzwi, usłyszał jeszcze grubego podróżnego, który mówił do dystygowanej damy:

— Wszyscy tacy sami, uchodzi z nich powietrze jak z dziurawych pecherzy! Z Żydkami, proszę pani, to ja już umiem rozmawiać!

Nie było odwrotu.

Z pewnością dlatego, że został draśnięty ponurą wizją nicości, w chwili gdy jego ciało musiało się rozłączyć z ciałem Amalii Krien-bull, i od tej pory wydawało mu się, że jest skazany, by żyć wśród ruin tego, co przeszłe, z pewnością także dlatego, że czuł w sobie narastającą chęć, by uderzyć, chęć równie wielką jak jego bezsilność wobec poniżenia, które musiał ścierpieć ze strony grubego podróżnego, a nawet pomimo że, podobnie jak inni, którzy podzielali jego poglądy, dał się „tchórzliwie uspokoić” traktatami monachijskimi podpisanymi we wrześniu ubiegłego roku i uparcie wierzył w pokój — po raz pierwszy zrozumiał bez cienia wątpliwości, że wojna jest nieunikniona, że zdevastuje świat, on zaś jej nie przeżyje.

I tak jechał Naczelnny Inżynier Morel, odruchowo skubiąc puste miejsce po spince od lewego mankietu i kołysząc się w rytm pociągu. Jechał via Nancy, Metz i Thionville na budowę usytuowaną na Linii Maginota, tuż za Soetrich, gdzie wypróbowywał nowy system obrony.

W pociągu, cokolwiek zbity z tropu, odkrył, że do tej pory pracował nad tym systemem jak nad czystą abstrakcją, co dawało mu przyjemność wynajdywania eleganckich rozwiązań, jakich domagały się wytrawne problemy logiczne. Nigdy nie wyobrażał sobie, że jego praca może się zderzyć z rzeczywistością wojny ani że równania, które wymyślał, zostaną zapisane krwią.

Wojna!

Na wojnie Gruby Joe zabił niezmiernie wielu wrogów. W zasadzie tego nie chciał, robił wszystko, by uniknąć zabijania, jednak czasami wrogowie okrażali go, a byli pośród nich przeciwnicy bardzo niegodziwi, co zdradzała krwiożerczość ich spojrzeń; w oczach tych ludzi tliły się błyski czerwiejsze niż u innych. Z nich nie można było uczynić jeńców, należało ich zabić. Z duszą na ramieniu zatem, płacząc i przeprasząc stokrotnie, zagłębiał szpadę w ich ciałach albo — bardziej delikatnie, to była jego ulubiona metoda — skakał im do gardła i skręcał szyję tak, jak to czyniła krzepka Mme Yvonne z królikami. Następnie zaś podobnie obdzierał ich ze skóry i patroszył. Wahał się przez chwilę, czy ich nie zjeść, było to pytanie natury moralnej, które go bardzo zajmowało i nad którym często deliberował. Z zasady nie należało jeść wrogów, jeżeli wcześniej zostali poćwiartowani, ani handlować ich skórą z pustynnymi nomadami, to było zabronione. Zdarzało się jednak, że do głosu dochodziła siła wyższa. Przypomniawszy sobie, jak pewnego dnia, kiedy miał już umrzeć z głodu, ustąpił i, znów z duszą na ramieniu, płacząc i przeprasząc stokrotnie, zjadł wroga o czerwonych oczach.

Tego dnia zwymiotował kromkę z masłem, którą dała mu Mme Yvonne na podwieczorek.

Wojna... tak, to był jego chleb powszedni, o każdej porze dnia i nocy wrogowie mogli znowu wkroczyć, drzwiami, oknami, kominem czy tajemnymi przejściami z Przeklętego Zamku, czyli starych

-110-

przybudówek na końcu ogrodu, tam gdzie znajdowały się klatki królików, kurnik, narzędzia, rozwalająca się szklarnia, garaż ze starym voisinem 1925, pokoje Amalii i Mme Yvonne, a także strych, zamknięty i pełen jeszcze innych potwornych dziwów. Czasami jednak Gruby Joe był zmęczony wojną i tym wiecznym poczuciem zagrożenia ze strony wrogów. Tak, zabił kilku, a nawet zjadł jednego czy dwóch. Ale nigdy nie sprzedał ich skóry ani nie miażdżył chrabąszczy w ich oczodołach, i w końcu to nie on zaczął tę wojnę!

Teraz odpoczywał na kanapie w ciemnym salonie wielkiego domu. Signora Anna dawno już sobie poszła, był sam, zadowolony, że nikogo nie ma, to była jego pierwsza wojenna rana. Okazja, by poprosić o

zawieszenie broni. Ale w Przeklętym Zamku z pewnością nie przyjmą tego od razu życzliwie, będzie musiał udać się tam i negocjować na miejscu, albo też — to będzie dla nich prawdziwy zaszczyt — wysłać im Krocionoga z poselstwem, otóż to! To był prześwietny, wspaniały pomysł! Jeśli oczywiście nic mu się nie stało, w końcu to dziwne. Krocionóg powinien już tu być i lizać mu twarz. Gruby Joe przekreślił się na kanapie.

— O Boże! Jakie by to było potworne, straszne, gdyby zginął!

Stracić najlepszego i jedynego przyjaciela, towarzysza broni i zabaw, nie ma nic gorszego pod słońcem.

Nic gorszego. Gruby Joe często próbował sobie to wyobrazić, jakby chciał zażegnać bądź przygotować się na przeraźliwy, okrutny smutek, jaki go ogarnie w tym momencie. W wyobraźni najpierw pojawiała się żelazo rozpalone w ogniu, które drażyło mu ogromną dziurę w żołądku, tak wielką i tak głęboką, że nie sposób było objąć jej wzrokiem i zobaczyć dno. W tej dziurze chroniły się wszystkie smutki świata, by płakać, wszystkie nieszczęsne śmierci, przede wszystkim śmierci dzieci, po jej ściankach płynęły strumieniem słone łzy, a było ich tyle, że tworzyły morze. Tak, Gruby Joe naprawdę przewidział dotkliwe cierpienie, jakie to wywoła. Potem, w jego wyobraźni, na cmentarną ścieżkę spadał ulewny deszcz, a kondukt w oparach kadzideł sunął ponuro, albo też on

-111-

sam stał w świetlnym kręgu nieubłaganego słońca. Zawsze jednak trzymał się prosto, przeciwstawiając się żywiołom, wodzie czy ogniewi, wszyscy na niego patrzyli, a on był naprawdę bardzo godny i piękny w swoim cierpieniu, kiedy tak ubrany na czarno szedł pośród słonych fal płynących z dziury żołądka, niosąc w ramionach zwłoki.

To, co byłoby piękne, a nawet bardzo piękne — pomyślał, obracając się kolejny raz na kanapie, ponieważ był zbyt podekscytowany, by zasnąć i odpocząć — to, co byłoby piękne, to że stałbym się zimny i twardy niczym gład i że czuwałbym niewzruszony sześć czy siedem nocy nad grobem, nie wykonując ani jednego ruchu, ani jednego gestu, z Krocionogiem w ramionach. A na koniec zemdlałbym, uważając, by Krocionóg wpadł do dziury, a ja obok niej, i wtedy signora Anna pospieszyłaby, żeby mnie przytulić, dokładnie tak jak przed chwilą, i w ogóle byłoby tak samo, wszyscy staliby dookoła w pizamach i koszulach nocnych, i patrzyliby w taki sam sposób, a ja powiedziałbym jej, wciąż spokojny, godny i zimny niczym gład: „Niech mama się nie zbliża, wszystko straciłem, mój ból jest zbyt wielki i wiem, że mama mnie nie

kocha".

I wszyscy dookoła skinęliby głowami w straszliwym milczeniu. Wtedy ona wreszcie padłaby na kolana, płakałaby, prosiłaby o wybaczenie, a on mógłby ją podnieść, podnieść i ucałować, i pokazać wszystkim, że jej wybacza, byłby wielki...

To naprawdę było piękne, tak piękne, że Gruby Joe głęboko się wzruszył i nawet trochę zachciało mu się płakać.

Nazajutrz obudził się ze spuchniętymi oczami, przez całą noc śniły mu się piękne i smutne historie.

Kiedy Eli ogrodnik zaanonsował mu śmierć Krocionoga, nie zmartwił się już tak bardzo. A poza tym ogród był pusty, nie było nikogo, kto mógłby podziwiać jego cierpienie. Jednak żałował, że nie płacze, i spytał Eliego, czy można by urządzić pogrzeb. Eli odpowiedział, że na nieszczęście ostatniej nocy wydarzył się, inny zgon, biedna Mme Lublin, będzie bardzo zajęty, bo mimo wszystko

-112-

ludzie są ważniejsi od psów, ale zrobi, co w jego mocy, kiedy wróci późnym wieczorem, przyjdzie po niego, jeżeli nie boi się uczestniczyć w pogrzebie nocą.

Cały dzień Gruby Joe ćwiczył się w smutku, próbował myśleć o najbardziej makabrycznych i najbardziej bolesnych rzeczach, ale nie za bardzo mu to wychodziło, nie mógł się powstrzymać od głupkowatego śmiechu. I w miarę jak czas upływał, miał do siebie coraz większe pretensje, gdzieś w środku popołudnia nienawidził siebie bardziej niż wroga, mógłby siebie zabić. Oczywiście, będzie tylko Eli i on, skoro pogrzeb odbędzie się w nocy, nikt niczego nie zobaczy, więc czy naprawdę warto się wysilać, by wywołać w sobie smutek? W końcu Krocionóg był tylko psem...

Krocionóg psem... Był jego synem, tak, właśnie, a nawet więcej niż synem, przyjacielem, jego jedynym przyjacielem! Czy on, Gruby Joe, ma okazać się jeszcze gorszy od swojej matki, signory Anny? Czy nie wyleje nawet jednej łzy nad trupem swojego dziecka? Ona by płakała, z pewnością by płakała, to zresztą niczego nie dowodzi, jednakże on, który kochał Krocionoga najprawdziej, absolutnie powinien mieć ochotę wylać chociaż jedną małą łzę, choćby tylko po to, by móc sobie powiedzieć, że powstrzymał się od płaczu. Postanowił się uciec do ostatecznych środków.

Gruby Joe z trudem pokuśtykał w stronę Przeklętego Zamku. Dookoła panował spokój, nie było widać żadnego wroga, a wielki voisin 1925, wykładany skórą, pozostałość po dawnej świetności, spał w garażu. Oczywiście wiedział, że nie wolno tu wchodzić ze względu na strych, ale dziś zrobił to wyjątkowo, zresztą nie był to pierwszy raz. Na końcu, po prawej stronie znajdowała się gipsowa ściana. To tutaj oskrobywał gips kawałkami szkła, by zrobić z niego zakazaną krede — wystarczyło otrzymać pewną ilość pudru i na-pluć na niego, aż powstanie grudkowata masa, toczyło się ją między palcami, a później, kiedy była już sucha, kreśliło się nią rysunki i słowa, które były tym bardziej płomienne, że pochodziły ze ściany znajdującej się na wzbronionym terenie. Zabrał z sobą kawałek szkła, wystarczająco spiczasty i ostry.

-113-

— Tym sprawię sobie taki ból, że aż będę płakać, zobaczysz — powiedział do tego w sobie, który nie przestawał chichotać.

Zrobił już dziurę w kieszeni i szykował się, by pociąć sobie udo, gdy nad głową usłyszał ciężkie odgłosy kroków, którym towarzyszył przeciągły, dziwny jęk. Serce zaczęło mu bić mocniej, chciał uciekać, jak najszybciej uciekać, ale z unieruchomioną kostką było to niemożliwe, czuł się jak szczur w klatce, zaraz go zapytają, co tutaj robi, dlaczego podsłuchuje, czego szuka, czego chce się dowiedzieć. Nikt mu nie uwierzy, że przyszedł tu tylko po to, by popłakać. Naprzeciw niego znajdowały się drzwiczki, prowadzące do toczonych przez korniki schodków, które wiodły na strych. Grożono mu na wszelkie sposoby i obiecywano najpotworniejsze okropności, gdyby kiedykolwiek wpadł na szatański pomysł, by wejść na ten przeklęty strych, czy nawet znaleźć się w pobliżu tych przeklętych drzwi, zawsze mu powtarzano, że nie wolno wchodzić do garażu i że jeżeli ktoś go tam znajdzie, kara będzie straszliwa! Ciągłe ponad jego głową słychać było jęk coraz donośniejszy, a potem odgłosy lekkich kroków, które teraz schodziły ze schodów.

Był przyparty do muru.

Przerażony, sparaliżowany, ukrył się za dużym voisinem 1925. Drzwi się otworzyły. Gruby Joe wstrzymał oddech.

Zobaczył swoją matkę, wydawała się poruszona, podobnie jak wczoraj, ale jeszcze bardziej smutna. Przeszła obok samochodu i oddaliła się, wcale go nie dostrzegłszy; w stanie, w jakim się znajdowała, nie zauważyłaby go nawet, gdyby otworzył jej drzwi. Jęk zmienił się w wycie opuszczonego psa, potem zapadła cisza, kolejny dzień lata, taki jak wczoraj.

Oślepiiony słońcem, Gruby Joe wygramolił się z garażu, kulejąc. Jak najszybciej schronił się w cieniu wielkiego krzaku. W rękę ciągle miał odłamek szkła. I wszędzie było pełno krwi. Rozczapierzył palce, wspaniała rana, i nawet nic nie poczuł. Rozległ się dźwięk dzwonka, godzina podwieczorku, Mme Yvonne go wołała. Dobrze się złożyło, ponieważ odczuwał już głód, ale jak to zrobić, by nie pokazać rany, chciał ją zachować do wieczoru, na pogrzeb Krocio-

-114-

noga, krwawiącą. Wystarczyło nie wyjmować ręki z kieszeni, co prawda to była prawa ręka, ale dobrze, powie jej, że jest martwa, Mme Yvonne wzruszy ramionami i nie będzie nalegać.

Usiadł w kuchni za wielkim drewnianym stołem, na którym piętrzyły się już sterty talerzy, skaleczoną rękę przycisnął do uda pod blatem, a lewą ręką chwycił szklanekę mleka.

- Zgubiłeś gdzieś prawą rękę? — zapytała Mme Yvonne, tak jak się tego spodziewał.

- Tak, zginęła, na wojnie — zamruczał pod nosem.

A ona znów, tak jak się tego spodziewał, westchnęła, pokiwała głową i nic więcej nie dodała. Dwie minuty później Gruby Joe snuł się triumfujący po ogrodzie, przeżuując jeszcze spory kawałek chleba.

Słońce już zachodziło, kiedy Eli po niego przyszedł. Położył psa na taczce. Gruby Joe nie rozpoznał go w pierwszej chwili z powodu kamienia, do którego wciąż był przylepiony. Nie pachniał zbyt ładnie.

- Już jest w kamieniu — powiedział Gruby Joe.

- Tak — odpowiedział po prostu Eli.

- A skąd się wziął ten kamień?

- Piorun! Z całą pewnością piorun musiał uderzyć w komin. Komin się zawalił, a ten wielki kamień uderzył go w plecy. Kiedy pomyślę, że to mogłeś być ty! Zdajesz sobie sprawę? Gdybyś nie wpadł w dziurę w ziemi, gdybyś nie skręcił kostki, znalazłbyś się na miejscu tego psa!

Ogrodnik Eli uległ swojej dobrze znanej pasji rozważania rozmaitych kombinacji przypadku, które dzięki szczególnemu powiązaniu okoliczności sprawiają, że człowiek unika pewnej śmierci, i wydało mu się, że przestraszył chłopca, ponieważ ten poblądł i zamilkł.

— Nie, z całą pewnością nie, nikt go nie zabił! — odpowiedział tamten tak stanowczo, że niepokój starca się rozwiął, ale kiedy szli tak dalej w milczeniu, Eliego dopadło jakieś dziwne uczucie, które nie przestało go niepokoić. Skąd takie dziecko może coś wiedzieć

o przeznaczeniu?

-115-

Gruby Joe natomiast nie odczuwał żadnego niepokoju, jego rozumowanie było przejrzyste. Gdyby nie wpadł w dziurę w ziemi, nigdy by się nie zranił, nigdy więc by nie krzyczał: „Niech piorun strzeli w tego czarnego demona!” by bronić się przed atakami swojego psa, a w konsekwencji piorun nie uderzyłby w komin i nie byłoby kamienia, który mógł zmiażdżyć jego, Krocionoga, kogokolwiek...

Okrążyli Przekłęty Zamek i doszli do ogródka warzywnego, który minęli, by dotrzeć do miejsca najbardziej oddalonego od posiadłości. Było to coś na kształt piaszczystej łąki, która łagodnie opadała w dół doliny, pokryta skałami ledwie wystającymi z ziemi, spłaszczonymi, żłobionymi i odcinającymi się od piasku niczym wyspy na mapie. Tu i ówdzie skały były nieco wyższe, wyrzeźbione przez wiatr; niczym strażnicy wieczności wznosiły swoje dziwaczne i schorowane sylwetki. Osada duchów, chciałoby się powiedzieć, skamieniałe szczątki wędrownego plemienia, zatrzymanego jakimś zrzędzeniem nieba i na zawsze unieruchomionego w oczekiwaniu na ziszczenie się czegoś stale odwlekanego. To były Żywe Kamienie, osobliwość natury; ów teren dał niegdyś imię wielkiemu domowi, a dzisiaj wszyscy go nazywali Ogrodem Bruna, gdyż tu spędzał swoje najpogodniejsze godziny.

Eli, który miał zmysł ceremonii i szanował dziecięce terytoria, zatrzymał się i dał znak chłopcu, by ten ruszył przed nim. Po chwili wahania Gruby Joe wyznaczył miejsce niedaleko małej płaskiej skały i Eli zaczął kopać. Słońce zniknęło, zostawiając po sobie piękne światło zmierzchu. Gruby Joe otworzył kilkakrotnie prawą rękę w kieszeni, poruszył palcami, zagłębił paznokcie w ranie. Bolało, ale musiał to uczynić dla Krocionoga, to było ich ostatnie pożegnanie. Był wzruszony, kiedy poczuł wreszcie w zagłębieniu dłoni strużkę lepkiej i ciepłej krwi.

W tym samym momencie zza drzew, od strony Przekłętego Zamku, dobiegły go niezbyt głośne, jednak długie i uporczywe jęki, które przypominały nieco te, jakie słyszał po południu w garażu. Eli wziął wielki kamień, do którego był przylepiony Krocionóg, i wrzucił go do dziury. Jęki stawały się coraz głośniejsze, niepokojące.

-116-

Teraz Eli wydawał się zniecierpliwiony, zasypywał dziurę i patrzył na chłopca. Zapadła już prawie noc, a Gruby Joe był smutny, naprawdę

smutny, czuł ból, a w dodatku się bał. Jęki, które słyszał, były przerażające, gorsze niż jakikolwiek odłamek szkła, gorsze niż jakakolwiek rana.

- Coś nie tak? — zapytał Eli.

- Nie, nie wiem, proszę powiedzieć, co to jest, panie Eli, te krzyki, które słychać?

- To nie są krzyki, Bruno, to wiatr — Eli nie lubił kłamać, ale w niektórych okolicznościach trudno postąpić inaczej.

- Aaa, wiatr... — odpowiedział Gruby Joe.

Na dnie doliny zapadła już noc, Gruby Joe dostrzegł światła wozu, które rysowały arabeski na niebie, podczas gdy samochód atakował pierwsze serpentyny wąskiej dróżki, wznoszącej się ku domowi. Naczelnym Inżynierem Morelem często przyjeżdżał późnym wieczorem. Czyżby to on już wracał?

Wiatr wył teraz potężnie i Gruby Joe miał ochotę zatkać sobie uszy albo także wyć, wyć jeszcze mocniej niż wiatr! Ale nie powinien wykrzyknąć tego, na co miał ochotę, to było zbyt niebezpieczne. Dlaczego myślał tak dużo o Inżynierze, dlaczego? Powstrzymywał się jak mógł, ale wiatr go nie opuszczał. To wiatr szeptał mu potworność, którą miał wykrzyknąć. Ale nie, Gruby Joe nie będzie krzyczał, choćby z powodu Krocionoga i pioruna, nie trzeba, właśnie dlatego, że krzyczał, to się wydarzyło! To się wydarzyło! Nie, nigdy tego nie wykrzyczy! Nigdy!

Eli patrzył na niego, wstrząśnięty. Chłopiec był zgięty wpół, wydawał się bliski konwulsji, chciał sobie zamknąć ręką usta, dłoń przyłożył do twarzy, palce zacisnął wokół ust, leciała z nich krew, całe usta pokryte były krwią, i te nieprawdopodobne krzyki, które dobiegały ze strychu, stawały się nie do zniesienia, huk burzy ginący w przełękłej naturze, potężna siła wymiatająca wszystko ze swej I drogi. Nagle wszystko ucichło. Czuć tylko było lekki podmuch, delikatną wieczorną bryzę.

Wówczas, w ciszy, Gruby Joe usłyszał, jak powtarza powoli słowa, które wykrzyknął mu wiatr:

— Trzeba zabić Naczelnego Inżyniera Morela, trzeba go zabić...

To wyszło z jego ust wbrew niemu samemu, przeciekło mu przez palce, mieszając się z krwią, a słowa te były niczym robaki mrowiące się złowieszczą w padlinie.

Eli rzucił ostatnią łopatę ziemi na grób psa i udawał, że nie słyszy.

Nie należało nic mówić, przede wszystkim nic nie mówić; chłopak

spoglądał na niego, cały umazany krwią. Objął go. Nieruchomi i zjednoczeni w nagłej ciszy wieczoru, stali w skupieniu nad grobem psa. Można powiedzieć: książkowy obrazek, starzec i dziecko.

— Chodź — powiedział łagodnie Eli.

Gruby Joe dał się poprowadzić bezwolnie z powrotem.

Podążali teraz alejką, która wiodła aż do ganku wielkiego domu. Eli z łopata na ramieniu, zamyślony i spoglądający ukradkiem na dziecko, które kulało u jego boku, trochę udając ból, jaki mu sprawiała zagipsowana kostka.

Dziecko krzyknęło: „Trzeba zabić Naczelnego Inżyniera Morela!” Krzyknęło to i krew wylała się z jego buzi.

Oczywiście to nie wiatr mu to podszeptał, to nie wiatr, głuchy Eli słyszał bardzo dobrze, zbyt dobrze. Wiedział, skąd dochodziły krzyki, to także wiedział bardzo dobrze.

— Pokaż mi swoją rękę — powiedział nagle, przystając.

Gruby Joe zawahał się, po czym niechętnie zgodził się wyciągnąć prawą dłoń.

Eli odkrył z ulgą lekkie nacięcie, które otworzyło się w zagłębieniu dłoni.

Krew pociekła z ręki, nie z buzi, nie pluł krwią...

- Jak to sobie zrobiłeś?

- Upadłem — odpowiedział szybko Gruby Joe — na kawałki potłuczonego szkła...

- Pokażesz to Mme Yvonne, żeby ci to zdezynfekowała... trzeba uważać, jeżeli dostała się tam ziemia... możesz złapać jakąś przykrą chorobę.

-118-

Gruby Joe pomyślał, że byłoby bardzo dobrze złapać jakąś przykrą chorobę, a nawet że z całą pewnością już ją ma, tak bardzo źle się czuje, i że Mme Yvonne przemyje mu ranę tym, co tak potwornie szczypie, więc na pewno do niej nie pójdzie, co to, to nie. Tymczasem pokiwał głową, żeby powiedzieć, że owszem, pójdzie, że zrozumiał bardzo dobrze.

Rozstali się przed gankiem. Eli schował łopatę w komórce na narzędzia, po czym udał się do pokoju, pogrążając się we własnych myślach.

W powietrzu czuć było drżenie. Jego ciało, stare, sęcate, popekane i wypolerowane niczym drzewo oliwne, zareagowało najpierw. Delikatne klucie i mrowienie powoli wnikały między włókna jego członków i podchodziły do splotu słonecznego, tworząc fale zwiastujące gwałtowne

wstrząsy.

Za dużo znaków — pomyślał Eli, wyciągając się na swoim łóżku.

Teraźniejszość wracała do swoich złych nawyków, okradała przeszłość. Złodziejka grobów odgrzebywała stare historie: śmierć Krocionoga obudziła dawną postać psa i jego cień powrócił, by unosić się nad wielkim domem, bo przecież widział, to nie było urojenie, Giulianiego, profesora Tommasa Giulianiego, który stał wyprostowany na dachu garażu, gestykulował i pokrzykiwał, tak, samego profesora, a nie widziano go już siedem lat. Wychynął ze swojego strychu, tak, wyszedł ze swojej kryjówki, by wykrzyczeć na otwartej przestrzeni całą swoją nienawiść, tak, siedem lat później, nienawiść do Naczelnego Inżyniera Morela. On, Eli, widział, kopiąc grób dla małego czarnego pieska zmienionego w gargulca, słyszał i widział sylwetkę ducha wyraźnie rysującą się między drzewami na poczerwieniałym zmierzchem niebie. I cuchnący oddech widma zanieczyścił wąty podmuch powietrza pragnieniem morderstwa, przepęłnił go i nasycił przekleństwem i obelgą. A wiatr, sam poobijany, wyszeptał w nagłej wściekłości nienawiść i cierpienie zjawy do uszu jej syna.

21

Jego pokój jest wysoki i biały, całkiem biały, pobielany wapnem, jak z innego świata, innego klimatu, innego czasu. Jego czas należy do południowego słońca, kiedy nie ma cienia, a wszystko wydaje się na zawsze unieruchomione.

Fala światła wlewała się przez uchyloną lukarnę w dachu i unosiła z podłogi obłoki tęczowego kurzu. Tommaso Giuliani stał w cieniu między skosem mansardy a świetlnym stożkiem pyłu. Po drugiej stronie światła znajdowała się Anna. Ona także stała w cieniu, mówiła, mówiła, ale jej nie słyszał. Od czasu do czasu wyrzucała dłoń ku rozświetlonym pyłkom, jasną jak rażący kamień, którym mu rzucała w twarz. Kiedy ją cofała, obłok kurzu wypełniał przestrzeń, jaką jej gest wydrażył w świetlistym słupie.

Tommaso Giuliani widział, jak poruszają się jej wargi, jak jej szczęki przeżuwiają powietrze, deformując twarz, tak śliczną. Dźwięki już do niego nie docierały, obserwował jej nos, który robił się duży lub mały w zależności od tego, czy wysuwała głowę, czy ją cofała. Widział, jak się kręci, żeby powiedzieć wszystko to, co ma do powiedzenia.

Ponieważ nic nie słyszał, patrzył na jej ciało. Ciało Anny także mówiło,

falowało w tym samym rytmie co jej głowa, to się ofiarowywało, to znów się wzbraniało, ofiarowywało się i znów się wzbraniało...

Piersi Anny, obfite, majestatyczne, wypełniały biały fartuch, zwiewny letni fartuch, unosiły się, by potem opadać powoli — kie-

-120-

dy reszta ciała rzucała się na wszystkie strony — i akcentowały z powagą jej przemowę jak fałdy sędziowskiej togi. A teraz płacze, dlaczego ona płacze?

Jeżeli ona płacze, to on będzie jęczał.

Jęczy.

Usłyszał swoje jęknięcie, to dobrze. Przedłużył je, było długie, mocniejsze, jego usta są dobrym instrumentem, zadźwięczało donośnie, można by powiedzieć: pies, którego opuszczono, tak właśnie, opuściła go jak psa.

Wtedy ona mówi:

— Tommaso, błagam cię, nie jęcz! — Wyszeptała to, ledwie szmer zagubiony we łzach, jednak usłyszał.

Czasami więc słyszy, ale nigdy to, co chciałby. Myśli:

— Nie trzeba mnie błagać. Robię to, co robię, ponieważ tak jest napisane. To wszystko.

Wszłuchał się jeszcze raz w piękną skargę psa, jakiego odgrywał, nawet najbardziej nikczemne, najbardziej okrutne zwierzę nie zostałoby porzucone, nie — gdyby tak skamlało.

Ale ona odwraca się i sobie idzie.

A on nie powie nic, będzie skamlał, podczas gdy ona będzie odchodzić, nie uczyni żadnego kroku w jej stronę z powodu światła. Na pewno nie pochłonie go kurz z jej powodu.

Później, po południu, krzyczał: „Anno! Anno! Aanno! Aanno! Aaanno! Aaaanno! Aaaaanno! Aaaaaanno! Aaaaaaanno! Aaaaaaaa... nno! Aaaaaaaa... nno! Aaaaaaaa... nno!”.

W wysokim białym pokoju Tommaso próbował jeszcze raz zaskomleć. Otworzył szeroko usta, by wymówić A, trzymał je tak jak najdłużej, nie biorąc wdechu, aż w końcu nie było słyhać nic, wydobywał z siebie delikatny pomruk, a potem znów nabierał powietrza i wymawiał: „Nno” niczym zbuntowane dziecko. Dawał sobie krótką chwilę wytchnienia i zaczynał od początku, Aaaaaaaa... nno.

Pamięta ją, to straszne, jak ją pamięta.

-121-

To był taki sam sierpniowy wieczór.

Krąży po pokoju. Usiłuje zrobić pełne kółko. Przy każdym okrążeniu zawadza jednak o nogę krzesła, które połamał, kiedy Anna sobie poszła. W tym dokładnie miejscu postanawia wyznaczyć średnicę, przemierza więc pokój. W końcu jakaś prosta, po tyłu okręgach. Teraz może przejść przez środek, bo nie ma już stożka światła. Cień pada po drugiej stronie dachu. Lukarna tworzy zimną przecinkę w niebie. Kiedy Tommaso przechodzi przez środek, idzie prosto. To ważne dla niego, by iść prosto, ponieważ w ten sposób widzi granice swojego terytorium. Drzwi zostały otwarte, mógłby wyjść. Nie trzeba wychodzić przez drzwi, jeszcze nie, to nie jest napisane. Na początek wystarczy trochę więcej przestrzeni. Powiększyć klatkę, myśli sobie. Zaczął przeskakiwać z jednej nogi na drugą. Taniec misia.

Bierze łóżko, ciągnie je i przewraca, wydając z siebie przerażający krzyk, lubi wydawać z siebie krzyki, kiedy stoi tak całkiem wyprostowany i głowę wznosi do góry. Teraz przenosi stolik. Myśli sobie, że jest przynajmniej równie inteligentny jak małpa. To dobrze, kiedy jest się wariatem. Wchodzi na stół, bardzo ostrożnie wdrapuje się na łóżko. Nie jest równie zwinny jak małpa. Może teraz popchnąć lukarnę. Wychodzi, wyszedł.

Serce bije mu mocno. Nie wie, czy zacznie się śmiać, czy wrzeszczeć z przerażenia. Zostaje na dachu, kładzie się i już się nie porusza. Niebo tonie w ciemnym błękicie wieczoru, letniego wieczoru.

Zamyka oczy, odpręża się, dachówki pod nim są gorące. Są twarde, ostre, ranią mu plecy, ale ich ciepło wnika w jego ciało.

To był taki sam sierpniowy wieczór.

Takie samo ciepło w jego ciele piętnaście lat temu.

Jej ręka niczym objęcie rozpalonych kleszczy. Ręka, która napełniała go ciepłym i zbawiennym płynem. Ciężką, gęstą substancją. Pewien nieokreślony stan, bez ruchu i bez trwania, nie tyle bytu, ile egzystencji. Istniał po tym, jak został zredukowany do niczego.

Otworzył oczy.

-122-

Kobieta. To była kobieta, która trzymała go za rękę: Anna! Zaraz za nią malutka dziewczynka. Malutka dziewczynka sprzed chwili. Ta z podróży, tuż sprzed zniknięcia wszystkiego.

Tak oto czas powrócił do jego życia, czy też jego życie powróciło do

czasu. Życie było kobietą, a śmierć była dzieckiem. A pomiędzy nimi: nic. I obydwój stali u jego wezłowia.

To był piękny sen, życie i śmierć jednocześnie.

Chciałby, żeby ten sen przedłużał się w nieskończoność. Ale czas powrócił, a z nim trwanie i koniec.

Pamiętał o końcu, ponieważ Anna powoli rozluźniała swój uścisk, by potem delikatnie ułożyć jego rękę, niczym kruchy przedmiot, na łóżku. Wyprostowała się i odwróciła w stronę małej dziewczynki, która powiedziała dziwnym głosem: „Wszystko skończone”

Potem ani jedna, ani druga nic więcej nie powiedziały i oddaliły się. Znalazł się sam w łagodnym półmroku wieczoru.

Sam, ale tutaj, na dobre tutaj, z ciepłem w sobie, które było jak radość.

Jest na dachu, przeciąga się, widzi, jak wierzchołki drzew kołyszą się na wietrze.

Wietrze wieczornym.

Niedługo zapadnie noc.

Na czworakach spogląda przez lukarnę. Wiatr dmie trochę mocniej, wysokie drzewa zdają się posyłać jakieś znaki. Lepiej by było, gdyby wrócił, jeżeli wiatr zacznie wiać na dobre, wpadnie we wściekłość. Zawsze ma ochotę wiać razem z wiatrem, wydymać się jak on, stać się równie silnym i potężnym, miauczeć i wyć jak on, jeśli wiatr miauczy i wyje, rozszaleć się jak burza, być podmuchem, który pustoszy, huraganem, który wyniszcza i unosi, unosi, unosi wszystko, czego ziemia nie umie zatrzymać.

Tak, lepiej by było, gdyby wrócił do swojej nory.

Prostuje się więc, trzeba uważać, łóżko nie jest zbyt stabilne.

Słyszy jakiś hałas. To gdzieś tam, uderzenie, potem kolejne, po drugiej stronie dachu. Jakby rozstrojony, szwankujący dzwon, który pojękuje. Wspina się w stronę szczytu. Z nogami rozstawio-

-123-

nymi po obu stronach dachu, trzyma się na stojąco. Dobrze być tak wysoko.

Całkiem w dole, daleko, na skraju ogrodu, bliżej doliny, widzi Żywe Kamienie; zachodzące słońce czepia się jeszcze ich fragmentów, wydłuża pokraczne skały nieumiarkowanymi cieniami.

Staruszek Eli kopie dół.

No proszę, jeszcze nie umarł. Pogrzebie nas wszystkich — myśli — zresztą nawet w tej chwili kopie grób.

Obok dziecko i coś w rodzaju kamiennej trumny na tacze.

To było napisane! Teraz, na tej otwartej przestrzeni życie łączy się z pismem! — myśli. — Umarł pies, pies umrze!

Wieje wiatr, wieje i pieści mu skórę.

Pieszczota.

Coś się pali, coś mu się pali pod skórą, ogień wchodzi do środka. Pieszczota wiatru budzi w nim palącą nienawiść. Tommaso zaczyna jęczeć.

Wiatr dmie mocniej, nienawiść rozlewa się po całym ciele Tom-masa. Teraz wyje, jest jak pies wyjący na drugiego psa: Śmierć! Zaszczuć na śmierć tego psa! Niech zdechnie ten pies wygłodzony, ten bękart, trzeba zabić psa Morela!

Wiatr wieje.

Tak zostało napisane! Sam to napisałem!

Trzymając się prosto, stojąc na szczycie dachu z rękami wzniesionymi ku niebu niczym starożytny prorok rzucający klątwy, Tommaso Giuliani krzyczy na wietrze: „Tak jest zapisane w palącym mnie ogniu! Trzeba zabić Naczelnego Inżyniera Morela! Trzeba go zabić!”.

Własny głos go porywa i niemal spada z dachu. Uspokaja się. Znów klęczy, wsparty na rękach. Dyszy. Biała ślina zwisa mu z warg i moczy podbródek.

Wiatr milknie.

Tommaso cały się trzęsie, jeszcze przez chwilę cichutko jęczy.

Pies, biedny pies, wyczerpany, uczepiony żałości dachu. Boi się. Jest noc.

-124-

Czołgając się i drżąc, kieruje się w stronę lukarny.

Żeby zejść do wysokiego białego pokoju, trzeba by raczej być małą, zręczną, gibką, zwawą, a nie starym, ciężkim, niezdarnym i zmęczonym psem. Trzeba się ześliznąć, oprzeć na grzbiecie łóżka, postawić stopę we właściwym miejscu, tuż obok ramy. Opuszcza nogi w lukarnę, jest ciężki, zbyt ciężki, ślepe nogi dyndają, na próżno szukając oparcia. Nie może się utrzymać, ześlizguje się, uderzeniem pięty przewraca łóżko, słysząc hałas żelastwa, zaraz spadnie, upada. Odgłos ciężkiego uderzenia. Odbił się od krawędzi stołu i zwałił na podłogę niczym torba wypełniona ołowiem. Ból w plecach, przeszywający, jak uderzenie kilofem. Nawet nie chce mu się jęczeć, oddycha głośno.

To wszystko nie było napisane, trzeba to będzie napisać, dobrze wie, że

jego życie istnieje jedynie dzięki pisaniu, że teraźniejszość jest tutaj, w pradawnym geście rylca zostawiającego ślady na dziewiczej powierzchni tabliczki, że przeszłość i przyszłość wpisują się w ranę zadawaną glinie.

Ale jest zbyt ciemno, a on nie może zapalić światła, zagarnęłoby go w swoją wiązkę i rozpuściło, trzeba poczekać do rana, poczekać, aż ból przestanie przeszywać mu plecy. Zасыpia na gołej podłodze.

Kiedy się budzi, widzi dzień biały jak kartka papieru, oprawiony w lukarnę. Obok widzi przewrócony stół i łóżko, ułożone na boku tak jak on.

Najwyższy czas — pomyślał. — Trzeba posprzątać i zacząć pisać.

Robi to, co jest do zrobienia. Podnosi stół, stawia łóżko i przysuwa je do ściany. Każda rzecz musi się znaleźć na swoim miejscu.

Kiedy zapisze wydarzenia dnia poprzedniego, wszystko będzie we właściwym porządku, bo to, co się zdarzyło, musi być zapisane, jak jest zapisane to, co musi się zdarzyć. Wie o tym. Żywa materia jest sekwencją liter, kodem zapisanym w każdej z jej cząsteczek. Wie o tym. Nauczyły go tego uderzenia kilofem, które zrobiły z niego marmoladę. Zostawiono go, by umarł na corso Garibaldi.

-125-

Na końcu drogi, na skraju nicości, przeszedł przez samego siebie, zobaczył litery, wielki chaos znaków. Czyjaś ręka wprowadziła porządek.

Anna!

Siada za stołem, bierze kartkę papieru.

Zaczyna pisać i mówi: — Dziś wieczorem nadejdzie koniec.

I jak za każdym razem, gdy zaczyna, kolorowa strużka, która rodzi się z koniuszka pióra, odsyła go do samego początku, jakby pisanie było powrotem do aktu narodzin.

22

Nazywam się Tommaso Giuliani. Zmarłem 24 sierpnia 1924 roku około pierwszej po południu na corso Garibaldi. Wydawało się, że siedem dni później, pod wieczór, zmartwychwstanę. O ile wpołem w siebie przekonanie, że naprawdę umarłem po pobiciu przez bandę faszystów, o tyle nie jestem w pełni przekonany, że powróciłem do życia. To może się wydawać dziwne, ja sam jestem tym zaskoczony, ponieważ jem, piję, mówię, czuję, jest mi ciepło, jest mi zimno, dotykam i śnię jak wszystkie ludzkie istoty, które mnie otaczają. Jednakże nie umiem nazwać życiem tego, co przeżywam. Coś się we mnie zatrzymało. Mam uczucie, że jestem

w zamknięciu i czekam, to czekanie nie ma końca. Zamknięto mnie, śmierć mnie zamknęła w oczekiwaniu, a może to ona zamknęła się we mnie i czeka.

Z mojej śmierci pamiętam bardzo niewiele. Miałem wrażenie, że odbyłem długą podróż. Była mała dziewczynka, potworny bałagan, liczby, słowa, materia, niezrozumiałe zdania. Trudno mi wyrazić uczucia, które we mnie pozostały. To, co czuję, jest sprzeczne. Widziałem siebie jako substancję, bardzo prostą substancję, która zajmuje określone miejsce w kosmosie, trochę jak atom węgla czy wodoru może zajmować miejsce gdzieś w pobliżu Słońca albo komety. Ale nie byłem jedynie substancją, byłem również myślą. Paradoks, który wyklucza jakiegokolwiek wytłumaczenie, polega na tym, że owa myśl była również substancją, o mocy nie większej od siły wodoru czy węgla. Owa myśl, substancja wewnątrz substancji,

-127-

miała również sobie przypisane miejsce. Nie zależała ode mnie, była tym, czym byłem ja, i wszystko to wibrowało i krążyło, uwalniało ciepło i promieniowanie, wchodziło w układy i obroty, które tam, gdzie się znajdowałem, zdawały się nie przynależać do żadnego porządku, nie rządzić się żadnymi innymi prawami niż te, które były generowane przez jej własny chaos. Byłem jednocześnie centrum i peryferią, literą, liczbą, masą, ruchem — połączonymi i zarazem oddzielnymi... Nie ma sensu, bym kontynuował, jakże mógłbym wytłumaczyć coś, co nie mieści się w polu ludzkiego rozumowania.

Wiem, że moje narodziny nastąpiły o zachodzie słońca. Kiedy mówię o narodzinach, myślę o szpitalu San Matteo i o chwili, kiedy odezwało się we mnie coś, co było podobne do życia. Zapomniałem wszystko z czasów, które poprzedzały moją śmierć, kiedy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zdarzyły się moje pierwsze — zwyczajne — narodziny. Ten czas ma dla mnie podobne znaczenie jak dla innych czas, który upływa w matczynym łonie między zapłodnieniem a narodzinami. Urodziłem się w pewnym sensie sierotą. Nie czekał na mnie nikt, kto byłby do mnie podobny, nikt, kto by umarł, zanim się narodził, i kogo mógłbym nazwać ojcem bądź matką, widząc, że są ulepieni z tej samej gliny.

Moim pierwszym odczuciem było gorąco. Wiem, że przybyłem z zimna, by iść ku ciepłu, podczas gdy niemowlęta zwykle przychodzą z ciepła matczynej łona do zimnego świata, który je przyjmuje. Wiem, że to

ciepło wyszło z dłoni Anny, którą często jeszcze czuję gorącą na moim ramieniu.

Kiedy się urodziłem, kobieta i dziewczynka stały u mego wezglowia. Anna i Amalia. Ciepło pochodziło od Anny, Amalia towarzyszyła mi w zimnie. Są jak dwa słupy, które wyznaczają granice mojego świata. Jeżeli Amalia jest częścią tego, co mi pozostało sprzed śmierci i ją uosabia, Anna zaś uosabia życie, to mimo wszystko nie potrafię rozpoznać, która z nich dwóch oznacza początek, a która oznacza koniec.

Zazwyczaj życie jest na początku, a śmierć na końcu; ale mogę również powiedzieć, że zacząłem od śmierci, a moje życie

-128-

było końcem tego pierwszego stanu i nie potrafię przewidzieć, czy ów koniec również będzie miał swój koniec.

Kiedy narodziłem się w ciele mężczyzny, nikt nie mógł się domyślać, że byłem delikatny jak oserek. Oczywiście uważano mnie za poważnie rannego i to mi przysporzyło wielu względów, ale w najlepszym razie traktowano mnie jako dziesięcio- czy dwunastolatka. Otaczano mnie uwagą i przyjaźnią, okazywano mi wiele czułości i widziałem, jak w oczach Anny rodzi się miłość. Ale pragnąłem, by mnie przytulono do piersi, by mnie kołysano i pocieszano, gdyż obcość świata, jaki odkrywałem wokół siebie, pogrążała mnie w niewysłowionym strachu. W nocy, kiedy kwiliłem, nikt nie przychodził zapalić światła, nie było przy mnie ciała, piersi, ramienia, w których mógłbym znaleźć oparcie, nie było żadnych kołysanek, żadnych czułych szeptów ani pieszczot, by uspokoić irracjonalnie szybkie bicie mojego serca.

Moje męskie ciało było rozpieszczane, moja niemowlęca dusza została porzucona na ugorze.

Nie mogę mieć tego nikomu za złe; nikt o tym nie wiedział, któż bowiem mógł wiedzieć? Nie mogłem mówić. Słowa przesuwały się przed moimi oczami niczym chmury niesione wiatrem. Było niebo, chmury, ulewy czasami, deszcz uderzał mi w skronie i wydawałem wówczas z siebie słaby bulgot, coś się działo w moim gardle, coś, co przypominało lawinę drobnych kamieni.

Zostałem trzy miesiące w szpitalu San Matteo. Moje liczne złamania się zrosły, a moje organy zdawały się funkcjonować bezbłędnie. Niemniej cały czas nie potrafiłem mówić i moje jestestwo — słowo to i dzisiaj, kiedy piszę, pozostaje mi obce, gdyż wydaje się równie nieprzejrzyste i niejasne jak słowo „świadomość” — krążyło opuszczone po moim wielkim

szkielecie. Moje postrzeganie zewnętrznego świata było zwierzęce. Coś we mnie pragnęło żyć, czy też funkcjonować, i to coś poruszało moimi szczękami, kiedy jadłem, i sprawiało, że wyciągałem ramię lub dłoń, żeby schwycić rzecz, której potrzebowało.

W końcu mogłem wydawać krótkie jęknięcia lub słabe pomruki i każdy zadawał sobie trud, by zinterpretować ich sens. Pomimo

-129-

że dla mnie samego pozostawały one niezrozumiałe, często zdarzało się, że odpowiadano na nie w sposób, który satysfakcjonował to, co leżało u ich źródła. Tak oto odgadywano za mnie, aczkolwiek nigdy sam nie potrafiłem zrozumieć wszystkiego, co „to” chciało powiedzieć, pojękując i kwicząc.

Później uznałem za słuszne przyjąć, że „to” jest z pewnością psem. Przede wszystkim z powodu wydawanych pomruków, ale także dlatego, że czułem się w środku przygnieciony rudym futrem. Myśl ta, którą długo pielęgnowałem z pewną nieśmiałością, objawiła się w sposób jasny i konkretny pewnej nocy przy pełni księżyca; od jakiegoś roku mieszkałem w kamienicy na piazza Petrarca. Amalia wtargnęła do mojego pokoju, zaskakując mnie przy otwartym oknie w chwili, gdy wrzeszczałem jak opętany. Wzięła mnie w ramiona i niewinnie jak dziecko zaczęła mnie głaskać po szyi. Po raz pierwszy poczułem, że „to” w środku jest uspokojone, że odczuwa przyjemność, i zdziwiłem się, że zaczynam lizać jej twarz. Tej nocy zrozumiałem, że mogę żyć, dzieląc się moim życiem. „To” będzie dla Amalii, a reszta dla Anny. Oczywiście kiedy mówię, że „to” jest psem, oznacza to tylko pewną metaforę. Żywię po prostu przekonanie, że „to” ma w sobie coś z psa, jest zwierzęciem o rudej sierści, które nie może żyć bez czułości swojego pana: zwierzęciem, które na ogół jest łagodne i wystraszone, jednak ma w sobie gwałtowność mięsożericy.

Moje życie mogło więc dalej toczyć się w kamienicy przy piazza Petrarca, gdzie zostałem przeniesiony w największej tajemnicy, by ochronić mnie przed faszystowską bandą. Pomimo że mój stan się poprawił, zabroniono mi wychodzić, gdyż uznano, że mądrzej będzie nie ujawniać cudu moich narodzin zewnętrznemu światu, który z dnia na dzień stawał się coraz bardziej brutalny i ciasny. Doktor Spinelli, nie darzący reżimu nawet cieniem sympatii, spalił wszystkie moje akta.

Okrągły rok, który spędziłem w tym domu, stanowi część moich najlepszych wspomnień. Rzeczywiście odpowiada temu, co należałoby nazwać moim dzieciństwem, bo choć miałem męskie

-130-

ciało, musiałem jeszcze dorosnąć. Sądzę, że udawało mi się rozwijać we względnej harmonii podwójną naturę, jaką zostałem obdarzony. W wielu wypadkach natura psa przychodziła z pomocą mężczyźnie, podczas gdy mężczyzna, idąc za powołaniem, uczył się pomału oswajać i poskramiać psa.

Często bawiłem się z Amalią. Więzy, jakie nas połączyły dzięki skrytemu uznaniu, jakim darzyła najmniej godną część mojego istnienia, są trudne do określenia. Nigdy z nikim nie rozmawialiśmy o tym. W jej lub moim pokoju turlaliśmy się jak szaleni po podłodze albo po łózkach. Kąsałem wszystkie części jej ciała. Szczotkowała mnie i czesała. Dla niej robiłem podskoki, biegałem i przynosiłem przedmioty, które mi rzucała, warczałem i pokazywałem zęby, by napędzić jej strachu, tak że musiała czasami uderzyć mnie po pysku, kiedy przejawy mojej wolności przekraczały granice jej pragnień bądź cierpliwości. Amalia miała w sobie naturalną wład-czość, którą zawsze ceniłem, i wiem dobrze, dzisiaj jeszcze, że pomimo całego życia duchowego, ku jakiemu poprowadziła mnie Anna na innym obszarze mojego istnienia, jedynie Amalii jestem naprawdę podporządkowany. Kiedy znajduję się u szczytu wściekłości czy nienawiści, wystarczy, że się pojawia, bym spuścił głowę i skulił plecy.

Przy Annie byłem w świetle, a pies wycofywał się w cień, daleko, w głąb swojej nory.

To przy niej nauczyłem się mówić, udało mi się przekształcić w zrozumiałe dźwięki odgłos gradu kamieni, który wyrywał się z dna mojej gardzieli. Miała do mnie nieskończoną cierpliwość, w końcu to ona zdołała wydobyć mnie ze skorupy. Nie sądę, by mnie kochała od momentu moich narodzin. Czuję, że jest zmieszana, przerażona nieznajomym, którego dłoń ośmieliła się ująć, jednak wierzyła w człowieka, który był we mnie. Miłość narodziła się, powolna i silna, w wyniku tego samego impulsu, który doprowadził mnie do człowieczeństwa. Umiała podać mi dłoń, obdarować mnie promieniującym z niej ciepłem za każdym razem, kiedy zgryzota budziła we mnie nieszczęsną zimę moich początków.

-131-

Spędzaliśmy, ona i ja, długie godziny u wezłowania Elizabeth, matki Amalii. Ją także często brała za rękę. Nigdy nie byłem zazdrosny o ten gest, którym obdarzała potem tyle innych osób. Nie sądę, by kiedykolwiek wykonywała go w obecności kogokolwiek trzeciego poza

mną. To prawda, że na jej twarzy pojawiały się wówczas wszelkie oznaki, które świadczą zazwyczaj o tym, że ciało oddaje się zmysłom. Fakt, że mi pozwoliła, usuwając w ten sposób wszelkie skrepowanie, być świadkiem jej intymnych doznań, bardzo szybko wytworzył między nami bliskość.

Stan Elizabeth Krienbull ciągle się pogarszał. Od czasu „wypadku”, który, jak się później dowiedziałem, nie pozostawał bez związku z moją obecnością na corso Garibaldi, siedziała przygnębiona w swoim pokoju, nie komunikując się z zewnętrznym światem inaczej niż trzepotem powiek, co zdradzało jej przerażenie. Początkowo można było ją karmić, aczkolwiek nie bez pewnych trudności, ale z biegiem czasu jej szczęki zaczęły się zaciskać w odmowie coraz bardziej uporczywej i jedynie wówczas, gdy cierpienie zbyt gwałtownie opanowywało mizerne resztki jej ciała, zgadzała się z rozdzierającą skargą rozchylić wargi, by można było jej wsączyć kilka kropel posłodzonej wody lub soku owocowego, które połykała, jakby jej wlewano całą gorycz świata.

Pod nieobecność Anny pozwoliłem sobie, muszę to przyznać, pójść tam kilka razy i powąchać ją, kiedy spała. Z daleka, z bardzo daleka przebijał zapach Amalii, a szmery i szepty zakłete w jej ciele przypominały czasem te, jakie słyszałem, kiedy byłem martwy, i o których wiedziałem, że są nieuchwytnie dla ludzkiego ucha. Próbowałem zgadnąć, jakie to zwierzę w jej wnętrzu odczuwa przemożną chęć śmierci. Któregoś razu sądziłem, że słyszę smutny i cienki skowyt szakala, kiedy indziej zaś dziki i pełen rozpaczny krzyk myszołowa. Ale w moim nowym życiu byłem jeszcze za młody i nie miałem żadnego doświadczenia. Może te szmery miały zupełnie inne źródło. Od tamtej pory, rozpamiętując z większą precyzją podróż odbytą przed narodzinami, nauczyłem się, że zwierzęce siły nie są jedynymi, jakie uwalniają się w nas w chwili

-132-

śmierci, ponieważ ciało pracuje wówczas w czasie, który nam umyka i pobudza najbardziej ukryte obszary własnej substancji. Znajdujemy w nich również powolne metamorfozy roślin oraz brutalną energię świata minerałów, a uważne ucho może wychwycić różne odgłosy — od trzasku skorupy do zgrzytu pękającego kamienia.

Gremium medyczne od dawna już nie dawało żadnej nadziei na poprawę zdrowia Elizabeth. Dziwiło się każdego dnia przedłużaniem się w nieskończoność — co wielu uważało za niedopuszczalne — stanu, który pozbawiony jakiegokolwiek przyszłości zdawał się utrzymywać bez sensu w nieruchomym czasie, kiedy odmowa zarówno życia, jak i śmierci objawia

się z jednakową siłą. Istotnie, nauka nie lubi granicznych stanów, które wypaczają bądź przekształcają jej definicje. Sposób, w jaki wyznacza ścieżki poznania, pozostaje dla mnie źródłem wiecznego zdziwienia. Zapomina bowiem o tym, by zbadać z właściwą sobie ścisłością całą masę faktów, które wynikają z jej postępów. Jeżeli dochodzi do jakiegoś rozwiązania, stwierdzając na przykład, że różnica dwóch równych wielkości wynosi zero, podąża dalej swoją drogą, nie zajmując się wcale tym zerem, jakby w ogóle nie istniało. Tymczasem nie trzeba wcale tak bardzo się cofać, by stwierdzić, że zero jest jedynie pewną formą zapisu, że równie dobrze mogłoby się nazywać A, B, C albo D, albo „czysta nieobecność” albo „nieistnienie” i że jakakolwiek nazwa byłaby mu nadana, w świecie i w świadomości ludzi coś reprezentuje. To powinno wystarczyć, by uczynić z niego przedmiot badań lub studiów w równym stopniu poważny jak atom lub próżnia. Tymczasem nauka pozostawia to pole spekulacjom bardziej amatorskim, jakby — nie chcąc wierzyć w nic, by dalej posuwać się naprzód — naprawdę wierzyła, że „nic” nie istnieje.

Ale gubię się i przelatuję jednym machnięciem skrzydeł czas dla mnie tak długi, w którym musiałem zdobywać pod przewodnictwem Anny trudną wiedzę, co znaczy być człowiekiem.

Śmierć Elizabeth zaskoczyła mnie tak, jak może zaskoczyć koniec dzieciństwa. Ja, który znajduję upodobanie w krytyce nauki i jej ślepych plamek, sam chciałem wierzyć, że stan Elizabeth, tak

-133-

bliski „niczemu” wymagający tak mało od życia, może trwać w nieskończoność. Owszem, sądziłem, że ten czas, tak przyjemny, który spędziłem na czuwaniu przy Elizabeth w towarzystwie Anny, nigdy nie będzie miał końca. Ale w noc, która wydawała się podobna do wszystkich innych, Anna odwróciła się w moją stronę, puszczać rękę Elizabeth, i dostrzegłem, jak łzy spływają po jej pięknej twarzy. Widziałem wołanie w jej przyćmionym wzroku, widziałem, jak malutki skrawek czasu, ziarnko czarnego piasku zabłąkane gdzieś w klepsydrze, przekraczając przesmyk przygotowany przez przeznaczenie, pozbawiało ją wszystkiego, co kochała. I kiedy się przytuliła i drżała w moich ramionach, moje ciało, ten dziwny amalgamat ledwie zespolonych fragmentów, nagle odkryło prawdziwe źródło swojej ludzkiej natury, gdyż ja także, po raz pierwszy, zacząłem płakać.

Od tamtej pory dużo się nauczyłem. Moja wiedza pozwoliła mi nawet zostać szanowanym profesorem i mogłem utworzyć razem z Anną instytut

mego imienia. Człowiek we mnie zdawał się triumfować, tymczasem... Mój umysł nie odebrał w całości pierwszej lekcji człowieczeństwa, jakiej mi udzieliło moje ciało. Bo jeżeli jest prawdą, że wspólne strapienie pozwoliło mi osiągnąć świadomość tego, co we mnie samym jest specyficznie ludzkie, nie zostałem ostrzeżony, że strapienie, którego nie można dzielić — choćby moje strapienie psa, jakim na zawsze pozostałem — sprowadza nas natychmiast do nieludzkości, nawet wówczas, gdy zachowujemy cały nasz rozum.

Ale któż może się tego nauczyć?

Nauczyć! Przy ludziach zawsze musiałem się uczyć! Nigdy nic nie było mi dane! Pies, on wiedział wszystko! Teraz też wiem wszystko, bo jestem psem!

Dzień zachodzi i niedługo nie będę mógł pisać. Nie mogę zapalać lampy. Światło mnie rozpuszcza. Jeszcze jeden dzień przeszedł, a ja nie nakreśliłem linii, która by doszła od początku do końca. Wiem jednak, że nadejdzie taki dzień, który będzie wart wszyst-

-134-

kich dni przeszłych i że wtedy moje życie zapisze się jednym po-
ciągnięciem pióra.

Tommaso Giuliani wstał, odszedł od stołu i zbliżył się do ściany, która znajdowała się po jego lewej stronie. Przesuwając się wzdłuż niej, śledził palcem serię cyfr wyrytą w gipsie:

1, 8, 2, 15, 9, 3, 22, 16, 10, 4, 29, 23, 17, 11, 5 itd.

Wahał się przez chwilę, potem się cofnął, by zatrzymać się przy cyfrze 22, i wyjmując z kieszeni dłuto, otoczył ją kołem, które wydrażył aż do żywej cegły.

Potem wrócił do stołu, zgarnął kartki papieru i powoli darł je na coraz mniejsze kawałki. Kiedy nie zostało już nic poza stosem konfetti, zaczerpnął głęboko powietrza i jednym mocnym dmuchnięciem, jak pierwszy wiatr, ten, który rozproszył gwiazdy na niebie, wzbil pod zimne światło księżycy chmarę fragmentów ze wszystkim, co napisał.

23

Pamiętaj swoje zapomnienia!

Głosy syren śpiewały dziwną melodię, podczas gdy Eli, sparaliżowany, pogrążał się powoli w odmętach oceanu. Minęło sześć dni i każdej nocy

śniło mu się to samo. Tego ranka słońce dopiero co wstało i woda nie miała czasu podejść wyżej niż na wysokość piersi, kiedy gwałtowne uderzenie w okno obudziło go, zanim jeszcze lęk przed utonięciem położył kres sennemu koszmarowi.

Otworzywszy oczy, dostrzegł za szybą sylwetkę robotnika, który ponownie zapukał w ramę okienną i rozglądał się z niepokojem po sypialni. Usiadł na łóżku, a wtedy robotnik dał mu znak, by podszedł i nic nie mówił. Eli zastanawiał się, czy może śni jeszcze, gdyż robotnik za oknem, które znajdowało się na trzecim piętrze, poruszał się tak swobodnie, jakby fruwał w powietrzu. Szedł więc ku niemu z pewnym wahaniem, lecz wychyliwszy się, ujrzał, że stoi on po prostu na rusztowaniu, które, jak teraz sobie przypominał, wzniesiono wiele tygodni temu wzdłuż fasady hotelu Ro-sengarten. Pomimo że sytuacja była cokolwiek niezwykła, Eli poczuł ulgę, że odnalazł rzeczywistość, która przypominała mniej lub bardziej spójną całość. Otworzył okno i mężczyzna wskoczył do pokoju.

— Proszę się niczego nie obawiać, nazywam się Francesco San-tuari, przysłał mnie Lomonaco. Faszyści pobili na śmierć Tommasa Giulianiego, młodego człowieka, którego pan szukał, wiemy, że teraz śledzą pana, nie może pan dłużej tutaj zostać!

-136-

Ledwie skończył zdanie, kiedy dało się słyszeć na dworze nagłe hamowanie, a potem głuchy odgłos stanowczo zatrzaśniętych drzwiczek.

Francesco Santuari podbiegł do okna. Był wczesny ranek. Na dole dumnie kroczył, z uniesionym podbródkiem, piękny Orlando Volpe. W towarzystwie dwóch goryli kierował się ku hotelowym drzwiom. Kilka metrów przed wejściem zatrzymał się, szybkim ruchem głowy uniósł podbródek jeszcze wyżej i zaczął się przypatrywać fasadzie.

Francesco się cofnął.

— Orlando! — westchnął poblady. — Nie mógł pan wpaść w gorsze bagno... Szybko! Niech pan zabierze dokumenty i zbiegnie schodami dla służby, postaram się ich zatrzymać, mój kolega czeka na pana przy wejściu dla dostawców.

Eli nie zdążył wyrzec ani słowa, chciał otworzyć usta, żeby powiedzieć... cokolwiek: że nic nie rozumie, że faszyści nie mogą mieć nic przeciwko niemu, że jest jedynie spokojnym staruszką... ale młody robotnik stanowczym gestem dał mu do zrozumienia, że nie czas na dyskusje.

Orlando spoglądał na fasadę hotelu z powątpiewaniem:

— Sukinsyny z tych robotników! — powiedział do siebie. — Trzy tygodnie, by wymienić kamienie na frontonie! Lenistwo, bez troska i *pastasciutta*, oto plagi, które zrujniają Włochy!

Prawdą jest, że ekipa robotnicza, do której należał Francesco Santuari, nie pracowała z wzorcowym zapalem nad zastąpieniem płaskorzeźby — kosza obficie wypełnionego owocami i przybranego girlandami kwiatów, jaki widniał na frontonie — przez monumentalny kamień, w którym artysta, odważny wizjoner, wyrzeźbił silną i krągłą wilczycę o nabrzmiałych wymionach, ssanych przez dwa pulchne niemowlęta. Wielki kamień, wznoszony przez dźwig umiejscowiony niedaleko dachu, posuwał się zaledwie o kilka centymetrów na dzień, by osiągnąć jedynie połowy drugiego piętra po niezliczonej liczbie postojów, podczas których wszczynano nie kończące się dyskusje o solidności podnośnika, dokładnej

-137-

pozycji, w jakiej należało go ustawić, ogólnych warunkach bezpieczeństwa, a nawet starano się uzasadnić takie przedsięwzięcie, bo w końcu kosz z owocami jest bardzo piękny, a wilczyce teraz widziało się wszędzie — tak że faktycznie można się było zastanawiać, czy kamień kiedykolwiek zawiśnie w miejscu swojego przeznaczenia.

— Obijają się — powiedział Orlando do siebie. — Trzeba będzie spisać ich nazwiska.

On sam wywiązywał się z obowiązków bez ociągania. Kiedy tylko dostał do ręki kartę wypełnioną przez Eliego w czasie jego pobytu w bibliotece Collegio Borromeo, od razu powiadomił biuro Farinacciego. Sprawa wydała się na tyle poważna, by zaalarmować służby generała De Bono, szefa bezpieczeństwa oraz dowódcę oddziałów szturmowych. Dowiedziano się, że niewinny staruszek, który wyglądał na mola książkowego, faktycznie był groźnym specjalistą od deszyfracji, jakich służby wojskowe wysoko ceniły w czasie Wielkiej Wojny. Informacja przyszła od oficera sztabu francuskiego, członka ligi frankistowskiej, który miał go pod swoimi rozkazami w 1917 roku.

Orlando spuścił głowę i podążył w kierunku hotelowych drzwi, wykrzywiając twarz w grymasie.

— Hej! Orlando! Ty sukinsynu!

Jednym skokiem Francesco przeskoczył przez okno. Stał na desce, niedbale opierając się o belkę rusztowania.

Orlando ponownie podniósł głowę, łypiąc złym okiem w górę, skąd

doszła go obelga. Rozpoznał Francesca, dawnego kolegę z klasy.

- A! Francesco! Walisz konia tam na górze?
- Nie walę konia, tylko pracuję! Rano kładę ręce na kamieniu, a nie w gównie jak ty!
- Ugryzło cię co, czy jak? Źle dymałeś tej nocy?
 - Twoją dziwkę matkę źle dymałem, ale twojego ojca, muszę przyznać, porządnie zerżnąłem!
- Jeżeli nie przestaniesz, będziesz miał kłopoty, Francesco!

-138-

- Mam w dupie twoje kłopoty!
- Dobra, sam tego chciałeś, Francesco! — wrzasnął Orlando, wyciągając zza pasa pistolet. Wystrzelił w powietrze cztery razy, na oślep, mniej więcej w kierunku Francesca.
 - No! Stulisz wreszcie swoją wstrętną gębę, skurwysynu!

Trzy kule wbiły się w fasadę, ale czwarta, złośliwa i brzęcząca pszczoła, nie znajdując upodobania w tej zakrawającej na kpiny robocie, przyleciała roztrzaskać sworzeń zamykający stalową obręcz, która tuż pod dachem podtrzymywała na ścianie lewą nogę trójnogu wspierającego dźwig. Ciężar kamiennej rzeźby, podtrzymywany przez trzy nogi, opierał się zasadniczo na fasadzie, tymczasem nagłe zerwanie umacniającej obręczy spowodowało osunięcie się lewej nogi o dwadzieścia centymetrów; znajdujący się tam gzyms, jak można było przewidzieć, powstrzymał dalszy upadek. Ale ten ruch i jego brutalne przerwanie wystarczyły, by zachwiać równowagę kamiennego bloku, który zaczął się niebezpiecznie kołysać równoległe do fasady. Kiedy po raz trzeci kamień osiągnął skrajny punkt wychylenia na prawo, lewa noga trójnogu, już nie przytwierdzona, obsunęła się wzdłuż gzymsu i nastąpiła katastrofa.

Piękny Orlando nie miał czasu, by porządnie rozważyć skutki swoich przypadkowych strzałów. Widział jedynie, że rusztowanie się zachwiało i groziło zawaleniem się wraz z kamieniem. Chciał się schronić wewnątrz hotelu, ale powziął decyzję o ułamek sekundy za późno. Kiedy przekraczał próg, dostał w głowę pierwszym balem, który oderwał się od rusztowania. Nieprzytomny, padł na ziemię. Nie zdążył zachwycić się monumentalną wilczycą, która zerwawszy się z ostatnich więzów, pograżała się majestatycznie w pustce, obojętna i wyniosła. Spadła mu na brzuch, zabijając go od razu.

Nieszczęsny Francesco, stojąc na wysokości trzeciego piętra, nie mógł widzieć tego, co działo się pod nim, a nie starczyło mu refleksu, by

uczepić się parapetu. Znalaziono go martwego, leżącego pod stosem desek, o kilka kroków od Orlanda. Grymas wykrzy-

-139-

wiał jego twarz — zapewne ostatnie przekleństwo, którego nie zdążył wypowiedzieć pod adresem starego szkolnego kolegi.

Katastrofa, wywołując panikę i zamieszanie w całym hotelu, znacznie ułatwiła ucieczkę Eliemu. W pizamie, z torbą w ręku, dotarł do małego dziedzińca z tyłu budynku — wysokie mury, zakratowane okna, kwadrat wyblakłego błękitnego nieba, sklepiony przedsionek z XIV wieku — jakiś mężczyzna dał mu znak, by zajął miejsce w powozie zaprzężonym w muła. Położył się, przykryto go workami i pustymi skrzynkami — poczuł silny odór kapusty, pleśni, sfermentowanych resztek warzyw. Powóz się zatrząś, mężczyzna nie powiedział ani słowa.

Pamiętaj swoje zapomnienia!

Rzeczywistość, twarda, gwałtowna i nieoczekiwana, dopadła Eliego na tym samym gruncie, na którym opuściły go marzenia i myśli o czasie.

Nie mógł mieć wspomnienia powozu zaprzężonego w muła ani, w swoim rozkołysanym teraz ciele, jakichkolwiek reminiscencji siniaków nabijanych przez nieustające drgania skrzynek, którymi był pokryty. Żadna część jego pamięci nie mogła połączyć kwaśnego zapachu gnijących warzyw z zapachem wilgotnych konopi i pleśniejącej cebuli ani z zapachem drzewa i smoły impregnującej dno powozu. Nie było w tym żadnych dających się przywołać wspomnień, a więc żadnej możliwości zapomnienia. Ale sytuacja ta i nagromadzone szczegóły, które uczyniły ją nieprzewidywalną, odsyłały go do uczucia, które nie było mu nie znane. Zapomnienie nie przychodziło z Włoch ani od muła, ani od niezwyklej mieszanki wiejskich zapachów, ale z obszaru dużo bardziej rozległego, tak więc pod stosem worków i skrzynek Eli śmiał się ze swojego odkrycia.

Historia wracała, aby dać mu znak... dokładnie tak jak w Cambridge w 1914 roku, kiedy udało mu się wreszcie odzyskać dziecięcą bez troskę. W tamtym czasie Historia zastygła, przerwała swój bieg, by dreptać w błocie przez cztery lata — wielkie ciało miazdzą-

-140-

ce inne ciała, uparcie obstające przy swojej destrukcji, śniące własną śmierć i zabijane przez miliony.

Pamiętaj swoje zapomnienia!...

Pamięta się spojrzenie, pieszczotę albo kształt chmury, pamięta się swoją pierwszą zabawkę, swoje pierwsze zmartwienie, kwiatek zasuszony między stronami książki ożywia w nas po latach beztrudne kroki letniego spaceru i podczas gdy Historia ponownie wykreśla w czasie z demoniczną precyzją oznaki przyszłych konwulsji, my zapominamy o wojnie!

Teraz, pod workami i skrzynkami, Eli śmiał się do rozpuku.

— No proszę! — powtarzał sobie między kolejnymi wstrząsami.

Dotykał materiału piżamy, przesuwając ręką po torbie, ciągnął własną skórę staruszka i patrzył z niedowierzaniem na zmarszczki, śmiał się i gładził płótno worków.

— No proszę!

Ścisnął między kciukiem a palcem wskazującym kawałek zgniłej cukinii, tarł bosymi stopami o szorstkie drewno dna powozu, śmiał się i wdychał jednocześnie wszystkie zapachy unoszące się w powietrzu, uderzał głową o krawędź skrzynki i śmiał się, śmiał się bez przerwy.

— A to dopiero! No proszę!

Zaczynało się robić gorąco. Na ulicach Pawii rodził się sierpniowy dzień 1924 roku: odgłosy metalowych kół na nierównym bruku, mężczyzna siedzący z przodu, robotnik pochylający plecy, by wyglądać na wieśniaka, i udający, że dumnie prowadzi muła, który ciągnął wóz z zaciętością typową dla zwierząt swojego gatunku w kierunku miejsca przeznaczenia, jakie tylko on znał naprawdę.

Eli śmiał się i niestrudzenie powtarzał: „No proszę!” Ponieważ niespójne nagromadzenie faktów, które zbiegły się, by stworzyć absurdalną sytuację, w jakiej się znajdował, miało doskonałe rozwiązanie w obrazie muła ciągnącego zaprzęg.

Był więc materiał piżamy, nocnego stroju zapodzianego w blasku dnia, podkreślającego swoją dziwaczną obecnością siłę i gorączkowość snu, którym Eli cały czas się okrywał, by stawić czoło

-141-

rzeczywistości. Była też skóra torby, cienka i miękka, choć zniszczona na skutek zmagania z czasem, luksus, który niegdyś sobie ofiarował ze względu na wartość pism, jakie w niej skrywał. I w tej skórzanej kopercie litery i liczby, cierpliwie przepisywane przez stulecia, kontynuowały nieskończony proces stawania się, rozpoczęty pod chaldejskim słońcem. Była też jego starcza skóra, zmarszczki, drobne fale wznoszone i zatrzymane przez czas, niezliczone i kapryśne, które zapisywały wiek jego ciała, jak wiatr zapisuje swój przemarsz, karbując tafle wody.

Było szorstkie płótno worków, siermiężna plecionka z roślinnych włókien, przez którą mógł dostrzec zamglony obraz miasta, i wydawało mu się wówczas, że czuwa nad światem przez sieć pobieżnych myśli. Były na deskach powozu obierki cukinii i jego bosa stopy.

Było więc wszystko, wszystko, co można nazwać, by nadać znaczenie porównaniu, jakie narzucały same fakty. Zaprzęg stanowił swego rodzaju świat w świecie, w środku znajdowały się bowiem zebrane luzem: materia i to, co ludzkie, słowa i atomy, pismo i brzydkie zapachy, skład i rozkład, myśl logiczna i irracjonalne otchłanie, nagromadzenie sił i stany inkongruencji porównywalnej do tej, która rządzi samowolnym ruchem kurzu w promieniach słońca. Niemniej owo nagromadzenie tworzyło jakąś sumę i znajdowało dokładne rozwiązanie w powolnym maszerowaniu muła przez ulice Pawii. I ani muł, ani robotnik, który nim powoził, nie zajmowali się w najmniejszym stopniu naturą owego załadunku, lecz jedynie kierunkiem, w jakim zmierzali.

Pamiętaj swoje zapomnienia, a wkroczysz w bieg historii: takie było rozwiązanie. Niewiedza jest zapomnieniem. Poznać nie znaczy odkryć, ale roz-poznać.

I historia, do której Eli nagle poczuł przynależność, w której mógł się w końcu roz-poznać, zaczynała się w mieście Ur w Chal-dei, podróżowała brzegami Eufratu aż do Nilu, przemierzyła Grecję i starożytne światy, opowiedziała się, a potem spisała, by zniknąć

-142-

w płomieniach, być może w pożarze Biblioteki Aleksandryjskiej, i wróciła wiele stuleci później, by nawiedzać myśl poety czy filozofa, który ją przetłumaczył za pomocą kilku słów i kilku cyfr, zanim zupełnie odeszła w zapomnienie. I ta historia wychodziła teraz z długiego snu, miała prawie pięć tysięcy lat i przygarniała do siebie staruszka Elię, by zajął swoje miejsce w dobrze znanym fragmencie, często powtarzanym i po stokroć opisanym w książkach, kiedy pewien mężczyzna, sam i niemal zupełnie nagi, jest zmuszony do ucieczki z miasta, by umknąć niebezpieczeństwu, jakie grozi mu ze strony jego wrogów.

Powóz dojeżdżał do przedmieść, a pod workami Eli nadal się śmiał, to szczęście kazało mu się śmiać, najchętniej ucałowałby wiozących go robotnika i muła, gdyż dzięki nim odnalazł się wreszcie w swojej historii i pomimo przykrych okoliczności rozkoszował się wszystkim tym, co było w niej najcudowniejsze. Istotnie, nie miał jeszcze wszystkich kluczy do

Aforyzmów Damascjusza ani do ciągu numerycznego Jamblicha, ale zdobył pewność, że jego historia, na razie pokawałkowana i niepełna, któregoś dnia zostanie w całości zrekonstruowana na jego oczach jako suma wszystkich zapomnień — ogarnął go zawrót głowy, kiedy pomyślał, że mógłby wówczas za życia poznać swój koniec.

Pamiętaj swoje zapomnienia, a roz-poznasz swoją historię!

On, który zawsze był spóźniony w swoim życiu, oto dostawał czas z wyprzedzeniem. W ów sierpniowy dzień 1924 roku przyszła wojna, stała się dla niego terażniejszością, kiedy bowiem uciekał, schowany na dnie powozu, wojna wyłoniła się z przeszłości i zaczynała pomału osaczać przyszłość, zapuszczała korzenie i wyrastała z ziaren posianych w tym, co ją poprzedzało i było takim koszmarem, że aby można było przeżyć, należało o tym zapomnieć.

24

29 grudnia 1929 roku Naczelnny Inżynier Julian Morel jadł obiad w towarzystwie swojego przyjaciela kapitana Merciera w restauracji przy rue de l'Universite, o dwa kroki od Zgromadzenia Narodowego, gdzie w tym samym czasie dyskutowano Projekt ustawy dotyczącej obrony granic w obecności Paula Painlewego, przewodniczącego rady, i oczywiście Maginota, ministra wojny.

Zarówno dyskusja, która odbywała się w restauracji między Julianem Morelem a jego przyjacielem, jak i ta w parlamencie, tocząca się między posłami większości a opozycją — bardziej ogólnikowa i burzliwa — doprowadziły, zbliżając się do siebie w argumentach wysuwanych przez obie strony, do ostatecznego zachwiania losem Juliana Morela, który w tych okolicznościach musiał podzielić na dobre i na złe — historia miała dopiero pokazać najgorsze — los francuskiej armii.

W restauracji kapitan Mercier, błyskotliwy oficer wojsk inżynieryjnych, od 1923 roku pracujący z pułkownikiem Tricaudem nad rewolucyjnym systemem umocnień, zwanym fortyfikacją rozgałęzioną, którego założenia, jak się wydawało, zostały odrzucone przez ministra wojny, usiłował przekonać swojego przyjaciela Morela, by przystąpił do cywilnego oddziału inżynierów, objaśniającego i nadzorującego u boku wojskowych budowę fortyfikacji, które bez żadnych wątpliwości parlament w końcu zaakceptuje.

Julian Morel pozwolił się trochę prosić, ponieważ nie był całkowicie przekonany o skuteczności projektu, ale również dla zasady, jako że uwielbiał dyskusje.

Projekt fortyfikacji odpowiadał jego pacyfistycznym poglądom, gdyż proponował rozwiązania ściśle defensywne, i wynalazek fortyfikacji rozgałęzionej wydawał się Morelowi absolutnie genialny, jednak uważał, że strategiczne konsekwencje wypływające z najnowszych pomysłów pułkownika Tricauda nie zostały rozważone z dostateczną uwagą. On sam prowadził badania na ten temat i był przekonany, że by otrzymać system obronny naprawdę nie do zdobycia, trzeba posunąć myślenie o wiele dalej i przeprowadzić prawdziwą rewolucję w strategicznym podejściu sztabu generalnego. Mógł tutaj zacytować słowo po słowie wystąpienie René Burtina, pośła z departamentu Saône-et-Loire, który w tym samym momencie, kiedy maitre d'hôtel podawał im talerz z serami, oświadczył przed Zgromadzeniem:

„Zderzyły się z sobą dwie szkoły. Jedna chce wybudować wielkie, imponujące fortyfikacje. Druga woli stworzyć niewielkie, rozproszone forty jak te, które znamy z czasów wojny. Doszliśmy w końcu do porozumienia, zapożyczając od każdego z tych systemów część rozwiązań, i zdecydowaliśmy się na konstrukcje mieszane. Czy umocnienia, które zostaną wzniesione, wytrzymają uderzenia dział naszych przeciwników?

[...] Jeżeli wybuchnie kolejna wojna, nie sądzę, by przypominała ona tę, którą przeżyliśmy. Decydującą rolę odegra w niej lotnictwo [...]. Jutro, żeby zwyciężyć w wojnie, która będzie miała już zupełnie inny charakter, celem powinno być zniszczenie ośrodków przemysłowych, wywołanie paniki wśród ludności, całkowite zawieszenie normalnego funkcjonowania wrogiego społeczeństwa, by w ten sposób zmusić przeciwnika do podpisania pokoju. Wojska powietrzne, według mnie, będą miały tu pierwszorzędne znaczenie”.

Kapitan Mercier daleki był od niewrażliwości na ten typ argumentacji, niemniej pociągała ona za sobą, jeżeli naprawdę chciało się ją wziąć pod uwagę, zwrócenie się w stronę ofensywnej wersji urządzeń wojskowych, było więc oczywiste, że politycy, w tym i pan Burtin, odrzucali ten pomysł.

- Daj spokój, Julianie — powiedział kapitan, nakładając sobie kawałek tłustego chevre'a — ty, który jesteś bardziej na lewo ode mnie, chciałbyś, żebyśmy zaczęli konstruować czołgi i samoloty?

Muszę przyznać, że jak na pacyfistę, to bardzo interesujące!

- Jest pewne konieczne minimum — odpowiedział Morel. —

Minimum, które musi zapewnić obronę. Ale problem leży gdzie indziej. Czy chcemy tego, czy nie — w wypadku wojny będą nad nami latały samoloty wroga, a kolumny pojazdów pancernych postarają się dostać na nasze terytorium. Trzeba stawić im czoło. Linia obrony wykorzystująca twój system fortyfikacji jest doskonałym pomysłem, ale nie trzeba o niej myśleć, a tym bardziej jej konstruować.

- Dobrze wiesz, że nie możemy wybudować umocnień od Dunkierki po Strasburg! Nie mamy na to środków.

- Dlatego właśnie trzeba pójść dalej. Trzeba wybudować tę linię, ale inaczej — z dziurami, z pustymi miejscami... Wpuścić wroga, by łatwiej go zniszczyć. To nie wypełnione miejsca trzeba wyliczyć, lecz puste, tak jak w katedrach...

- Twoja słynna teoria katedr! — westchnął kapitan Mercier. — I chciałbyś, żebym to powiedział dowódcy sztabu generalnego!

- Czemu nie? Skoro przełknął pomysł fortyfikacji rozgałęzionej twojego pułkownika Tricauda!

Debata toczona w Zgromadzeniu, która nabrała charakteru polemicznego przez wkroczenie do dyskusji panów Callies'a i Laville'a, zakończyła się dosyć spokojnie dzięki deklaracji ministra wojny.

Maginot skoncentrował się na prostej myśli, że niezależnie od tego, jakie będą formy wojny, trzeba dać armii francuskiej czas na zorganizowanie sił, to znaczy na mobilizację.

— Trzeba więc, byśmy w razie nagłego ataku byli w stanie powstrzymać wroga, tak by nie położył ręki na naszym prze myśle oraz bogactwach naturalnych, niezbędnych do wojennej produkcji, by nie sparaliżował naszej mobilizacji ani nawet jej nie przeszkodził.

-146-

Następnie określił specyfikę umocnień, jakie chciałby skonstruować, opisując założenia fortyfikacji rozgałęzionej, zaproponowanej przez pułkownika Tricauda, i zakończył dyplomatycznie:

— Ograniczę się do tego, by poprosić was o głosowanie za ustawą, która została wam przedstawiona, a ponieważ głosowanie to nie ma nic wspólnego z żadnymi celami politycznymi, które mogłyby wam

przeszkadzać, nie wspomnę o zaufaniu, jakie w was pokładam.

Odniósł sukces i ustawa została przegłosowana pomimo sprzeciwu skrajnej lewicy.

Wraz z pojawieniem się na stole alkoholi, które podano do deseru, dyskusja Merciera i Morela również stała się nieco gorętsza, ale opuściła sferę pragmatyczną i realistyczną, do jakiej się ograniczała ta w Zgromadzeniu.

Mercier przyznawał Morelowi, że konstrukcja niewielkich fortyfikacji na wzór tych, które budowano w czasie Wielkiej Wojny, niczemu nie służy, ponieważ jeden dobrze wymierzony artyleryjski pocisk zrówna je z ziemią. Zgadzał się z nim, że konstrukcja ciągłej linii wielkich fortyfikacji powinna zakładać, że linia ta będzie miała słabe i mocne punkty. Ale konkluzje strategiczne, jakie wyciągał z istnienia tych słabych punktów, radykalnie się różniły od konkluzji przyjaciela.

Jego koncepcja wojny pozostawała statyczna. Starszy od Morela, wojskowy z zawodu, zachował quasi-religijną wiarę w znaczenie oddziałów i w tym sensie podzielał poglądy ministra wojny na cel wyznaczony linii obrony: zyskać na czasie. Zważywszy na „niewidoczną” naturę wielkich fortyfikacji i fakt, że będą się one znajdować pod ziemią i rozgałęziać labiryntowo, wróg nie będzie mógł poznać ich dokładnego planu inaczej jak poprzez konfrontację. Potrzebny mu więc będzie czas, by znaleźć słabe punkty oraz zebrać i skoncentrować oddziały wokół punktów mocnych. A jeżeli tylko oddziały przeciwnika popełnią błąd i wejdą na terytorium od strony punktów słabych, zostaną natychmiast ujęte w kleszcze przez naszych żołnierzy i wybite do nogi. Co się wydarzy, jeżeli wróg od razu zaatakuje punkty słabe? Odpowiedź kapitana Merciera nie była po-

-147-

zbawiona sensu. Według niego wielkie fortyfikacje, mocne punkty łańcucha, powinny być postrzegane jako brzegi leja. Niezależnie od tego, co się stanie, i czasu, jaki wróg poświęci na odkrycie słabych punktów, jego wojska skoncentrują się przed otwartą częścią leja, obca artyleria będzie więc z m u s z o n a wkroczyć na nasze terytorium przez obszar, który zostanie przez nas wybrany wcześniej.

Julian Morel przeciwstawił tym argumentom jedynie swoje intuicyjne wyobrażenie wojny, która już nie będzie statyczna, ograniczona do jednego czy kilku frontów, lecz będzie się nieustannie zmieniać. W takim wypadku trzeba grać w kotka i myszkę, a skoro wybraliśmy defensywę,

czyli stronę myszki, konieczne będzie ciągle uciekanie się do podstępów, kluczenie, wyciąganie kota jak najdalej od jego domu, zmuszanie go, by prowadził swoje ataki nad brzegiem przepaści, aż w końcu rzuci się w nią siłą własnego rozpędu. Akceptował pomysł Merciera dotyczący podziału na punkty mocne i słabe, ale wzbogacał go o swoją marzycielską teorię katedr.

Katedry i teatry — to były dwie pasje Morela. Uważał, że spośród wszystkich budowli jedynie one były zorganizowane wokół pustki, próżni, nieobecności. Katedry wznoszą pustkę nad człowiekiem, a teatr ustawiają naprzeciw niego, katedry wypełniają ją modlitwą, teatry — grą. Uczuciowo skłaniał się ku tej drugiej, jednak wyniosła pustka katedr fascynowała go. Kiedy wznosił oczy w stronę sklepienia krzyżowego jakiejś nawy, zawrotność wysokości upajała go. U góry, w przeraźliwie pustej przestrzeni światło rozrzedzało stuletnie kurze, podczas gdy ostrzejsze promienie słoneczne, wnikające przez witraże, rysowały wskazówki kosmicznego zegara. U góry ludzka ręka dawno temu zamknęła sklepienia i kopuły ponad wiecznie trującym oczekiwaniem i pustką, którą wypełniły modlitwy ludzi z dołu, wypełniały i będą wypełniać niestrudzone słowa i nadzieja nie do zaspokojenia.

— Trzeba — mówił Mercierowi — obliczyć maksymalną przestrzeń, jaką może zająć atakująca armia, i przemyśleć defensywę na wzór katedry, a więc wokół pustki, którą pozwolimy wojskom zająć. Pomyśl o swoich fortyfikacjach jako punktach oparcia, potężnych

-148-

słupach, na których wznosić się będą — lekkie jak gotyckie sklepienia — oddziały piechoty, czołgi, pojazdy pancerne zdolne do interwencji w każdej chwili, by umocnić front, a następnie równie szybko wycofać się do najbliższego punktu oparcia. Zadręczyć, zdeorganizować, rozbić wroga, nigdy nie atakując frontalnie, o tym właśnie powinniście myśleć, a nie snuć marzenia o murze chińskim!

- Takimi pomysłami — odpowiadał mu Mercier — zdołasz uwieść kilka osób, ale nikogo nie przekonasz. Trzeba by dokonać przewrotu w całej naszej armii, a zapominasz, że dzisiaj jest to armia zwycięska. Można ją ulepszyć, dostarczyć jej nowszego uzbrojenia, a nawet, jeżeli chcesz, parę samolotów, ale nie zmieni to rzeczywistości, która została potwierdzona.

- Rzeczywistości, której potwierdzenie kosztowało kilka milionów trupów.

Dyskusja mogłaby trwać do wieczoru, ale ogłoszenie wyników głosowania w Zgromadzeniu położyło jej kres. Julian Morel stawiał coraz słabszy opór propozycjom przyjaciela i koło czwartej w końcu na nie przystał.

Kilka tygodni później zamieszkał w Metz, by pełnić obowiązki doradcy technicznego w sektorze umocnień od Boulay do Thion-ville. Potem został przeniesiony do sektora Faulquemont. We wrześniu 1930 roku wziął kilka dni urlopu i siadłszy za kierownicą niewielkiego czterocylindrowego mathisa, udał się w kierunku Vittel.

Metz, Nancy, Mirecourt, Vittel, Mirecourt, Nancy, Metz. Ile razy odbył tę podróż od tamtego dnia, sto, pięćset razy? Ile listów napisał, setki, tysiące? Anna! Jak sobie wyjaśnić Annę? Szczególną więź, która ich połączyła w pierwszych latach? Czy można kochać kobietę jedynie dla szczęścia bycia zakochanym? Czy można pożądać kobiety i uwielbiać ją do tego stopnia, by zabronić sobie zbliżenia się do jej ciała nawet w myślach? Dla jej spojrzenia mógł odbyć choćby dziesięć takich podróży. By rozmawiać z nią przez godzinę, odbyłby ich dwadzieścia. Czy kochała go od pierwszych dni? Tak, bez wątplenia, ponieważ to ona podeszła ku niemu jak dzikie zwie-

-149-

rze, które opuszcza swój las dla jednego dziecięcego spojrzenia. Czyżby on był tym oczarowanym dzieckiem, a ona istotą z innego świata? Czy też oboje pozwolili się zaślepić własnej niewinności i zapomnieli, że mężczyzna i kobieta nie mogą się kochać jak dzieci?

Wpadli na siebie po raz pierwszy przed kościołem w Relanges, do którego droga wiodła od wielkiego domu przez las; schodziło się doń wąską kamienistą ścieżką. Anna przychodziła tam często, od kiedy Tommaso zaczął wyrzucać jej niepłodność. Nie tyle by się modlić, nie spodziewała się cudu, ale raczej by posiedzieć w skupieniu, odnaleźć samą siebie. Wchodziła do kościoła, siadała w ławce, zostawała tam jakiś kwadrans albo dwadzieścia minut, o niczym nie myśląc, rozkoszowała się spokojem tego miejsca i własną samotnością, która za każdym razem wydawała się ożywiać ciepło, jakie w niej było. Potem mogła odejść, wspiąć się, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, na stromą ścieżkę, która ponownie prowadziła ją do wielkiego domu.

Julian Morel przybył tu wcześniej rano, prowadząc swojego ma-thisa wzdłuż koryta rzeki Gabionne. Stał ze szkicownikiem naprzeciw kościelnego portalu i szykował się do spędzenia poranka, tak jak lubił, na

snuciu marzeń i rysowaniu kolumn, sklepień, ciągów arkad, by bawić się potem wyliczaniem ich proporcji. Nie zwrócił uwagi na wchodzącą do kościoła Annę, kiedy jednak, wychodząc, posłała mu piękny uśmiech, zauważył to cokolwiek zdziwiony.

Nazajutrz powrócił, gdyż stwierdził, że kwadratowa dzwonnica ma bardzo ciekawe proporcje. Jadąc, musiał jednak przyznać przed samym sobą, że nie miałby nic przeciwko ponownemu ujzeniu pięknej kobiety, która uśmiechnęła się do niego tak spontanicznie. W tym samym czasie Anna schodziła drogą biegnącą wzdłuż falezy — jako pretekst, by powrócić, wynalazła sobie ciężką noc, spędzoną przy dwojce umierających. Poczula, że serce bije jej nieco mocniej, kiedy dochodząc do Relanges, dostrzegła ze wzgórza małego mathisa, którego widziała już wczoraj.

To się wydarzyło najzwyczajniej w świecie. Wychodząc, posłała mu taki sam uśmiech jak poprzedniego dnia, a potem podeszła, by

-150-

obejrzeć jego rysunki. Natychmiast nawiązali rozmowę o kościele. Anna poinformowała go, że dzwonnica pochodzi z XII wieku, opowiadała o stylu romańsko-lombardzkim — dla niej najpiękniejszym jego przykładem był kościół San Michele w Pawii — zaskakującym w tym regionie. Na końcu poleciła mu zwiedzenie miasteczka Droiteval, znajdującego się kilka kilometrów dalej, gdzie będzie mógł podziwiać kaplicę starego opactwa cystersów.

Julian również mówił o kościele, potem o architekturze, potem o katedrach i o historii monumentalnej sztuki religijnej. Okazało się, że Anna pasjonuje się sztuką romańską, podczas gdy Julian skłaniał się ku gotykowi — z powodu „pustki”, która stała się nawet bardziej zawrotna, niż sam ten styl przewidywał.

Od nitki do kłębka opowiedzieli sobie w końcu, co robią w tym miejscu, a ona zaprosiła go na obiad. Chciała go koniecznie przedstawić swojemu mężowi. Zgodził się z entuzjazmem.

Spotkanie odbyło się w niedzielę.

Człowiek w Tommasie Giulianim nie obawiał się obcych i umiał poskromić naturalne obawy psa. Od czterech lat, kiedy prowadzili Instytut Giulianiego, Anna i Tommaso mieli czas oraz liczne okazje, by sprawdzić trwałość łączących ich więzi. Życie w pobliżu umierających nie było łatwe. Droga, jaką obrali, była otoczona ciemnościami, a powietrze, jakim oddychali, zawsze było ciężkie od lęku tych, którzy opuszczeni przez

ciało, przekraczali drzwi instytutu, by znaleźć tu nieco spokoju i otuchy po tym, jak stracili wszelką nadzieję. Lęk, wszystkie lęki stanowiły subtelny materiał, za którą musieli wziąć odpowiedzialność, a rezultaty, do jakich doszli ze swoimi pacjentami — zaskakujący stan uspokojenia i pogodzenia, bardzo często przekraczający granice, jakie zakreślały najbardziej optymistyczne prognozy — dobrze pokazywały, że umieli zjednoczyć siły, by unieść podobny ciężar.

Ich miłość nie znała cieni i nie dawała żadnego przystępu powolnej erozji, jaką wywołuje codzienność. Była zbyt wzniosła, zbyt przepastna i trzymała ich dwa życia złączone tak, jak świat trzyma

-151-

razem swe przeciwieństwa, bo od czasu śmierci Elizabeth Krien-bull wiedzieli, że nie mogą bez siebie istnieć.

Obiad minął bez przeszkód, a rozmowa utrzymywała się w granicach kurtuazyjnej banalności. Juliana Morela przede wszystkim uderzył kontrast między młodzieńczą aparycją Tommasa Giulia-niego — wyglądał na nastolatka — a jego głosem, wysokim, skrzykliwym i lekko drżącym, który mógł uchodzić za głos starca.

Kiedy przyszła godzina rozstania, Tommaso Giuliani odprowadził gościa aż na ganek, co należało do rzadkości, i uścisnął mu rękę, kierując ku niemu serdeczny, dziecięcy uśmiech. Poczł w sobie znów „to”, które się prężyło, kiedy widział Juliana Morela i Annę, jak szli obok siebie alejką prowadzącą do bramy instytutu. „To” było psem, wstrzymanym, nieruchomym, drżącym; wydał z siebie cichy skowyt.

Anna i Julian szli w milczeniu. Kilka chwil, które spędzili razem, ograniczeni przez konwenanse, to za mało, by mogli się czegoś więcej o sobie dowiedzieć. Teraz jednak szli obok siebie, ona była szczęśliwa i on także. Wymienili jeszcze długie spojrzenie, zanim Julian Morel usiadł za kierownicą swojego wozu.

Wkrótce Anna słyszała jedynie buczenie małego mathisa, który zanurzał się w dolinę. Stała nieruchomo przy drodze, jakby zagubiona, i zdziwiła się odkryciem, że wciąż macha ręką na pożegnanie, gdy wieś wokół od dłuższego już czasu była pogrążona w ciszy.

Nic się nie wydarzyło, a wszystko się dokonało.

Anna i Julian odtąd nie przestali się widywać.

Nie zostali kochankami i nie pragnęli nimi być. Ale kiedy trzy miesiące później Anna oznajmiła Julianowi, że spodziewa się nareszcie dziecka, w

spojrzeniu, jakie wymienili, było radosne przekonanie, że bez ich spotkania dziecko nie zostałoby poczęte.

Tej księżycowej nocy pies wychynął ze swej budy i Tommaso Giuliani, błądząc samotnie po ogrodzie wielkiego domu, wykrzykiwał swą rozpacz bez żadnego już umiaru.

25

Jest ósma rano, siedzę w jednej z kawiarni Beauvais. Czuję się tutaj tak dobrze, że mam ochotę spędzić cały ranek. Widzę stąd katedrę Saint-Pierre — chór z XIII wieku oraz sklepienie krzyżowe w stylu gotyku płomienistego podtrzymują łuki przyporowe wsparte na masywnych, wznoszących się aż po sam szczyt filarach — pozostałość po marzeniu, namacalny dowód trwającego dwieście lat obłędu, którego ofiarami padli zarówno biskupi, jak i architekci. Wiara jednak nie zdołała podtrzymać szalonego rozpędu kamienia — katedra zawaliła się dwa razy i nawa nigdy nie została odbudowana.

To, czego ówczesna nauka i technika nie umiały osiągnąć, dzisiaj wydaje się dziecięcą igraszka. Szkło, stal, beton o wiele wyżej wzniosły przemysłowe marzenia. Czy należy doszukiwać się w tym jakiegoś znaku? Idea Boga wymaga cudu, a kiedy on się nie wydarza, katedry się zawalają. Kiedy wreszcie „rozum” triumfuje i wznosi wyżej niż kiedykolwiek swoje budowle, zrealizowane marzenie jest absolutnie wolne od skazy, co znaczy, że od tyranii rozumu nie da się już uciec. Jak walczyć z rozumem i nie uchodzić za wariata? Czy wariat może powiedzieć rozumowi, że to on zwariował?

Teraz, jak zawsze, muszę się roześmiać. Daję się ponieść. Pojęcia Boga i rozumu, zanim zaczęły się w filozofii wykluczać, przez kilka stuleci się uzupełniały. Było w tym sporo hipokryzji, gdyż Bóg jako idea rozumu musiał wykazywać się złą wiarą, gdy człowiek zderzał go z własną rzeczywistością. Niemniej na kilku niewielkich obszarach historii myśli zrodziły się z tego połączenia jeden czy

-153-

dwa użyteczne paradoksy. Ich przetrwanie zawdzięczamy neopitagorejczykom ze szkoły aleksandryjskiej.

Eli...

Kiedy o nim myślę, czuję wzruszenie.

Co zapamiętałem z jego lekcji?... Jak by zareagował, gdyby wiedział, w

jaki sposób wykorzystuję jego badania?

Proszę się nie martwić, Eli, pracuję, pracuję! I nie tracę nadziei, że dostąpię objawienia, gdyż „poznanie, które rodzi się z doznań i rozumowania, jest jedynie przygotowaniem do wiedzy prawdziwej, którą osiąga się na drodze iluminacji”.

Ach, owa eklektyczna szkoła aleksandryjska!... Nie cofała się przed żadnym paradoksem! Od Żyda Filona po Ammoniusza Sak-kasa, tragarza portowego, od Plotyna i jego uczniów, Gentilanusa z Etrurii, Zetusa z Arabii, Zoticusa, Serapiona z Aleksandrii i Porfiryusza z Tyru, dzięki któremu roztoczyła cały swój blask, a następnie Jamblicha, matematyka i teozofa, aż po Proklosa, który dokonał wielu cudów, i wreszcie Damascjusza, ostatniego z pitagorejczyków, duchowego ojca Eliego, starszaka ogrodnika, który podobnie jak tamten przepowiedział moment własnej śmierci i się pomylił.

A następnie spędził resztę życia, przepraszając, że wciąż jest tutaj.

Ze mną jest mniej więcej podobnie, z tą jednak różnicą, że to nie ja przepowiedziałem moją śmierć, ale lekarze. Gruźlica kości miała mnie powoli wykończyć, to było nieuniknione. Dano mi najwyżej trzy lata życia — z tej prostej przyczyny, że w tamtym czasie gruźlica kości była nieuleczalna.

Stan, w jakim przyjechałem do Instytutu Giulianiego, nie dawał mi szansy na żadną przyszłość. Nie zdawałem sobie jednak z tego sprawy. Miałem wrażenie, że jestem w podróży. Wyobraźcie sobie pociąg jadący do Wiednia albo do Wenecji. Pociąg, do którego wsiedliście w tym samym czasie co większość pasażerów. Pomachaliście chusteczką na pożegnanie i usadowiliście się wygodnie na miękkiej ławeczce, bo pociąg ten zapewnia podróż w komforto-

-154-

wych warunkach. Przeczytaliście jakąś gazetę czy książkę, albo też zapadliście w drzemkę. Wkrótce pociąg pędzi w ciemnościach, jest dziesiąta wieczorem. Następnie zwalnia, a w końcu się zatrzymuje, co jest zaskakujące, ponieważ pierwszy postój przewidywany był w Lyonie lub dopiero w Strasburgu. Patrzycie na zegarek: jest o wiele za wcześnie. Próbujecie zobaczyć coś przez okno, ale nic nie widać, kilka świateł w oddali, to wszystko. Jeszcze raz patrzycie na zegarek: pociąg stoi już od godziny. Wydaje wam się, że to długo. Zaczynacie snuć przypuszczenia: zablokowała się zwrotnica, popsuta się lokomotywa, zdarzył się jakiś

wypadek na torach... Nawiązujecie z pasażerami rozmowę, której temperatura szybko rośnie — już ponad godzinę, coś takiego! Mogliby nas powiadomić, co się właściwie stało! W tym momencie pociąg rusza i po kilku minutach przychodzi kontroler przeprosić w imieniu towarzystwa kolei za ten nieprzewidziany postój spowodowany dużym ruchem na torach.

Pociąg jedzie, ale dwie godziny później znowu się zatrzymuje. Myślicie sobie, cóż, podróż nie zapowiada się zbyt dobrze. Uzbrajacie się w cierpliwość, wyglądacie na nieco zrezygnowanych: w takim wypadku lepiej zasnąć. Zasypiacie.

Kiedy się budzicie, jest jasno, a pociąg nadal stoi. Towarzysze podróży, którzy nie spali równie dobrze jak wy, relacjonują wam, że pociąg zatrzymywał się często, czasami na trzy minuty, czasami na dwie godziny albo i dłużej. Koło piątej po południu jesteście u kresu wytrzymałości, macie wrażenie, że maszynista oszalał i pociąg nigdy nie dojedzie do celu. Ale ledwo zdążyliście to pomyśleć, pociąg znowu rusza.

Ten sam dobroduszny i nad wyraz uprzejmy kontroler przychodzi tłumaczyć w imieniu spółki, że niestety opóźnienia te powstają z przyczyn od kolei niezależnych, ale cokolwiek miałyby się wydarzyć, towarzystwo gwarantuje, że pociąg dotrze do miejsca przeznaczenia. Rozdają wam kanapki i napoje, proponują kawę i papierosy. W wagonach sypialnych kamerdyner ścieli łóżka. Zmienia pościel. Obsługa jest bez zarzutu.

-155-

Następnego dnia rano dowiadujecie się, że w nocy pociąg w ogóle nie ruszył. Poczciwy kontroler odwiedza każdy przedział ze słowami pocieszenia. Oznajmia, że pociąg zatrzyma się wkrótce na małej stacji i że towarzystwo kolei jest gotowe zwrócić pieniądze za bilet tym, którzy zdecydowali się teraz wysiąść. Zapewnia jednak, że pociąg dotrze do celu, a nawet daje do zrozumienia, że nie powinno być już zbyt wielu postojów; w każdym razie towarzystwo oferuje pasażerom pełną opiekę, posiłki i ciepłe rogaliki na śniadanie, a nawet dostęp do codziennej prasy. Mimo to na małej stacji wysiada wielu pasażerów. Uważacie, że to głupie stracić tyle czasu i znaleźć się w punkcie wyjścia, doprawdy, to idiotyczne, ale jeżeli pociąg zacznie teraz normalnie jechać? Zresztą w gruncie rzeczy to zabawne dać się utrzymywać kolei. Zostajecie.

Osiem godzin później zaczynacie myśleć, że nie mieliście racji, ponieważ pociąg nie jechał dłużej niż trzy kwadransy, ale, trzeba przyznać, kontroler nie skłamał — obsługa jest doskonała, jedzenie wyśmienite. Po

raz kolejny sprzątnięto waszą kuszetkę i zauważacie, że pościel jest delikatnie perfumowana. I tak mija noc. Następnego dnia rano pociąg zatrzymuje się na kolejnej stacyjce, kontroler ponawia swoją propozycję i większość pasażerów wysiada. Jesteście gotowi, by pójść w ich ślady. Stoicie w korytarzu z walizką w rękę, ale w chwili, gdy wysiadacie, sami nie wiecie dlaczego, sztywniejecie, przepuszczacie cztery osoby, które patrzą na was ze zdziwieniem. Zatrzymaliście się, bo pociąg stał się tajemnicą, którą chcecie zgłębić. Chcecie się dowiedzieć, czy wreszcie dotrze do celu. Mówicie sobie, że w końcu wasz czas nie jest aż tak cenny, cóż za różnica — przeżyć to czy tamto... poza tym nie wiadomo, co czeka was na stacji, na której zamierzaliście wysiąść; nikt nie powiedział, że będziecie mogli stamtąd ruszyć dalej. Więc postanawiacie jeszcze zostać, to trochę szalone, jednak w tym momencie odrobina szaleństwa sprawia wam niekłamaną przyjemność.

Kiedy pociąg rusza, myślicie sobie, że ci, którzy jak wy zdecydowali się kontynuować podróż, to wasi bliźni.

-156-

Po czterech dniach należycie do najwytrwalszych, którzy raz na zawsze postanowili, że nie wysiądą. Zbyt długo czekaliście, by się teraz wycofać. Utyskujecie na własną ciekawość, ale wiecie, że nie możecie jej już umknąć. Idziecie na całego. Postanawiacie zostawić sprawy ich biegowi. Życie w rytmie drobnych zdarzeń, które składają się na życie pociągu. W oczach najwytrwalszych pasażerów, do których sami należycie, dostrzegacie jakiś dziwny blask. Jest to wasz znak rozpoznawczy, sposób na powiedzenie sobie bez słów, że wy przynajmniej naprawdę umiecie tracić czas.

Podróż nadal się ciągnie. Nikt już nie liczy dni, kontroler stał się waszym przyjacielem. Wieczorami opowiada historie i wraz z wieloma innymi pasażerami podążacie do wagonu restauracyjnego, by słuchać go po obiedzie. To jego sposób na zabicie czasu. Wydaje się, że ta podróż nigdy się nie skończy. W pociągu każdy wie o osobnym życiu, wy również.

Tymczasem, choć mało kto zdaje sobie z tego sprawę, część najwytrwalszych pasażerów, nikt nie wie dlaczego, w końcu zabiera swoje bagaże i wysiada z pociągu, nic nie mówiąc. Czasami na niewielkiej stacji, czasami w szczerym polu.

Nagle spostrzegacie, że w trakcie kolejnych postojów do pociągu wsiedli nowi podróżni.

Niedługo nie znacie już nikogo i zapomnieliście nawet, kiedy

wsiedliście do tego pociągu. Jesteście tu z przyzwyczajenia i czekacie.

Instytut Giulianiego przypominał właśnie taki pociąg. Ci, którzy tu przyjeżdżali, sądzeni na początku, że będą prowadzeni za rękę spokojnym krokiem w kierunku przeznaczenia. Natychmiast jednak spostrzegli, że nie było ani drogi, ani nikogo poza nimi, kto by ich poprowadził.

Było jedynie oczekiwanie.

Tyle że w instytucie oczekiwanie szybko przechodziło w jałowe, pozbawione celu trwanie.

Czekaliśmy, ale czekaliśmy na nic albo tylko na to, by po dniu przyszła noc, po posiłku posiłek, by liść spadł z drzewa, by nastąpiła pora na partyjkę w karty albo by listonosz przyniósł pocztę.

-157-

Dla mnie, zaliczającego się, i to jeszcze jak, do grupy najwy-trwalszych podróżnych, którzy w końcu i tak jeden po drugim wysiadali z pociągu, sprawy potoczyły się trochę inaczej, ponieważ ja nigdy nie wysiadłem. Ale nigdy też nie dotarłem do Wiednia ani do Wenecji i do dzisiaj nie za bardzo wiem, dokąd zmierzam ani czego mogę się jeszcze spodziewać.

Jest wiele podobieństw między pociągiem, który opisałem, i książką, którą usiłuję napisać. Istnieje jakieś przeznaczenie, wiem o tym aż za dobrze. Każda strona, którą spisuję we własnym imieniu, stanowi małe opóźnienie, jakie sobie przyznaję. Zastanawiam się, czy nie zająłem miejsca kontrolera, który opowiadał historie, by zabić czas.

Amalia bez żalu opuściła szpital San Matteo. Powiedziała sobie, że od dziś będzie nienawidziła szpitali i słoństw, jakie się tam wyprawia, by wydrzeć ludziom piękno ostatnich chwil. Wszyscy ci mężczyźni i wszystkie te kobiety w białych fartuchach zjednoczyli się, by odebrać jej umarłego, jej pierwszą miłość, zrodzoną w piasku na corso Garibaldi i uświęconą gorączką w sali San Damiano.

— Wszystko skończone! Miłość umarła! — nie przestawała szeptać w drodze powrotnej. — Już na zawsze pozostanę wdową i nie poznam więcej żadnego mężczyzny! Wdową i panną do końca życia!

Kiedy Anna puściła jej rękę, by otworzyć drzwi domu na piazza Petrarca, Amalia znów nabrała rumieńców i delikatny uśmiech rozjaśnił jej ściągnięte rysy. Jak dobrze znowu być w domu. Poczuli głód. Wróci do odprowadzania żałoby po podwieczorku.

Anna była zaniepokojona. Czy Elizabeth wyjdzie wreszcie ze stanu

apatii, widząc córkę całą i zdrową? Czy nie jest jeszcze za wcześnie? Reakcje Amalii, która znajdowała się w szoku po pobycie w szpitalu San Matteo, były trudne do przewidzenia. Ani razu nie wspomniała o matce. Co jej powiedzieć? Jak przekazać złą wiadomość? Anna doszła do wniosku, że lepiej będzie pozwolić czasowi płynąć. Dopóki Amalia o nic nie pyta... Kiedy to zrobi, wyjaśni jej, że mama miała wypadek albo że jest bardzo zmęczona... w końcu słyszała to za każdym razem, kiedy matka była przygnębiona.

Po wejściu do swojego pokoju Amalia wybuchnęła płaczem. Anna ją utuliła, dziewczynka w końcu uciszyła się i zasnęła. Jej roz-

-159-

pacz nie różniła się od zwykłych dziecięcych smutków, toteż Anna odeszła uspokojona.

Następnego dnia rano Amalia miała się jeszcze nie najlepiej, ale wstała, ubrała się i zeszła do kuchni, by jak zawsze zjeść śniadanie. Anna spróbowała ostrożnie wypytać ją, co się wydarzyło w szpitalu, ale w odpowiedzi usłyszała jedynie: „Już po wszystkim, pan umarł, już po wszystkim” — pomyślała więc, że lepiej będzie na tym poprzestać.

Minęły dwa dni i Amalia nadal słowem nie wspomniała o matce. Poprosiła jedynie pokojówkę, by znalazła jej czarny materiał, dużo czarnego materiału, i pudełka. Zamknęła się w swoim pokoju, pocięła materiał na szerokie wstęgi, po czym rozebrała wszystkie lalki, by owinąć je w skrawki materiału, tak że wystawały im tylko głowy. Potem ułożyła je w pudełkach. Teraz wszystko było gotowe. Mogła spokojnie pograć się w żałobie i smutku, bawiąc się czarnymi mumiami.

Anna sądziła, że Amalia usiłuje w ten sposób zagłuszyć uczucie braku matki lub wspomnienie o spotkaniu z młodym mężczyzną, którego uważała za zmarłego. Po czterech dniach Amalia nadal nie wyraziła chęci zobaczenia się z matką. Wymyślała coraz bardziej makabryczne zabawy, domagała się coraz większej liczby pudełek, dopraszała się o kości po kurczaku i ości po rybach oraz przetrząsała ogród w poszukiwaniu kamieni, piór i czarnych chrząszczy, które przyklejała do kurzych kości związanych w formę krzyża. We włosy wkładała sobie rybie szkielety, a następnie tańczyła, padając co chwila na twarz przed czarnymi mumiami i krzyżami, potwornie się przy tym krzywiąc. Czasami także się śmiała, ponieważ w gruncie rzeczy wszystko to było bardzo zabawne. Anna pomyślała, że najwyższy czas interweniować, tym bardziej że stan Elizabeth był beznadziejnie niezmienny. Przez cztery dni miała

wystarczająco dużo czasu na to, by przygotować się do rozmowy.

Jak każdego wieczoru przysła ucałować Amalię i usiadła na łóżku, by odmówić z nią *Ojczy nasz*, po czym zaczerpnęła głęboko powietrza i wyrzuciła z siebie:

-160-

- Wiesz, Amalio, twoja mama wróciła.

- Tak, mama wróciła, wiem — odpowiedziała Amalia. Anna nie spodziewała się takiej odpowiedzi, przygryzła wargi, bo żadna z przygotowanych kwestii nie pasowała do sytuacji, nie wiedziała, co powiedzieć. Amalia patrzyła na nią tak, jak patrzyła każdego wieczoru, od kiedy wróciła — z wymuszonym uśmiechem. Zapadło ciężkie milczenie. Trzeba było je przerwać, coś zaimprovizować, Anna rzuciła się na głęboką wodę:

— Nie masz ochoty się z nią zobaczyć? — spytała.

— Tak... bardzo... wielką ochotę... nie wiem... — Słowa przychodziły jej z trudem. Amalia chwyciła kołdrę i zaciskając piąstki, podciągnęła ją aż pod brodę, chciała być teraz dziewczynką, małą dziewczynką: — Czekałam... — wymamrotała.

No przecież to oczywiste, pomyślała Anna, co ze mnie za idiotka, mogłam to przewidzieć. I natychmiast zrezygnowała ze wszystkiego, co chciała powiedzieć a propos lalek i kości z kurczaka.

- Zastanawiałaś się, dlaczego nie przychodzi...

- Tak, zastanawiałam się.

- Jest w swoim pokoju, wiesz, jest zmęczona.

- Tak, wiem.

- Jest chora.

- Tak, chora.

- Nie mogła przyjść.

- Nie, nie mogła...

- Jeżeli chcesz, pójdziemy jej powiedzieć dzień dobry jutro rano.

- Tak, jutro, jeżeli tak chcesz, Anno.

Amalia coraz ciaśniej okręcała się kołdrą, chciała tylko przytakiwać, chociaż nie wiedziała dlaczego. Anna miała taką poważną minę. Przecież to nie pierwszy raz mama była chora, nie pierwszy raz spędzała dni z dala od córki. Kucharka, kiedy Amalia się skarżyła, jedynie wzruszała ramionami, klepiąc ją delikatnie po policzku. Ona także wiedziała, że nie można nic na to poradzić, trzeba czekać — ot i wszystko.

-161-

Anna pogłaskała ją po włosach.

— Dobranoc, maleńka.

Pocałowała ją w czoło, policzki i czubek nosa, uśmiechając się przy tym. To była ich dawna zabawa. Amalia ją lubiła, wiązały się z nią same dobre wspomnienia.

— Dobranoc, Mano — odpowiedziała jak dawniej.

Anna zgasiła światło i w ciemnościach, bardziej wzruszona, niżby chciała to dać po sobie poznać, szepnęła:

— Śpij dobrze, Malio, dobranoc, dobranoc...

Popchnęła drzwi i trzymając jeszcze rękę na klamce, przystanęła na chwilę i wydała z siebie westchnienie ulgi.

Następnego dnia rano znowu przypomniała Malię i Manę, by znaleźć odpowiedni ton i dzięki tej sztuczce poprowadzić Amalię do łóżka matki, jakby chodziło o jakąś zabawę.

Odwiedziny nie wywołały u Elizabeth żadnej reakcji poza zmianą rytmu trzepotania rzęs. Natomiast Amalia była zaniepokojona. Zawsze, kiedy matka popadała w melancholię, trzymano ją od niej z daleka. Zastanawiała się, dlaczego teraz Annie tak bardzo zależało na tym, by ją zobaczyła. Z powodu jej pierwszej komunii? Czy z powodu pana umarłego? Może dlatego, że jest już duża! Wystarczająco duża, by zobaczyć się z matką, kiedy ona leży zmęczona. Mimo wszystko było to dziwne, bo Anna chciała się z nią bawić tak jak wtedy, gdy Amalia była jeszcze mała. Czy trzeba udawać, że jest się małym, by zostać dużym? Rzeczywiście mama wyglądała na bardzo zmęczoną, w ogóle się nie ruszała, a przede wszystkim, co było najdziwniejsze, nie mogła na nikogo spojrzeć, gdyż jej powieki trzepotały jak skrzydła motyla. Biedna mama. Teraz, kiedy ją zobaczyła, cóż mogła uczynić? Na pewno będzie dobrze, jeżeli ją pocałuje. Pocałowała ją więc i powieki na chwilę uspokoiły się. Dostrzegła jej spojrzenie. Ale nie, to nie było normalne, doprowadziło ją do szaleństwa: oczy mamy były ogromne i niebieskie, a przecież ona nigdy nie miała niebieskich oczu, tylko brązowe! Ogromne i niebieskie, takie jak miał pan umarły, co to wszystko ma znaczyć? Jeżeli za każdym razem, kiedy była bardzo zmęczona... Tak, na pewno

-162-

chodziło o to! O spojrzenie! Trzymano ją z daleka, żeby nie zobaczyła tego spojrzenia. Ale teraz była już na tyle duża, że miała przystąpić do pierwszej komunii, a przede wszystkim zatopiła się już w spojrzeniu pana umarłego i

dlatego mogła. Mogła, ale tylko troszeczkę, to dlatego mama stale mrugała, była ostrożna, nie trzeba było, żeby Amalia patrzyła zbyt długo na niebieski kolor, mogłaby się zagubić w spojrzeniu matki. Nie trzeba było, żeby zbyt szybko się dowiedziała, że mama jest jak umarła za każdym razem, kiedy czuje się bardzo zmęczona. Biedna mama! Jak jej powiedzieć... Moja biedna mamó, pomyślała, wiesz, kocham cię zawsze tak samo, możesz udawać umarłą, kiedy tylko zechcesz, kocham cię tak samo jak wtedy, kiedy jesteś żywa, a nawet, wiesz, o wiele bardziej niż wtedy, kiedy byłam mała, bo teraz jestem duża.

Ten rok ciągnął się w nieskończoność, niewyraźny w swoim trwaniu, tak bardzo dni, które po sobie następowały, wydawały się identyczne. Piętrzyły się jedne na drugich niczym cegły. Czas tworzył mur. Amalia rosła.

Za murem były już tylko wspomnienia. Tommaso, młody mężczyzna, który zamieszkał teraz w ich domu, przypominał jej odległą historię o panu umarłym, jaka zdarzyła się niegdyś w pełnym słońcu, i kiedy napotykała jego spojrzenie, nie czuła już nic poza lekką tęsknotą. Co prawda, on także bardzo się zmienił. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła go stojącego, nie poznała go. Schodził ze schodów, opierając się na kulach. Miał na szyi gipsowy kołnierz, co powodowało, że wyglądał jak powstrzymana w ruchu jaszczurka. Jego ciało, wsparte na kulach, wyglądało jak stos zapalek, który za-raz ma się rozsypać. Wykonywał serie krótkich ruchów, sztywnych i precyzyjnych, przesadnie dokładnych, jakby przenosił te zapalki, jedna po drugiej, z zachowaniem wielkiej ostrożności, by stos się przemieścił nienaruszony i nie rozpadł się u dołu schodów. Wydawał z siebie ciche pomruki za każdym razem, kiedy udawało mu się pokonać kolejny stopień. Przy stole serwowano mu kleik. Nic nie mówił, wydawał się łagodny, zrezygnowany i uległy. Amalia powoli przyzwyczajała się do jego obecności. Trzeba było jeszcze wielu

-163-

miesiący, by jego ciało nabrało zwinności. Kiedy zdjęto mu kołnierz, zaczął poruszać głowę, wykonywał małe szarpnięcia jak spłoszony ptak. Często przechylał głowę i trwał tak, nieporuszony, z rozdziawionymi ustami i spuszczonego wzrokiem. Wprawdzie chodzenie nie wymagało już wielkiego wysiłku, ale cały czas mamrotał coś przez zaciśnięte zęby, nie tyle z bólu, ile by dodać sobie odwagi do życia. Potem mamrotał coraz głośniej i częściej, aż do tej pamiętnej nocy, której Amalia zastała go przy oknie, gdy wrzeszczał jak opętany przy świetle księżyca. Od razu wszystko

zrozumiała. To był przecież jej umarły, chociaż teraz był jedynie zwierzęciem zamkniętym w klatce, biednym zgnębionym psem. Podrapała go w szyję, a on natychmiast, jakby chciał jej powiedzieć, że naprawdę wszystko pojęła, zaczął ją lizać po twarzy i rękach. Historię z krwią również w końcu zrozumiała, Anna jej wszystko wytłumaczyła: tak po prostu było z kobietami. Co więcej, to miało powracać regularnie, na tym polegała różnica między nimi a mężczyznami. I faktycznie, to powracało. I mogła sobie wkładać rękę, tak by nie krwawiło. Ale czasami jeszcze trochę się bała, ponieważ przed komunią nic nie powiedziała księdzu. Połknęła opłatek i wypila krew, tak jak powiedział, i kiedy podniosła głowę ku potężnemu sklepieniu katedry San Michele, była pewna, że zobaczyła Chrystusa, który wcale nie wydawał się rozgniewany. Potem jednak nie chodziła już tak często do kościoła. Anna była dużo mniej rygorystyczna od jej matki.

Kiedy w końcu przyszedł dzień, w którym Anna oznajmiła jej śmierć matki, Amalii wydało się, że taki jest porządek rzeczy, porządek wyrażający się w sposób nader oczywisty: teraz naprawdę będzie duża i pokocha matkę już na zawsze. Kiedy przyprowadzono ją do zmarłej, była rozczarowana, że jej oczy są zamknięte. Tak bardzo chciała po raz ostatni zobaczyć niebieskie spojrzenie. Anna dużo płakała. Za dużo, o wiele za dużo, myślała Amalia. Przecież to była jej matka i ona sama płakała tyle, ile trzeba, to było normalne. Ale nie tyle, ile Anna. Doprawdy, mogłoby się wydawać, że to Anna

-164-

straciła matkę. Tymczasem Anna miała brać ślub z Tommasem. Czy można być aż tak smutnym, kiedy się wychodzi za mąż? Tak czy owak jej, Amalii, to się nigdy nie przydarzy, ponieważ była wdową i nigdy już nie wyjdzie za mąż. Także Tommaso w chwilach, kiedy nie udawał psa, musiał się zastanawiać, dlaczego jego przyszła żona jest taka smutna.

Była zadowolona, kiedy opuszczali Pawie. Nie wiedziała, czy to Tommaso wpadł na pomysł utworzenia instytutu, ale był to naprawdę wspaniały pomysł. Poczuli się w tym wielkim domu tak, jakby opuściła go wczoraj. Pamiętała najmniejsze zakamarki ogrodu, wszystkie gry, w jakie bawiła się z innymi dziewczynkami. Pamiętała, że była tu szczęśliwa i że jej matka w środku zimy, kiedy wszędzie leżał śnieg, zaśmiała się tu po raz pierwszy od dawna.

W górach czuła się dobrze, oddychała świeżym powietrzem, a poza tym

wydawało się, że Tommaso i Anna wszystkich tych umierających sprowadzili specjalnie dla niej, mogła się nieustannie pograżać i zanurzać w coraz to nowych spojrzeniach. Na początku Anna nie zgadzała się, by Amalia przy nich czuwała, mówiła, że jest za mała. Amalia dostała szału. Wiła się na ziemi niczym wąż. Wtedy Anna ustąpiła, pozwalała jej od czasu do czasu, troszeczkę, wieczorem, przez pół godzinki, trzymać ich za rękę przed snem. Chorzy bardzo lubili Amalię. A potem, gdy sama leżała już w łóżku, wkładała sobie rękę między uda, tam, gdzie jest najcieplej, i łóżko zaczynało się delikatnie kołysać.

Z czasem coraz częściej trzymała umarłych za rękę, Anna zostawiała ją nawet z nimi samą. Kiedy więc szła spać, coraz częściej wkładała sobie rękę, wywoływało to bowiem w niej podobną reakcję jak wtedy, na corso Garibaldi, kiedy w swoim ciele poczuła statek wypływający na ocean. Myśląc o tym, czerwieniła się odrobinę; mimo wszystko miała wątpliwości. Może to nie było dobrze. Pewnego dnia zobaczyła w książce piękny obrazek z dwoma wielkimi żaglowcami, pod spodem było napisane: *„Albatros, idąc ostrzej na wiatr, wyprzedza Cygana”*. To ją wzruszyło, te dwa opasłe cielska kołyszące się na wodzie w rytmie fal, które rozbijały się o burty,

-165-

toteż tego wieczoru, gdy oddalała się samotnie, wyszeptała: „Idę ostrzej na wiatr”.

Pewnego ranka Anna weszła do jej pokoju w chwili, gdy Amalia odbywała poranną toaletę. Koszula nocna opadła jej do pasa, przed sobą trzymała duży emaliowany dzban, z którego nalewała do porcelanowej miski ciepłą wodę. Jej ciało było chłopiące, pozbawione bioder: smukłe, gibkie nogi, śladu brzucha, pośladków, ani grama tłuszczu. Kiedy Amalia się odwróciła, żeby zobaczyć, kto wchodzi, Anna dostrzegła — trzeba powiedzieć, że pierwszy raz coś ją tak zaskoczyło — dwie wspaniałe piersi, okrągłe, jędrne i tak nierealne na tym ciele jak dwa dojrzałe owoce na młodym pędzie wiosną.

- Ależ, ty masz już piersi! — wykrzyknęła Anna.

- Tak, są bardzo piękne — Amalia była dumna i szczęśliwa.

Anna zbliżyła się, pełna podziwu, pogłaskała jedną pierś, potem drugą i pocałowała Amalię w czoło. To było delikatne, dyskretne i czułe.

— Będę musiała kupić ci biustonosze. Jeżeli chcesz, pojedziemy do Vittel w przyszłym tygodniu, tylko we dwie.

„Tylko we dwie...” Dłoń Anny na jej piersiach... i pocałunek na czole...

Amalia położyła się spać bardziej szczęśliwa niż zwykle, a nazajutrz, kiedy się obudziła, uśmiech wciąż rysował się na jej wargach. Coś się w niej działo, coś poważniejszego i bardziej znaczącego niż zwykle rozbudzenie zmysłów przez dłoń, która po raz pierwszy nie była jej własną. Wstając, powiedziała do siebie: „No właśnie, Anna mnie kocha jak prawdziwa matka”, jakby po raz pierwszy pozwoliła sobie na przyznanie się przed samą sobą do rozdzierającego poczucia opuszczenia, które doskwierało jej od czasu, gdy matka zaczęła popadać w melancholię po śmierci przystojnego kapitana. Od tej pory jedynie miewała matkę i nigdy nie była już ona taka jak przedtem.

I choć doznania i uczucia, zrodzone z kontaktu z Anną, wynikały z drobnego nieporozumienia, to egzaltowana natura Amalii szybko przekształciła je w stan głębokiej szczęśliwości i świat na jakiś czas stał się w jej oczach zaczarowanym ogrodem, w którym

-166-

królowały wyłącznie miłość i czułość. Ptaki, wiatr, drzewa, dzieci, kwiaty, woda — bez przerwy brała kąpiele — personel instytutu, starcy, umierający, trupy, kamienie, wszystko, co istniało na powierzchni ziemi, jednoczyło się, by śpiewać hymn ku chwale miłości. Amalia zaś całowała rękę kucharki, Mme Yvonne, kiedy ta serwowała jej danie z ziemniaków, płakała, zrywając róże, krzyczała z radości w czasie deszczu, rzucała się między łapy Tommasa, najpiękniejszego psa na świecie, pieściła go i całowała długie godziny, turlała się z nim po trawie i patrząc w niebo, ze skrzyżowanymi rękami, chwaliła Chrystusa Pana za ogrom szczęścia, który jej zesłał. Nie chciała się już ani na chwilę rozstawać z Anną, a jej szczęście stawało się coraz większe i nieco bolesne z powodu swojej intensywności, ponieważ czuła, jak bardzo Anna także pragnęła z nią przebywać. Wieczorami, zanim się położyła, okazywały sobie wiele czułości, całowały się, a Anna wzdychała i powtarzała: „Moja mała Amalia, moja maleńka”, aż leciały jej łzy wzruszenia, ale to była ich tajemnica, tylko ich dwie, i, mój Boże, nie było pod słońcem nic cudowniejszego.

Mniej więcej w tym samym czasie mężczyzna w Tommasie sprawiał wrażenie coraz bardziej strapionego.

Któregoś wieczoru Anna wytłumaczyła Amalii, że był smutny, ponieważ chciał mieć dziecko, a ona nie mogła zająć w ciąży. Stanowiło to pretekst do bardziej dokładnych objaśnień specyfiki ludzkiej natury, a zwłaszcza budowy męskich genitaliów, co wywołało ataki niepohamowanego śmiechu i stworzyło okazję do licznych pieszczot.

Amalia była zachwycona, teraz wiedziała wszystko, co trzeba, o mężczyznach i kobietach, a nawet pomyślała, że mogłaby tego spróbować ze swoim psem, ponieważ on także był mężczyzną. Poczłaby w sobie coś jak maszt okrętu i poszłaby jeszcze ostrzej na wiatr.

Kiedy Anna spotkała Juliana Morela, Amalia skończyła siedemnaście lat. Na początku była szczęśliwa, ponieważ Anna czuła się szczęśliwa i opowiadała jej o wszystkich pięknych rzeczach, o któ-

-167-

rych mówił jej Inżynier, zwłaszcza o katedrach. Ale powoli zaczęła zauważać, że Anna staje się coraz bardziej roztargniona. Wieczorem całowała ją delikatnie w usta, ale nie przytulała się już do niej tak mocno, by mogły utworzyć jedno ciało ogarnięte tą samą cudowną pieśczoą. Amalia chciała zapytać, chciała się dowiedzieć... czy nie była już małą dziewczynką swojej prawdziwej mamy? Czy rosnać, urosła za bardzo? Jednak nie ośmieliła się. Żeby się pocieszyć, postanowiła więcej czasu poświęcać swojemu psu. Pewnego dnia, kiedy w końcu ogrodu bawili się patykami, który Tommaso gryzł z zapalem, pomyślała, że mogłoby się okazać zabawne również dla niego, gdyby ona udała suczkę, zaczęła więc biegać dookoła niego na czworakach. Faktycznie, wywołało to w nim atak śmiechu, psiego śmiechu, przypominającego gdakanie. Byli weseli i beztroscy, Tommaso zatem również dla śmiechu wszedł jej na grzbiet i zaczął ją gryźć w szyję. Wtedy poczuła coś twardego, co ocierało się o jej lędźwie, a Tommaso kołysał się, stękał i sapał nad nią. W niej, gdzieś głęboko w środku, rozgorzał pożar, ogień przebiegał arterie jej ciała, a między nogami wszystko płonęło.

Słońce stało wysoko na niebie i nie było nawet najmniejszego wiatru.

Razem rzucili się w żar, zapominając o sobie samych, i na krótką chwilę zjednoczyli się w gwałtownym spełnieniu, które łączyło w nich ludzkie ze zwierzęcym.

Tego dnia w pełnym słońcu barka Amalii, prowadzona przez wielki maszt, wypłynęła tak daleko, że pokonała cały ocean i zniknęła za horyzontem.

27

Eli, zanim przybył do instytutu, również niemało podróżował. Kiedy udało mu się już potajemnie opuścić Włochy, i to w sposób nieco bardziej komfortowy niż powozem usłanym odpadkami jarzyn, mógł się wreszcie

zanurzyć w tym, co uznawał za swoją prawdziwą historię. Historię, która biorąc początek w odległej starożytności, po długich i owocnych peregrynacjach, zarówno ziemskich, jak i duchowych, dopadła go w owych niespokojnych czasach między dwiema wojnami. Historia ta, dzięki latom studiów, powinna, jego zdaniem, osiągnąć swój kres, podążając za wytyczonym wedle logicznego porządku biegiem wydarzeń, który mógł określić z relatywną precyzją.

Było więc całkowicie logiczne, że jesienią roku 1931, w pochmurny i deszczowy poranek Eli znalazł się przed bramą Instytutu Giulianiego.

Wzruszenie ścisnęło mu gardło, kiedy przeczytał inskrypcję:

Instytut Giulianiego Dom spokojnej starości

wypisaną białą kursywą na emaliowanej seledynowej blasze, która wisiała na lewym słupie furty.

Miał na sobie niebieski drelichowy garnitur, a całym jego bagażem była czarna skórzana teczka.

-169-

Pociągnął za kołatkę i usłyszał rozlegający się w oddali dźwięk dzwonka. Po kilku minutach na spotkanie wyszła młoda kobieta, bardzo piękna, lecz o surowych rysach twarzy. Rozmawiała z nim przez bramę.

Gdy zapytała go o powód wizyty, Eli, nie okazując niecierpliwości i zdenerwowania, jakie go zżerały, oświadczył, że pragnąłby się osobiście spotkać z profesorem Giulianim, który, wedle tego, co mu przekazano, jest dyrektorem zakładu. Niewyraźny uśmiech przebiegł po twarzy młodej kobiety, a blask współczucia ożywił niewzruszone wody pięknych oczu, nadal jednak nie uczyniła najmniejszego gestu, by otworzyć bramę.

Odpowiedziała, że nic nie stoi na przeszkodzie takiemu spotkaniu, ale o tej porze dnia dyrektor jest bardzo zajęty. Czy wysłał jakieś dokumenty? Nie, żadnych dokumentów... Po prostu chce złożyć wizytę... To nie leżało w zwyczajach zakładu. Zawahała się, po czym z uroczą niezręcznością osoby lekko zmieszanej spytała, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, by poczekać, chyba że chciałby się zobaczyć z którymś

z lekarzy pracujących w zakładzie, oni przeważnie mieli więcej wolnego czasu.

- Chyba wolałbym poczekać — wyznał Eli. — Myśli pani, że to może długo potrwać?

- Trudno powiedzieć — odpowiedziała. — Wie pan, w tym zakładzie życie nie biegnie zwykłym rytmem, tutaj czas jest odmienny... — Zawahała się, a potem bardzo cicho, prawie szeptem, dodała pośpiesznie: —

Oczywiście pan to dobrze rozumie, nieprawdaż?

— Tak, oczywiście, rozumiem, rozumiem doskonale. Ja sam...

Nieoczekiwanie ogarnęła go przerażająca chęć zwierzenia się, nagle zapalał pragnieniem, by wyznać wszystko: kim był, jaki jest prawdziwy powód jego wizyty, skąd się wzięła jego niezbita pewność, że musi przybyć aż tutaj. Jego życie było dziełem bliskim doskonałości, jednak pozostało kruche, tak, tak, niezwykle kruche, trzeba było jeszcze uważać, zwłaszcza na czas, tak, tak, obcho-

-170-

dzić się z nim delikatnie, zachowując wszelkie środki ostrożności, ponieważ...

Padalo... wyjaśnienie wszystkiego zabrałoby za dużo czasu, wolał nie wgłębiać się w szczegóły...

65546 ...ja sam, widzi pani, żyję czasem bardzo szczególnym. Jakieś siedem lat temu, w 1924 roku, byłem we Włoszech, w Pawii, i muszę powiedzieć, że w tamtym czasie niewiele brakowało, doprawdy kilka straconych chwil, żebym spotkał Giulianiego. Tę okruszynę czasu chciałbym odnaleźć dzisiaj...

65547 Pawia! To się świetnie składa, doprawdy świetnie! — wykrzyknęła z nagłym entuzjazmem, jakby udało mu się przejść z pomyślnym wynikiem ostatni etap egzaminu. — Przekażę pana prośbę natychmiast, sądzę, że będziemy mogli zadośćuczynić pańskiemu życzeniu... kiedy tylko dyrektor znajdzie chwilę wolnego czasu.

Oddalała się już w stronę domu, kiedy staruszek Eli zatrzymał ją okrzykiem:

— Panienko!...

Ten okrzyk mu się wyrwał, brzmiał jak potworna skarga, rozdzierające wezwanie, zupełnie nie tak, jak by sobie tego życzył. Młoda kobieta odwróciła się, nie okazując nadmiernego zaniepokojenia ani nawet zaskoczenia, poprawiła jedynie „panienko” na „pani”, kładąc rękę na brzuchu, który, lekko zaokrąglony, nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jej stanu. Obdarzyła go wyrozumiałym uśmiechem.

- Proszę pani — podjął staruszek Eli, pokazując bramę, która wciąż była zamknięta — proszę pani, czy nie mógłbym wejść i poczekać w środku?

- Z całą pewnością będzie pan mógł wejść — odpowiedziała — ale skoro nie dostaliśmy żadnych dokumentów, nie mogę o tym zdecydować sama. Proszę nie mieć mi za złe, sam pan rozumie, nie możemy wpuszczać każdego, kto do nas przychodzi.

— Rozumiem doskonale, ale widzi pani, jest jesień i pada deszcz — zauważył Eli. — Taka mżawka jest nawet przyjemna, jednak

-171-

wkrótce cały przemoknę, wiem, to głupio z mojej strony, ale nie wziąłem płaszcza przeciwdeszczowego.

— No właśnie, ani bagaży.

Powiedziała to bez cienia oceny, po prostu stwierdziła fakt, jednak położyło to kres dalszej rozmowie.

- Mogę panu jedynie obiecać, że otrzyma pan odpowiedź — dorzuciła, wciąż miła i uśmiechnięta. — Proszę wrócić jutro rano. Czy wezwać panu taksówkę?

- Nie, dziękuję, nie ma takiej potrzeby — odpowiedział Eli. — Zejdę na piechotę.

Po tych słowach po raz ostatni skinęła delikatnie ręką, jakby przepraszając, i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę wielkiego domu.

Eli staruszek stał przed bramą całe popołudnie. Stał na baczność jak żołnierz na warcie, czujny, z ciałem wyprężonym do przesady, zarazem spragniony i obawiający się tego, co przyniesie najbliższa przyszłość, ponieważ coś się miało wydarzyć, był o tym absolutnie przekonany. Nie miał zamiaru wracać do miasteczka położonego w dolinie, myślał o najwyższej konieczności, niemalże kosmicznej, która musiała być przyczyną jego przybycia o tak niestosownej porze. Wystarczyło poczekać; u kresu oczekiwania jak zwykle objawi się jakiś wyższy sens.

Czekał aż do zmierzchu, zapominając o wszystkim, były w nim siła i cierpliwość kamieni. Pozwolił, by przeszła noc, i nie przejmował się deszczem, który przestawał padać jedynie na chwilę.

Następnego dnia, koło ósmej rano kark całkiem mu zeszywniał, poczuł dreszcze i zaczął kasłać. Stęchły zapach wydzielany przez jego płuca był pierwszym objawem choroby. Jego czoło było rozpalone, kasłał coraz gwałtowniej, wreszcie splunął. Plwocina była żółta, zabarwiona cienką strużką krwi. Zaczął się śmiać: zapalenie płuc! To oczywiście! Jakież lepszy pretekst mógłby wymyślić, żeby poprosić o miejsce w tym zakładzie, niż porządne zapalenie płuc?

Jego śmiech spowodował kolejne kasznięcia, tak silne, iż sądził, że rozerwą mu wnętrzności i za chwilę skona.

-172-

Zdecydowanie był na dobrej drodze.

Dwie godziny później, kiedy słońce nieśmiało przebijało już przez lodowatą mgłę, poczuł się gotów i ponownie pociągnął za wiszący na łańcuszku dzwonek. Wkrótce usłyszał powolne kroki młodej kobiety o surowej twarzy, której stopy ledwie muskały ścieżkę, i dostrzegając w tym szczęśliwą wróżbę, oczekiwał jej pojawienia się.

- Ach, jestem taka szczęśliwa, naprawdę bardzo szczęśliwa, że pan wrócił, proszę wejść. Zapraszam — powiedziała, otwierając bramę. — Mój mąż pragnie się z panem zobaczyć.

- Pani mąż?

- Tak, profesor Giuliani jest moim mężem, mam na imię Anna. Ufam, że nie przybył pan dzisiaj zbyt wcześnie.

- Anno, chciałem pani powiedzieć... — ale nie udało mu się już wykrztusić ani słowa, gdyż jego wątłe ciało nie było w stanie pohamować radości, jaką odczuwał. — Anno... — uśmiechnęła się i ruszyła pierwsza, nie czekając, aż dokończy zdanie, lubiła czuć pod stopami żwir, jakim była wysypana prowadząca do domu alejka, szła, a on podążał za nią, szczęśliwy, co pominęła milczeniem, szedł, a świat wkoło promieniał, przestworza rozbrzmiewały śpiewem aniołów i dźwiękiem trąb. Szedł w stronę wielkiego domu, powietrze świszczowało mu w płucach, gorączka tężała w jego ciele niczym upał przed burzą i pieniła jego myśli we wrzącym fermentie. Oczywiście rozpalala mu serce i członki, fakty radośnie zajmowały swoje miejsca, dokładnie tam, gdzie jego niecierpliwość wypatrywała ich niegdyś na próżno. Szedł naprzód, a wszystko układało się w określonym porządku, dotarł

wreszcie do ostatecznego punktu, w którym życie, przekroczywszy bramę śmierci, może jedynie trwać, punktu, w którym materia rozkłada się i opuszcza formę, jaką przybierała do tej pory, by pójść w stronę innej, nieznannej. Osiągnął ten ostateczny punkt i podążał za młodą kobietą o surowych rysach, po alejce wysypanej kłującym żwirem, która biegła ku wielkiemu domowi, gdzie przed człowiekiem, mianującym się teraz profesorem Giulianim, on, natchniony Eli, miał roz-

-173-

winać wyrafinowaną interpretację, rzucającą wreszcie światło na prawdę jego istnienia.

Trzynasty Dzień dobiegał końca, a wszystko to było zapisane, po prostu wszystko: jego przyjazd, długie oczekiwanie i zapalenie płuc, które z tego wyniknęło, uśmiech Anny, deszcz, żwir; mógł jedynie obserwować fakty i miejsca w sposób jak najbardziej przewidywalny znaczące krótką drogę, jaka pozostała mu do śmierci.

Nagle Anna zaczęła niemal biec. Ma rację, pomyślał Eli staruszek, trzeba się spieszyć, czas ucieka, tak, tak, moje życie może zgasnąć w każdej chwili. Toteż, sapiąc i spluwając co chwila, próbował dotrzymać jej kroku. Anna jak zwinna kozica pokonała siedem stopni ganku, który wyrastał niczym brodawka z lewego skrzydła budynku. Rozsunęła wielkie przeszklone drzwi i odwróciła się, spragniona, by podzielić z nim radość, że może go wreszcie ugościć. Kiedy się odwracała, myślała, że ujrzy go daleko w tyle, gdzieś na zakręcie alejki, tuż obok magnolii, jak z trudem podąża w stronę ganku, i już, już szykowała się, by pomachać ręką i w ten sposób dodać mu otuchy, gdy z ogromnym zaskoczeniem zobaczyła, że jest tuż za nią i stawia stopę na drugim schodku. Nie spodziewała się, że będzie zdolny wykrzesać z siebie tyle energii, by za nią nadażyć, i przez krótką chwilę czuła obawę, że zapał, radość i niecierpliwość, z jakimi spieszyła, by mu pokazać dom, wyzują staruszkę z ostatnich sił. Usuwając się na bok, przepuściła go przodem, by wszedł pierwszy, a kiedy ją mijał, uspokoiła się całkowicie, gdyż w jego spojrzeniu płonęły taki żar i taka energia, że trudno było sobie wyobrazić, iż coś mogłoby go złamać. Być może w tej chwili po raz pierwszy zdała sobie sprawę z własnej słabości. Nieznacznym dreszcz przeszedł jej ciało jakby muśnięte podmuchem przenikliwego wiatru.

Eli staruszek wszedł do przestronnego hallu, którego podłoga była pokryta ukośną klepką. Na końcu korytarza, dokładnie na wprost,

widniało pięcioro masywnych drzwi. Po prawej majestatyczne schody, zwieńczone grubą, spiralną poręczą, przywodzącą

-174-

na myśl poskręcane ciało węża, prowadziły na piętra. Naprzeciwno, po lewej, wielkie lustro zajmowało całą ścianę i odbijało schody tak, że widział, jak Anna, podwojona, oddała się spiralnymi schodami stopień po stopniu, a potem kieruje ku niemu pożegnalny uśmiech i wskazuje mu środkowe drzwi, w których miał się ukazać profesor Giuliani. I rzeczywiście, w odpowiednim czasie to się wydarzyło: stanął przed Elim, wysoki, szczupły i młody, zbyt młody, jakby nie na miejscu w domu skazanym na ostateczności życia i skrajności wieku.

Na początku starszek Eli dostrzegł oczy, które go nie widziały. Spojrzenie było przejrzyste, szczere, przenikliwe, jednak nie kierowało się ku niemu. Miał nieprzyjemne uczucie, że jest jedynie ziejącą otchłanią, jakąś dziurą, czystą przezroczystością, przez którą profesor Giuliani badał coś lub kogoś, kto stał za nim, coś lub kogoś, których Eli nie mógł zobaczyć. Zmieszał się.

— Serdecznie pana witam w naszym domu — powiedział profesor, wydając z siebie świst przypominający pisk myszy. Wówczas jego młodość okazała się jedynie pozorem: technienie i dźwięk, które dobywały się z jego krtani, by stworzyć to zdanie, niechybnie sięgały czasów tak odległych, że starszka Eliego przebiegł potężny dreszcz.

Zwycięstwo! Zwycięstwo! — pomyślał, wchodząc do gabinetu profesora, który uczynił zapraszający gest — moje życie dobiegnie końca zgodnie z planem!

Czuł niepohamowaną chęć, by paść do stóp gospodarza albo by podskakiwać, wymachując rękami, i uwolnić w ten sposób nadmiar szczęścia i wdzięczności, jakie w nim kipiały. Tej przesadzie stanął jednak na przeszkodzie kolejny dziki napad kaszlu, przypominając mu aż nazbyt wyraźnie o ciężkim i, cokolwiek by mówić, niepokojącym stanie jego zdrowia.

Profesor Giuliani usadowił się za biurkiem w szerokim fotelu z drewnianym oparciem, misternie rzeźbionym na wzór tympanonu gotyckiej katedry. Ponieważ Eli wciąż stał, poprosił go, by usiadł na jedynym znajdującym się w gabinecie krześle, które — twarde

-175-

i proste — królowało w znacznej odległości od biurka, na samym środku

perskiego dywanu. Następnie otworzył spoczywającą przed nim grubą księgę rejestrową, zapalił lampę stojącą po prawej, gdyż dzień był dżdżysty, podniósł głowę i znów utkwiał w Elim spojrzenie, które przenikało przez staruszkę tak, jakby go nie zauważał; wydawało się nawet, że dostrzega za nim jakąś cząstkę jego osoby, o jakiej Eli nie miał zielonego pojęcia.

— Szanowny panie, doprawdy jestem bardzo szczęśliwy, że mogę pana gościć w naszym zakładzie.

Zdanie było krótkie, suche i zwięzłe, jednakże wypowiedziane głosem cierpkim i zachrypłym, jakby pokrytym jakąś łuską, i pod tą dziwną skorupą kryjącym niepokojącą zwierzęcość, która pochodziła z innej epoki, sam dźwięk słów zdawał się budzić wycie jakiegoś prehistorycznego gada albo psa zmarłego w Pompejach.

- A więc był pan w Pawii siedem lat temu... zapewne wie pan — kontynuował bez związku — że nasz instytut przyjmuje przede wszystkim pacjentów, których choroba przybrała, nazwijmy to, charakter definitywny...

- Tak, wiem — odpowiedział Eli. — Będę cierpliwie czekał, proszę się nie obawiać, przybyłem tu, znając całą sprawę.

I jakby w celu potwierdzenia swoich słów, natychmiast zaniósł się potwornym kaszlem. Wszystkie cząstki jego starego ciała poczęły się trząść i dało się słyszeć głucho trzaski, podczas gdy lekki odór rozkładu uniósł się w gabinecie.

— Proszę mi wybaczyć — zdołał wyszeptać, gdy nawałnica się jąca spustoszenie w jego płucach nieco się uspokoiła — sam pan widzi, czas nagli.

Na twarzy profesora Giulianiego pojawił się pełen powątpiewania wyraz. Jego spojrzenie spoczęło na Elim, tym razem nie sprawiając wrażenia, że go przenika.

— Wcale nie jestem przekonany, drogi panie, kiedy na pana patrzę; pana radosne poruszenie — gdyż nie ma wątpliwości, że jest pan radosny — nakazuje mi sądzić, że to nie śmiertelnej infekcji, która, proszę mi wierzyć, dotyka duszę w tym samym stopniu co

-176-

ciało i zostawia mało miejsca na radość, stawia pan czoło, tylko raczej bakterii silnie burzącej myśli, która z pewnością może stanowić zagrożenie dla pana umysłu, ale na pewno nie dla życia. Jest pan nieskończenie bardziej krzepki, niż można by sądzić z pana starczej

postury. Kaszel wyczerpał pana, to prawda, jest imponujący, ale z klinicznego punktu widzenia w żaden sposób nie wskazuje, by był pan dotknięty jakimś poważnym schorzeniem: potężny kaszel, z którego pan się z łatwością wygrzebie, nic ponadto. Oczywiście w pana wieku konsekwencje mogą się okazać dramatyczne, jeżeli pan go zlekceważy. Musi się pan leczyć, drogi panie, ot i wszystko, i to nie tracąc ani chwili.

Eli odebrał tę przemowę jak zniewagę, jego choroba, a przede wszystkim prawda, jaką za sobą pociągała, nie została uznana. Nagle on, bądź co bądź staruszek, poczuł się rozczarowany jak dziecko.

Głos, charkoczący świst, oraz automatyczny sposób, w jaki dzielił słowa, akcentując każdą sylabę i wyszczególniając wszystkie dźwięki, podobnie jak rzeźnik oddziela mięso od kości, pozostawiały jedynie szkielet znaczenia, jednak trudno było temu wszystkiemu zaprzeczyć. Profesor powiedział prawdę: silne przeziębienie, nic śmiertelnego! Wydawała się ona tak bezdyskusyjna, że sam Eli dał się niemal przekonać.

— Śmierć jest poważną rzeczą — podjął znowu profesor. — Nie należy konfrontować się z nią przedwcześnie. Trzeba być gotowym, drogi panie! A chcieć umrzeć to zupełnie co innego, niż być na to gotowym.

Eli już nie wytrzymał — nadać tak opaczny sens celowi jego wizyty! Wściekłość, w tym samym stopniu co gorączka, burzyła w nim krew. Też coś! Ten młodzieniaszek, ten żółtodziób, który z pewnością nie miał jeszcze trzydziestu lat, ten kompletnie zielony sztubak chciał pouczać jego, Elięgo, uginającego się pod ciężarem tylu lat, że nikt nawet nie potrafiłby ich zliczyć! Za kogóż on się uważa? Cóż on wie o śmierci, on, który wszakże nie mógł jej przeżyć?

Bynajmniej nie zauważywszy wewnętrznych rozterek staruszka, profesor Giuliani dorzucił, nieprzejednany:

-177-

— Poza tym, ryzykując, że pana rozczaruję, muszę panu powiedzieć, że celem naszego zakładu nigdy nie było przyjmowanie śmierci z rezygnacją. Tutaj walczymy — głos, bez zmiany tonu, zaczął wzbierać w ciche crescendo — walczymy! — stał się bardziej donośny, silniejszy. — Walczę ze śmiercią dzień po dniu! Z tysiącami maskami, jakie ona przybiera, by zwodzić moich pacjentów! Tutaj nikt się nie poddaje! Nikt! Śmierć nigdy nie odbiera nam więcej niż przydzieloną jej działkę, wydiera nam co najwyżej te cząsteczki życia i czasu, które jej drogo sprzedajemy! — Wrzeszczał: — Czy pan to rozumie?! Rozumie pan?!

— Rozumiem, rozumiem — odpowiedział Eli mechanicznie.

Trudno było się oprzeć takiej pasji. Eli zrozumiał, że człowiek, który stał przed nim, pojmował śmierć w sposób materialny, jakby musiał się zmagać z nią pierś w pierś w każdym momencie życia. Jego ujęcie problemu było materialistyczne i emocjonalne, podczas gdy Eli stosował tu kategorie duchowe i logiczne: dla Eliego śmierć nie miała więcej materialności niż aksjomat zawarty w definicji ludzkiego życia. Śmierć jawiła mu się jako lekka i zwiewna córa Apollina, nie wątpił, że można z niej uczynić arcydzieło.

Jego zdenerwowanie minęło, tak, rozumiał... Giuliani i on stali po dwóch stronach tej samej góry. Ich spotkanie, jeżeli miało dojść do skutku, mogło nastąpić jedynie na szczycie!

W gabinecie zapadło ciężkie milczenie, obaj mężczyźni pograżyli się w swoich marzeniach.

Eli gładził machinalnie torbę, którą trzymał na kolanach. W roz-targnieniu otworzył ją i zanurzył w niej rękę. Uleciała stamtąd lekka mgiełka, jakby torba była wypełniona pyłem. Jego ręka nie musiała długo szukać, natychmiast pochwyciła cienki kawałek papieru, dobrze już pożółkły, który siedem lat temu, złożony w kwadrat, wysunął się z *De Magia Mathematica* Giordana Bruna. Kiedy go rozłożył, opary mgiełki znów rozprzestrzeniły się po gabinecie.

Przypatrywał się kartce długo i z uśmiechem, aż w końcu wyciągnął ją ku swojemu rozmówcy. Ponieważ krzesło było oddalone

-178-

od biurka, musiał wstać, by się do niego zbliżyć. Torba spadła mu z kolan, uwalniając jeszcze większe ilości kurzu i pyłu.

— Czy poznaje pan ten dokument? — spytał delikatnie. — Za pomniał go pan, jak mi się wydaje, w Pawii w sierpniu 1924 roku, w jednej z książek biblioteki Collegio Borromeo.

Profesor Giuliani poczuł się tak, jakby zasnuwała go mgła. Roziskrzzone cząsteczki tańczyły mu przed oczami, zbierały się w świetle lampy i rysowały w powietrzu lśniące spirale, które mąciły mu wzrok.

Nie odpowiedział.

— Naprawdę niczego to panu nie przypomina...? — naciskał Eli.

Pies w Tommasie Giulianim wydał z siebie cichy pomruk.

Tommaso Giuliani wpatrywał się w kartkę papieru rozłożoną na biurku. Lekko się unosiła i trzepotała niczym skrzydło motyla na wietrze. Nie miał odwagi, by wziąć ją do ręki, ale jednocześnie obawiał się, że spadnie i pograży się w tumanach kurzu, które spowijały pomieszczenie. Pochylił się do przodu, ręce położył płasko na biurku, po czym na skórzanej podkładce, znajdującej się o kilka centymetrów od drgającej kartki, oparł podbródek. Prychał na ten skrawek papieru, obserwował jego drgania, śledził najmniejsze poruszenie, rzucał głową w sposób gwałtowny i urywany, w górę, w dół, w prawo, w lewo, z ciałem wyprężonym i otwartymi ustami, sapał jak pies na łące, zafascynowany nieprzewidywalnym lotem ważki.

Za oknami niebo zdawało się wisieć bardzo nisko, znów zaczął padać ten sam drobny deszcz, który siąpił przez całą noc i kilka godzin poranka.

Nie bez ukłucia w sercu Tommaso rozpoznał własny charakter pisma. Staruszek znów zaczął kasłać.

— To bardzo interesujące, bardzo interesujące... — wyszeptał Tommaso, kiedy już ostatni rzeźący świst położył kres czkawce dobywającej się z trzewi starego człowieka... — doprawdy doceniam zaszczyt, jaki mi pan uczynił, składając tę wizytę — podsumował, prostując się.

Eli uśmiechnął się. Świstek papieru odniósł zamierzony skutek — skutek nieco zaskakujący, obnażający bowiem cokolwiek zwie-

-180-

rzece zachowanie dyrektora — jednak ton rozmowy się zmienił i wydawało się nawet, że Eli zyskał poważanie.

— Ot, życiowy przypadek... — odpowiedział — ale proszę mi wierzyć, że zaszczyt leży po mojej stronie.

Schylił się, by podnieść torbę. Tommaso zauważył z niepokojem, że znów uleciało z niej trochę kurzu.

— Powód mojej wizyty znajdował się w tej teczce — kontynuował staruszek. — Siedem lat ciężkiej pracy, której pan dał zarazem początek i koniec. Proszę pozwolić mi ją przedstawić w ogólnych zarysach, a dopiero potem mnie sądzić, ja z kolei, niezależnie od moich pragnień i przekonania, że zasługuję na miejsce w tym zakładzie, podporządkuję się pańskiej decyzji.

Tommaso miał nieprzyjemne wrażenie, że staruszek, uśmiechając się, zwijał wargi, tak by dać mu do zrozumienia, że także potrafi udawać psa.

Przytaknął i powiedział:

- A więc słucham pana...

- Ot, życiowy przypadek... — kontynuował Eli. — Byłem ostatnim człowiekiem, który mógłby uwierzyć w przypadek, gdyż każdy fragment mojego życia wydawał się zapisany z wyprzedzeniem. Panu zawdzięczam odkrycie drogi prowadzącej od determinacji do bramy Przypadku, drogi, jaką możemy przemierzać w dowolnym kierunku, doświadczając cudownej wolności, wolności, która towarzyszy każdemu z naszych kroków, kiedy nie wiemy, dokąd zmierzamy.

Otóż, widzi pan, Przypadek istnieje. Jest bardziej wszechpotężny niż wszyscy bogowie, którzy kiedykolwiek rządzą na ziemi i w niebiosach. Bogowie wobec nieskończonego czasu, jakim dysponuje Przypadek, są jedynie przemijającym śladem, kośćmi do gry, które ludzie przerzucili przez stulecia, by móc się w nich lepiej odnaleźć. Bogowie mówią do ludzi i gnębią ich, przypisujemy im wolę, świadomy zamysł oraz ustanowienie praw, toteż pragniemy wierzyć w ich istnienie, nawet jeżeli się nie objawiają. Przypadek natomiast jest pozbawiony woli, zamysłu, reguł i nie istnieje do-

-181-

poty, dopóki się nie ujawni. Przypadek nie mówi — pisze. Cały wszechświat jest księgą, w której się zapisał; znakiem może być wszystko: źdźbło trawy, planeta, ocean, wiatr, ptak wznoszący się nad wulkanem, kontakt elektryczny, śmierć dziecka, piasek, niebo, płacząca kobieta, pustynie, poruszenia tłumu, próżnia, atomy i słońce. Wszystko to, co się wydarza: zarówno liść, który spadł na olbrzymią ropuchę w Malezji, jak i wojny na zachodzie. Wszystko to, co istnieje: karaluchy i bogowie. Tak, wszystko, co znajduje się we wszechświecie, jest śladem pozostawionym przez Przypadek, ciągiem znaków, które piszą swoją historię. A my jej nie rozumiemy, bo nie umiemy czytać. Przypadek tka osnowę faktów, tworzy byty i rzeczy, dla których często nie mamy nawet nazwy. Nasze języki są ubogie, nasz umysł lubuje się w niewielu słowach, które zna, i kilku zdaniach, które potrafi skonstruować, jednak męczy się i bełkocze, gdy zetknie się z tym, czego nie zna. Księga jest niezrozumiała, nasza świadomość pozostaje dziecięca. Prosimy bogów, by nam czytali, domagając się zawsze tej samej historii przed zaśnięciem. Historii, która opowiadając o porządku i harmonii, wywołuje wybuchy śmiechu we wszystkich galaktykach.

To Przypadek zatem włożył tę kartkę papieru w moje ręce. Dzięki niej poznałem dwie historie spośród prawie nieskończonej liczby tych, które

mogły się z nią wiązać od czasów najgłębszej starożytności. Dwie historie bardzo różne: pańską i moją, i chciałbym panu powiedzieć, dlaczego te dwie historie musiały się dzisiaj spotkać.

Kiedy przeczytałem notatki, jakie pan sporządził, w pierwszej chwili ich nie rozumiałem. Zdania z *De Magia Mathematica*, które pan odnotował z wielką pieczołowitością, nie wydawały mi się w żaden sposób powiązane, a jeszcze mniejszy związek zdawały się mieć z jakimkolwiek objaśnieniem tekstu Jamblicha. Jeżeli chodzi o liczby, porzucił pan ich szalone ilości w takim nieładzie, iż można by sądzić, że pański umysł opanował jakiś numeryczny obłąd.

Muszę przyznać, że moja znajomość logiki oraz systemów kombinatoryjnych, którym poświęciłem lata studiów, jak również myśli ezoterycznej szkoły aleksandryjskiej kazały mi widzieć w pań-

-182-

skich próbach deszyfracji — proszę mi wybaczyć zarozumiałstwo — rezultat dziecięcej zabawy pozbawionej celu. Palec jednak wskazywał na księżyc, a idiota, jakim byłem w owym czasie, dostrzegał jedynie palec.

W rzeczy samej, dowiedziałem się później od pańskich towarzyszy broni, z których jeden poświęcił życie, by mnie ocalić — nazywał się Francesco Santuari, moja pamięć czi jego odwagę i imię — że połączenie aforyzmów Jamblicha i serii Damascjusza, które brałem za hermetyczny sposób wypowiedzenia wzniosłej prawdy filozoficznej, było jedynie prozaiczną wiadomością zakodowaną w obawie przed faszystowskimi grupami Farinacciego.

Pańskie prace objawiły mi się wówczas w zupełnie innym świetle, pańskie poszukiwanie po omacku, mające w sobie coś z naiwnej szczerości i nieprawdopodobnej przenikliwości, właściwych nowicjuszom, zbliżyło pana do rozwiązania, które, nie wątpię, w końcu by pan odkrył, gdyby tylko dysponował odpowiednim czasem.

A cóż takiego by pan odkrył?

W tym miejscu Przypadek ujawnia swoją prawdziwą kapryśną naturę, to, jak zapisuje się właściwym sobie stylem, tworząc pa-limpsesty, metafory, zagadki.

Pamięta pan zapewne aforyzmy Jamblicha:

Dio sa U Numero dei tuoi giorni Poiche quanto tu

ignori, Dio conosce. Se oblii U Numero dei tuoi ricordi, Ricorda U Numero dei tuoi oblii. Poiche al Settimo oblio, Il Tredicesimo giorno si compie Come si compie ogni vita.

Oczywiście, że pan pamięta.

Słyszając te stare wersy, wypowiedziane w jego ojczystym języku, Tommaso Giuliani począł drżeć. Całkowicie pochłonięty opowia-

-183-

daniem Eliego, przestał się przejmować otaczającymi go kłębam kurzu. Zdał sobie nagle sprawę, że coraz bardziej gęstnieją i zamiast kartki papieru rozłożonej na biurku widział już tylko mały obłok dymu unoszący się z garści białego popiołu.

Przetarł oczy, przesunął lampę stojącą na biurku i przechylił abażur tak, by światło padało na dym.

Wtedy ujrzał litery i liczby połyskujące niczym mikroskopijne diamenty, które w ciepłe żarówki zdawały się delikatnie kołysać. Wstał z fotela i zauważył, że siedzący naprzeciwko staruszek również zmienił się w kurz i mgłę. Przybierał nienaturalne rozmiary, skręcał się i wyciągał aż do sufitu, tworząc wir iskrzących cząsteczek, który pomалу wypełniał całe pomieszczenie.

— Za dużo światła — pomyślał Tommaso.

Oślepiiony, szukał po omacku wyłącznika lampy. Ciemności wchłonęły brutalnie dzień i każdy pyłek mienił się teraz zimnym blaskiem gwiazd.

Wraca mi pamięć, pomyślał w chwili, gdy usłyszał staruszka, który powtarzał słowa: „...oczywiście, że pan pamięta” a jego głos dobiegał jakby z innego świata.

Plecy i wszystkie członki zeszywniały mu na wspomnienie razów, jakie otrzymał, i ból znów wbił się miejscami w jego ciało niczym odłamki porcelanowej mozaiki.

Wyciągnął usta, tworząc mordkę, i polizał swoje ludzkie ręce.

Pociągnął nosem, czuł w pobliżu przyjazny zapach.

Uniósł wzrok i zobaczył, że pogrążony we mgle staruszek miał głowę czarnego psa.

Anubis — pomyślał Tommaso Giuliani — oto znów jestem u wrót śmierci.

W tej samej chwili ogarnęło go gwałtowne drzenie, które towarzyszy każdemu objawieniu, zrozumiał prawdziwą naturę psa, jaką nosił w sobie

od czasu, gdy powrócił między żywych.

Odegnął wizję ruchem dłoni, który przypominał pełne zadowolenia przebieranie łapą.

-184-

Nieustanny cichy deszcz za oknem i spowijająca wszystko szarość wprowadziły spokój do gabinetu; Eli staruszek siedział nieruchomo na krześle.

Tommaso pomyślał, że zapali lampę. W ostatniej chwili cofnął jednak rękę. Jego wizję wywołało światło: co prawda nie było w niej nic przerażającego, ale obawiał się, że może wymknąć się spod kontroli.

Anubis jest dobroczynną mocą — czyż bóg szakał nie wrócił życia poćwiartowanemu ciału Ozyrysa, które Set, jego przeklęty brat, porzucił po całym Egipcie? Ale wizja ta mogła równie dobrze przywoływać inne, bardziej niebezpieczne psy, jak Cerber albo Garm, potwór strzegący wejścia do Niflheim. Przewaga wymagała, by raczej kontynuować rozmowę z człowiekiem niż z przedstawicielem sił chthonicznych, jakkolwiek mógł być on życzliwy.

By zwrócić wreszcie na siebie uwagę, siedzący naprzeciw Tom-masa Eli zaniósł się potężnym kaszlem.

Z trudem złapał oddech, ale łykając powietrze jak ryba, która wysuwa pyszczyk z wody, zdołał wyartykułować:

— Być może to tylko silne przeziębienie, ale daje mi się we znaki bardziej niż zapalenie płuc... sam pan zobaczy... — Wyjął chusteczkę z kieszeni, wytarł twarz, a potem nos. — Wróćmy do Przypadku i jego kaprysów — westchnął:

Bo z Siódmym zapomnieniem Trzynasty Dzień się kończy, Tak jak kończy się całe życie.

Powszechną praktyką ugrupowań mafijnych jest przypisywanie znanym wersom określonych znaczeń. Faszystowscy intelektualisci posługiwali się tą metodą z niezwykłą finezją, niszcząc w ten sposób najpiękniejsze teksty. Posługiwali się Dantem lub Wergiliuszem, by umówić się na spotkanie, Plutarchem bądź Leopardim, by porozumieć się w sprawie pobicia lub morderstwa. Tym razem

-185-

Przypadek kazał im wybrać Jamblicha i tak nasze losy zapisały się w tych

trzech liniijkach.

Pański los jest zresztą nadzwyczajnym paradoksem.

Upłynęło zaledwie siedem lat od 24 sierpnia 1924 roku, kiedy biegł pan ulicami Pawii, ponieważ dobrze pan wiedział, że faszyci nigdy nie wybaczą mu kradzieży tej kartki. Wiedział pan, w jaki sposób się porozumiewali i że te trzy liniijki oznaczają rozkaz morderstwa. Ktoś miał zginąć, jednak nie wiedział pan kto. Poszukiwał pan klucza, którego część, w rzeczy samej, znajdowała się w *De Magia Mathematica*, i odnalazł pan nawet zasadę rządzącą serią liczb Damascjusza: 1, 8, 2, 15, 9, 3, 22..., które stanowiły odniesienia do stron w książce, liniijek, może zdań albo poszczególnych słów. Miał pan przed oczami, wypisane czarno na białym, imię ofiary: *MARASIABOPANULA*, ale nie umiał pan odnaleźć drugiej części klucza, która wiązała litery z liczbami.

Biegł pan coraz szybciej: ktoś panu nie znany miał zaraz stracić życie! Mógł go pan ocalić, było to tylko kwestią czasu, minuty, a może godziny; by odnaleźć jakieś powiązanie, logikę, którą rządziły się litery i liczby, potrzebna była godzina albo może i więcej, kilka dni, tygodni, wszystko zależało od szczęścia, odrobiny szczęścia. A potem... na corso Garibaldi padły pierwsze uderzenia kilofem...

Spowity mgłą Tommaso Giuliani słyszał dobiegający z oddali głos staruszka. Wszystko wokół było rozmazane. Niektóre słowa i pewne nazwy: kod, klucz, kluczyć, klarować, Garibaldi, *MARASIABOPANULA* czy Jamblich budziły w jego pamięci dawne cienie i określone serie liczb, ale gdyby nie dziwne doznania, jakie odczuwał, i uporczywy ból, który świdrował mu kości, mógłby sądzić, że to, co słyszy, wcale go nie dotyczy.

Zdziwił się, że stawia pytanie, którego staruszek oczekiwał:

- Klucz... powiązanie... więc znalazł pan nazwisko ofiary?
- Ot, pierwszy kaprys Przypadku... — odpowiedział Eli po dłuższym milczeniu, jakby znajdował przyjemność w odwlekaniu chwili, w której miał wyjawić swój sekret. Wreszcie tonem cokolwiek mentorskim zaczął: — 1 symbolizuje pierwszą literę nazwi-

-186-

ska, 8 — ósmą stroną z *De Magia...*, 2 — drugą liniijkę, 15 — piętnastą literę, czyli H. Pierwszą literę nazwiska można było rozszyfrować, jeżeli pod H podstawiono pierwszą literę alfabetu. Jeżeli więc H równało się A, zatem M, pierwsza litera *MARASIABOPANULA*, równała się T.

2 symbolizuje drugą literę imienia, 15 — piętnastą stroną książki, 9 — dziewiątą liniijkę, a 3 — trzecią literę. To było P. Drugą literę nazwiska

można było rozszyfrować, jeżeli pod P podstawiono drugą literę alfabetu, zatem: jeżeli P równa się B, A zaś jest drugą literą *MARASIABOPANULA*, to jest ono równoznaczne z O...

Tak oto, posuwając się krok po kroku, wyposażony w ten klucz, bardzo zresztą zmyślny, gdyż pozwalający na zmianę kodu przy każdej literze, wypisał pan swoje nazwisko, tworząc nieczytelną sekwencję liter: *MARASIABOPANULA*, czyli ni mniej, ni więcej tylko TOMMASOGIULIANI.

Jak się panu podoba ten paradoks?

To pana trzeba było ratować, a pan nie zdawał sobie z tego sprawy, podobnie zresztą jak pańscy napastnicy, którzy bili pana wyłącznie w tym celu, by odzyskać dokument mający im dopiero wskazać ofiarę; wykańczali pana bezwiednie albo dla przyjemności, nie wiedząc, że to właśnie pan jest człowiekiem, którego należy zabić.

Czyż to nie piękna figura Przypadku? Wszystko, co miało się zdarzyć, zdarzyło się, ale z innych przyczyn niż te, które miały do tego doprowadzić. W ten sposób dokonują się rzeczy, których zdeterminowanie wydaje nam się oczywiste, podczas gdy to Przypadek rządzi ich ziszczeniem.

Ale przejdźmy do kolejnego kaprysu. Jak wszyscy sądziłem, że jest pan martwy. Pomimo że znałem prawdziwy powód zestawienia aforyzmów Jamblicha z serią Damascjusza oraz sens — niegodny i zbrodniczy — jaki mu nadano, nie mogłem się powstrzymać i kontynuowałem badania, co poprowadziło mnie w stronę zupełnie odmiennego znaczenia. Oszczędzę panu szczegółowego wykładu na temat moich prac, które są interesujące jedynie dla garstki

-187-

specjalistów. Musi pan jednak wiedzieć, że dzięki nim ujawnia się węzeł, w którym spletają się nasze dwie historie, lustro, gdzie obraz jednej rozpoznaje się w rysach drugiej i na odwrót, każdy z nas bowiem próbował na własną rękę odszyfrować wiadomość, w której Przypadek zapisał jego śmierć. I zarówno jeden, jak i drugi w sposób, śmiem twierdzić, nieświadomy, jeżeli chodzi o pana, i trochę bardziej świadomy i przemyślany, jeżeli chodzi o mnie, byliśmy przekształceni przez to poszukiwanie.

Tommaso Giuliani pokiwał głową. Nie wszystko rozumiał. W jego pamięci było zbyt wiele luk, by z pełną jasnością umysłu powiązać wszystkie zdania staruszka, ale mógł się ucześcić jednego pewnika:

obydwaj należeli do tego samego gatunku, gdyż prymitywny rudy kundel, jaki w nim się krył, widział teraz przed sobą, bez żadnych wątpliwości, czarnego, eleganckiego i rasowego psa, który zawładnął starym człowiekiem. I kiedy dostrzegł, że tamten znów podwija wargi, by się do niego uśmiechnąć, zaczął cicho sapać, dając do zrozumienia, że z niecierpliwością czeka na ciąg dalszy.

— Wszyscy wiemy — wymruczał Eli — że przyszłość konstruuje się z przeszłych wydarzeń. No właśnie! Seria liczb Damascjusza pozwala zrozumieć, co z przeszłości należy do przyszłości, i określić naszą egzystencję w zgodzie z nową chronologią, która czyni możliwym opis wypadków, jakie mają doprowadzić do naszej śmierci w trybie równie przewidywalnym, jak przewidywalne są trajektorie planet.

Zestawiając w sposób wysoce nieprawdopodobny aforyzmy Jamblicha i serię Damascjusza, po to, by ukryć najbardziej zbrodnicze tajemnice, współnicy tego bydlaka, Farinacciego, nie zdając sobie z tego sprawy, uczynili znaczący krok w dziedzinie naszej wiedzy o „fazach planetarnych”, która do tej pory ograniczała się do niepełnych danych zebranych w IV wieku przez nie znanego bliżej sycylijskiego astrologa Firmicusa Maternusa, danych niejasno łączących doktrynę starożytnych chronokratów z nauką o cyklach planetarnych.

-188-

Seria Damascjusza pozwala na nowo przeanalizować cykl siedmiu faz życia, w których po kolei zaznacza się wpływ każdej z planet. Księżyc, Merkury, Wenus, Mars itd. nie oddziałują na nas tak, jak zwykło się uważać, w sposób chronologiczny, lecz zgodnie z ruchem, który określiłbym jako progresywno-regresywny.

Tommaso Giuliani zmarszczył delikatnie nos i potrząsnął głową, miał pewne trudności z nadążeniem za wykładem staruszka. Wydał z siebie cichutkie jęknięcie, by mu przerwać.

— Progresywno-regresywny, tak, tak — ciągnął Eli, jakby pojął w lot pytanie zawarte w jęknięciu — wystarczy prześledzić serię cyfr, wtedy od razu widać, o co chodzi. Proszę tylko wziąć kartkę, niech pan weźmie kartkę!

Tommaso zawahał się, bał się dotknąć kawałka papieru, jakby miał położyć rękę na relikwii z samego siebie, kawałku własnego szkieletu, obawiał się, że zobaczy zgniliznę i robaki.

— Proszę się niczego nie obawiać — powiedział Eli. — Bardzo dbałem o ten dokument, naprawdę jest w doskonałym stanie.

Z pewnym wahaniem Tommaso ujął róg kartki czubkami palców.

— Proszę spojrzeć — kontynuował staruszek, nie zwracając uwagi na ociąganie się swojego rozmówcy — i dobrze zastanowić się nad tą serią — po czym z pamięci wyliczył ciąg cyfr:

1, 8, 2, 15, 9, 3, 22, 16, 10, 4, 29, 23, 17, 11, 5, 36, 30, 24, 18, 12, 6, 43, 37, 31, 25, 19, 13, 7, 44, 38, 32, 26, 20, 14, 45, 39, 33, 27, 21, 46, 40, 34, 28, 47, 41, 35, 48, 42, 49.

Jeżeli zechce pan policzyć od 1 do 49, posuwając się ciągle w prawo, zgodnie z naturalnym porządkiem trafi pan po kolei na 2, 3, 4, 5, 6, 7, będzie pan zatem progresywnym ruchem zmierzał aż do 7, które znajduje się między 13 i 44. Ale żeby odnaleźć 8, będzie pan zmuszony cofnąć się do początku, a więc dokonać regresji w porządku serii aż do 1, ponieważ 8 znajduje się między 1 i 2. Następnie będzie pan znowu postępował naprzód, by dojść do 14, które znajduje się między 20 i 45, ale żeby odnaleźć 15, będzie pan znowu musiał się cofnąć, ponieważ znajduje się ono między 2 i 9.

-

Ten podwójny ruch, progresywno-regresywny, trwa, aż dojdzie się do 49, zresztą sam pan może to sprawdzić.

Przy każdej zmianie dostrzeże pan, że ruch wstecz dokonuje się zawsze wtedy, gdy natykamy się na wielokrotność 7, oczywiście z wyjątkiem 49, gdyż w tym punkcie nie ma już ani dalszego ciągu, ani odwrotu.

Jeżeli potraktować tę serię jako wyobrażenie życia, potrzeba siedmiu ruchów w przód i sześciu wstecz, razem więc trzynastu, by ją przejść do końca. Te trzynaście ruchów wyznacza trzynaście odcinków w ciągu, który symbolizuje Trzynaście Dni, o których mówi Jamblich.

Każdy ruch w przód znaczy kolejną fazę życia: od 1 do 7 — wczesne dzieciństwo, które jest pod wpływem Księżyca, od 8 do 14

- młody wiek, który jest rządzony przez Merkurego, od 15 do 21

- dorastanie pozostające pod wpływem Wenus, od 22 do 28 — młodość przebiegająca pod wpływem Słońca, od 29 do 35 — czas, kiedy Mars umacnia męstwo, następnie okres od 36 do 42, kiedy nad wiekiem dojrzałym czuwa Jowisz (starość wedle Justyna z Prowansji), podczas gdy między 43 a 49 zmierzchem naszego życia rządzi Saturn.

Tak więc każdy ruch w przód, dopełniony ruchem wstecz, kończy kolejny z Trzynastu Dni.

Proszę spojrzeć na Siódmy Dzień: 43, 37, 31, 25, 19, 13, 7. Każda z cyfr symbolizuje fazę rządzoną przez inną planetę. Jeżeli pan się przyjrzy, dostrzeże pan, że tutaj, w samym kwiecie młodości, Słońce wskazuje na południe; podczas gdy o swoim brzasku po raz pierwszy objawia nam starość, kiedy zaś zachodzi, Księżyc wschodzi po raz ostatni. Tego właśnie dnia budzi się w nas śmierć i bezpowrotnie tracimy dzieciństwo, chociaż znajdujemy się dopiero w środku życia:

*Wżycia wędrówce, na połowie czasu, Straciwszy z oczu
szlak niemyślnej drogi, Wgłębi ciemnego znalazłem się
lasu.*

-190-

*Jak ciężko słowem opisać ten srogi
Bór, owe stromych puszczy pustynne dzicze,
Co mię dziś jeszcze nabawiają trwogi!**

Tak, tego dnia rodzi się śmierć bądź piekło dla tych, którzy się zatracą!

Głos Eliego, który od kilku dobrych chwil się wzmagił, osiągnął taką

moc wraz z ostatnimi słowami, że Tommaso zaczął drżeć i ściskając z całej siły poręczę fotela, z głową odchyloną do tyłu, przylgnął do oparcia i krzyczał.

* Dante Alighieri, *Boska Komedja*, przeł. Edward Porębowicz (przyp. tłum.).

29

/

Wrzaski Tommasa wstrząsnęły całym domem. Na zewnątrz i w środku wszystko zamarło. Ptaki i wiatr hulający między gałęziami drzew zamilkły. W pokojach chorzy i ich goście przestali rozmawiać. Buteleczki z lekarstwami, metalowe tace, talerze i sztuce przestały dźwięczeć. W kuchni garnki bulgotały w całkowitej ciszy, belki wspierające dom i wszystkie ściany powstrzymały swoje skrzypienie. W bezruchu tej nadnaturalnej ciszy przerażający, zwierzęcy krzyk Tommasa zdawał się dobywać z wnętrza ziemi niczym przeszywające ostrze.

Anna czym prędzej zbiegła po schodach i wpadła do gabinetu. Jej mąż, nękany drgawkami, siedział w fotelu, a na środku perskiego dywanu leżał nieprzytomny staruszek. Zdezorientowana, biegała od jednego do drugiego, raz po raz nimi potrząsając, to znów bijąc ich po twarzy, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu. Widząc, że na próżno traci siły, zdecydowała się zostawić staruszkę, by skoncentrować się na mężu. Ten wrzask był nie do wytrzymania.

Chciała go wziąć za rękę, ale były jak kamienie przytwierdzone do poręczy fotela. Zatem — chociaż ten gest napawał ją obrzydzeniem — stanęła za jego plecami i przycisnęła z całej siły dłonie do jego ust. Krzyk stracił nieco na sile, przypominał dźwięk zatkanej trąbki, ale spod koniuszków palców i spomiędzy nich nadal dobywał się upiorny ryk, przechodzący w niezwykle wysokie tony, które były tak samo trudne do wytrzymania jak pierwotny wrzask. Przycisnęła ręce jeszcze mocniej i raptem odskoczyła, musiała się po-

-192-

wstrzymać, by nie zacząć krzyczeć, nie wiadomo — z bólu czy z zaskoczenia. Tommaso ugryzł ją, jej dłonie zalała krew. Wycie ponownie się rozległo, jeszcze bardziej przenikliwe i świdrujące, nienawiść człowieka łączyła się z rozpaczą i strachem psa.

Staruszek, leżąc bez ruchu na ziemi, jęczał. Jego twarz była jak ulepiona z niebieskiego wosku. Anna chciała zawołać pomoc, ale krzyk Tommasa zawłaszczył wszelkie drgania powietrza i uniemożliwiał emisję jakiegokolwiek innego dźwięku.

Amalia mimo deszczu pracowała w ogródku warzywnym. Lubiła kopać: zagłębiać łopatę, naciskając na nią stopą, a następnie przekręcać ją i wyrzucać grudę ziemi, którą rozbijała jednym zdecydowanym ruchem. Ta powtarzalna czynność wymagała akurat tyle wysiłku, ile było trzeba, by uspokoić nagłe i gwałtowne uderzenia gorąca, które burzyły jej szesnastoletnie ciało od czasu ostatnich przygód z psem Tommasem. Usłyszała wrzaski i poczuła, jak rodzi się w niej silny sprzeciw: robić to w środku dnia, doprawdy Tommaso przesadzał, to tak, jakby obnażał ich intymność publicznie. Tym gorzej dla niego, pomyślała, jeżeli mu się podoba udawać psa przy wszystkich, niechże sobie udaje! Z wściekłością zagłębiła łopatę w ziemi i zrzuciła z niej wykopaną grudę.

Tymczasem krzyk się wzmagał, z każdą chwilą stawał się coraz bardziej przygnębiający i pełen cierpienia. Amalia nakazała sobie, że nie zrobi ani kroku, i przekopała jeszcze jedną grządkę. Ale w końcu niś wytrzymała. Wrzaski były niemożliwe, musiało się zdarzyć coś poważnego, jakiś wypadek... Rzuciła łopatę i pobiegła.

Kiedy stanęła w drzwiach gabinetu, z mokrymi, przyklejonymi do czoła włosami, z rękami uwalanymi ziemią, zadyszana po tak szybkim biegu, przypominała małą umorusaną jędzę. Ale na nic już nie zwracała uwagi, widziała tylko swojego małego Tommasa, czarnego rozwścieczonego psa, który rzucał się w fotelu i wrzeszczał, wrzeszczał, wrzeszczał.

Nie zdając sobie sprawy z obecności Anny ani nie zważając na staruszka wyciągniętego na dywanie, okrążyła biurko i stanęła za

-193-

fotelem, tak samo jak chwilę wcześniej uczyniła to Anna. Ale zamiast przytknąć dłonie do ust Tommasa, pogłaskała go po karku, a potem, poczawszy od nasady kręgosłupa, przesuwała dłonie stopniowo ku górze, drapała go za uszami, wreszcie w sam czubek czaszki. Ciało Tommasa powoli się rozluźniało, natychmiast puścił poręcze. Amalia zbliżyła do niego twarz, dotknęła mokrymi włosami jego policzków i dłońmi zaczęła drapać go pod brodą, brudząc go przy tym ziemią.

Wówczas poczuł zapach próchnicy i deszczu, krzyk ustał.

Anna patrzyła, patrzyła i nic nie rozumiała. To, co dostrzegła w ciszy, która wreszcie nastąpiła, przekraczało w swojej dziwaczności i ohydzie potworny wrzask, jaki ją poprzedzał. Tommaso sapał, dyszał, ślinił się i lizał potwornie długim i czerwonym językiem ręce i twarz Amalii, Amalia także go lizała i ocierała się o niego w sposób obsceniczny.

Tommaso począł wydawać z siebie jakby skomlenie, wił się na siedzeniu i uderzał stopami o ziemię. Amalia oderwała się od fotela i w sposób nieprawdopodobnie lekki i zwinny wskoczyła na biurko, stając na czworakach. Podekscytowana, zaczęła mruzczyć, ślinić się i kręcić pośladkami.

To było więcej, niż Anna mogła zdzierżyć, uciekła. Biegła, sama już nie wiedząc dokąd.

W wielkim domu wszyscy byli przyzwyczajeni do krzyków. Jedynie nowo przybyli zwracali na nie uwagę. Pozostali zdążyli

się z nimi oswoić. Każdy wiedział, kiedy zaczął podróż, i wszyscy — było to jedno z wielkich osiągnięć profesora — po kilku spotkaniach z Giulianim uważali się za podróżujących z przesiadką. Wielki dom traktowali jak port tranzytowy. Nikt nie przybywał do instytutu, nie przepłynąwszy przez jakiś ocean, nie przebrnąwszy przez jakąś burzę. Sztuka profesora i jego małżonki, signory Anny, polegała na tym, by przekonać chorych, że podróż, którą odbyli, by dotrzeć aż tutaj, stanowiła część ich życia oraz że ta, którą mieli dopiero podjąć, w niczym się od tamtej nie różniła, gdyż to naro-

-194-

dżiny, powtarzał bez wytchnienia Tommaso, były pierwszym krokiem, jaki czynimy w kierunku nieznanego przeznaczenia.

Tak oto krzyki umierających były traktowane jak syreny statków w porcie, które w słońcu lub we mgle rozbrzmiewają jednym uroczystym pożegnaniem, przeznaczonym zarówno dla pozostających na miejscu, jak i szykujących się do odjazdu.

Mimo wszystko tego dnia, późnym rankiem, krzyk Tommasa wstrząsnął wszechpanującym spokojem i kiedy Anna biegła, dostrzegła w korytarzu dwoje czy troje uchylonych drzwi, w których rysowały się wychudłe twarze spoglądające na nią z niepokojem i obawą, co odczytywała jako tym mocniejszy wyrzut, że wszystkie milczały.

Dzięki ciszy, jaka nastąpiła, Anna się uspokoiła, a drzwi pomału zaczęły się zamykać. Kiedy dotarła do gabinetu lekarskiego, wydała jej się, że jako tako nad sobą zapanowała, i odzyskując zimną krew, zwróciła się do doktora Du Bertranda, który właśnie skończył obchód:

i
i

- Doktorze, niech pan zejdzie na dół. W gabinecie mojego męża zasłabł staruszek.

- A!... To on tak krzyczał! — zawołał Du Bertrand.

- Nie wiem, nie wiem — odpowiedziała Anna — ale niech pan szybko idzie!

Nie chciała się zastanawiać ani sobie wyobrażać, co pomyśli Du Bertrand, kiedy zobaczy Tommasa i Amalię. Zeszli razem.

Kiedy zjawili się w gabinecie, Amalii już nie było. Anna wydała z siebie

westchnienie ulgi. Tommaso pochylał się nad staruszką i go obwąchiwał. Du Bertrand pomyślał, że go bada.

— Wygląda nieciekawie — stwierdził. — Żyje jeszcze?

Tommaso nie odpowiedział. Patrzył na Annę z niepokojem.

— Psiakrew! Ależ on krzyczał — kontynuował Du Bertrand. — Naprawdę można się było przestraszyć. A ja myślałem, że niczego się nie boję. No dobrze, niech mnie pan przepuści...

Tommaso usunął się, czuł, że powinien coś powiedzieć, ale bał się, by jego głos nie zabrzmiał jak szczeknięcie.

..

Doktor Du Bertrand zmierzył puls staruszka.

— Jest zupełnie zimny, ale to chłop na schwał — stwierdził. — Niewiarygodne, chodzi jak zegarek! Nieco spowolniony, ale w takim stanie to doprawdy cud! Takie rzeczy zdarzają się chyba tylko w tym domu... No dobrze... trzeba mu podać trochę tlenu...

Tommaso ruszył w głąb gabinetu. Anna patrzyła na niego i nie śmiała go zatrzymać. Doskonale wiedziała, że w gabinecie nie ma tlenu. Zastanawiała się, co chce zrobić, nie spodziewała się niczego złego, gdyż wydawał się teraz o wiele spokojniejszy. Wziął książkę z biblioteki i bez słowa podał ją doktorowi Du Bertrandowi. To była ostatnia publikacja profesora A. Ohlmarksa z Kopenhagi — datowana na jesień 1930 roku — którą niedawno mu przysłano: *Studium zum Problems des Shamanismus Lund*.

— Shamanismus? — zastanawiał się Du Bertrand, przyglądając się uważnie okładce. — Sądzi pan, że popadł w jakąś katalepsję?

Tommaso skinął głową.

— Taa... to możliwe, czemu nie, ale... — Du Bertrand zasta nawiał się przez chwilę, przyjrzał się oczom obróconym w słupek, pomacał mięśnie klatki piersiowej, napięte do granic możliwości, i dostrzegł pianę w kącikach ust. — Taa... pewnie ma pan rację — stwierdził na koniec.

Uspokojona zachowaniem męża, Anna postanowiła się oddalić. Wróciła chwilę później w towarzystwie pielęgniarza. Tommaso wyszedł. Tego dnia więcej go nie widziała.

Przez kilka kolejnych dni zastanawiała się, czy to jej się nie przyśniło. Amalia nie okazywała żadnego zakłopotania. Wiele razy Anna przyglądała się jej badawczo, ale Amalia bynajmniej nie spuszczała oczu, co więcej — okazywała zdziwienie. Za każdym razem jej wzrok był przejrzysty, wprost biła z niego niewinność.

Tommaso też nic nie mówił. Był nawet jeszcze bardziej milczący niż zwykle. Bez przerwy prosił, by gasić wszystkie światła, ale poza tym zachowywał się tak, jak gdyby nigdy nic. Często odwie-

dzał leżącego w łóżku Eliego. Annie zdawało się, że stoi przy nim bardzo długo.

Minęły dwa tygodnie i gdyby nie prawa dłoń, na której widniały jeszcze ślady ugryzienia, Anna skłonna była sądzić, że to, co widziała, stanowiło jedynie wytwór jej wyobraźni. W niedzielę spotkała się z Naczelnym Inżynierem Julianem Morelem, ale nie zaznała ukojenia ani radości, które zwykle odczuwała w jego obecności. Co prawda nie ośmieliła mu się zwierzyć ze swoich strapień. Żeby jakoś wytłumaczyć się ze skaleczenia, powiedziała, że spadła ze schodów z butelką w ręku.

Stary Eli wracał do zdrowia. Nie było wątpliwości, że wyszedł w końcu z szoku po katalepsji, która zresztą, jak się zdawało, powstrzymała rozwijające się zapalenie płuc.

Anna, rozdarta, w złym nastroju, cały czas napięta, powtarzała sobie, że dzięki pracy zapomni w końcu o tym, co się wydarzyło w gabinecie.

Katastrofa nastąpiła we wtorek.

Anna i Tommaso nie widywali się w ciągu dnia, oboje byli zbyt pochłonięci własnymi zajęciami. Spotykali się dopiero wieczorem, po dziesiątej, i jak zwykle, gdy kończyli pracę tak późno, schodzili do kuchni na kolację. Tego wieczoru Anna odgrzała potrawkę z jagnięciny i fasolkę. Tommaso przeżuwał jedzenie kęs po kęsie ze wzrokiem utkwionym w talerz. Zegar wybił jedenastą. Tommaso przestał jeść. Z łokciem opartym na stole chwycił nóż za ostrze i jak wahadłem zaczął nim bujać nad fasolką.

- Zastanawiasz się nad czymś? — zażartowała.

- Nad niczym się nie zastanawiam — odpowiedział tonem aż nazbyt poważnym. — Już dawno się zastanowiłem.

- Nad czym się zastanowiłeś?

- Dobrze wiesz, wiesz bardzo dobrze! — odpowiedział ze złośliwym uśmiechem. — Nie jestem już panem w tym domu, jestem psem, którego wysyła się do budy. Reaguję jedynie na rozkazy, kuląc głowę w poddańczym geście. Nie jestem już człowiekiem, je-

'-197-

stem umarłym do bicia. To ty zmieniłaś moje życie. Wpuściłaś do domu nowego pana!

Słowa o psie sprawiły, że Annie stanęła przed oczyma w najdrobniejszych szczegółach scena z gabinetu. Mimo że chciała ode-gnać tę myśl z całych sił, czuła, że Tommaso wkracza na równię pochyłą

szaleństwa. Milcząca, niezdolna do jakiegokolwiek reakcji, nie potrafiła uczynić nic, żeby go powstrzymać.

Uczepiwszy się stołu, powstała z krzesła, próbując zatrzymać wzrok na czymś, co rzeczywiste, garnek, butelka z mlekiem, na tym wszystkim w kuchni, o czym z całą pewnością wiedziała, że istnieje i jest prawdziwe, by tylko nie dać się pochłonać obłędowi, który zerwał wszelkie więzi z rozumem.

— Inny pan, przecież wiem — kontynuował Tommaso kamienym głosem. — Spójrz na swój brzuch, oto nowy pan! Siedem lat jałowej ziemi! Siedem lat, w czasie których nigdy nie weszło zboże! Ani jednej nocy, kiedy nie przyszedłem odwiedzić tego pustynnego brzucha! Palił mi nasienie! Siedem lat próżnego czekania! I wystarczył jeden wieczór, jeden półśmiech, w którym z trudem można było odczytać radość, żebyś przyszła mi powiedzieć: „Spodziewam się dziecka!”. To niewiarygodne! Twoja prawdziwa natura odkryła się przede mną całkowicie: Morel!

Słowa wysypujące się z jego ust stawały się coraz bardziej podłe i jadowite.

— Wiem wszystko, bo zdołałem sobie przypomnieć: odczytałem wszystko, co zapisał Przypadek.

Powiedziawszy to, wyprostował się.

Zaprzestał złożeń i rozprawiał teraz nieskładnie; maszerując w tę i z powrotem, rozwijał ciągnące się jak freski kwestie i myśli, które nawiedzały jego umysł. A kiedy jego absurdalne rozumowanie dochodziło do banalnych oczywistości lub niejasnych konkluzji, przystawał, by się roześmiać.

— Przyszłaś po mnie do krainy umarłych. Byłem rozszarpany jak Ozyrys, kawałki mego ciała walały się w pyle na corso Garibaldi. A ty jak sęp, jak Bogini Matka, pozbierałaś dłonią, która skupiła

-198-

w sobie całe ciepło słońca, moje rozproszone członki. Pochyliłaś się nade mną jak Izis, byłaś mi zarazem siostrą i żoną, przepędziłaś złego ducha, czarnoskórych dzikusów, którzy mnie porabali i zmiażdżyli, by pozostawić do zgnicia jak kupę kompostu. W twoich ramionach odrodziłem się we własnym ciełe.

Czy można marzyć o piękniejszym obrazie miłości? Nie, nie można. Ale czy taka miłość, takie moce pochodzą z tego świata, Anno? Życie, które tchnęłaś we mnie, nie miało korzeni w ziemi. Gorszą moją część

porzuciłaś przy drodze. Puściłaś ją samopas i dzisiaj nie możesz jej rozpoznać, bo stała się dzika i zbrodnicza. Byłaś kobietą, Anno, moja ty bogini, twoja młodość, piękno i ciepło to atrybuty, które wielbiłem, ale byłaś jedynie kobietą, kobietą ludzkiej rasy, a igrałaś tymi atrybutami jak zabawkami.

Kobieto rozpustna, w liczbach wyczytałem to, co naprawdę zrobiłaś z moim ciałem.

To przez Anubisa, na burdel Boga! pieprzyłem się z tobą. Nie przestawaliśmy się pieprzyć przez siedem lat, dzień i noc, bez przerwy, dla przyjemności i z miłości, żeby cieszyć się życiem. I co? I nic, zupełnie nic! Nasze igraszki były tyle warte co burdelowe hałasy! Jak mi to wyjaśnisz, ten brzuch dziwki, który wyrasta mi przed oczami i się nadyma, a ty nosisz go z pogodą wypasionej krowy? A twój brzuch jak mi to wytłumaczy, co?! Możesz milczeć, milcz sobie, cóż ty możesz wiedzieć? Nic nie wiesz. Jedynie psy wiedzą. Ja ci wytłumaczę! Jestem pod wpływem Słońca i wchodzę w fazę Saturna! Księżyc odchodzi i nie zobaczę go już więcej. Wszystko jest zapisane! Zrobiłaś ze mnie trefny stop tego, co martwe, z tym, co żywe.

Ozyrys był pocięty na czternaście kawałków, 2 razy 7, podwojenie liczby stworzenia, Izis go pozbierała i przywróciła życie trzynastu kawałkom. Co się stało z czternastym? Połknęła go ryba.

Ile kawałków pozostawiłaś na pastwę losu? A nawet gorzej, bo postąpiłaś jeszcze gorzej; wiesz, co połknęła ryba? Siódmy kawałek, moja piękna, genitalia Ozyrysa, które zapłodniły cały Nil, aż woda wylała z brzegów i tego roku żniwa były obfitsze. Ale ty poszukałaś sobie tego kawałka gdzie indziej! Nie poznam już potomstwa, nie

-199-

będę miał Horusa. Biedny pies, cóż mi pozostaje? Próżnia między nogami i cyfry, by jeszcze raz zliczyć moje członki, które czas znów rozdzielił.

Kobieto szalona! Twój Morel nie przeżyje, to można wyczytać w cyfrach. Przypadek czuwa: kiedy on umrze, ja ożyję!

Zaniósł się szyderczym śmiechem i powtarzał do siebie: „Kiedy on umrze, ja ożyję”. Kipiał teraz jakąś nieprawdopodobną energią, pobudzony, bardziej pobudzony niż zwykle, i — trzeba to powiedzieć — wydawał się szczęśliwy, szczęśliwy i triumfujący.

Anna, otumaniona ciosem wymierzonym jej przez ten obłęd, widziała, jak jej życie wali się w gruzy pod naporem chaotycznych myśli, które — cóż za perfidny fortel, odrażająca przenikliwość szaleństwa — dotykały

ukrytej prawdy. Bo Anna aż nadto dobrze zdawała sobie sprawę, że chociaż nigdy nie kochała się z Morelem, bez niego nie spodziewałaby się teraz dziecka.

Tommaso zaś, powiedziawszy to, co według niego było do powiedzenia, ponownie zasiadł za stołem. Owinął kilka fasolek na czubku widelca i sprawiając wrażenie, jakby nad czymś się jeszcze zastanawiał, pochłonął na raz wszystko, co pozostało na talerzu.

Skończył i wstał z nieobecnyim wzrokiem. To był koniec. Zamilkł na dobre, może po to, by przetrwać? Jednym wściekłym uderzeniem zabił wszystko, co było w nim żywe.

Jeszcze jednak mówił, ale jakby do siebie, zupełnie nieobecny, całkowicie pogrążony w świecie, do którego od tej pory miał należeć.

— Przypadek jest w moim ciele, 1, 8, 2, pewnego dnia będę umiał go odczytać, 15, 9, 3, jestem Marasia Bopanula i umrę pozbawiony potomstwa. Jego syn będzie miał rogi na twarzy, urodzi się zdeformowany i nie urośnie. 22, 16, 10, 4, kiedy Morel umrze, ja ożyję. 29 jest pierwszą godziną piątego dnia, który jest pierwszym dniem po zachodzie Słońca. Moja młodość się skończyła, wchodzę w fazę Jowisza.

Zapadła długa cisza. Tommaso i Anna siedzieli naprzeciw siebie, ona patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

200

A potem wydawało jej się, że widzi słabą iskierkę zapalającą się w jego oczach. Wówczas powiedział, jakby chodziło o najzwyklejszą rzecz pod słońcem:

— Schowam się na strychu nad garażem i już go nie opuszczę. Amalia będzie przynosić mi jedzenie. Ona jedyna tutaj naprawdę kocha umarłych.

I jego oczy zamknęły się na zawsze.

30

Anna popadła w głęboką depresję, jednak szczodra natura i potężna siła witalna, jakimi była obdarzona, pozwoliły jej szybko się z niej podźwignąć.

Dobrowolne odosobnienie Tommasa pogrążyło instytut w całkowitym zamęciu. Niektórzy lekarze, w tym Du Bertrand, postanowili zachować pewien dystans. Sytuacja nie była jasna. Wiadomo było, że profesor Giuliani istnieje, jednak nie pokazywał się i trudno było uwierzyć, że jego dobroczynny wpływ na pacjentów może działać również na odległość. Mimo to bardzo niewielu chorych postanowiło opuścić zakład, a garstka

tych, którzy się na to zdecydowali, uczyniła to za namową rodziny bądź lekarzy prowadzących.

Przetrwanie instytutu poważnie zagrożonego w czasie choroby Anny umożliwił niezwykle korzystny zbieg okoliczności.

Choć odnotowano kilka zwolnień i gwałtowną redukcję przyjęć, z całą pewnością można było stwierdzić, że ci, którzy zdecydowali się zostać, sprawiali wrażenie, iż z jeszcze większym uporem czepiają się cienkiej nici, jaka wiązała ich z życiem, i z takim powodzeniem opóźniali swój zgon, że klientela wcale nie malała.

Amalię zaś, która codziennie, co było powszechnie wiadome, widywała się z profesorem, spowił nimb tajemnicy, tak że każdy, w tym również najbardziej sceptyczni lekarze, dostrzegał w niej emanację Tommasa Giulianiego. I chociaż Amalia nigdy o nim nie wspominała, utrzymywał on pacjentów przy życiu z taką samą skutecznością, jakby był przy nich obecny.

-202-

Wreszcie gdy Anna opuściła lodowatą trumnę, w której zamknęło ją szaleństwo Tommasa, i odnalazła wrodzone sobie ciepło dzięki, trzeba to przyznać, częstym wizytom Naczelnego Inżyniera Juliana Morela, szybko okazało się, że walka, jaką należało stoczyć o ocalenie instytutu, stanowi silne antidotum na cierpienie i smutek, które ją ogarnęły.

Do tego wszystkiego wypada dodać, że wiadomość o przyszłych narodzinach przydała powietrzu, jakim oddychano w domu umarłych, właściwości elektryzujących: społeczność umarłych chciała żyć, by uczestniczyć w tym wydarzeniu. Anna mogła jedynie podwoić swoje wysiłki, czuła bowiem, że ci, którzy najbardziej potrzebowali jej poświęcenia, szczerze obdarzali ją ciepłem, jakiego wciąż jej brakowało.

Koniec końców największa trudność polegała na tym, by personel, który nie pojmował zniknięcia dyrektora, uznał, że faktyczne kierownictwo zakładu będzie od tej pory sprawowała kobieta. I tutaj znów regularne wizyty Naczelnego Inżyniera Juliana Morela, którego tytuł brzmiał imponująco, wpłynęły korzystnie na bieg wydarzeń. Anna pozwoliła wszystkim sądzić, że jest on odpowiedzialny za pewne kwestie administracyjne (co nie było pozbawione podstaw, gdyż często zasięgała u niego rady), zyskując w ten sposób męską porękę, a jednocześnie unikając rozwodzenia się na temat prawdziwych powodów obecności Morela.

Egzaltacja, która zawładnęła całym domem, osiągnęła apogeum w nocy

z 27 na 28 lutego 1933 roku, bezksiężycowej nocy nad doliną Chevre-Roche, kiedy to w jednym z pokoiów na parterze urodził się, pod sprzyjającym znakiem Ryb, mały Bruno Giuliani, podczas gdy kilka setek kilometrów na wschód płomienie pożaru wybuchłego w Reichstagu wzbily się w niebo nad Berlinem, jak złowieszczą wróżba.

Mimo że Bruno przyszedł na świat prawie dwa tygodnie przed terminem, był ślicznym dzieckiem, kształtnym i bez żadnego śladu

-203-

rogów na twarzy. Przekleństwo rzucone przez Tommasa powoli zapadało w zapomnienie.

Na wszystkich piętrach podano szampana.

Po kilku miesiącach życie w wielkim domu obrało swój zwykły kurs. Anna odnalazła dawne ciepło i energię. Nieobecność Tommasa stała się normą. Myślano nawet, że jest ona wpisana w program leczenia. Przybywali nowi pacjenci. Doktor Du Bertrand nie tylko podesłał nowego klienta, lecz również powrócił do swoich wizyt. Umierający, którzy wspierali instytut zaskakującym wigorem w owym trudnym okresie, mieli dosyć taktu, by wytrwać w swoich wysiłkach. Zachowali dla siebie jeszcze tyle czasu, by móc się rozkoszować narodzinami Bruna Giulianiego, po czym jeden po drugim powracali na ścieżkę, którą podążali przed tym doniosłym wydarzeniem, i we właściwej chwili odchodzili z największą dyskrecją.

Lato przeszło bez wstrząsów.

Po raz pierwszy od 1836 roku można było kupić losy narodowej loterii. Losowanie odbyło się w dużej sali pałacu Trocadero. Piekarz z Tarascon zgarnął największą wygraną, wynoszącą pięć milionów. W Droiteval, miasteczku położonym nad górnym odcinkiem rzeki Gabionne, proboszcz poparzył się, skacząc przez ogień w noc świętego Jana. Francja przegrała Puchar Davisa. Rzesza postanowiła oczyścić rasę niemiecką, zarządzając sterylizację mężczyzn i kobiet dotkniętych epilepsją, ślepotą, idiotyzmem, schizofrenią, płasawicą, głuchoniemotą, depresją maniackalną i wszelką cielesną ułomnością. Włoch Primo Camera zdobył we wspaniałym stylu mistrzostwo świata w boksie w kategorii wagi ciężkiej, w szóstej rundzie nokautując Jacka Sharkeya.

W Darney, niedaleko Relanges, odbyło się doroczne święto kwiatów.

Dzięki niesłychanemu przyrostowi energii Annie udało się stawić czoło nowym obowiązkom. Bardzo się zmieniła.

Liczne dary, w jakie wyposażyla ją natura, pozwalały jej patrzeć na życie z bez troską. Zawsze wszystko robiła z entuzjazmem, życie

-204-

było jej pasją, energia ją roznosiła. Nie znała wysiłku. Czegokolwiek się podjęła, zarówno najbardziej przykrych, jak i wzniosłych zadań, wypełniała to z radością.

Gdy Tommaso oszalał i narodził się Bruno, odkryła, że życie wymaga czasem walki. To, co kiedyś wydawało się zabawą i dokonywało się z zadziwiającą łatwością, wymagało teraz sumiennosci, pracy i silnej woli. Odkryła, czym jest poczucie obowiązku i konieczności. Zrozumiała, że nie może dawać, nie kalkulując. Teraz musiała liczyć, szacować, działać według ściśle wytyczonych celów.

Nawet jeżeli myśl, by się oszczędzać, nigdy nie przyszła jej do głowy, podobnie jak ta, by dawkować i wymierzać swoją hojność, było też prawdą, że gdzieś w głębi każde z jej działań stawało się częścią wewnętrznej batalii. Batalii, którą zamierzała wygrać.

Zawsze pragnęła dzielić się tylko życiem, jednak los Tommasa nauczył ją, że trzeba również wiedzieć, jak uchronić się przed śmiercią.

I jak to zwykle bywa, uczucie, które poznała w wyniku bolesnego doświadczenia, ujawniało się w jej stosunku do syna w przesadnej trosce, by ustrzec go przed podobnym wypadkiem.

By oszczędzić mu jakiegokolwiek kontaktu z samym pojęciem śmierci, bardzo wcześnie wprowadziła dla otoczenia niezwykle surowe reguły. Pracownicy szpitala nie mieli wstępu do pokoiów na parterze (trzech sypialni i salonu), zarezerwowanych wyłącznie do jej prywatnego użytku. Personel opiekujący się domem, sprzątaczkę, praczka, krawcowa, a zwłaszcza Mme Yvonne, kucharka, o której wiedziała, że jest strasznie gadatliwa, otrzymała ściśle polecenie, by nigdy nie mówić przy Brunonie o tym, co się dzieje w zakładzie. Od kiedy Bruno nauczył się chodzić, ustanowiła ścisły rozkład dnia, tak planując odwiedziny oraz spaceru chorych, by spotkanie z jej synem było absolutnie niemożliwe. W rezultacie, zanim Bruno mógł świadomie się z nim zmierzyć, z niesłychaną siłą wpoila mu pojęcie zakazu. Groźby, którymi opatrzyła wprowadzone przez siebie ograniczenia, uniemożliwiając mu spotkanie z ojcem

-205-

czy z jakimkolwiek chorym przebywającym w zakładzie, były tak

straszne, że nie wyobrażała sobie, by mógł kiedykolwiek złamać zakazy. W ramach granic, które miały charakter absolutny i ostateczny, Bruno — by mu zrekompensować wszelkie zakazy — cieszył się całkowitą wolnością, co stwarzało poważne problemy jego guwernantce.

Bardzo wcześnie Bruno uznał się za pana we własnym królestwie. Na swoim terytorium nie znał innego prawa niż ustanowione przez siebie. Granice jego królestwa zmieniały się w zależności od pór dnia, które podobnie jak pory roku, cykle Księżyca czy obieg Słońca należały do wyższego porządku. W określonych godzinach królestwo to stanowił ogród, który w innym czasie objęty był zakazem. Korytarz trzykrotnie w ciągu dnia należał do jego terytoriów, by zniknąć z nich wieczorem. Okiennice w jednym z okien jego sypialni (wychodzącym na tę część ogrodu, po której spacerowali pacjenci) automatycznie zamykały się między trzecią i szóstą po południu w lecie oraz drugą i czwartą w zimie. Kuchnia z kolei, która znajdowała się w suterenie, a także sypialnia i salon oraz prowadzące do nich drogi tworzyły trwałe serce królestwa, gdzie wszystko zawsze było dozwolone. Istniało również ciemne oblicze tego, co niezmiennie — Przeklęty Zamek, a więc znajdujący się w ogrodzie garaż i jego przybudówki, które zawsze były dla niego zamknięte.

Kiedy ogród tworzył część jego królestwa, wraz z olbrzymim terenem schodzącym w dół doliny, na którym wznosiły się Żywe Kamienie, Bruno nie czuł żadnych granic i zdawało mu się, że jego władza jest całkowita. Nie było wątpliwości, że był najpotężniejszym królem świata. Niemniej wiedział, że gdzieś za horyzontem istnieją inne królestwa i że panuje w nich postrach i okrucieństwo. A ich mieszkańcy, przerażający nomadzi o czerwonych ślepiach, mają konszachty ze straszliwym potworem, który rządzi w Przeklętym Zamku. I wszyscy, o nikczemności! o zgrozo! przywłaszczali sobie każdego dnia najpiękniejsze zakątki jego królestwa, a było to

-206-

równie pewne, jak przyływ i odpływ morza. I pod nieobecność Bruna świętowali, obracając wszystko w perzynę i siejąc chaos, popełniając najohydniejsze zbrodnie i wszystkie te potworne, mrozące krew w żyłach okropności, jakie matka, signora Anna, jego jedyna małżonka i Królowa, opisała mu bardzo obrazowo, trzymając w dłoni wielką księgę, na którą on, jej Król, przysiągł raz na zawsze, że nigdy, nigdy, nigdy, ale to przenigdy nie zapuści się w ciemności zakazanych krain.

W wieku trzech lat Bruno nie mówił jeszcze ani słowa. Miał w swoim rejestrze szeroką gamę krzyków mniej lub bardziej przenikliwych, które wystarczały mu, by komunikować pragnienia czy raczej rozkazy, gdyż jako porządny król zrozumiał bardzo wcześnie, że może zyskać autorytet w oczach poddanych, jedynie narzucając swoje prawo z najwyższą surowością. Tyranizował w ten sposób cały personel, a zwłaszcza Mile Finkwiller, dzielną Alzatkę, która się nim opiekowała.

Mniej więcej w tym właśnie czasie signora Anna zaczęła się niepokoić jego niemotą i autorytarnym rozpasaniem, które zaczynało być nie do zniesienia. By go udobruchać, podarowała mu małego czarnego psa wabiącego się Krocionóg, krzyżówkę foksteriera i basseta, który — inteligentny i zادیorny zarazem — budził respekt. I chociaż Bruno większość czasu spędzał torturując go, bardzo szybko musiał się nauczyć, że są granice, których nie może przekraczać. Po dwóch czy trzech ugryzieniach, postanowił w swej wielkiej mądrości, że Król i Bestia muszą zawrzeć pakt, stoczywszy uczciwą walkę. Wtedy Krocionóg został mianowany zbrojnym rycerzem. Od tej pory najszcześniejsze chwile Bruno spędzał z psem, stał się weselszy i mimo naturalnej arogancji, właściwej jego urzędowi, pokazał, że może się zachowywać w sposób bardziej cywilizowany.

Zachęcona tym sukcesem Anna postanowiła go sprowokować do mówienia.

-207-

Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że dziecko może się nauczyć mówić jedynie wówczas, kiedy mówi się do niego. Musiała zatem przyznać, że nakaz zachowania ostrożności, jaki wydała wszystkim osobom, które mogły się zetknąć z Brunonem, nader ograniczył gamę tematów poruszanych w jego obecności. Z czasem owa powściągliwość zaczęła się nawet Brunonowi podobać i była dla niego wygodna, bardzo wcześnie bowiem zauważył, że jego poddani i służba milkli, gdy się do nich zbliżał, lub odzywali się do niego, zachowując dystans. W ten sposób cisza, która go na ogół otaczała, jawiła mu się jako rzecz najzwyczajniejsza w świecie i była dla niego świadectwem należnego mu respektu.

Aby położyć kres tej niemocie, Anna wpadła na pomysł, by wezwać starego Elięgo, który pełnił teraz obowiązki ogrodnika i zdradzał coraz silniejszą skłonność do popadania w monologizowanie, sama bowiem nie miała czasu, by poświęcić się temu zadaniu. Po opisaniu problemu i

wymienieniu tematów rozmów spytała go, czy nie chciałby rozmawiać z jej synem przynajmniej dwie godziny dziennie.

Eli zgodził się tym skwapliwiej, że tej zimy — szczególnie surowej — chętnie spędzałby kilka godzin dziennie w apartamentach signory Anny, o wiele lepiej ogrzewanych niż jego mansarda.

Po narodzinach Brunona Eliemu trudniej było się podźwignąć z rozczarowania niż z ataku katalepsji, który go zaskoczył w gabinecie Tommasa Giulianiego. Kapryśna śmierć nie pozwoliła na to, by sprawdziły się jego proroctwa, musiał popełnić jakiś błąd w rozumowaniu, opacznie odczytać Przypadek.

Po przejściu przez okres sceptycyzmu, zrozumiały po tak dotkliwej porażce, Eli odrzucił fikcję faz planetarnych i sformułował nową hipotezę dotyczącą znaczenia, jakie miało zestawienie aforyzmów Jamblicha z serią Damascjusza. Wrócił do swoich dawnych badań nad Pamięcią i Zapomnieniem.

Kiedy opuszczał pokój dla chorych, miał cichą nadzieję, że wkrótce tu powróci, i to już na dobre. Czekał na to szczęśliwe rozwiązanie, zaproponował Annie, że będzie się zajmował

-208-

ogrodem. Pomysł jej się spodobał i przydzieliła mu mały pokój na poddaszu.

Pierwszy kontakt z Brunonem był trudny. Chłopiec nie przestawał wrzeszczeć i nasłał Krocionoga, by zaatakował staruszkę, który stracił w tej awanturze kieszeń kurtki i dół spodni.

Anna musiała interweniować i wypowiedzieć kilka skutecznych gróźb, przywołujących Przekłętą Zamek i straszliwe moce potężnych czarnoksiężników.

Bruno przezornie się wycofał i postanowił wysłuchać, co stary czarodziej ma mu do powiedzenia. Bardzo szybko przekonał się o jego mocy, gdyż pomimo wszelkich wysiłków, by mu się oprzeć, pograżał się w głębokim śnie za każdym razem, gdy słuchał go dłużej niż pięć minut.

Wkrótce zasmakował w tych seansach, ponieważ drzemka, w jaką wprawiał go staruszek, dawała mu okazję do cudownych i przepięknych snów. Jeżeli chodzi o Eliego, zadowolony, że może monologować w cieple, korzystał z chwil, kiedy chłopiec zasypiał, i mówił o wszystkim, co mu tylko przyszło do głowy i co, rzecz jasna, najczęściej stanowiło zakazane tematy.

Tak oto śpiąc, Bruno nauczył się wielu rzeczy, a między innymi i tej, która musiała mu się wydać najbardziej tajemnicza ze wszystkich, gdy pewnego dnia, zaraz po przebudzeniu, usłyszał, jak jego krzyki zmieniają się w mowę.

Wywnioskował z tego, że staruszek ogrodnik musiał być bardzo potężnym i skutecznym czarodziejem.

Ich stosunki zacieśniały się i kiedy przyszła wiosna, a potem lato, w ogrodzie często można było zobaczyć książkowy obrazek: staruszek i dziecko, gawędząc, przemierzali ścieżki, a za nimi bądź ich wyprzedzając, podskakiwał czarny piesek.

To prawda, że na ogół mówił Eli, jednak Bruno chłonał każde słowo. Słuchał i obserwował, gdyż nie zapomniał o niejasnych powiązaniach między starym czarodziejem a Przeklętym Zamkiem, które sugerowała matka. Odkąd nauczył się mówić, stał się bardzo

-209-

ciekawski. Jak gdyby nigdy nic stawiał pytania na temat wielkiego domu oraz hałasów, jęków i krzyków, jakie zdarzało mu się słyszeć w nocy, a zwłaszcza ujadania psa, który z całą pewnością nie był Krocionogiem. Poza tym wypytywał staruszkę o tajemne moce i siły ciemności, które strzegły wrót do zakazanego królestwa.

Eli poprzestawał na wymijających odpowiedziach bądź też radził sobie w ten sposób, że przypisywał źródło tych tajemnic zjawiskom natury. Słońce, wiatr, noc, Żywe Kamienie, góra i potoki zamieniły się wkrótce w swarliwych i gadatliwych bohaterów najbardziej niewiarygodnych historii.

Bruno słuchał wszystkiego, ale podejrzewał, że coś się za tym kryje. Tak, z całą pewnością tkwiła w tym jakaś tajemnica! On, Bruno, przy pomocy swojego wiernego towarzysza Krocionoga sprawi już, by ujrzała światło dzienne. A jeżeli stary Czarodziej, na swoją zgubę, będzie pewnego dnia miał czelność nadwerężyć jego zaufanie, zemsta Króla będzie okrutna i bezlitosna!

31

Szaro, chmurno, ponuro. Lodowata mgła zasnuła zmartwiałą wieś grobowym całunem.

Co dwa dni Naczelnny Inżynier Morel przemierzał mathisem wąską drogę, która mijając po prawej las Cattenom, biegnie od Soetrich do Fixem. Następnie zjeżdżał na Sentzich i Cattenom, wjeżdżał na prom, by

przeprawić się przez Mozelę na wysokości Basse-Ham, i zatrzymywał się w Metrich na obiad. Po południu znów ruszał w drogę, zjeżdżając przez Oudrenne i Dalstein aż do ostatniej fortyfikacji znajdującej się w Anzeling. Wieczorem wjeżdżał na autostradę numer 418, która prowadziła bezpośrednio do Thionville, gdzie zajmował pokój w hotelu Beffroi.

Rutynowa trasa od późnego lata 1932 roku. Największe trudności, zwłaszcza problemy z nawodnieniem i osuwaniem się ziemi, które wydawały się katastrofą w chwili rozpoczęcia tej gigantycznej budowy, w dużej mierze zostały rozwiązane. Budowa dobiegła końca, instalowano już wyposażenie. Teraz decydenci CORF-u (Komisji Organizacyjnej do spraw Rejonów Umocnionych), do których należał Julian Morel, musieli się zmierzyć z problemami dotyczącymi administracji i finansów o wiele poważniejszymi niż kwestie techniczne.

Ukształtowanie terenu wymusiło podwojenie, a nawet potrojenie rozmiarów niektórych fortyfikacji. Ta, która powstała w Metrich, wznosząca się nad doliną Mozeli, w postaci trzech bloków,

-211-

w rezultacie składała się z dziesięciu. Rekord monstrualności został pobity w Hackenbergu, gdzie fortyfikacja również była pomyślana jako trzy bloki, ustawione mniej więcej co kilometr, w końcu zaś została rozdzielona na dwa miniforty, w sumie złożone z siedemnastu bloków. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że wszystkie te bloki były połączone siecią podziemnych kanałów oraz że całą infrastrukturę i wszystkie urządzenia, które zrazu były zaplanowane dla pięćdziesięciu do dwustu ludzi, trzeba było rozbudować, by w samym tylko Hackenbergu zmieściło się pięćset do tysiąca osób, łatwo zdać sobie sprawę z dziur, jakie powstały w budżecie. Zorientowano się zresztą, że niektóre efekty pertraktacji odbywających się w sztabie generalnym prowadziły do niewiarygodnych nonsensów. Na czterdziestu kilometrach swojej trasy Julian Morel mógł obejrzeć aż dziewięć nowych fortów (w tym kolosy w Hackenbergu i Metrich) i sześć fortów o mniejszym znaczeniu, wszystkie wyposażone w liczne bunkry i kazamaty, co — by rzecz opisać obrazowo — odpowiadało trzystu tysiącom metrów sześciennych betonu (czyli mniej więcej siedmiu metrom sześciennym na metr bieżący), trzydziestu tysiącom ton stali, dziewięćdziesięciu kilometrom dróg i torów oraz ponad dwudziestu pięciu kilometrom podziemnych korytarzy. Za to od Anzeling aż do Bitche, a więc prawie na osiemdziesięciu kilometrach, nie było już nic.

Julian Morel nie mógł się powstrzymać od śmiechu na wspomnienie nie

kończących się sporów teoretycznych, jakie prowadził ze swoim przyjacielem, kapitanem Mercierem, na temat słabych i mocnych punktów, lejów i próżni, strategicznej różnicy między murem chińskim a gladiatorską siecią. Mur, jeżeli można było go nazwać murem, był dosyć wyszczerbiony, a sieć przypominała raczej dziurawe sitko.

Trzeba było silnego nacisku ze strony kilku generałów, by Edouard Daladier, minister wojny, przyjechał na miejsce w 1933 roku i ujrzał na własne oczy, że ciągłość Linii Maginota zawiera kilka poważnych luk. Postanowił coś na to zaradzić, ale przy obecnym stanie finansów państwa należało czerpać z kasy z największ-

-212-

szą powściągliwością. Jedyne bunkry, bunkry i, ostatecznie, kilka kazamat!

Rozpoczęto budowę dwunastu niewielkich fortów i sześciu kazamat na dwudziestu pięciu kilometrach od Anzeling do Teting--sur-Nied oraz po drugiej stronie, za Bitche, na płaskowzgórzu Rohrbach, dwóch małych fortów i dziewięciu kazamat. Między tymi dwiema liniami, na przestrzeni trzydziestu kilometrów kwadratowych, funkcje obronne pełnić miały bunkry i bagna, które miano nawodnić w razie ofensywy.

Co do tej dziury Julian Morel i kapitan Mercier z pewnością byliby zgodni, gdyby mieli okazję o tym porozmawiać: jeżeli kiedykolwiek Linia Maginota miała być zaatakowana, to właśnie w tym miejscu. Zresztą faktycznie wydarzyło się to w czerwcu 1940 roku, jednak po niespodziance, jaką była ofensywa z 10 maja, w której trakcie okrążono linię od północy.

Za kierownicą samochodu Naczelnny Inżynier Julian Morel daleki był od wszelkich rozważań strategicznych, po głowie chodziła mu jedna jedyna myśl: Anna.

Jej obraz nawiedzał go w dzień i w noc, widział ją wszędzie. Ledwie kończył objazd, sporządzał naprędce raport, gnał do biur CORF-u zaraz po otwarciu, by go złożyć, i wskakiwał do samochodu, który zameczał, aż parujący i przegrzany wspinał się spiralną dróżką, wijącą się po zboczach doliny Chevre-Roche. Kiedy tylko przekraczał bramy instytutu, wkraczał w zupełnie inny świat. Podążając szeroką aleją, pokrytą suchymi liśćmi, czuł się tak, jakby otwierał książkę z bajkami, a kiedy wchodził do wielkiego domu, wydawało mu się, że wkracza do wnętrza historii, którą opowiadano mu w dzieciństwie. Księżniczka spoczywała na łożu i witała go cudownym, lekko znużonym uśmiechem.

Szaleństwo Tommasa Giulianiego i depresja Anny nie mogły niczego popsuć. Był to jedynie konieczny fragment opowieści, jedno z tych zdarzeń, których celem jest retardacja fabuły i dodanie szczypty soli do szczęśliwego zakończenia. Gdy siadał obok niej, był oczarowany jak dziecko, które nie chciało uwierzyć, że napraw-

-213-

dę chorowała, a jeżeli nawet, musiała przecież wyzdrowieć, inaczej nie byłoby historii. U wezglowia łóżka, chłonąc obecność Anny, dziecko, które było w Julianie, czekało, aż czas odwróci strony pięknej księgi, do której wszedł, kiedy ją spotkał. Mógł tak stać dzień i noc, szczęśliwy, tak bardzo szczęśliwy, że jest przy swojej Księżniczce, jakby zatrzymany w czasie, wrośnięty w ziemię i uradowany, że odnalazł utraconą niewinność.

Ale w końcu rzeczywistość brała górę, trzeba było wyjechać, wsiąść do samochodu i przebić się przez noc, by bladym świtem dotrzeć do Thionville.

W wieku trzydziestu siedmiu lat Julian Morel cały czas podążał za tym samym marzeniem, marzeniem, które wciąż pozostawało nie spełnione, ale powtarzające się rozczarowania bynajmniej nie zdołały go zniszczyć.

Jak większość chłopców, pierwszą wielką miłością obdarzył matkę. Miłością w pełni odwzajemnioną, ponieważ był jedynakiem. Miłością szczęśliwą i kształtującą jego charakter, matka bowiem nie tylko go kochała, ale również podziwiała. Miłością, której całe piękno zostało zniweczone, kiedy odkrył, że matka kocha również innego, tego, który oczywiście nie był jego ojcem i zajmował skromne, nazbyt skromne stanowisko naczelnika urzędu pocztowego w miasteczku.

Bez wątplenia powinien urządzić jakąś scenę, zbuntować się przeciw tej pospolitej zdradzie, z romantyczną i desperacką gwałtownością zerwać subtelne więzi, jakie łączyły go z nią w dzieciństwie.

Nie zrobił jednak nic. Za dużo otrzymał, by się teraz wszystkiego wyrzec. Z pewnością namiętność umarła, lecz pozostała ogromna czułość. Była to dla niego okazja, by pokazać swoją szlachetność i wspaniałomyślność, wreszcie mógł udowodnić, że jest godzien podziwu, jakim darzyła go matka, bo jeżeli nawet powinni o tym porozmawiać, to nigdy nie zdołali, bo jak we wszystkich rodzinach, które się kochają, o prawdach wiadomych się u nich nie

-214-

mówiło; był zresztą pewien, że gdyby z nią porozmawiał, zrozumiałaby go.

Dziwiono się, widząc tyle roztropności u piętnastolatka, ale przyglądając się z bliska, stawało się jasne, że właśnie dzięki niej cieszy się zasłużonym podziwem. Mądrość i wyrozumiałość, jakimi się wykazał w tej bolesnej sytuacji, utwierdziły go w poczuciu, że jego istnienie należało do innego porządku — ma się rozumieć wyższego — niż ten, w którym miotała się matka. Dar, jaki złożyła mu z miłości i podziwu, znalazł wreszcie usprawiedliwienie. Pomyślał, że tak bardzo go kocha, ponieważ wie, że on będzie ją kochał zawsze, pomimo zdrady. Myślał, że dlatego go tak podziwia, ponieważ czując się winna, wie, że on góruje nad nią swoją niewinnością.

Tak oto, zamiast zniszczyć brutalnie przeszłe szczęście, mógł jedynie zdobyć się na to, by być właśnie tym, dzięki któremu owo szczęście jest możliwe, to znaczy: kochać na przekór i pomimo wszystko, ponieważ dlatego właśnie go kochano, oraz zachować niewinność — zatem nigdy nie okazać się winnym ani nie upaść we własnych oczach — by mężczyzna, jakim miał się stać, był zawsze godny dziecka, które było kochane i podziwiane.

Rzeczywistość, która z lubością podstawia zniekształcające lustro prawom, które nas uformowały, wkrótce postarała się, by przetrawił swoje piękne zasady i poczuł całą ich gorycz.

Jako błyskotliwy uczeń zetknął się z nauczycielami i profesorami tym bardziej wrażliwymi na jego talenty, że jego pochodzenie, więcej niż skromne, ofiarowywało ideałowi republikańskiej szkoły jeden z wzorcowych przykładów świadczących o tym, iż dzięki zdolnościom i pracy można znacznie przekroczyć swój stan.

Pochodził z małego miasteczka położonego niedaleko Beaune--la-Rolande, w regionie Loiret, lecz podjął naukę w liceum w Orleanie, a potem odniósł pierwszy sukces, wstępując do klas przygotowawczych na najlepsze uczelnie w samym liceum Louis-le-Grand. Po wstępnych eliminacjach został dopuszczony do egzaminów w Saint-Cyr, do Szkoły Głównej i Szkoły Politechnicznej, osiągnął więc chyba wszystko, co można osiągnąć w tak młodym wieku. Pod

-215-

każdym względem godzien podziwu, był w rzeczy samej podziwiany przez wszystkich. Niestety na egzaminach ustnych poniósł całkowitą klęskę. Pomimo najlepszej woli egzaminatorów, którzy niemal

przepraszali, że wymagają od tak błyskotliwego kandydata spełnienia tej ostatniej formalności, okazał się absolutnie niezdolny, by odpowiedzieć na jakiegokolwiek pytanie podczas drugiego etapu egzaminu. Zablokowany w sposób równie nagły co ostateczny, trupioblady, spocony, z woskową cerą, mógł jedynie uciec, bełkocząc jakieś mętne tłumaczenie. Pobiegł do studenckiego pokoju, położył się i natychmiast zasnął, a nawet zapadł w swego rodzaju śpiączkę. Kiedy się obudził, było już za późno, by pójść na kolejne przesłuchanie. Wsiadł do pociągu do Orleanu, wpadł w ramiona matki i razem długo płakali.

Bardzo się kochali. Nie musiał nic wyjaśniać. Nie robiła mu żadnych wyrzutów. To była najpiękniejsza chwila ich ponownego połączenia się, również ostatnia, ponieważ Julian lekko się zawstydził.

W następnym roku wskoczył od razu na drugi rok Wyższej Szkoły Rzemiosł Artystycznych.

Jego samego zaskoczyła obojętność, z jaką przyjął własną porażkę. Jest prawdą, że z racjonalnego punktu widzenia — a był przecież osobą w najwyższym stopniu racjonalną — nie miał sobie nic do zarzucenia. W łańcuchu przyczynowo-skutkowym, który zgodnie z wszelką logiką powinien mu umożliwić wstąpienie do takiej szkoły, jaką sobie wybierze, była jakaś dziura, jakieś „puste miejsce”. Bardziej niż on zawiodła logika. Okrutna chwila, tyleż zawstydzająca, co nieprzewidziana, w której z rozdziawioną i milczącą buzią wił się przed komisją niczym śliska ryba, była raczej w jego oczach nagłym wtargnięciem zaskakującej rzeczywistości niż dowodem na nieadekwatność jego osoby do sytuacji, z jaką przyszło mu się zmierzyć.

Jeśli chodzi o siebie, nie miał cienia wątpliwości. Nadal uważał się za człowieka twardego, spełnionego i nieco lepszego od innych. Pustka, z jaką się zetknął, brak, jakiemu dał dowód, nie mogły pochodzić od niego. Pustka i nieudolność w sposób oczywisty należa-

ły do innego świata, który — w każdym rozumieniu tego słowa — nie pojmował jego osoby. Nie tyle więc popadł w kryzys egzystencjalny, ile zaczął obserwować świat z pewną nieufnością. Jeżeli przyszło mu skonfrontować swoją rzeczywistość z jakąś drugą (należącą do innych), a

ta była pełna „dziur logicznych”, ostrożnie próbował ją zrozumieć i wkraczał w nią dopiero, upewniwszy się co do jej wewnętrznej spójności.

Jeżeli chodzi o relacje miłosne, nie poświęcał im większej uwagi, nie odnosił więc znaczących sukcesów. Nie wiedział, czym są męki pożądania. Uczucia, którymi obdarzyła go matka, dały mu przyjemne wrażenie nasycenia. Oczywiście tu i ówdzie oddał się kilku przelotnym miłośkom i romansom, jednak z czystego łakomstwa, tak jak wówczas, gdy sięga się po dokładkę deseru po dobrym obiedzie. Sprawy wzięły inny obrót, kiedy spotkał młodą nauczycielkę o surowych rysach, której ciało i twarz przypominały — jak łatwo się domyślić — tak dobrze znaną postać, gdyby ją tylko odmłodzić.

Czułość, jaką od razu obdarzył tę młodą kobietę, wprowadziła go w młodzieńcze podniecenie. Odkrył rozkosze i udręki egzaltacji, które do tej pory były mu nie znane.

Kiedy otrzymał dyplom inżyniera, podziw, jaki mógł odczytać w jej spojrzeniu, sprawił, że zaczerwienił się od stóp do głów. Bez wątplenia wytworzyło się między nimi coś znaczącego i pięknego.

Mimo to zastanawiał się czasami, czy jego czułość aby na pewno płynęła z miłości, ponieważ nie ośmielał się nawet w marzeniach położyć ręki gdzie indziej niż w jej dłoni ani pocałować jej inaczej niż w policzki.

Dwa lata później otrzymał bezwzględną odpowiedź na nurtujące go pytanie.

Piękna nauczycielka, kochająca, więcej niż kochająca, bo pełna uwielbienia, znużyła się w końcu nieśmiałością swojego towarzysza i rzuciła się w ramiona postawnego chłopca, którego starania były bardziej bezpośrednie. W czasie ich ostatniego spotkania, które zapisało się w jego pamięci jako chwila czystego szaleństwa, poinform-

-217-

mowała go sucho o własnej zdradzie, jednocześnie składając mu płomienne zapewnienia o swojej miłości. I właśnie w imię miłości i uwielbienia, jakimi go darzyła, postanowiła, tonąc we łzach, nigdy więcej go nie oglądać.

Omam nie stracił przytomności z rozpaczy. W dniach, które potem nastąpiły, wycierpiał wszystko, co mężczyzna może wycierpieć. Rozpaczliwe pożądanie wzbierało mu u dołu brzucha i wrzało w nim z wściekłą, niesłychaną wprost gwałtownością. Błąkał się po ulicach niczym bezdomny pies, ze sto razy chciał się zabić albo zasztyletować wybranek swego serca i udusić rywala. Kiedy w końcu się uspokajał, rozpacz

całkowicie zagarniała jego duszę, pogrążał się w melancholii, nic nie jadł i nie wychodził z łóżka, gdzie zmagając się z ustawiczną bezsennością, potwornie się męczył.

Odpowiedź była jasna: kochał ją.

Czułość była jak meszek na skórze: subtelna — uleciała leciutko jak ptasie piórko. Namiętność stopiła go niczym ołów. Z czasem bolesne rany, które miłość otworzyła w jego ciele, dając się w ten sposób poznać, zabiżniły się, zostawiając jednak w sercu kawałek wystygłego metalu.

Pustki i dziury logiczne, jakie tkwiły w rzeczywistości, wydawały mu się wówczas zawrotne. Nic nie przypominało tego, czego można się było spodziewać. Wszelka ostrożność była więc zbyteczna, a każda zasada zdana na łaskę własnego przeciwieństwa. Świat drażyło szaleństwo, jednak trudno było rozpoznać szczeliny i otchłanie, ponad którymi kręcił się w sposób tak nieroztropny przy zachowaniu pozorów rozumności.

By wreszcie poczuć się skrojonym na miarę tego świata, postanowił nie czekać biernie na kolejny wypadek, lecz z własnej nieprzymuszonej woli rzucił się w niespójność rzeczywistości z destrukcyjnym wprost entuzjazmem.

On, który tyle nad tym pracował, żeby okazać się godnym podziwu, nurzał się w lenistwie, brudzie i pijaństwie, a jako ostatni fajerwerk sztucznych ogni, które miały uświetnić jego upadek, podarował sobie trzy dni i trzy noce w pewnym burdelu.

-218-

Kiedy zakończył ten epizod, odnalazł się w swoim poprzednim życiu, tak jak odnajdujemy się we własnym domu po odbytej podróży. Każda rzecz jest na swoim miejscu, w porządku bądź nieporządku, zarówno garnitury w szafie, jak i krawat zapomniany na oparciu krzesła. Był pogodny, po raz pierwszy oderwany od siebie samego i od reszty świata.

To w owym czasie zaczął się interesować teatrem i katedrami; przestrzenią, gdzie pustka staje się miejscem gry bądź medytacji. W chaotycznym obrazie rzeczywistości, jaki miał obecnie, wgłębienia sceny i wysokie szczyty naw jawiły mu się jako jedyne wklęsłości, które człowiek wydrażył, by zebrać w nich, podobnie jak zbieramy deszcz, całą absurdalność życiowych wypadków. Jedyne tutaj cała nieracjonalność i niespójność zostały pojmane, osaczone, zanalizowane, oskarżone i uświetnione z dala od przerażających konsekwencji, które na ogół wypływają z ich przejawiania się w rzeczywistości.

Julian Morel nie miał w sobie nic z myśliciela, lubił bawić się

pojęciami. Jego myśli były bezprzedmiotowe i bezcelowe, krążyły po głowie niczym kule bilardowe, obijały się o siebie i od czasu do czasu, kiedy wydawało się, że rysują jakąś harmonijną figurę, tocząc się po nieprzewidywalnej trajektorii, Julian uśmiechał się do siebie, mówiąc, że zdobył kolejny punkt. Stanowiło to okazję, by znów rozpocząć grę i jeszcze raz wykonać to samo ćwiczenie, wychodząc od nowego układu.

Myśląc o Bogu i katedrach, zdobył bardzo wiele punktów. Udało mu się na przykład dojść do wniosku, że Bóg posiadał prawdziwą władzę jedynie dlatego, że nie istniał, katedry zaś wznosiły się wokół jego nieobecności. Widział w nich wyraz gigantycznego pragnienia, by kopulować z niebem, przemożną chęć, by przeskoczyć czas, co nigdy nie mogło się ziścić. Bóg był kobietą, nieobecną i pożądaną, w pewnym sensie przypominającą jego matkę, kobietą, którą kochamy za to, że jest taka, jaka nam się wydaje, choć jest zupełnie inna, niż sądzimy, gdyż w przeciwieństwie do Boga istnieje: śmieje się, płacze, uprawia miłość z tym lub

-219-

owym, obecna, bardziej niż obecna, ludzka, niewiarygodnie ludzka i w niczym boska.

W Annie nie zobaczył być może Boga (ponieważ jednak istniała), ale coś, co w jego oczach było bliskie boskości.

Cudem było, iż po dwóch latach relacji czysto platonicznych w sposób zupełnie naturalny zaczęli uprawiać miłość. A już cudem ponad cudy było to, że wszystko świetnie się udało; Julian nie czuł rozczarowania ani winy, a nawet kochał ją jeszcze bardziej i jeszcze bardziej ją ubóstwiał. Jego upór, by obstawać przy marzeniu o relacji niemożliwej, zatriumfował nad wszelkimi rozczarowaniami.

Tym bardziej bolesny był upadek.

32

Pada nad Beauvais.

Przyjemna mżawka. Niczemu nie przeszkadza ani niczego nie przyspiesza, ściana deszczu zamienia ulicę, drzewa, ludzi w obraz niezmałonej rzeczywistości.

Przejeżdżają samochody, myślę o wszystkich spokojnych miejscach.

Fryzjer w salonie ostrzy brzytwę na specjalnym rzemieniu, klient czyta gazetę. Mechaniczność ruchu dłoni, która precyzyjnie i z wprawą przesuwa się w tę i z powrotem. Fryzjer odwraca głowę i patrzy w okno,

ruchy dłoni pozostają niezmiennie. Jego spojrzenie błąka się przez jakiś czas po dworze, a ponieważ wszystkie rzeczy tego świata znajdują się na swoich miejscach, mówi:

— No i masz, pada.

Idę, nie przyspieszając kroku, w ten sposób żegnam się z tym miastem, odjeżdżam.

Nikt nie będzie pamiętał, że jakiś fryzjer powiedział któregoś dnia: „Pada”. Jakie to ma znaczenie? Słowa są równie przemijające jak deszcz. Ciąg drgań, które rozeszły się w powietrzu. Przyszłość składa się z zapomnień, jakie mamy przed sobą: tam, gdzie powietrze jeszcze nie drgało, tam, gdzie nic nie zostało jeszcze powiedziane. Powietrze, którym oddycham, jest potężnym palimp-estem, historią złożoną z błahostek, drobnym pyłem, który mnie przenika, formuje i który powielam.

Klient wymachuje gazetą, pokazuje coś palcem:

-221-

— Wypadek, czytałeś o tym wypadku?

Fryzjer nie odpowiada, pochyla się, rzuca okiem na gazetę znad ramienia klienta, nie przestając ocierać brzytwą o ramię.

- Trzech zabitych, popatrz tylko — mówi klient.

- Trzech zabitych... i to w samym środku czerwca — odzywa się teraz fryzjer, kontynuuje wątek, podejmuje konwersację. Przerwał ruch dłoni, co ma stanowić zaproszenie. Klient zamyka gazetę, składa ją i nic nie odpowiada. Prostuje się w fotelu.

- No dobrze, tak jak zwykle. Schludnie, ale nie za krótko.

Do konwersacji nie doszło. Brzydka pogoda w czerwcu, śliskie drogi, nieostrożna jazda, trzech zabitych... Kanwa oczekiwanych słów wisi tutaj, w powietrzu, jest na wyciągnięcie dłoni, tyle nitek, z których można tkać: zły los, turystyka, prognoza pogody, wino, cena litra benzyny, cierpienie, kara, cały stek banałów, które — chcemy tego czy nie — tworzą materię tego, co ludzie sobie mówią. Idę w stronę dworca, deszcz ustaje. I mówię sobie, że pewnego dnia będę musiał zebrać się na odwagę i zbadać tę rzeczywistość z bliska, gdyż pył słów unoszący się w salonie fryzjerskim nie różni się od tego, który wypełnia salon literacki czy jakiegokolwiek inne miejsce, gdzie usiłujemy się popisać elokwencją i sprawić wrażenie inteligentnych. Sposób ekspresji myśli skrywa tak naprawdę ich trywialność, jest równie niezbędny do przepływu słów jak czerwona lub niebieska warstwa izolacyjna umożliwiająca przepływ prądu w przewodzie elektrycznym. I tak oto kurze unoszą się, gęstnieją, są

wszędzie.

Patrzę na zegarek. Pociąg zaraz odjedzie.

Ja także zostałem dodany do tych wszystkich ludzi, którzy istnieją i którzy istnieli, jak kolejny pyłek kurzu.

Cały instytut obiegly najbardziej nieprawdopodobne plotki na temat Amalii. Mówiono o jej relacjach z profesorem Giulianim, który od czasu narodzin syna żył w zamknięciu na strychu pomieszczeń gospodarskich. „Służyła” mu, jak mówiono, niczego więcej nie dodając. Mówiono również, że posiadała szósty zmysł,

-222-

który pozwalał jej przewidzieć śmierć chorego na dwa, trzy dni naprzód, i powszechnie uważano, że ten dar nie pozostawał bez związku z „usługami” które świadczyła dawnemu panu domu. Był jeszcze jeden temat, bardziej pasjonujący, jednak zarezerwowany dla kręgu wtajemniczonych, którzy mówili o nim w sposób wielce enigmatyczny.

W ciągu roku, który spędziłem w mojej skorupie, intensywnie marząc o Amalii, dochodziły do mnie jedynie pogłoski, że świadczyła także „usługi” chorym, mówiono, że „robiła to” ale nie mogłem wtedy pojąć, co takiego mogła robić.

W końcu dowiedziałem się o tym trochę więcej od sąsiada z pokoju obok, dotkniętego leukemią, który był jedynie dwa, trzy lata starszy ode mnie i z którym mogłem o wszystkim swobodnie porozmawiać. Bardzo szybko się domyślił, że dręczy mnie uczucie do pięknej Amalii. Pewnej nocy zapukał do drzwi i wszedł do mojego pokoju. Kiedy zapaliłem światło, zorientowałem się, że jest w stanie zaburzenia świadomości. Był potwornie blady, oczy miał rozpalone. Podszedł do mnie i pochyliwszy się nad moją skorupą, zaczął się śmiać.

- Paul — powiedział do mnie — Paul, jesteś tutaj, ja na pewno nie śnię?

- Jestem tu, nie czujesz się dobrze?

- Niech Bóg będzie pochwalony, to mi się nie śniło. Ach, Paul, mój mały Paul! Nigdy, przenigdy nie czułem się tak dobrze. Nie możesz nawet wiedzieć...

Naprawdę sprawiał wrażenie, jakby miał halucynacje, wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło i spływały po skroni.

- Amalia, ona to robi! — powiedział. — Masz pojęcie, ona to robi!

- Ale co? Co takiego robi?

- Nie wiem, czy powinienem ci mówić, to tajemnica. Kochasz ją?

- Czy ją kocham? I ty mnie o to pytasz?
- No więc, mój stary, któregoś dnia ona będzie cię kochać.

-223-

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- To, co powiedziałem...

Chwiał się na nogach. Pomyślałem, że zaraz stanie mu się coś złego, ale wydawał się tak uszczęśliwiony, że powstrzymałem się od powiadomienia dyżurnego pielęgniarza. Udało mu się jakoś wziąć krzesło i usiadł obok mojego wózka.

- Posłuchaj — powiedział — ale nikomu ani mru, mru, rozumiemy się, za żadne skarby świata! Przyrzekasz?

- Przyrzekam!

- No więc, mój stary, ona to robi!

- Ależ ja wiem, że ona to robi, nie przestajesz mi tego powtarzać, wszyscy wiedzą, że ona to robi! Denerwujesz mnie już! Co takiego robi?!

- Uprawia miłość, mój stary, miłość...

- Miłość, miłość... — powtarzałem to słowo, by je lepiej zrozumieć. W owym czasie nie miałem zbyt jasnego pojęcia, co to znaczy uprawiać miłość, nawet jeżeli wyobrażałem sobie różne rzeczy, przede wszystkim z piersiami. — Chcesz powiedzieć — podjąłem, oddychając ciężko — chcesz powiedzieć, że mogłeś jej położyć swój interes między piersiami?

- Nie, ale położyłem ręce na jej piersiach, rozebrała się do naga!

- Ach! — powiedziałem cokolwiek rozczarowany, tylko ręce! — A co zrobiłeś ze swoim ptaszkiem?

- Oczywiście włożyłem jej do dziurki!

- Jakiej dziurki?

- Do jej cipki, no co, do jej szparki...

— Ależ to obrzydliwe! Zrobiłeś to, jesteś naprawdę obrzydliwy!

Mój przyjaciel zaczął się śmiać, przesunął mi rękę po czole.

Poczułem, że jest rozpalona, musiał mieć co najmniej 41 albo 42 stopnie gorączki.

- Paul, mój drogi — powiedział cichutko — mój mały Paul, więc naprawdę nigdy nie widziałeś kobiety?

- Nie — odpowiedziałem, pukając w moją skorupę — jak niby miałbym to zrobić?

-224-

- Szparka jest między nogami i jest specjalnie pomyślana dla twojego ptaszka, otwiera się jak kwiat i jest delikatniejsza od jedwabiu.
- Naprawdę? Czy to, co mówisz, to najprawdziwsza prawda? Tak po prostu z przodu jest szparka?
- Przysięgam ci, że to prawda.
- Więc rozebrała się do naga i położyłeś ręce na jej piersiach, a interes włożyłeś jej do dziurki i ona to zrobiła! To nieprawdopodobne! Więc to właśnie robi!
- Tak, mój stary, ona to robi, i możesz być pewien, że któregoś dnia zrobi to z tobą. I zobaczysz, nie możesz wiedzieć, jak to jest, nie, tego nie możesz wiedzieć...

Nie dokończył zdania, osunął się na krzesło. Zemdlął.

Pociągnąłem za sznurek dzwonka. Dyżurujący pielęgniarz przyszedł zobaczyć, co się stało. Nie wiem, dlaczego wygłosił mi całe kazanie, mówiąc, że jestem skończonym idiotą, że chyba oszalałem, sprowadzając przyjaciela do pokoju, że powinienem był go zawołać od razu... same głupoty, no bo co ja w końcu mogłem na to wszystko poradzić?

Mój przyjaciel zmarł dwa dni później, zabrany przez posocznicę.

33

Któregoś dnia Anna przyszła mnie zobaczyć, kiedy grzałem się na słońcu w ogrodzie. Lekarz powiedział, że słońce jest bardzo dobre dla moich kości i że powinienem jeść dużo białego sera. Słońce i biały ser, powtarzał z naciskiem. Wyciągnięty na wózku, w cieple mojej skorupy, czułem obecność Amalii, która siedząc obok mnie, robiła na drutach długi szalik. Jak zwykle marzyłem: byliśmy małżeństwem ona i ja, i byliśmy bardzo starzy. Dożyliśmy starości i ciągle się kochaliśmy. Wydawało mi się to piękne. Ona wstawiała i głaszcząc mnie czule po czole, mówiła: „Paul, pamiętasz, jak...” — wtedy przesuwało mi się przed oczami całe nasze burzliwe życie, wszystkie walki, jakie musiałem stoczyć, by ją zdobyć, i po raz ostatni, być może, w mojej skorupie zapłonął ogień.

Kiedy otworzyłem oczy, to nie ręka Amalii spoczywała na moim czole, lecz Anny, ale prawdą jest, że poczułem się niewyobrażalnie dobrze.

- Dzień dobry, Paul — powiedziała.
- Dzień dobry pani... Wydawała się smutna i

poważna.

- Otrzymałam list od twojego ojca, zastanawia się, czy...

No proszę, mój ojciec... miałem zatem ojca, upłynęło przy-
najmniej pół roku, od kiedy odwiedził mnie ostatni raz...

— Napisał jakieś słówko do mnie?

— Tak, cała ostatnia strona jest do ciebie, przeczytam ci...

Zastanawia się, czy nie byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś wrócił do

-226-

mammmmmmmmm

Bercku, ponieważ — nie wiem, czy wiesz, Paul, ale masz się już o wiele
lepiej. To już trzy lata jesteś u nas... — przerwała. Chciała powiedzieć:
nikt nigdy nie był tutaj tak długo.

Nie powiedziała tego.

Ale jakbym to usłyszał. Cóż mogłem odpowiedzieć?

Zacząłem płakać, płakałem, chociaż wydawało mi się to niewłaściwe i
obrzydliwe, ale nie mogłem się pohamować.

Anna i Amalia wymieniły zakłopotane spojrzenia.

— Posłuchaj, Paul — powiedziała Anna. — Tutaj twoje utrzy-
manie jest bardzo drogie, a poza tym...

Znowu przerwała, może chciała tym razem dorzucić, że umiała się
opiekować wyłącznie umierającymi, że nie ma kwalifikacji, by
pielegnować mnie teraz, kiedy jestem na najlepszej drodze do
wyzdrowienia, ale to musiało jej się wydać absurdalne, ponieważ byłem
żywym dowodem na to i nie sposób było temu zaprzeczyć, że opieka, jaką
otrzymałem w instytucie, chociaż nieprofesjonalna, dała lepsze rezultaty
niż leczenie, które zaaplikowano mi w Bercku.

— Dobrze — powiedziała — pomyślę o tym... Ale tak czy owak,
Paul, nie możesz dłużej zostać w tej skorupie, trzeba absolutnie,
byś znowu nauczył się stać i chodzić. Odpiszę twojemu ojcu, ale
nie mogę ci niczego obiecać...

— Ja się nim chętnie zajmę — powiedziała nagle Amalia.

-Ty?

Nie rozumiałem, dlaczego Anna tak się zdziwiła.

— Tak, bardzo bym chciała.

W jednej chwili z Piekieł przeszedłem do Raju, nie tyle na myśl o
możliwym wyzdrowieniu, gdyż w owym czasie nic to dla mnie nie

znaczyło, ile dlatego, że sądziłem, iż Amalia wyznaje mi miłość i że w ten sposób spełniają się moje najbardziej szalone marzenia.

Kiedy myślę o tym dzisiaj, wydaje mi się, że tego dnia Amalia naprawdę wyznała mi miłość, ponieważ byłem pierwszym żyjącym, który ją pociągał. Czyż to właśnie tak zaskoczyło Annę?

-227-

Ale okazywanie miłości przez Amalię tak mało miało wspólnego z moimi wyobrażeniami i zeszło na drogę tak niepewną i desperacką, że nie umiałem na to wszystko odpowiedzieć.

Kiedy po raz pierwszy wzięła mnie w ramiona, by pomóc mi zejść z wózka i usiąść w fotelu na kółkach, myślałem, że zasłabnę. Wciśnięty w jej ciało, chłonałem jej zapach i, Boże, o Boże!, moje oczy, twarz, dusza zagubiły się w dekolcie fartucha, poczułem zawrót głowy i strach wobec boskiego objawienia piersi, których przepych, ku mojemu wielkiemu zawstydzeniu, tyle razy kalałem swoimi obscenicznymi marzeniami ślimaka. Przeszedł mnie potężny dreszcz i zmoczyłem piżamę śliną płynącą z mego ciała, stając się w objęciach ukochanej godnym wzgardy obiektem, który bez słowa położyła na łóżku.

Taki był nieszczęsny początek mojego przeistaczania się.

Nie musiałem długo czekać, by odkryć, że poruszenia i dygot mojego ciała nie przejmują zbytnio Amalii. Traktowała je nawet z pewną dozą humoru, myła mnie i wycierała z cudowną werwą, nucąc niskim, chrapliwym głosem nieznane mi marynarskie pieśni, które na chwilę rozwiewały mój strach i kazały zapomnieć o przygnębieniu.

Amalia nie rozmawiała ze mną wcale albo bardzo mało. Mówiła tylko: „dzień dobry, złoty chłopcze!”. Opiekowała się mną z cokolwiek szorstką i zawziętą czułością zwierzęcia, które wychowuje swoje małe.

Powoli moje rozpalone uczucia przygasały i mogłem bez drżenia opierać się o jej ciało. Jakież było moje zaskoczenie, gdy odkryłem, że jest zbite, sękatę, twarde i zimne, zupełnie inne, niż mogłem sobie wyobrazić. Przychodziła do mnie w nocy, przybierając chimeryczny kształt pół kobiety, pół ptaka, i razem przemierzaliśmy lotem błyskawicy nieba i oceany.

Po kilku tygodniach znów zacząłem chodzić. Anna często mnie odwiedzała i z uwagą śledziła moje postępy. Dowiedziałem się od Amalii, że napisała do mojego ojca, iż pomimo stałego polepszania

się mojego stanu zdrowia pozytywna diagnoza byłaby przedwczesna i ryzykowna. Długie i wspaniałe okresy remisji często jedynie poprzedzają fatalny koniec. Oczywiście pozostawiała mu wolność decyzji itd., proponowała jednak znaczącą redukcję kwoty, jaką płacił za moje utrzymanie.

Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Ojciec przysłał czek pokrywający koszty utrzymania na sześć miesięcy do przodu — wedle nowej taryfy — i zwiózł list, mówiący że interesy zmusiły go do przeniesienia się do Anglii na jakiś czas, jednak często o mnie myśli i nie omieszka mnie odwiedzić, kiedy tylko nadarzy się okazja.

Fakt, że moje ewentualne ozdrowienie nie rozłączy mnie z Amalią, zrekompensował mi rozgoryczenie, które pojawiało się za każdym razem, gdy dowadywałem się, że ojciec w sposób dyplomatyczny unika konfrontacji z tym, co nazywał tragedią swojego życia — nie zaś mojego, bo ono z definicji było przegrane.

!

Wiosną 1939 roku pozbyłem się kul. Niedługo miałem skończyć piętnaście lat, ale wyglądałem najwyżej na dwanaście. Pomimo nadmiernej uwagi poświęcanej sobie i głębokiej litości, jaką odczuwam dla siebie z powodu nieszczęścia, które spadło na mnie w dzieciństwie, oraz wielu innych równie dobrych przyczyn, jakimi mógłbym usprawiedliwić bądź wytłumaczyć swoje zachowanie, odczuwam wstręt na wspomnienie paskudnej postaci, jaką stałem się w owym czasie. Moje ozdrowienie, bo faktycznie wyzdrowiałem, zrobiło ze mnie lokalny mit, instytutowe bożyszcze. Przypisywano mi wszelkie przymioty: odwagę, dojrzałość, szlachetność, prostotę itd. Sądzę, że ucieleśniałem w oczach chorych i personelu ideał — cokolwiek sadystyczny — dziecka ukształtowanego i wychowanego przez cierpienie. Mogłem dorosnąć jedynie dzięki trudnemu doświadczeniu, co mi pozwoliło z jednej strony stać się tyranem, z drugiej zaś czuć się uprawnionym do korzystania ze środków najbardziej nikczemnych, by podtrzymywać i upiększać wizerunek świętego, którego wszyscy chcieli we mnie

widzieć. Pomimo że owo samobiczowanie sprawia mi niejaką ulgę, oszczędzę wam opisu licznych podłości, jakich wówczas stale się dopuszczałem.

Jeden czyn, szczególnie ohydny, sprawił, że dzisiaj ponoszę karę, gdyż przeznaczenie zechciało postawić go u źródła przerażającego „wypadku” który zasiał strach i wprowadził w osłupienie mały świeatek dogorywającego instytutu.

34

Dobrowolne odosobnienie się Tommasa szczęśliwie zmieniło chwiejny charakter Amalii.

Dwa razy dziennie znikła w garażu i wychodziła stamtąd po godzinie bądź dwóch. Czasami zdarzało jej się zostawać tam całe popołudnie. Anna wolała sobie nie wyobrażać, co się działo na strychu, ale siłą rzeczy była dla Amalii o wiele chłodniejsza. Amalia czuła to, jednak nie cierpiała z tego powodu: wydawało jej się to normalne. Zresztą wszystko wydawało jej się coraz bardziej normalne. Normalne było, że odnaleźli się w końcu z Tommasem: czyż nie wzięła go pierwsza za rękę na corso Garibaldi? Teraz zajęła po prostu należne sobie miejsce. Normalne było, że przestała popadać w szalone egzaltacje: skończyła siedemnaście lat, nie była już dziewczynką. Normalne było, że Anna traktowała ją teraz z dystansem: urodziła przecież syna, który skupiał wszystkie jej uczucia. Bardziej niż normalne było to, co działo się na strychu, ponieważ w rzeczywistości nie działo się nic. Amalia bardzo lubiła Tommasa, ale nie traktowała go ani lepiej, ani gorzej, niż traktuje się psa, którego bardzo się lubi. Dawała mu jeść i chętnie pozwalała, by ocierał się o jej nogi albo kładł głowę na jej kolanach. Kiedy pochłoniął łapczywie posiłek, wskakiwał na łóżko i natychmiast zasypiał. Sprzątała pokój, układała rzeczy na swoich miejscach, zabierała brudne ubrania, a jeżeli zostawało jej jeszcze trochę czasu, lubiła siadać na łóżku i pieścić go, oddając się marzeniom. Czasami, kiedy była zmęczona po nie przespanej nocy, przytulała się do niego i udawa-

-231-

ła jej się zasnąć. Zdarzało im się jeszcze oddawać dawnym zabawom, jednak bardzo rzadko. Jeżeli zbyt nachalnie okazywał swoje pragnienia, ofukiwała go żartobliwie bądź też wychodziła im naprzeciw, ale jedynie wtedy, gdy spotykały się z jej własnymi.

Po jakimś czasie wyłączne prawo Amalii do spotykania się z Tommasem przydało jej pewnego czaru. Przyjęła ten nowy stan rzeczy z właściwą sobie prostodusznością: to było

normalne. Na zewnątrz jednak się asekurowała. By nie odpowiadać na milczące pytania, które czytała w wielu spojrzeniach, nie zdejmowała z twarzy tajemniczego uśmiechu — będącego cokolwiek udramatyzowaną kopią uśmiechu Giocondy — pobłażliwego, pełnego zadowolenia, a zarazem szelmowskiego, który sam w sobie ujawniał prawdę tak intymną, że wydawało się niedelikatne, a nawet bezwstydnym odsłaniać ją jeszcze bardziej.

Amalia szybko zdała sobie sprawę ze znaczenia, jakie odgrywa w instytucie. Powoli świat wielkiego domu zaczął się organizować wokół nieobecności Tommasa Giulianiego. Naturalna grawitacja, niegdyś powodowana jego obecnością, przekształciła się w przyciąganie należące do porządku, który ocierał się o nadprzyrodzoną siłę. Spowolnienie czasu, które chorzy przyjmowali z wdzięcznością, kiedy tylko przekroczyli bramy instytutu, było do tej pory postrzegane jako emanacja szczególnej siły dyrektora. Ale przetrwanie owego czasowego zawieszenia, które nawet uwidoczniło się jeszcze wyraźniej, kiedy dyrektora zabrakło, wymagało wyrobienia sobie nowego poglądu na tę sprawę. Z racjonalnego punktu widzenia należało przyznać, że obecność Anny miała większe znaczenie. Jej żywotność, zapał, ciepło nabrały nowego blasku i nikt nie wątpił, że sprawy instytutu spoczywają całkowicie na jej barkach. Ale wszyscy odnosili wrażenie, że jej działania nie mogłyby w pełni rozkwitnąć, gdyby nie wpływ Amalii oraz więzi — absolutnie irracjonalne — jakie utrzymywała ona z tym, który zniknął. Anna była gwiazdą dzienną, Amalia jasną i zmienną postacią księżyca, nocnym i tajemniczym odbłaskiem dawnego słońca, które już się nie objawiało.

-232-

Amalia posiadała zmysł teatralizacji oraz nieomylną intuicję. Potrzebowała kilku tygodni, by wyczuć swoją rolę, niekoniecznie ją rozumiejąc, i od tego momentu odgrywała ją doskonale.

Instytut już dawno obiegił plotka o jej nocnych aktywnościach, jakim

oddawała się z tym większą ochotą, że ci, którzy czerpali z nich korzyści, znajdowali się już w stanie, gdy nie można znaleźć słów, by o tym mówić.

Amalia zatem „robiła to” Robiła to bardzo dobrze, nie kierując się płcią ani wiekiem. Jej instynkt był nieomylny. Wiedziała, kiedy śmierć daje znak. Była jak milczące drapieżne ptaszyska, które nagle zlatują się nie wiadomo skąd. Ustawiają się, czekają, po prostu wiedzą. Amalia wiedziała. Jedno słowo, spojrzenie, przechodziła przez pokoje, roztargniona, nieobecna, sprawiając wrażenie, że nic nie słyszy ani nie widzi, a kilka godzin później, po zachodzie słońca, już tu była.

Rozpoznać śmierć nie jest łatwo. Wiemy, że stoi przy nas od urodzenia i trudno o wierniejszą towarzyszkę. Ale chociaż żywi są jej jedyną racją istnienia i kocha nas w tej mierze, w jakiej my kochamy życie, wie dobrze, że się jej boimy i jej nie kochamy. Toteż szuka schronienia w najgłębszych zakamarkach naszego „ja”, by zaszyć się tam i dać o sobie zapomnieć. Czasami, kiedy podejmujemy ryzyko i wystawiamy nasze życie na niebezpieczeństwo, kiedy jakaś poważna choroba zagarnia nasze siły życiowe czy kiedy zdarza się jakiś wypadek, wydaje się nam, że śmierć daje o sobie znać, a nawet że ją widzimy. Śmierć natomiast jest smutna, że ją tak źle widzimy i nie potrafimy jej kochać. Spogląda na nas i widzi nas takimi, jakimi jesteśmy, podczas gdy my na nią patrzymy, nigdy jej nie widząc, gdyż poprzez nią, jak w lustrze, widzimy jedynie własną twarz, i to nie jej tak naprawdę się boimy, lecz samych siebie.

Amalia kochała śmierć i śmierć zwracała jej to z nadwyżką. Rozumiały się jak stare dobre znajome.

Na dwa, trzy dni przed nieuchronnym końcem Amalia widziała, jak śmierć otwiera oczy swoich wybrańców na jasny błękit bezkresnych oceanów. Siadała wtedy w milczeniu u wezłowania umie-

-233-

rających. Kiedy zapadała noc, śpiewała kontraltem nieznane kołysanki, a śmierć, zachwycona, wychodziła z głębi ciał, w których się zaszyła. Często pojawiała się pod postacią małego kameleona i sadowiła się na prawym ramieniu pacjenta. Przybierała kolor jego skóry i nie ważyła więcej niż piórko. Raz po raz z jej paszczy wyskakiwał język ostry i precyzyjny jak igła, a przeciągnięta przezeń mikroskopijna czarna nić z rozkoszą chwytła słowa piosenki i przy-szpilała je niczym muszki. Wówczas ciało umierającego wchodziło w rezonans z niskim, głębokim głosem Amalii, mały kameleon zaś z dyskrecją przywłaszczał sobie ludzką formę, a jego człowiecze kształty nie miały granic i należały do całego

gatunku. Były pozbawione myśli, same włókna i nerwy, wytryskający z tego, co żywe, potężny strumień cielesności, który biegnąc swoim zwykłym nurtem, spływał po zboczach życia, pod prąd czasu, by wpaść dokładnie tam, gdzie miał swoje źródło.

W prawdziwą głębię mórz i oceanów, bezkres czasu, nieprzerwaną ciągłość wiecznego powrotu.

Wówczas Amalia przytulała to niezmiernie ciało, obejmowała je ramionami i kołysani potężną falą — żeglowali, żeglowali, aż do białego rana...

Podwójny wpływ Anny i Amalii, będący dzięki ich pierwotnej zażyłości zgodnym połączeniem życia ze śmiercią, zdawał się oddawać instytut pod opiekę ducha wieczystego spokoju.

Pierwsze kłopoty pojawiły się w kwestiach materialnych. Anna z całą pewnością nauczyła się oszczędzać i nieznacznie pohamować wrodzoną hojność. Ale ta nowa umiejętność dotyczyła jedynie tego, co ofiarowywała z samej siebie: ze swojego czasu, ciepła, energii, które — co wiedziała od czasu depresji — nie były niewyczerpane. Jeżeli chodzi o resztę, to znaczy o wszystko, co dotyczyło finansów, wydawało się, że nigdy nie pojmie zasad ekonomii.

Uważała, że jest niedopuszczalne odmówić przyjęcia do zakładu jakiegoś chorego tylko dlatego, że nie ma środków, by płacić za swoje utrzymanie przez długie miesiące. Nie zmieniała cen, ale jeśli

-234-

ktoś nie mógł dłużej płacić, nie wyrzucała go. Ponieważ pacjenci żyli na ogół dłużej, niż przewidywały najbardziej optymistyczne prognozy, deficyt finansowy był znaczny. Gdyby owa szczodrość ujawniała się jedynie w wypadkach prawdziwej nędzy, obciążenia byłyby do zniesienia, ale rodziny chorych szybko zrozumiały, jak mogą wykorzystać słabości Anny. Widząc, jak z biegiem czasu topnieje ich majątek, nawet najbogatsi zaczęli się opierać i — prowadząc mniej lub bardziej podejrzaną negocjacje — próbowali zawiesić opłaty, obiecując w zamian udział w przyszłym spadku.

Kłopoty finansowe narastały w sposób lawinowy, a sytuacja stała się wręcz krytyczna, kiedy część hipotek, przeznaczonych na wyrównanie rachunków, objawiła swoją prawdziwą wartość: tu i ówdzie zbieranina starych mebli nie nadających się do sprzedaży, gdzie indziej bezwartościowe pakiety akcji, współwłasności...

Osobisty majątek Amalii, który był źródłem kapitału obficie wykorzystywanego w czasie powstawania instytutu, szybko został zamieniony na kupę staroci rozsianych po różnych zakątkach Francji i Europy.

Tak więc w roku 1936, kiedy sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła, by uniknąć całkowitego bankructwa, potrzebna była znaczna interwencja Naczelnego Inżyniera Juliana Morela.

Amalia miała duże trudności, by przewieźć do Francji to, co jeszcze zostało z jej włoskiego majątku, niemniej dzięki niej uporano się z najpilniejszymi płatnościami i nie zawieszono działalności instytutu.

Nie trzeba chyba dodawać, że nigdy nie udało się wrócić do dawnej świetności i że standard życia umierających, podobnie jak całego personelu, trzeba było dostosować do surowych warunków narzuconych przez niepewną sytuację zakładu.

Amalii zbyt obce były wszelkie rozważania o kwestiach materialnych, by mogła sobie zdawać sprawę, że była zrujnowana. Nie czuła więc żadnego żalu do tej, która za to odpowiadała. Co więcej, para Anna-Amalia wyszła wzmocniona z tego doświadczenia. Dawno nie były sobie tak bliskie. Widywały się często i dużo roz-

-235-

mawiały, głównie o chorych. Później, kiedy sytuacja nieco się poprawiła, mówiły trochę o sobie, tak jak niegdyś. Anna mówiła o Julianie Morelu, „wybawcy” domu, i o przyjaźni, jaką go darzyła od ponad czterech lat; a Amalia, która ostatnio nie poświęcała Annie większej uwagi, zaczęła jej się przypatrywać i na znak szacunku nagradzała ją od czasu do czasu tajemniczym uśmiechem.

Właśnie w tym burzliwym okresie główny komin wielkiego domu, wznoszący się wysoko ponad dachem, zdradził wadliwość swojej konstrukcji. Na skutek jej osłabienia zaczął się niebezpiecznie przechylać. W sposób oczywisty kłopoty finansowe uniemożliwiły podjęcie koniecznych robót. Umocnienie, jakie wykonał pewien murarz za sumę mniej niż skromną, wytrzymało przez całą zimę, która, trzeba to powiedzieć, okazała się łaskawa i nie była zbyt surowa. Wszyscy przyzwyczaili się do pochyłości komina i nawet Julian Morel zdołał o niej zapomnieć.

W niedzielę 30 lipca 1939 roku, zatem w dzień Pański, dokładnie trzynastdzie dni po tym, kiedy zawalił się komin instytutu, Eli wszedł w trans proroczy o sile tak niespotykanej, że nigdy wcześniej niczego podobnego nie doznał.

Przez trzynastdzie dni po katastrofie Eli oddawał się długim medytacjom nad wszelkimi znakami, które zesłał mu Przypadek. Widział Tommasa Giulianiego na dachu garażu. Widział krew spływającą z ust Brunona dzień po tym, jak ujrzał w windzie Amalię, zupełnie nagą pod fartuchem, z Inżynierem Morelem, i to jej wiedz-mowate spojrzenie — mroczne, zagubione gdzieś za bezkresnym horyzontem niewidocznych oceanów. Widział to na własne oczy: Morel w windzie, jakby na czatach, sztywny i niewinny, tak niewinny jak ofiarny baranek.

Potem zaś komin, wybuch, apokalipsa, a w ogrodzie przejmujący widok pacjentów instytutu, wszystkich tych umierających, powstrzymanych w ruchu i odrętwiałych wobec nagłego wypadku; biernych widzów zagrożenia i destrukcji, które tym razem bezpośrednio ich nie dotyczyły.

Za wiele znaków.

Tego niedzielnego poranka Eli leżał ubrany w łóżku w swojej ciasnej mansardzie i wciąż o tym rozmyślał.

W porze mszy świętej staruszka Eliego przeszedł gwałtowny dreszcz. Poleciał duszę Szakalowi i Myszołowowi, swoim opiekuńczym duchom, i zanim zdążył się na to przygotować, natychmiast

-237-

poczuł piekące rany, zadawane przez ostre żyłki, które cięły mu pierś od boku do boku, aż ciało opadało cienkimi płatkami złotej skóry.

Jak zawsze jego głowa została oddzielona od oczu i wbita na oszczep pośród makowego pola. Teraz pozostało mu jedynie czekać, aż ogień wybuchnie z ziemi, a ziemia otworzy olbrzymią paszczę i go pochłonie.

Zajęło to trochę czasu. Eli, zrezygnowany, czekał, aż zakończy się przemarsz demonów i sukubów; owa formalność, niegdyś mająca na celu sprawdzenie jego odwagi, teraz szalenie go nużyła. Musi jeszcze znieść dwie, trzy serie konwulsji, by z jego wnętrzości wylało się w końcu nieco pienistej zielonkawej wydzieliny, zapowiadającej ostatni wielki wstrząs, który pogrążył go w stanie śmierci klinicznej.

Wówczas zaczynała się podróż w nieznane, kiedy czas, zapadając się w sobie niczym gwiazdna materia, ukazywał oczom wtajemniczonego

osobliwe powiązanie przyszłości z przeszłością.

Tego ranka napad katalepsji był krótki. Jednym rzutem oka Eli mógł ogarnąć całą historię.

Kiedy wstał, oczy miał wciąż obrócone w słupek. Rozprostował się i starannie posłał łóżko. Przekręcił klamkę, otworzył drzwi, zszedł po schodach, wyszedł z wielkiego domu, przemierzył ogród, minął garaż, skierował się prosto w stronę Żywych Kamieni, i nie zatrzymując się ani na chwilę, wdrapał się na najwyższą ze skał.

Twarz smagał mu wiatr, a on, stojąc, opisywał wizję na miarę czasów biblijnych:

— Oto lew o spiżowych skrzydłach przemierza nieboskłon —
obwieszczał gromkim głosem. — Z jego oczu tryskają płomienie, palą
ziemię i żniwa. A ten, który go ujrzał, ośleplł, a ten, który posłyszał jego
ryk, jest głuchy, ten zaś, którego ów płomień dotknął, umarł i nic nie
zostało z jego kości, ni popiół, ni proch.

Oto sunie naprzód ogromny kozioł, żelazne podkowy na jego
rozwidlonych kopytach są ostre niczym kosa i rogi ma kręte niczym żarna.
Za jednym uderzeniem rogów mieli ludzkie obejścia

-238-

i najmocniejsze budowle, ścierając je na drobny pył jak ziarno. Kopytami
ryje wnętrze ziemi, wyrywa drzewa z korzeniami, a w rowy, które
rozkopał, wlewa urynę palącą i słoną jak morska woda.

Za kozłem i lwem podążają ludzie. Piersi mają obdarte ze skóry i
ociekają krwią, gdyż serce człowieka jest sercem zwierzęcia. Twarze ich są
twarzą nocy, mowa na zawsze opuściła ich usta, które potrafią jedynie
kąsać i krzyczeć z przerażenia. W czterech podniebnych wiatrach
wyczuwają zapach krwi i grobów. Pod osłoną cienia rzucają się na swoje
ofiary, by je rozszarpać, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, i dzieci. Od
płaczów i lamentów są spragnieni, swoją rozpacz i ból zawieszają na
ciężkim wahadle własnych kroków. A ich kroki ryją w ziemi trwogę i
nieszczęście czasów, które mają dopiero nadejść.

Eli stał tak na skale przynajmniej sześć godzin, interpretując i
opowiadając to, co mu się objawiało. Trzy razy wydawało mu się, że
został rażony ową iluminacją, jednak wśród wielu śmierci, które ujrzał, nie
udało mu się wypatrzeć własnej.

Najistotniejsza przepowiednia Eliego dotyczyła zbliżającej się wojny.

Przewidzieć wojnę pod koniec lipca 1939 roku nie było niczym
nadzwyczajnym, ale dla Eliego, który wycofał się ze świata osiem lat

wcześniej, wizja ta była tym bardziej zaskakująca, że tej niedzieli rzeczywistość wydawała mu się niezwykle spokojna. W komunikacie Agencji Reutera komisarz Ligi Narodów zapewniał w sprawie Gdańska, że nie widzi, „aby jakiegokolwiek niebezpieczeństwo mogło zagrażać Gdańskowi” który — wedle niego — „z całą pewnością nie stanowił problemu politycznego o wadze międzynarodowej”. Bez wątpienia najważniejszym wydarzeniem dnia było zakończenie w Parku Książęcym wyścigu Tour de France; wygrał Sylvere Maes, wyprzedzając o ponad pół godziny René Vietta, któremu nie udało się już nadrobić straconego czasu po tym, jak zasłabł na etapie Digne-Briançon.

36

W kryjówce, jaką sobie wynalazł, Bruno drżał na przemian z przyjemności i przerażenia. Pustynni nomadzi zaatakują, to więcej niż pewne! Nigdy nie widział Eliego w podobnym stanie. W porze podwieczorku czym prędzej pobiegł do kuchni, absolutnie musiał zorganizować obronę wielkiego domu. Madame Yvonne podała mu bułkę z czekoladą, a kiedy się odwróciła, buchnął dwa kuchenne noże i widelec do pieczeni, po czym pobiegł do pokoju po drewniany pistolet, którym się posługiwał, ilekroć udawał gangstera z Chicago. On, Gruby Joe, król nad królami, stworzy bandę na miarę Robin Hooda, kto by pomyślał! Schowa broń w krzakach bzu za Przeklętym Zamkiem i tam, ze swoimi wiernymi rycerzami przebranymi na tę okazję za wieśniaków — jaka szkoda, że Krocionoga już nie ma, samemu będzie trudno odgrywać wszystkie te role naraz — bez litości zaatakują szeregi wroga. Tak, ale to nie wystarczy, z pewnością przypuszczą natarcie od strony Żywych Kamieni, trzeba będzie wybudować fortyfikacje i wszędzie rozmieścić pułapki. A potem znaleźć sobie dobry punkt obserwacyjny! Eli!... jego z pewnością należało się teraz najbardziej obawiać, nie ma mowy o paktowaniu, Gruby Joe pokaże, że potrafi być bezlitosny i twardy! Przy pierwszej sposobności wbije mu widelec w plecy! Albo nie, z czarownikami nigdy nic nie wiadomo, a poza tym był to jego jedyny informator, a więc nie, nie w plecy, będzie bił się twarzą w twarz, uczciwie, jak przystało na prawdziwego obrońcę biednych, trudno — nawet jeżeli to czarownik i jego przyjaciel, wojna to w końcu wojna.

I Gruby Joe ponownie podążył z silnie bijącym sercem do swojej kryjówki.

Eli, nadal pogrążony w transie, opuścił dziedzinę ogólnych przepowiedni i zwrócił się ku bardziej konkretnym, dotyczącym jego przeznaczenia, by po raz kolejny usłyszeć ten sam refren.

Jedenasty Dzień Boży wstaje o Piątej Godzinie wieku Śmierci. Dwunasty Dzień Boży rodzi się o Szóstej Godzinie, a umiera z Siódmą Godziną wieku Miłości.

Trzynasty jest ostatnim z wszystkich Dni, które Bóg nam przyznaje, i kończy się z Siódmą Godziną wieku Śmierci.

Przeżyłem Liczbę wszystkich moich Dni, Liczbę wszystkich Godzin i nadal żyję!

Gruby Joe, mimo że nigdy nic z tego wszystkiego nie zrozumiał, znał to na pamięć.

—Boże! — wykrzyknął Eli, po czym zapadł w głębokie milczenie. Zachwiał się gwałtownie na skale, prawie upadł, złapał równowagę w ostatnim momencie i osunął się na kolana. Gruby Joe wydał westchnienie ulgi.

Ciężkie chmury poprzecinane jasnymi błyskawicami zawisły nad doliną Chevre-Roche, podczas gdy lekki podmuch wiatru przyniósł z oddali huk grzmotów. Dokładnie w chwili, gdy pierwsze duże krople rozbijały się o kamienie jak dojrzałe jagody, Eli wycedził przez zęby martwym głosem:

— W Siódmej Godzinie Miłość została zdradzona, Śmierć stoi nad Morelem!

A potem zemdlał i spadł ze skały.

Teraz, w ulewnym już deszczu, Gruby Joe biegł w stronę wielkiego domu i powtarzał, krzycząc: „Śmierć stoi nad Morelem!”. Wczoraj wiatr, a dzisiaj Eli. Stary czarownik odgadł, wiedział wszystko, dlatego padł martwy na skale. Wchodząc do kuchni, Gruby Joe rzucił się w ramiona Madame Yvonne.

—Eli umarł, umarł raz na zawsze, na skale — wyszeptał, zanosząc się szlochem.

Anna, Madame Yvonne, Amalia i pielęgniarz pospieszyli na koniec ogrodu, trzymając nosze ponad głowami, by w ten sposób

osłonić się przed deszczem. Eli ciągle leżał zemdłony. Udało im się jakoś zsunąć go z wierzchołka skały i przenieść do sali zabiegowej. Wszyscy doszczętnie przemokli. Budząc się, Eli gwałtownie kichnął, po czym odwrócił się w stronę Anny ze znudzoną miną.

- To nic takiego — powiedział. — Po prostu przeziębienie. Proszę mi wybaczyć, Anno, zdaje się, że znów opowiadałem jakieś głupoty, obiecuję pani, że się poprawię.

- Proszę się nie martwić, nikt pana nie słyszał, poszedł pan na sam koniec ogrodu. Na szczęście Bruno tamtędy przechodził. Jest pan pewien, że czuje się już dobrze?

- Tak, tak, bardzo dziękuję. Po prostu dostałem zawrotu głowy, nic więcej, no i musiałem też zmarznąć. Pójdę odpocząć do pokoju. Czy mogłaby pani poprosić, żeby przynieśli mi trochę grogu?

- Oczywiście, zaraz panu przygotuję — powiedziała Madame Yvonne — ale doprawdy, w pańskim wieku nie powinien się pan wspinać na skały!

Eli zsunął się ostrożnie z łóżka, na którym go ułożono, i chwiejnym, lecz majestatycznym krokiem ruszył przez salę zabiegową w kierunku swojego pokoju. Wszyscy patrzyli, jak oddalał się z uśmiechem, i sprawę uznano za zamkniętą.

Gruby Joe położył się bardzo wcześnie. Obawiał się, by matka nie przyszła mu powiedzieć dobranoc. Nie robiła tego często, ponieważ ostatni obchód kończył się najczęściej długo po tym, kiedy Gruby Joe kładł się do łóżka. Mścił się na niej za to w sposób cokolwiek zawzięty i czasami, kiedy słyszał, że drzwi się otwierają, udawał, że śpi. Pochylała się nad nim, a on z całych sił zamykał oczy, by tym lepiej skoncentrować się na swoim udawanym śnie. Za późno, myślał, zawsze przychodzisz za późno, i ja już śpię, tak to właśnie jest. Kiedy odchodziła po ucałowaniu go, przekrecał się na łóżku, wydając z głębi swojego fałszywego snu ciche, bolesne jęknięcie, tak żeby dobrze słyszała, że cierpi, cierpi nawet przez sen, ponieważ bez wątpienia jest najniezwyklejszym chłopcem na całym bożym świecie.

Kładąc się tuż po kolacji, miał nadzieję, że naprawdę będzie spał, kiedy ona przyjdzie, jeżeli w ogóle przyjdzie. Ale tego wieczoru nie miał szczęścia.

Pomyliłem się w rachubie — pomyślał, słysząc na korytarzu zbliżające się kroki. — Proszę, przychodzi mi powiedzieć dobranoc przed obchodem.

- Dobranoc, Bruno.

- Dobranoc, signora.

Nogi się pod Anną ugięły, pochyliła głowę, zamknęła na chwilę oczy i głęboko westchnęła. Dlaczego, dlaczego zawsze był taki nieprzyjemny?

- Nie chcesz już mówić do mnie „mamo”? Nie kochasz już swojej mamusi? — Powiedziała to jak najczulej, spróbowała się nawet uśmiechnąć, jednak głos jej zadrżał.

- Tak, signora, bardzo Kocham moją mamę.

Jak można zadawać takie pytania? Nigdy, ale to nigdy nic nie zrozumie. Właśnie wtedy, kiedy ją kochał najbardziej, nazywał ją signora, ponieważ to słowo pochodziło z Włoch, a ona była jak potężna włoska królowa i robiła się o wiele piękniejsza, kiedy ją tak nazywał. A teraz, to pewne, przytuli go bardzo mocno, właśnie tak, jak nie lubił, jakby chciała, żeby wrócił do jej brzucha, zdecydowanie nic a nic nie rozumiała, jak to, żeby nazywać ją mamą, mógłby to ścierpieć, gdyby chodziło o Madame Yvonne albo Amalię, kobiety takie jak wszystkie, ona była czymś znacznie więcej, on natomiast chciał być królem godnym swojej królowej, a przecież nigdy nie widziano, by królowie dali się tak po prostu zmiażdżyć przez królowe, które żądały, by nazywać je mamusią!

Anna wyciągnęła dłoń, chciała go pogłaskać i przytulić, ale gdy ujrzała, jak sztywnieje, jej serce się zacisnęło, po raz kolejny westchnęła i zrezygnowała.

— Powiedz mi, Bruno — podjęła tonem, który jej samej wydał się zbyt surowy, jednak zmęczenie nie pozwoliło jej go skorygować — słyszałeś, co mówił Eli, zanim zemdlął?

-243-

No proszę, a więc o to chodziło, pomyślał Gruby Joe, dlatego przyszła mi powiedzieć dobranoc.

- Nie — powiedział, zarumieniwszy się — kiedy przyszedłem, już nie żył.

- Wiesz, Eli nie umarł, po prostu zaniemógł, to już bardzo stary pan. Zatem nic nie powiedział?

- Nie, nic a nic, padało, signora.

Kłamał, to było widoczne jak nos rosnący pośrodku twarzy, teraz z kolei Anna zeszywniała, powinna go uderzyć w twarz, potraktować jak każdego niezdolnego i bezczelnie kłamiącego chłopca, jednak nie potrafiła. Pomyślała o Tommasie, po raz kolejny poczuła się winna, ale czy była winna? Czuła w sobie ciągle to samo znużenie i potworną falę zimna.

Pokiwała głową, wzięła go za rękę, pocałowała w czoło, a potem się wyprostowała.

— Dobranoc, chłopczyku — powiedziała, a w jej głosie była prawdziwa, niezmierna czułość.

— Dobranoc, signoro mammo.

Wyszła.

Zakończenie nie było takie złe, pomyślał Gruby Joe, koniec końców chyba mnie kocha. Przez chwilę jeszcze próbował napędzić sobie strachu, myśląc o Morelu i pustynnych nomadach, po czym zasnął, pogodzony z sobą, z nią, szczęśliwy.



Następnego dnia Gruby Joe, pogodnie usposobiony, zasięgał rady u zgromadzenia parów swojego królestwa. Nastąpiły ciężkie czasy. Zbliżający się atak pustynnych nomadów, przed którym ostrzegały go tajne służby, wymagał zastosowania najbardziej bezlitosnych i radykalnych środków. Mianował się głównodowodzącym generałem wojsk, po czym natychmiast ogłosił stan wyjątkowy. Uderzono na alarm i cała ludność zebrała się w dolinie Żywych Kamieni. Gruby Joe usadowił się na najwyższej skale i dokładnie z tego miejsca, skąd poprzedniego dnia rozległa się straszna przepowiednia, wygłosił długą i przekonującą mowę wojenną do

-244-

drżącego tłumu poddanych. Na ziemi, niedaleko skały postawiono czarę z krwią i księgę zawierającą najpotworniejsze potworności. Uformowała się kolumna, długa jak dni ciągnące się co najmniej przez dwa albo i trzy stulecia, a każdy z poddanych padał Grubemu Joe do stóp, przysięgając wierność na wielką księgę i wykrzykując: „Śmierć Morelowi!” patrzył mu przy tym prosto w oczy, wcześniej złożywszy w księdze podpis palcem umoczonym we krwi.

Kiedy wszystkie administracyjne formalności zostały już dopełnione, Gruby Joe roztargnionym gestem odesłał lud i stojąc samotnie na skale wieszczą, czekał, aż go Bóg pouczy.

Bóg natychmiast wpadł na cudowny pomysł.

Trzeba było po prostu skonstruować linię w rodzaju Linii Maginota. Wybudować forty, wieże i donżony, wykopać rowy oraz wielkie doły, a poza tym wszędzie rozmieścić pułapki. Kiedy zaś już powstanie piękna linia, chroniąca królestwo przed pustynnymi nomadami na podobieństwo tej Maginota, poprosi się Naczelnego Inżyniera Morela, jeżeli przyjedzie tu którejś niedzieli, by dokonał inspekcji fortyfikacji. Dowie się wówczas, jak wiele myśli wszyscy mu poświęcali, bo nawet zrekonstruowano Soetrich, a więc miejsce, w którym przebywał, kiedy go tutaj nie było. Skoro zaś wykopano największy z największych dołów w Soetrich, to jeżeli przyjedzie nocą, wpadnie po ciemku w ten największy dół. A już Bóg zatroszczy się o resztę, bo w końcu był to pomysł Boga.

Z sercem kipiącym radością i entuzjazmem Gruby Joe natychmiast rozpoczął kampanię.

Pracował do upadłego przez całe lato. Szybko jednak musiał ograniczyć swój teren zabaw do Żywych Kamieni, gdyż został solidnie skarcony przez Madame Yvonne, Eliego, a potem matkę, że porobił wszędzie dziury, przyczyniając się w ten sposób do kilku zwichnięć. Tak czy owak było to najlepsze rozwiązanie, ponieważ na mniejszą skalę mierzył się z podobnymi problemami „ciągłości” jak generałowie ze sztabu.

-245-

Za pomocą piasku, kamieni, skrzynek, kawałków drewna, cegieł, puszek po konserwach oraz pustych butelek udało mu się zamienić Żywe Kamienie w istne pole bitwy. Z niewątpliwie największą pasją oddawał się kopaniu dołów. Zresztą piaszczysty teren znacznie ułatwiał to zadanie. Wielki dół z Soetrich zaczął przybierać niepokojące rozmiary. Wykopał go u stóp wielkiej skały wieszczą i rozciągnął tak, że przekształcił się w podziemne przejście — Gruby Joe urządził sobie coś w rodzaju grotty, gdzie mógł się schronić, by w całkowitym spokoju oddawać się marzeniom

0 wszelkich wojennych akcjach. Często zadawał sobie pytanie, czy na dnie dołów nie należałoby wbić oszczepów. Podniosłoby to znacznie skuteczność zasadzki na Morela, jednak było niebezpieczne również dla niego. Udało mu się oprzeć tej pokusie i z kawałków drewna wystrugał ochronną barierkę. W oznaczonym dniu wrzucił barierkę do dołu. Patyki spadną jeden po drugim, a Bóg, jak sam powiedział, zajmie się resztą.

I tak każdego wieczoru Gruby Joe wracał z placu zabaw wyczerpany,

ale szczęśliwy. A zanim natychmiast usnął, nie zmuszając się teraz do tego ani nie udając, zdążył jeszcze w wieczornej modlitwie wydać wojenny okrzyk: „Śmierć Morelowi! Śmierć Morelowi!”.

1 Bóg się do niego uśmiechał.

37

Rozdzierający wrzask wgryzał się w ciemności. Julian Morel otworzył oczy i wyprostował się gwałtownie na swoim łóżku. Ktoś krzyknął, ale kto? Czyżby on sam?

Wsluchiwał się najpierw w swój oddech, świszczący i zduszony, a potem z dworu dobiegło go mruczenie transformatora lampy łukowej, której światło, wpadające przez pancerną szybę lufcika, wycinało na ścianie siny prostokąt. Wreszcie w oddali usłyszał powtarzający się metaliczny dźwięk: to lina konopna uderzała pod wpływem wiatru o żelazny słup wznoszący się nad wartownią. Zmusił się do bardziej regularnego oddychania i zaczął szukać po omacku paczki papierosów oraz pudełka zapalek, które położył na kufrze służącym mu za nocny stolik.

Pałająca się przez chwilę zapalka przycięła cień unoszący się nad łóżkiem. Gryzący kłęb dymu wypełnił mu usta. Rozluźnił się trochę, jednak nadal nie wykonywał najmniejszego ruchu, koncentrując całą swoją uwagę na wsłuchiwanie się w nocne życie obozu.

Przeciągły jęk sprawił, że aż podskoczył na łóżku. Dochodził z baraku obok. Chrapliwy głos śpiącego mężczyzny wznosił skargi, które najpierw przeszły we wrzask: „Nie! Nie!” a potem zamieniły się w przerywane burczeniem chrapanie.

Julian Morel westchnął z ulgą: to nie był jednak on. Od czasu upalnego lipcowego dnia, kiedy kochał się z Amalią na strychu, co noc dręczyły go koszmary, które kazały mu się budzić z drżeniem,

-247-

a potem rozgorączkowanego i pełnego niepokoju pozostawiały na pastwę długich bezsennych godzin.

Ile czasu jeszcze tak wytrzymam? — pomyślał. — Kiedy przyjdzie walczyć, będę już tylko strzępkiem nerwów, trupem, pustą kopertą...

Słowo „koperta” które wypowiedział na głos, wykrzywiło mu twarz w grymasie, jakby w reakcji na dokuczliwe i bolesne klucie w żołądku. Jutro, a więc zaraz, musi absolutnie napisać do Anny... z prośbą.

Radość, szczęście, namiętność, cała intensywność minionych lat... Słowa, które kiedyś nawzajem się popędzały, niecierpliwe pragnienie, by

jej opowiedzieć o każdym fragmencie swojego życia, a teraz... teraz — ten gorzki grymas na twarzy, niesmak, sztuczność, tchórzostwo i najgorsza ze zdrad.

Kiedy przyjechał do Soetrich, nazajutrz po przekłętym dniu, ciężka praca pozwoliła mu zapomnieć o otchłani, jaką ciało Amalii wydrażyło w jego życiu.

Blok nr 5, monstrum z czternastu tysięcy ton betonu, zapadające się w ziemi z powodu podziemnych zbiorników wody, osiadł już do takiego stopnia, że trzeba było oderwać ocembrowanie wieży 135, która od jakiegoś czasu przestała trzymać pion. Ponieważ Julian Morel nie był pewien, czy blok nie będzie się nadal pochylał lub zapadał, musiał wymyślić system lewarów, który niezależnie od przyszłych ruchów kamiennej bryły zapewniłby samodzielność i równowagę ocembrowaniu. Ale kiedy wieczorem oderwał się od stołu kreślarskiego i znalazł się sam w pokoju, rozrywając i gniotąc pokaźną liczbę listów ledwie zaczętych, musiał stawić czoło oczywistości, że nigdy nie zdoła napisać prawdy. Prawdy, która nim wstrząsnęła i całkowicie go przygnębiła, gdyż dzięki sile jednego uścisku miał wrażenie, że dotarł do samego źródła ponurego sekretu Amalii i — o zgrozo! — został nim rażony jak piorunem. Tak, kochał ją, to wyznanie zżerało mu wnętrzności i oddalało go na zawsze od Anny. Pozwolił, by upłynęły trzy dni. Trzy dni bez jed-

-248-

nego listu... Wyobrażał ją sobie, niecierpliwą, zaniepokojoną, badawczo spoglądającą na twarz poczuwającego się do winy listonosza, który każdego ranka, wręczając jej przychodzącą do instytutu pocztę, wydawał się coraz bardziej zakłopotany.

Milczenie będzie wyznaniem, powiedział sobie, jednak ta tchórzliwa rezygnacja wydała mu się jeszcze bardziej ohydna niż prawda. Wybrał drogę pośrednią i dwuznaczną, poświęcając całą noc na napisanie listu, w którym po raz pierwszy mówił Annie o wojnie, a którego długość i powaga miały, w jego mniemaniu, zrekompensować jej brak miłosnych porywów.

Upłynął jeszcze tydzień, zanim zdecydował się, by wysłać drugi list, jeszcze dłuższy, w którym rozwodził się, nie bez upodobania, na temat niepokoju egzystencjalnego, jaki dopadł go z niesłychaną siłą, chociaż, rzecz jasna, nie ujawniał jego źródła.

Dopiero dwa dni później zdał sobie sprawę, że od czasu swojego wyjazdu z instytutu także nie dostał żadnych wiadomości od Anny.

Przez cały sierpień w Gdańsku nie przestawało wzrastać napięcie, na Linii Maginota wzmocniono wszystkie oddziały. Wkrótce każda forteca dysponowała znaczną liczbą sił zbrojnych i, wedle dowództwa, linia była gotowa do stawienia czoła każdemu niespodziewanemu atakowi.

Oficer rezerwy Julian Morel został wysłany trzydzieści kilometrów na wschód od Soetrich jako Naczelnny Inżynier 20. Korpusu z Sarralbe, odpowiedzialny za wzmocnienie fortyfikacji w dolinie Savre.

Układ niemiecko-sowiecki — podpisany wkrótce po tym, jak zmieniły się uczucia Morela — teraz już nieodwołalnie zapowiadający rychłą wojnę, wywołał ogólne poruszenie i przysporzył Mordowi całej masy pretekstów do zapomnienia o pisaniu. Tak bardzo dał się pochłonać owemu pomieszaniu rozpaczy i ekscytacji, iż

-249-

wydawało mu się normalne, że nie dostaje żadnego listu od Anny. W ostatnich, spiesźnie skreślonych słowach powiadomił ją, że wyjeżdża, i wyolbrzymiając cokolwiek rygory tajemnicy wojskowej, nie wyjawiał swojego nowego adresu.

1 września Hitler zaatakował Polskę.

O 4.45 nad ranem w baraku C w obozie wojsk inżynieryjnych korpusu z Sarralbe Julian Morel ciągle nie może zasnąć. Lina konopna bije coraz mocniej o słup wartowni. Wiatr się wzmaga. Siedząc na skotłowanej pościeli, Morel uporczywie wpatruje się w płytę gołego cementu, na której spoczywają jego bosa stopy. Zaciąga się po raz ostatni papierosem, po czym bez zawahania ani drżenia ręki, jakby chodziło o konieczne, aczkolwiek bolesne leczenie, miażdży metodycznie niedopałek we wnętrzu lewej dłoni.

38

Wszystko się skończy, wszystko być może się skończy! Tej samej wrześniowej nocy Tommaso chodzi w kółko po swoim pokoju. Nie ma pojęcia o wojnie. Zapalił świeczkę, postawił ją na środku. To jedyne światło, jakie jest w stanie znieść w nocy. Nie ma pojęcia o wojnie, ale jego myśli — sam nie wie dlaczego — znajdują się w szyku bojowym. Amalia przestała przychodzić. Nie przyszła już... sam nie wie od jak

dawna. Posiłki przynosi mu Yvonne, która zawsze mówi coś miłego. Traktuje się go jak psa. Pewnego dnia powiedział jej, że stąd wyjdzie, bo tak zostało napisane. Trzeba było napisać, że wyjdzie sam. Sam! Dlaczego Amalia nie przychodzi? Lubił jej ciało sprężyste jak liana. Brał ją tak, jak pies bierze sukę. Nigdy nic nie mówiła. Robiła to dla niego. Kręci się wokół świeczki. Która to godzina? Pierwsza w nocy. Dni robią się coraz krótsze, lato odchodzi. Niedługo stąd wyjdzie.

W jego głowie słowa wirują jak satelity wokół nieznannej planety: wyjść... Marasia Bopanula... On umrze... A ja będę żył... i nadal kręci się wokół świeczki. Zatrzymuje się, podnosi oczy w stronę lukarny. Widzi siebie, pajacyk odbijający się w szybie, głowa na dole, a stopy dyndające w ciemnościach, oświetlone gwiazdami. Jego twarz jest tuż, tuż, faluje naprzeciw brunatnego księżyca w migocącym świetle płomienia.

— Ja, Tommaso, jestem spadającą gwiazdą pozbawioną blasku, ale to wszystko się skończy, wszystko być może się skończy... Będę żył.

-251-

Dziwi się, że nie odczuwa żadnego bólu. Zaczyna mówić głośno, tak by słyszały go ściany:

— Jestem bardzo spokojny tej nocy. Wyjdę, nie ma już słów w mojej głowie.

Kłęka naprzeciw świeczki, zwilża językiem koniuszki kciuka i palca wskazującego, ściska knot. Płomień, skwiercząc, gaśnie.

Podnosi się: w szybie lukarny nic już nie widać, ciemność, jedynie ciemność. Robi trzy kroki w stronę drzwi, otwiera je i wychodzi. Wszedł, wreszcie jest na zewnątrz. Czuje unoszący się w powietrzu zapach chlorowanej wody. Przypomina sobie, jak siedem lat wcześniej widział skuloną, przykucniętą sylwetkę sprzątaczkę — jej szare barchanowe majtki — która wilgotną szmatką przecierała w tę i z powrotem schody z pobielanego drewna. Chwieje się, opiera się jedną ręką o ścianę. Gips jest rozgrzany... koniec lata... minęło siedem lat.

Ganek... po lewej czarny otwór, korytarz prowadzi do sypialni Amalii. Sam, jest sam, Amalia nie przyszła i już nie przyjdzie, wie o tym. Nie potrzebuje jej, dziś wieczorem może wyjść sam, tak zostało napisane. Zbliży się do kolejnej serii schodów, chwytając się poręczy, schodzi. Całkiem na dole drugie drzwi, te, które wychodzą na garaż. Przekręca ostrożnie klamkę. Gubi się w tych ciemnościach. Jest jak cień, nie robi najmniejszego hałasu. Garaż... intensywny zapach jabłek. Kosze stojące z tyłu, kilka wyschniętych i zgniłych owoców z poprzedniego sezonu

musiało się tam zawieruszyć. Tuż przed nim wyrasta teraz potężna bryła voisina 1925. Nie ma żadnych myśli. Po prostu działa. Szuka po omacku klamki, znajduje szybę, gładką i zimną. Jego ręka gładzi szkło, dochodzi do skóry... powszechny obłęd, by objąć samochody skórą. Wtem rozlega się trzask, drzwiczki się otwierają, wchodzi do samochodu, a jego ręce same chwytają kierownicę. Kluczyki leżą na desce rozdzielczej. Zapala... silnik charczy, charczy... wyładował się akumulator... znów charczy i znienacka rozlega się warkot. Naciska guzik na tablicy rozdzielczej, zapalają się światła. Szalony, oślepiający blask długich świateł na ciężkich skrzydłach drewnianych drzwi

-252-

garażu i wtem jego oczom ukazuje się nieprawdopodobny widok (szalony jak to szalone światło), by za chwilę się rozwiać, ale przez moment Tommaso widzi obraz zgrozy i przerażenia: o drzwi — przyszpilone światłem reflektorów — opiera się dziecko, w jego oczach odbijają się zgroza, przerażenie, koszmar, a usta dziecka wydają dziki wrzask, który zagłusza huk motoru. Tommaso jak sparaliżowany nie zdejmuje stopy z pedału gazu, przeciwnie, dociska ją i mechaniczny łomot przechodzi w piskliwy miauk, czuje wówczas, jakby metalowy sztylet przebijał mu uszy i rozdzierał bębunki. Wybałusza oczy, czas się zatrzymał, a on sam nie wie, co robi: po prostu działa, rozpędza się, słyszy przeraźliwy furkot, zaraz zwolni sprzęgło, zmiażdży tego głupiego trzpiota, który miota się na wszystkie strony, i wszystko się skończy... ale ciało dziecka nieoczekiwanie osuwa się i znika za maską samochodu, nie ma już nic, tylko wielka świetlista dziura rozwierająca się między drzwiami z malowanego drewna. Tommaso wyłącza silnik. Jest sztywny, zimny i otepiały, ale już po wszystkim.

Wychodzi z samochodu, okrąża maskę. Dziecko, zwinięte w kłębek, leży na ziemi. Oczy ma zamknięte, jest w piżamie i całe drży. Tommaso stoi wyprostowany, jego postać przy dziecku — które jest jak jasna plama na błyszczącej podłodze garażu — wydaje się ogromna i ciemna.

Bruno drży i zamyka oczy ze wszystkich sił, jego serce pękło, wydaje mu się, że umarł. Wszystko wokół jest prawdziwe, mocne światło, które barwi mu na czerwono powieki, skrzywienie samochodowych drzwiczek, odgłos zbliżających się kroków i ten olbrzym wyrastający tuż obok, ale, tak, już umarł, bo to wszystko pochodzi z innego świata. A więc to był sekret Przekłętego Zamku, signora Anna go ostrzegła i Amalia także, że nie trzeba... zwłaszcza w nocy. Tutaj krążyła śmierć, teraz to wiedział, ale

było już za późno, umarł, pustynny olbrzym go porwie i zanieśie do swojej kryjówki, gdzie po kolei będzie mu odrywał członki i obgryzał je jak kości kurczaka. Jutro już go nie będzie i nikt się nigdy nie dowie, co się z nim naprawdę stało. Tym lepiej, signora Anna będzie

-253-

dużo płakać. Ale nadal nic się nie dzieje, pustynny olbrzym stoi nieruchomo i dyszy jak ogromny pies.

Tommaso się nie rusza. Słyszy, że oddycha i widzi... widzi ostre światła reflektorów oraz dziecko. Dwie rany... jedna kole go w oczy, a druga trawi mu duszę. Mały robal, larwa poczęta ze zdrady, wystarczyłoby docisnąć obcasem, by zmiażdżyć mu twarzączkę, jednak się nie rusza, niezdolny do wykonania najmniejszego gestu, niezdolny nawet się odwrócić. Jego myśli są puste jak światło, brak mu słów, w jego ciele jest jedynie cierpienie, cierpienie, które i tak tutaj było, bez niego, odwieczne. Jakby stał się kamieniem przykutym do ziemi, dotkliwie odczuwającym własną siłę ciężenia i ubolewającym nad porządkiem rzeczy.

W oddali trzaskają drzwi, słychać głos dobiegający z wielkiego domu:
— Bruno! Bruno! — niecierpliwy i zaniepokojony głos Amalii.

Bruno myśli sobie, że na innym świecie bardzo dobrze słychać to, co dzieje się wśród żywych. Ma wielką ochotę krzyknąć, żeby się dowiedzieć, czy żywi także słyszą wołanie umarłych, ale za bardzo boi się pustynnego olbrzyma, który nad nim dyszy. Mogłoby to mu się nie spodobać, a poza tym, jeżeli Amalia go usłyszy, znajdzie go tutaj i to będzie rzecz najgorsza z najgorszych, ponieważ zawsze mu powtarzano, że jest to zakaz nad zakazy, że czeka go tutaj piekło, potępienie, same potworności, jednym słowem, makabra nad makabrami, i to w nocy, przede wszystkim w nocy.

Nadal słychać wołania, a nawet są coraz bliższe, olbrzym sapie mu tuż przy uchu, a jego serce, które rozpadło się w drobny mak, gdy został rażony światłem reflektorów i hukiem motoru, zaczyna dygotać w piersiach na wszystkie strony. Bruno zaciska zęby, żeby nie wrzasnąć, kiedy jedna łapa olbrzyma spoczywa mu na karku, druga zaś na szyi. Trzyma się dzielnie i jest dumny, że trzyma się tak dzielnie, bo to znaczy, że nie jest zdechłą mokrą kurką, i Kro-cionóg również mógłby być z niego dumny i w innym świecie znów będą towarzyszami broni.

Wołania i odgłosy szybkich kroków są już tuż, tuż, za drzwiami garażu. Tommaso również się boi, boi się, że zostanie przyłapany

-254-

z dzieckiem, jakby to on był tym, który... a przecież to nie on, on nic nie zrobił. Szybko bierze je na ręce, sadowi się na przedzie samochodu, dziecko kładzie z tyłu, gasi reflektory i teraz sam przechodzi na tylne siedzenie, przeskakując przez oparcie fotela.

W ciemnościach przytulają się do siebie. Ich dwa ciała się dotykają, akceptują nawzajem, boją się teraz tak samo.

Prawe skrzydło drzwi otwiera się na blade światło księżyca. Amalia robi krok, przekręca porcelanowy włącznik... i znów zapala się światło, tym razem żółte, Tommaso zamyka oczy.

Amalia nie zwraca najmniejszej uwagi na samochód, kieruje się prosto ku drzwiom, za którymi znajdują się schody prowadzące na strych, i znika.

W samochodzie Bruno niepostrzeżenie otwiera oczy. Widzi, że pochwycony w wiązkę światła olbrzym okazuje się mężczyzną, mężczyzną, który chowa się jak dziecko. Myśli sobie, że śmierć jest dziwną zabawą, okropną i straszną, ale musi również przyznać, że ekscytującą, i nie może się powstrzymać, by nie wyszeptać:

- Nie widziała nas... co teraz robimy? Mężczyzna nic nie odpowiada i w ogóle się nie rusza.

- Pan też jest martwy, pan też, proszę pana? — pyta Bruno. Tommaso dziwi się trochę, kiedy słyszy własną odpowiedź:

- Tak, jestem martwy, już od bardzo dawna.

Jaki głos, jaki śmieszny głos, myśli sobie Bruno, ale nie powinien mówić tak głośno, przecież ona może nas usłyszeć. Skoro jednak jest mężczyzną i jest martwy od tak bardzo dawna, musi wiedzieć, co trzeba robić, a czego nie, kiedy jest się martwym. I Bruno mówi, także nie mogąc się powstrzymać, by nie podnieść odrobinę głosu:

— Mam na imię Bruno, to mnie ona szuka, rozumiesz, Bruno na Giulianiego, a ty, drogi panie, jak masz na imię?

Wtedy widzi, jak ten pan otwiera szeroko oczy i bacznie mu się przygląda. Takich oczu nigdy jeszcze nie widział, oprócz — oprócz własnych w lustrze — ogromnych i niebieskich, szaroniebieskich. Myśli sobie, że przeżywa największą z najwspanialszych przygód na świecie, bo ten pan to może on sam, Bruno, kiedy będzie starszy.

-255-

Tak, to na pewno to, kiedy umieramy, spotykamy samych siebie, kiedy jesteśmy starzy...

Tommaso słyszy imię dziecka i także rozpoznaje swoje spojrzenie w jego oczach. Czuje, że zaraz zacznie skomleć i wyda z siebie psi skowyt,

ale nie, zamiast tego słycać szloch, donośny szloch dobywający się z trzewi, który jest jak najbardziej ludzki.

Co jest temu panu — zastanawia się Bruno — czy to takie smutne być mną, tylko starszym, kiedy właśnie umarłem?

Ostrożnie więc wyciąga dłoń w stronę tego pana, ma ochotę go pogłaskać jak wielkiego psa, bo jest cały czarny i leży skulony na tylnym siedzeniu, tak że tylko głowa mu wystaje, i to wszystko tak bardzo mu przypomina Krocionoga, jego jedyne go towarzysza, który zmarł.

Ten gest przyszedł mu ot tak, całkiem spontanicznie, posłuchał głosu serca, jednak natychmiast spostrzega, że zrobił błąd.

Mężczyzna w jednej chwili odsunął się, przylgnął do drzwiczek, a teraz jęczy, jakże potwornie jęczy! Dokładnie tak samo, jak już zdarzało się Brunonowi słycać, raz czy dwa razy w nocy, zwłaszcza w dzień pogrzebu Krocionoga, kiedy przyszedł do garażu, by spróbować płakać, a potem wieczorem, tak wieczorem, kiedy zerwał się wiatr, zaraz potem, tak, ten sam skowyt psa, a teraz słyca to tu, tuż przy uchu, pan pustynny olbrzym, który jest, być może, nim samym, kiedy już długo będzie martwy, a zarazem Kro-cionogiem, tyle że większym, który skamle i skamle, i płacze...

I to, co miało się stać, stało się, stało się oczywiście na skutek tego potwornego hałasu, Amalia zbiega ze schodów, rzuca się do samochodu i otwiera na oścież drzwiczki.

Są tutaj.

Są tutaj, Bruno i Tommaso, jeden w piżamie, z wytrzeszczonymi oczami, a drugi oszalały, rozwrzeszczany i jęczący, oszalały jak wiatr i morze szamoczące się w porze burzy, którą rozpętała ich miłość.

39

Amalia w milczeniu ujęła Tommasa za rękę. Natychmiast przestał krzycać. Bruno ujrzał, jak Tommaso się prostuje i wychodzi z samochodu. Uważnie śledził jego ruchy, a potem, krzywiąc się, delikatnie dmuchnął sobie w dziurki od nosa, aż rozległy się cichutkie śwnięcia — jak wówczas, gdy zatykając wilgotnym palcem dziurkę pompki rowerowej, zabawiamy się łapaniem powietrza. Pan olbrzym odwrócił się w jego stronę po raz ostatni i Bruno dostrzegł przepastne szarobłękitne jezioro spojrzenia, tak bardzo przypominające to, które widział w lustrze, kiedy przyglądał się sobie samemu. Zanim Tommaso zniknął na prowadzących na strych schodkach, Bruno usłyszał jeszcze, jak naciska na swoją klatkę

piersiową, jakby naciskał na rączkę pompki rowerowej, a potem wydaje z siebie świst, zrazu przeciągły i niski, później coraz bardziej piskliwy, na koniec zaś przechodzący w bezdźwięczne chuchnięcie, ciche, prawie niedosłyszalne, jakby puszczał bańkę mydlaną.

Bruno został sam na tylnym siedzeniu samochodu. Pomyślał, że świat żywych skrzyżował się ze światem umarłych w niedobrym momencie. Cała przygoda dobiegała końca i to właśnie było najgorsze ze wszystkiego, ponieważ z całą pewnością Amalia zaraz zejdzie i zaprowadzi go do wielkiego domu, gdzie będzie musiał się stawić przed signorą Anną. A wówczas, o Boże, co powie, jak się wytłumaczy, jaki powód wymyśli, by usprawiedliwić tę nieszczęsną nocną ekspedycję? Nawet jeżeli naprawdę umarł, nie było to już

-257-

takie widoczne i ona na pewno w to nie uwierzy. Nie, nic się już nie da wymyślić, był po prostu nieposłuszny, znaleziono go w garażu Przekłętego Zamku i to w dodatku nocą, w piżamie, podczas gdy wszyscy myśleli, że leży w łóżku.

Amalia była jednak bardzo miła i wydawała się nawet bardziej zaniepokojona od niego.

- Bardzo się bałeś? — spytała.

- Ja nie, ale on tak — odpowiedział Bruno dzielnie.

- Znasz tego pana, widziałeś go przedtem?

- Nie, nigdy. Kto to jest, ten pan olbrzym?

- Sądzisz, że to olbrzym?

- Tak sobie pomyślałem z początku. Był całkiem czarny, ale to ja mu napędziłem strachu.

- Nie zrobił ci nic złego?

- Nie, nic mi nie jest, tylko wziął mnie na rękę.

- Dobrze... posłuchaj, Bruno, wrócimy do domu, położysz się. Ten pan jest chory, trochę zwariował, to wszystko dlatego, rozumiesz?

- Tak — odpowiedział Bruno z przekonaniem. Ale z tego wszystkiego rozumiał tylko, że najgorsze z najgorszych, przynajmniej na razie, nie wydawało się takie najgorsze.

- Chodź... — powtórzyła Amalia — jutro, jeżeli zechcesz, opowiem ci historię tego pana.

- O, tak, bardzo chcę — odpowiedział Bruno, biorąc ją za rękę.

W połowie drogi do wielkiego domu zatrzymał się, nadal czuł potworny lęk.

- Powiedz, Amalio... -Co?

- Opowiesz o tym signorze?

Amalia zawahała się, nie chciała powiedzieć ani zrobić niczego, co by mogło przstraszyć Brunona. Tak czy owak Anna będzie musiała któregoś dnia opowiedzieć mu o jego ojcu, może teraz nadarzyła się dobra okazja.

-258-

- Boisz się, że na ciebie nakrzyczy.

- Tak, potwornie, strasznie się boję! — powiedział, mocno się do niej przytulając.

- Wiesz, twoja mama wcale nie jest taka straszna... Jeżeli mi zaufasz, wszystko się ułoży. Sam zobaczysz, jutro pójdziemy do niej razem... Jesteś już dużym chłopcem, nie trzeba się bać.

- Jutro?

- Tak, jutro, no chodź... Wejdziemy schodami dla służby, dzisiaj powiem jej tylko, że znalazłam cię w ogrodzie, bo nie mogłeś zasnąć. Dobrze? I jeżeli chcesz, zostanę z tobą, dopóki nie uśniesz.

- Nic jej nie powiesz dziś wieczorem?

- Nie, obiecuję ci.

Kiedy tylko Bruno się położył, zaczął udawać, że śpi. Amalia była bardzo miła, ale chciał być sam, żeby pomyśleć i pomarzyć o przerażającej i pięknej przygodzie, jaką właśnie przeżył. Przede wszystkim musiał do jutra wymyślić jakiś dobry powód, wytłumaczenie, dlaczego włóczył się w pizanie w okolicach Przekłętą Zamku i, co gorsza, co go skłoniło, żeby wejść do garażu.

W zasadzie nie było to takie trudne. Powie, że pan zwariowany olbrzym złapał go w krzakach i groził mu straszliwie, jeżeli nie pójdzie z nim do garażu. Siekiera, miał w ręku siekiere, i Bruno naprawdę myślał, że go przetnie na pół. Siekiera to świetny pomysł... ale nie, to zbyt skomplikowane: co robił w krzakach o dziesiątej wieczorem? A jeżeli go poproszą, żeby pokazał, które to były krzaki? Albo, co gorsza, znajdą jego kryjówkę? I odkryją ukradziony przez niego widelec do pieczeni? To będzie fatalne. A więc nie, nie w krzakach i na pewno nie na Linii Maginota. Mimo wszystko trzeba wymyślić jakąś głupotę, coś trzeba będzie powiedzieć, żeby reszta historii wydawała się bardziej wiarygodna. Widelec do pieczeni, to było zbyt ryzykowne, mogą go przecież zapytać, po co go ukradł... będzie jednak zmuszony coś zmyślić, tak, zmyślić, bo przecież nie będzie mógł się przyznać, że ma dostęp do wszystkich

informacji, które czarownik Eli przekazuje pustynnym noma-

-259-

dom, ani że zna jego straszliwe przepowiednie, ani także, że on, pod przybranym imieniem Grubego Joe, postanowił go sprowokować i zabić podczas wiekopomnego pojedynku widelcem do pieczenia. Tak, nawet jeżeli go nie zmuszą do wyjawienia pułapki z dołem w Soetrich, wszystko to zdecydowanie będzie zbyt niepewne i skomplikowane.

Może wyznać po prostu prawdę, to byłoby najmniej ryzykowne... że jak zawsze poszedł do garażu, by usiąść za kierownicą wielkiego samochodu i bezkarnie odskrobać trochę gipsu...

Nie, to też niedobrze, nie może przyznać, że od dawna był nieposłuszny i że w garażu działały się już różne rzeczy. Co odpowie, kiedy go zapytają, czy wiedział, że signora odwiedzała pana zwariowanego olbrzyma? I że zbiegła ze strychu, płacząc? A te wszystkie jęki i krzyki?

Bruno kręcił się w łóżku z boku na bok, nie znajdując żadnego rozwiązania. Wszystko mieszało mu się w głowie: dobre i złe powody, pan zwariowany olbrzym, świat umarłych, signora Anna, ogłuszający huk silnika i oślepiające światło reflektorów, wojna, pustynni nomadzi, skowyt psa, Krocionóg, Eli — wieszcz i czarownik, wszystko wyostrzone obsesyjnie powracającą myślą o tajemnicy, jakiej nigdy nie powinien wyjawić, tej, którą przywiał mu wiatr krzykacz, a potem tak dramatycznie potwierdził trans Eliego: „Trzeba zabić Morela, Morel musi umrzeć, śmierć stoi nad More-lem, Morel umrze i basta”. Ach, nie, nigdy, przenigdy nie powie tego, co widział i o czym wiedział.

Drżał ze zmęczenia, niecierpliwości i zdenerwowania jak listek na kapryśnym wietrze. Myślał na próżno, szukał jakiegoś rozwiązania, lecz niczego nie znajdował, niczego, co mógłby wyznać, a co nie wróżyłoby rychłej katastrofy i nie groziło zniszczeniem kruchego świata, w jakim żył. Tymczasem przemożne fale snu uderzały raz po raz w jego powieki, zmywając wszelką myśl, i za każdym razem, kiedy im się poddawał, miał wrażenie, że się topi. Ale dobywający się z trzewi strach, stokroć bardziej niepokojący niż wszystkie lęki, którym do tej pory stawiał czoło z pewnym upodobaniem,

-260-

łącznie z najstraszniejszym w jego życiu, jaki dopadł go na wpół umarłego w garażu, wyrwał go wkrótce z otchłani chwilowych rezygnacji, by wprawić w coraz bardziej gorączkowe drgawki i wrzucić w samo serce chaotycznej bitwy, którą jego wyobraźnia wszczeła przeciw wszechpotężnej i złowrogiej rzeczywistości.

Wreszcie w półśnie jak senne marzenie spadło na niego rozwiązanie.

Powie signorze Annie, że jak zawsze położył się o zmierzchu. Ale był głodny i wszystko dlatego. Wstał, by zobaczyć, czy da się wyszperać coś do jedzenia w kuchni, dokładnie tak, jak uczynił to przed chwilą — trudno więc będzie udowodnić, że było przeciwnie — i nie mógł się powstrzymać, by nie zjeść czekolady, zwłaszcza że pragnął poszerzyć kolekcję obrazków oraz srebrnych papierków i wzbogacić w ten sposób wojenny skarbiec. Dobrze... zatem porwał trzy tabliczki i wybiegł na dwór, by zjeść je w cieniu sekretnego krzewu, pod którym chował swoje skarby... i wtedy pan zwariowany olbrzym zaczął grozić mu widelcem do pieczenia...

Tak, tak, to świetny pomysł. I mógł to wszystko udowodnić, wszystko pokazać, bo wszystkie obrazki i kolorowe papierki znajdowały się już w jego kryjówce.

Teraz trzeba było tylko zjeść czekoladę.

Bezgłośnie zsunął się z łóżka i jak najostrożniej zszedł do kuchni, skąd zgarnął trzy tabliczki kuchennej czekolady, jakie były w zapasach, a potem czym prędzej wrócił schodami do pokoju.

Zastanawiał się, czy naprawdę ma zjeść trzy tabliczki, to było jednak dużo. Tak, to było dużo, ale w ten sposób będzie bardziej wiarygodny. Zatem wmusił je w siebie.

Zasnął nad ranem, wyczerpany i nękany mdłościami, ale mimo wszystko uspokojony. Pomysł z czekoladą był naprawdę dobry, ponieważ jutro będzie w dodatku chory i signora z pewnością uzna, że to wystarczająca kara.

Jednak to nie niestrawność uratowała Brunona, choć — jak było do przewidzenia — przykuła go do łóżka na cały dzień, ale raczej pięćdziesiąt trzy dywizje niemieckie, które pod dowództwem gene-

-261-

rała von Brauchitscha przeszły do ofensywy na Pomorzu Gdańskim o tej samej porze, kiedy Bruno wreszcie zasnął.

Wiadomość ogłoszono w radiu o jedenastej, a więc o tej samej godzinie,

kiedy wydano rozkaz powszechnej mobilizacji.

Wybuchła wojna, prawdziwa wojna.

40

Wojna... słowo, które — podobnie jak krew krzepnąca na świeżym powietrzu — pod naporem faktów stawało się ciałem.

Słowo, którego substancja, jeszcze niepewna, była na wszystkich wargach i które nieopatrzna historia wydzieriała po raz kolejny zakrwawionym stronicom, jakie zapisała ćwierć wieku wcześniej. Słowo, które unosiło się niczym widmo ponad wciąż jeszcze uśpionym narodem. Słowo żadne ciała i materii, by je pożreć i zobaczyć, jak ludzkość, ugniatając mieszankę z trupów i popiołów, własnymi rękami urabia prześladowane ją oblicze śmierci. Wreszcie słowo prawdziwe, wyczuwalne jak otwarta rana na języku, całkowicie rozbijające porządek świata, aż z ciemności zaczynają się wyłaniać najbardziej archaiczne prawa.

Mężczyźni na powrót staną się wojowniczymi samcami, kobiety będą strzegły domowego ogniska, stopy poczują ziemię, w spojrzeniach odbiją się znane krajobrazy, te najbliższe i najbardziej bolesne. Oprócz strachu nie obejdzie się bez przelewu krwi przy dzielnym wsparciu narodu, nie obejdzie się bez pychy, obaw, wątpliwości i furii. Nie obejdzie się bez patriotycznego uniesienia ku chwale Francji, na cześć dawnych zwycięstw, bez dumy rozpalonych spojrzeń wpatrzonych w horyzont.

Tymczasem od pierwszych dni, kiedy słowo zostało wypowiedziane, w okrutny sposób dało odczuć całą rzeczywistość swojego znaczenia.

Przy dźwięku bijących dzwonów, które w pobliżu granic rozbrzmiewają od parafii do parafii, mężczyźni i kobiety opuszczają

-263-

farmy i domy — piechotą, na rowerach albo wielkimi, przeładowanymi wozami. Wszystko pozostawiono, cały dobytek, domy, bydło, ptactwo... Żelazne kraty spuszcza się na szyby, koty i psy wybiegają na ulice. Odjazd, rozstanie, trzeba się znów nauczyć, jak być społeczeństwem nomadów, wczoraj jest już przeszłością, którą wszyscy pragną odnaleźć, przyszłość błąka się po niepewnych ścieżkach.

Anna podąża kamienistą dróżką, która biegnie wzdłuż falezy, w głowie ma chaos.

Amalia jej powiedziała... Tommaso i Bruno w samochodzie... Idzie,

spogląda w otchłań poniżej — droga schodząca do Relanges jest stroma, wystarczyłby jeden fałszywy krok. Wybuchła wojna, usłyszała to w radiu jak wszyscy. Powtórzyli to jeszcze raz po obiedzie. Idzie wciąż tym samym mechanicznym krokiem, zostawia brzeg falezy, by skrócić w prawo i przejść na drugą stronę wzgórza. Widzi teraz kościół i opuszczony placyk. Jej serce się ściska, przypomina sobie, jak Mathis Juliana parkował niedaleko pomnika ku czci poległych. Julian... jest teraz na froncie, na pierwszej linii, nie napisała do niego ani jednego listu, nie potrafiła... dlaczego? A on, dwa listy tylko. Dwie dziwne tyrady, tak obce... idzie, niebo spowiła szarość. Nie przebywała tej drogi sama co najmniej od... Tommaso, Bruno, Julian... siedmiu lat.

W Lembach, o kilkaset kilometrów od niemieckiej granicy, pan Rieger, ojciec trójki dzieci, przybija gwoździami wieka skrzyń, które zabiera w podróż. Ubrania, narzędzia, pamiątki, srebrne garnki. Trzydzieści kilogramów na osobę, dziesięć na dziecko. Tego się trzyma. Pan Rieger jest skrupulatny, tak napisano w miejskim rozporządzeniu, które wisiało na merostwie. Mimo wszystko zredukować własne życie do trzech skrzyń...

W Wingen, nieco dalej, pani Albrecht zdejmuje fartuch, pot zwilża jej skronie. Skończyła. Dawno dom nie był wysprzątny tak gruntownie. Wszystko błyszczący, parkiet i meble wypastowane,

-264-

lśniące; nadarzyła się dobra okazja. Teraz ułoży się wygodnie na łóżku, by czekać jak Śpiąca Królowa na koniec tej cholernej historii z wojną, ale na podwórku czeka już znieczepiwiony mąż, jest gotów, wszystko naszykowane do odjazdu, denerwuje się, krzyczy, wszyscy sąsiedzi dawno wyjechali...

Ciągle w tym samym tempie Anna maszeruje w stronę kościoła w Relanges — filary przedsionka i fronton pochodzą z XI wieku, transept i absydy wieży z XII, nawy datowane są na XIV wiek. Absyda i kwadratowa dzwonnica, która wznosi się przy skrzyżowaniu transeptu z nawą, są przepiękne. Spieszno jej, by znaleźć się w kościele, musi się pomodlić, odnaleźć samą siebie, to konieczne. Bruno, Tommaso, wojna, Julian, ona... niejasne wrażenie, że cały jej świat zaraz legnie w gruzach... Czyżby to było to samo przecucie, które ją dręczyło od dnia, kiedy Bruno o mały włos nie został przysypany gruzami z komina?

W Phalsbourgu państwo Winckelowie wkładają kurtkę na kurtkę, płaszcz na płaszcz, są teraz ogromni i jakby napompowani. Spoglądają na siebie i uśmiechają się smutno, zamiast wybuchnąć śmiechem. Wychodzą, idą drogą, ciągnąc za sobą powozik przykryty ceratą. Uszli jakieś dwieście metrów, kiedy pan Winckel zatrzymuje się.

— Fernande, króliki!

Zawraca, biegnie w głąb ogrodu, otwiera wszystkie klatki.

W Forbach na peronie dworca stoi już jedynie jakieś pięć, sześć rodzin. Przyciskają się do siebie, jakby chciały sobie przypomnieć, że zaledwie kilka godzin wcześniej na tym samym peronie tłoczyło się ich wiele tysięcy. Wszędzie walają się pozostawione bagaże, ubrania, obwiązane sznurkiem paczki, pościel, wszystko, co z braku miejsca w pociągu już się nie zmieściło. Opowiadają sobie rozmaite przypadki, które im uniemożliwiły wejście do bydłecych wagonów, jakie miały ich zabrać do Brie-sous-Barbezieux w depar-

-265-

tamencie Charente. Dodają sobie otuchy, mówią, że może to i lepiej jechać na końcu. Podobno zostało trochę wagonów pierwszej klasy z przedziałami. Może im się poszczęści? Jakaś staruszka pyta kierownika dworca:

- Czy będą jeszcze pociągi?

- Nie wiem — odpowiada. — Jutro na pewno.

Anna mija pomnik ku czci poległych, pokonuje plac, wchodzi do kościoła. Postąpiła trzy kroki w stronę ławki, gdzie kiedyś miała zwyczaj przesiadywać, ale wie już, że nie znajdzie ukojenia, którego szuka. Wszystko wydaje jej się sztuczne, szyby, kamienie, ma wrażenie, że otacza ją teatralna dekoracja; a może to wszystko jest w niej, jej uczucia się zestarzały, spokój, którego szuka, należy do innej Anny, straciła zapał, niewinność, nie umie już odgrywać tej roli. Siedzi w kościele i czuje zimno.

Wojna...

Moc i potęga słowa, które przekuwa poczucie wspólnego przeznaczenia w powszechny lęk, nie przeszkadza temu, by walizki były zbyt ciężkie dla dzieci, osie wozów łamały się na wybojach, pragnienie suszyło gardła, jeden szedł szybciej niż drugi, by wymieniano spojrzenia i nieistotne zdania, jednym słowem, by życie biegło swoim

nurtem, ciągnąc za sobą korowód wypadków, pragnień i drobnych zawirowań. Życie, które nie gaśnie, opiera się i zмага z jednostajnym prądem, przynosząc ludziom zarówno wyjątkowe, jak i banalne konflikty, tak niepokoje, jak i zwykłe radości.

W Bliesbrucku, zanim wyruszono w drogę, postanowiono zdmuchnąć osiemdziesiąt osiem świeczek z urodzinowego tortu panny Deschler.

W kościelnej ławce nie tyle spokój czeka na Annę, ile wątpliwości. Przypomina sobie dzieciństwo, czas pierwszej wojny, kiedy jej matka otaczała się kobietami, instytut, którego była młodym du-

-266-

chem, swoją pierwszą miłość do Elizabeth Krienbull, matki Amalii. Czy to źle kochać kogoś, kto nas kocha? Wie, że uczyniła ją szczęśliwą. Nie może być zła w tym, że się czyni kogoś szczęśliwym. A Tommaso, Amalia, Julian? Próbuje wyostrzyć swoją świadomość, chciałaby wiedzieć, czy... ale nie, jej serce nigdy nikogo nie zdradziło, była niesiona wewnętrznym porywem, dała z siebie wszystko, po prostu wszystko, każdy czerpał z niej pełnymi garściami, poił się jej siłą i żywił jej ciepłem...

Podobnie jak wszędzie w chwili ogłoszenia wojny pojawiły się niepokój, lęk i strach, tak i pewien rodzaj ekscytacji ogarnął małą społeczność Instytutu Giulianiego. Ale tutaj emocje nie mogły być dokładnie takie same jak w całym kraju. Od dawna śmierć była gościem honorowym domu, jej obecność była oswojona, z pewnością przerażająca, jednak akceptowana. Znano ją i oczekiwano jej, tak że powszechne odczucie wśród pensjonariuszy i zajmującego się nimi personelu było takie, że reszta rodzaju ludzkiego żyje w jakimś wyjątkowym stanie, w którym choroba zmusza ich dopiero do walki. Ów szczególny czas, w jakim żyli, zawieszony czas oczekiwania, stał się teraz udziałem wszystkich. Pensjonariusze i personel odnaleźli wspólną więź ze światem, gdyż świat przyznał się przed samym sobą, że jest dotknięty nieuleczalną chorobą, musiał spotkać się ze śmiercią, wywołać ją — po prostu dlatego, że wojna, podobnie jak choroba, nie oferowała innego rozwiązania.

Gdy śmierć stała się codziennością, chorzy, którzy na ogół bardzo mało interesowali się tym, co się dzieje na zewnątrz, poczuli nagle wilczy głód wiadomości. We wszystkich pokojach zainstalowano radioodbiorniki i każdego dnia samochód instytutu wracał z Vittel obładowany paczkami gazet. W sypialniach, korytarzach i ogrodzie dało się słyszeć ożywione konwersacje i burzliwe kłótnie, podczas których chorzy z werwą wymieniali swoje poglądy na temat biegu wypadków.

Z kolei rodziny, które poza nielicznymi wyjątkami utrzymywały z umierającymi relacje bardziej niż powściągliwe — w końcu nie

-267-

przez przypadek umieściły ich w instytucie — zaczęły im teraz składać wizyty, listonosz zaś wprost ugiął się pod ciężarem listów i paczek.

Ciało Anny opada na ławkę, wzrok jej się mąci: wydaje jej się to nieprawdopodobne, jest tutaj od godziny, musi być jakaś trzecia po południu, ma ochotę zasnąć, zatrzymać się, być zatrzymana, jej myśli kręcą się w kółko. Nie udaje jej się wyrazić tego, co ją rani, nie znajduje właściwych słów. Mówi sobie: mogę jedynie cierpieć w milczeniu. Podnosi rękę do twarzy, gładzi policzki, jej ręka jest zimna.

Zgasnął w niej ogień, już po wszystkim.

Podnosi się, czuje ciężar własnego ciała, usiłuje wprawić je w ruch, robi krok, potem następny, myśli tylko o jednym: wrócić. Jest jak zranione zwierzę, które musi dowlec się do nory, idzie do przodu, ścieżka jest stroma, słońce zdążyło się podnieść. Faleza napawa ją lękiem, nie patrzy w dół, nogi czuwają nad nią, prowadzą ją i odsuwają od niebezpieczeństwa. Przechodzi przez las, dochodzi do alejki, która łagodnie wspina się do bramy instytutu. Posuwa się do przodu, jeszcze troszeczkę, jest już u kresu sił. Ścisza żelazne pręty bramy, żeby złapać oddech. Nie chce nikogo wołać, wróci sama.

Przeszła przez bramę, jest już u siebie. Ostatnim szarpnięciem ciała, podskokiem pokonała ganek i pod samymi drzwiami zasłała.

Pośród pensjonariuszy instytutu wiadomość rozpanoszyła się tak szybko jak kłęb kurzu: Anna zachorowała, szefowa

jest chora, znaleziono ją nieprzytomną na ganku!

Raptem wszyscy zaczynają się bać, zostaną bez niej, i wszyscy, którzy tak dobrze znają swoje przeznaczenie, już nie wiedzą, co się z nimi stanie.

j

41

— Eli, ach, Eli!... Anna! Boję się, jest całkiem zimna i blada — wyjęczała Amalia przez łzy, ledwo oddychając. — Och, Eli! Co z nami będzie?

Było po północy, Amalia drżała, wciągnęła pospiesznie fartuch na koszulę nocną.

Płakała... jej drobne ciało, ta sucha liana, miało więc duszę, źródło, z którego nieoczekiwanie popłynęły strumienie, zraszając jej twarz...

Na piętrze jakiś chory zaczął jęczeć, jakiś inny odpowiedział mu krzykiem, dało się jeszcze słyszeć dwie, trzy nocne skargi i kilka odległych westchnień, niemal ich echo. Zły sen nawiedził instytut.

— Po cóż tak płakać? Nie ma się czego bać, drogie dziecko — odpowiedział Eli ciepłym, melodyjnym głosem, który zadziwił jego samego — czas powraca do źródła miłości i czyste dusze wyjdą z chaosu bez uszczerbku...

Podczas gdy powietrze wibrowało jeszcze od jęków i płaczów rozbrzmiewających pośród nocy, ciemna i wysoka sylwetka Eliego, wycięta w mroku przez krąg światła, jaki rzucała lampka stojąca na stole do pracy, przywodziła na myśl potężnego kapłana, który odprawia jakieś misteria.

Amalia chciała nawet uklęknąć i się pomodlić, odnaleźć w sobie dawne religijne uniesienia, ale ciąg wydarzeń, które leżały

-269-

u źródła niepokoju Amalii, nie ułatwiał jej wzniesienia się na wyżyny duchowości.

Chociaż w osobie Anny została dotknięta sama dusza instytutu, pierwsze kłopoty, jakie wywołało jej osłabienie, nie dotyczyły bynajmniej

sfery duchowej. Faktycznie chodziło o kwestie bardzo przyziemne, jakie wiążą się z życiem codziennym.

Zaczął się od Madame Yvonne. Potężna kucharka wkładała zdecydowanie mniej uczucia w przygotowywanie potraw. Nieznośna skłonność, by gotować wszystko ze znacznym wyprzedzeniem, nasiliła się do tego stopnia, że do pokojów chorych docierały zupy i dania wyłącznie zimne. Czas posiłków, który do tej pory był święty, gdyż Anna przywiązywała do tego szczególną wagę — miało to bowiem niezwykle korzystny wpływ na morale pacjentów — przekształcił się w pańszczyznę, jaką odrabiano nie bez narzekań.

Podobne rozprężenie nastąpiło w pielęgnacji chorych. Jedynym lekarzem, jaki nie został zmobilizowany — jako że jedną nogę miał krótszą — był doktor Du Bertrand, ten sam, którego Anna chciała się pozbyć od kilku miesięcy, ponieważ w nieprzyjemny sposób odnosił się do chorych. Zmuszona więc była go zatrzymać.

— Jeżeli zastrzyki z morfiny i pigułki opium dobrze im robią, trzeba je podawać, dadzą nam wreszcie spokój! — stwierdził, gdy Anna nie była w stanie go kontrolować.

Pomimo zastrzeżeń pielęgniarzy dawki stopniowo rosły, sen i nierzeczywistość jak gęsta mgła pomału zasnuwały instytut.

Po zmierzchu niektórzy pensjonariusze nie mieli sił dojść do swoich sypialni. Padali w miejscu, w którym opanowywał ich sen, na schodach, w korytarzu albo za stołem w salonie, gdzie najmocniej trzymający się życia i najbardziej zdesperowani lubili się zbierać, by słuchać kantat Bacha, sączących się ze starego gramofonu, a czasami, kiedy nastrój był weselszy, walców Chopina.

Nad ranem wychodzili małymi grupkami do ogrodu i kładli się na trawniku przed wielkim domem, by uśpić zmęczenie w złotawej szarości świtu.

Wkrótce niektórzy spośród tych najbardziej sprawnych odmówili mycia. Bo po co... Pośród innych natomiast było w modzie nie

-270-

wołać salowych, by załatwić potrzebę. Bo po co... te upokarzające sceny z basenem... Coraz więcej z nich plamiło zatem z upodobaniem łóżka. Oczywiście sprzątaczkę znajdowały wymówki, by pozostawić rzeczy własnemu biegowi, i zaniedbywały swoje obowiązki. Bo po co... mordować się, froterować parkiety, sprzątać pokoje, kiedy ich mieszkańcy tak mało się tym przejmowali. Bałagan, kurz i brud opanowywały powoli

cały budynek.

W ten sposób zachwiane zostało to, o co Anna pieczołowicie dbała: równowaga między siłami podtrzymującymi życie a tymi — równie koniecznymi — które sprawiały, że nauczono się rezygnować. Unicestwiło ją zaniechanie.

Instytut dryfował i każdego dnia Amalia czuła coraz większą niemoc na zbyt wielkim dla niej pokładzie okrętu, który zmierzał ku zgubie. Ale do czasu pamiętnej nocy, kiedy odkryła swoją bezsilność, nie przejmowała się przesadnie tym, co może się wydarzyć. Czy okręt płynął pod wszystkimi żaglami, obierając kurs pod czujnym spojrzeniem Anny, czy przekształcał się we wrak unoszony falami, jej niewiedza co do jego przeznaczenia była taka sama.

- No więc, drogie dziecko, po cóż płakać? — powtórzył Eli po dłuższym milczeniu.

- Byłam w swoim pokoju — wyszeptała Amalia — miałam się właśnie położyć, kiedy... Tommaso... sam pan wie, jak on udaje psa...

Usłyszałam go... znów wyszedł z pokoju... zapukał do moich drzwi...

— Amalia zamilkła, nie chciała już... to było zbyt skomplikowane, Eli nie mógł jej zrozumieć, musiałyby dużo, dużo mówić, wszystko powiedzieć... Ale po co...

- Chciał, żebyś to z nim zrobiła, o to chodzi? — podsunął Eli, żeby jej jakoś pomóc.

- Tak, może, dlaczego nie — pozwoliła, żeby to jej się wymknęło, jakby mówiła do samej siebie — nawet o tym nie pomyślałam... nie wiem... przynajmniej od dwóch miesięcy już tego nie robię, ani z nim, ani z nikim... — mówiła, przestała panować nad słowami. — Nie, nie chciałam się z nim widzieć... teraz wychodzi każdej nocy, nic już nie jest takie jak dawniej, boję się go... zdenerwował się,

-271-

walił pięściami w drzwi, bardzo mocno. „Amalio, słyszysz mnie?!“ — krzyczał. „Amalio, wszystko się skończy, ta noc jest początkiem końca!“ I zerwał się wiatr, słyszał pan, jak dął?

- Tak, wiatr — odpowiedział Eli po prostu.

- Potem wyszedł, trzasnął drzwiami od garażu, widziałam przez okno, jak odchodzi w stronę domu, myślałam o Annie, która sama leży w łóżku, bałam się... Więc wyszłam czym prędzej. Idąc alejką, potknęłam się o leżące ciało, to był notariusz Grimaud, chrapał z butelką po koniaku w ręce, zdaje pan sobie sprawę... znaleźli klucz do piwnicy,

Bóg jeden wie, co nas jeszcze czeka... Chciałam go podnieść, ale zapaliło się światło w gabinecie Anny, a potem nagle ta wrzawa, trzaski, głucho uderzenia i pękające szyby, słyszał pan?

- Tak, straszny hałas...

- Nie chciałam tego oglądać, bałam się, byłam pewna, że to Tommaso, nic nie można zrobić, kiedy jest w takim stanie. Postanowiłam, że pójdę do Anny. Lampka nocna, pani Ermelin usnęła, siedząc na krześle...

Musiałam nią potrząsnąć, ona także się bała, zaczęła prawie krzyżeć... powiedziałam jej, żeby poszła poszukać dyżurującego pielęgniarza i zabroniła komukolwiek wychodzić na korytarz, potem pobiegłam do pokoju Anny. Weszłam... mój Boże, ona, Anna, gdyby pan ją widział... biała jak ściana, Eli... i zimna jak lód, a jej oczy...

- A jej oczy były obrócone w śłup — ciągnął Eli, zgadując z ruchu ust Amalii słowa, które miała wypowiedzieć — i widziałaś, że dostała drgawek, i usłyszałaś głuchy głos dobywający się z jej wnętrza, na próżno wzywający imię ukochanego, gdyż jej ciało domyśla się już tego, czego ona jeszcze nie wie: że śmierć stoi nad nim!

- Julian! — wykrzyknęła Amalia i nie znany dotychczas ból przeszył jej serce.

- Tak, dziecko, prawdę mówiąc, tak, jego imię jest pośród zbóż, które zetnie wielka kosa... ale nie miej obaw, bo jeżeli umrze, wszystko wróci do dawnego porządku! Tak, pewien cykl dobiega końca, Tommaso ma rację, wszystko się skończy... — Zaczął kasłać.

-272-

Pod wpływem kolejnych ataków kaszlu Eli zdawał się coraz bardziej kurczyć. •

- Czy pan się dobrze czuje? — spytała Amalia.

- Tak, dziękuję... wybac mi — odpowiedział Eli wątłym głosem. — Myślę, że już będzie dobrze.

- Eli, co ja powinnam zrobić?

- Nic, moje dziecko, nic, po prostu bądź taka, jaka jesteś. Wszystko się skończy, niczego się nie bój.

Wstała. Nie było już nic do powiedzenia.

Eli, z nieobecny wzrokiem, szeptał jakąś modlitwę.

Amalia się oddaliła.

Nie zrobił żadnego gestu, by ją zatrzymać.

Zatrzasnęła za sobą drzwi.

Ni stąd, ni zowąd wyrósł przed nią pensjonariusz. Z błędnym

spojrzeniem chwiał się na nogach, objając się o ściany. Miał trzydniowy zarost i narzucony brudny szlafrok ze zwisającym paskiem, którego nie był w stanie zawiązać drżącą ręką.

Sylwester Honorat de la Tour, choroba Parkinsona... od kiedy on może chodzić?

Amalia podchodzi do niego, on opiera się o drzwi, sprawia wrażenie dziecka przyłapanego na gorącym uczynku, drży mu ramię, ręka ciągle się trzęsie, nie może tego powstrzymać. Amalia zwraca się do niego z czułością:

— Nie może pan znaleźć swojego pokoju, panie de la Tour?

Zamiast odpowiedzieć, rozwiera szeroko szlafrok, odsłaniając swoją nagość, tłusty członek w półerekcji. Rozpostarty szlafrok podskakuje w tym samym rytmie co ramiona, trzepocze jak skrzydła zranionego ptaka. Amalia spogląda na niego ze smutkiem.

— Niech pan pójdzie za mną — mówi.

Ujmuje jego dłoń, która drży teraz w jej dłoni, otula go szlafrokiem. Mężczyzna zdaje się na nią. Amalia ciągnie go w stronę schodów, pomaga mu wejść.

— No, proszę, już jesteśmy.

Zostawia go pod jego pokojem, odchodzi. Nic nie powiedział, nawet na nią nie spojrział.

-273-

Amalia poszła swoją drogą. Dziwne uczucie samotności pośród nocy, ma wrażenie, jakby była jedyną pozostałą przy życiu osobą w dzień po kataklizmie. Nie ma w niej jednak rozpaczy, przeciwnie, raczej poczucie wolności, a nawet mocy, jakby ona, Amalia, nie mogła istnieć, kiedy świat jest uporządkowany. Dochodzi do pokoju Anny, uchyla drzwi i wsuwa w szparę głowę. Pani Ermelin siedzi obok łóżka, robi na drutach. Anna, ciągle tak samo blada, zasnęła, zdaje się, że oddycha normalnie. Wszędzie panuje spokój. Zastanawia się, dlaczego tak bardzo się bała, dlaczego pobiegła do Eliego, i te jej łzy... tak dawno już nie płakała... Anna... Julian... słyszeć to imię wypowiedziane przez Annę, westchnienie, stek, imię, które nagle stało się wzruszające, bolesne, wymówione z taką mocą, że ledwie je rozpoznała... coś wstrząsającego, nigdy nie myślała, że można wołać mężczyznę z taką żarliwością i taką rozpaczą, czyż on był bogiem? Julian... pamięta, jak... na strychu rzucił się na nią, wszystko płonęło, to było jak ogień! Ogień, jakiego nigdy wcześniej nie zaznała z żadnym umierającym, i wystarczyło, żeby o tym pomyślała, a jej ciało zapłonęło

od nowa.

Zeszła na parter, minęła gabinet. Drzwi są otwarte, światło się pali. Waha się, wchodzi: wszystko jest powywracane do góry nogami, podłoga jest usłana odłamkami szkła, książki, bibeloty, poduszki, szuflady, meble, wszystko porozrzucane, zerwane zasłony, odarte tapety, obrazy w strzępach. Amalia obchodzi całe pomieszczenie. Przy ścianie stoi otwarta wielka szafa, a tuż przed nią na dywanie z kopert i listów spoczywa Tommaso; setki i tysiące papierów, drżących na wietrze, który wpada przez rozbite szyby. Pochyliła się nad nim, śpi z zadziwiająco pogodną twarzą. Amalia zastanawia się, skąd się wzięły te wszystkie listy, bierze jeden z nich, rozłożony, i czyta:

Metz, 7/09/1938

To miasto wciąż jest tak samo przytłaczające i ponure. Chmury ciężą na niebie i wcale nie chcą się rozwiać, udusić się można. Siedzę na ławce, a naprzeciwko mnie para staruszków, jakby zapóźnio-nych, tak bardzo chcą jeszcze przypatrywać się życiu. Chciałbym,

-274-

żebyśmy pewnego dnia byli tacy jak oni, razem i wolni od ograniczeń, jakie stawia czas. Uwierzyłybyś, że jestem skłonny do melancholii? To dlatego, że od dwóch dni nie mam żadnej wiadomości od Ciebie.

Ściskam Cię czule,

Julian

Jak sroka złodziejka Amalia chwyta kopertę, a potem następną; jest zaintrygowana i niespokojna, nie miała pojęcia, że można pisać takie rzeczy.

7/06/1936, Soetrich

Dopinam walizki do Paryża. Właśnie dostałem Twój list.

Radość czytania i widzenia Twoimi oczami nieznanego pejzażu, radość czucia Twoich myśli blisko moich, radość z tego, że w sposób żwawy i niestrudzony przemierzasz drogi, przebiegasz wsie i lasy. Czemuż nie jestem z Tobą, spalibyśmy na łożu z mchu... zamiast tego będę musiał się pochylić z kilkoma innymi inżynierami ze stolicy nad nudną kwestią wytrzymałości materiałów.

Wyjeżdżam, ale wciąż tulę Cię w ramionach.

Paryż, 6 godzin później

Dworzec Wschodni, para, hałas, ogólne poruszenie, upał i w gwarze jedna jedyna myśl: Ty! Kiedy wracasz? Tak bardzo chcę Cię zobaczyć!

Całuję Cię, zanim żarłoczna paszcza wielkiego miasta zdąży mnie pochłonąć.

Julian

Metz, 15/07/1932

Czy przyjrzałaś się kiedyś uważnie geranium? To roślina zupełnie pozbawiona wdzięku, aksamit liści, którymi się ze skąpstwem

-275-

otacza, jest pospolity, jej odrośle są toporne i niekształtne, a w jej cienkich, cherlawych i sztywnych łodyżkach, całkowicie prostych, które wieńczy pięć czy sześć zakrawających na kpiny pączków, tkwi jakaś pycha. I nagle rozwija się pierwszy kwiat, potem kolejne dwa, trzy, i z daleka widzimy już tylko przepych kwiatu, jego płomienną i zacieklą purpurę, która zakwita pod koniec wiosny i ustępuje dopiero przy pierwszych chłodach.

Tego wieczoru tak właśnie widzę świat, piękno, radość, narzucające się, uparte, jeśli popatrzyć na nie z dystansu.

Melancholia? Tak, bo jestem daleko od Ciebie!

Julian

Mediolan, listopad '33

Wczoraj napisałem do Ciebie dwa tysiące stron z Duomo. Czemuż nie jesteście tutaj razem? Pamiętasz? Mały hotelik na via dei Fortuni. Widzę Cię na każdym rogu ulicy, ale mimo wszystko brakuje mi Ciebie, brakuje mi Ciebie straszliwie. Muszę się chyba porządnie upić w Sangue di Giuda!

Całuję Cię i kocham!

Julian

Amalia czyta i czyta ponownie, klęczy na stosie listów, z ręki wysuwają jej się trzy i natychmiast podnosi dziesięć kolejnych. Czasami się śmieje, to znów wzrusza do łez. Nie rozumie, co się z nią dzieje. Słowa, setki, tysiące słów leżących wokół niej... czyta, jej oczy są nienasycone, pożerają linijkę po linijce, czyta, wciąż czyta i wypływa na obce wody. Ach, Boże! Jakże jej się podoba ta fala, ten miłosny szmer, wieńczący każdy list, powracający, niezmienny, nieskończony...

...kocham Cię, mieć Cię w ramionach... tak bardzo chciałbym, żebyś

*tutaj była... ślę Ci całą moją czułość... myślę o Tobie, czy mnie kochasz...
kiedy się zobaczymy, spieszno mi, tak mi spieszno... chciał-*

-276-

i mu mnimMi

*bym... dbaj o siebie, nie przemęczaj się... pozwól, by moje
wargi złożyły pocałunek na Twojej szyi... ach, gdybyś
wiedziała, jak bardzo się niecierpliwie... przyjmij wszystkie
wyrazy czułości od Twojego... niebo się śmieje, wiatr, drzewa
mówią mi o Tobie... moje serce szaleje na myśl... kiedyż,
kiedyż będzie jutro, kiedyż wreszcie będę mógł poczuć Cię
przy sobie... wspomnienie Ciebie jest jak zapach, który mnie
nie opuszcza... wielka i można Pani, składam Ci pokłony...
dostałaś mój list z szóstego... moje piękne dziecko, osusz łzy,
obejmę Cię wół i pójdziemy drogami... czy pamiętasz
jeszcze o mnie... dołączam trzy płatki róż, ukradłem je z
parku miejskiego dla Ciebie... moje łóżko jest puste i zimne,
przybądź... pamiętaj, że przyjeżdżam pociągiem o dwunastej
trzydzieści, przyjeżdżam, przyjeżdżam... czy istnieje ktoś
czulszy, ktoś cieplejszy od Ciebie... winorośl już poczer-
wiała, nie opuszczam Cię myślami... nie wsiadaj do
pociągu o siódmej dziewięć, to bez sensu, zatrzymuje się na
każdej stacji, wyjdę po Ciebie... zapadła noc, ale wiem, że
patrzysz w moją stronę... zostały jeszcze dwa dni, tylko dwa
dni czekania, mówię to, a przede mną otwiera się pustynia...
całuję Cię, kocham Cię... ściskam Cię mocno... moje policzki
ocierają się o Twoje wargi... żegnaj... z jakąż czułością... nie
bój się niczego, jestem przy Tobie... żegnaj... do jutra... do
zobaczenia... po prostu do jutra... do widzenia moje
kochanie... moje piękne dziecko, opuszczam Cię...*

Powtarzające się pożegnania, odradzająca się w nieskończoność fala, dni, miesiące, lata, ta sama wytrwałość w miłości i w mówieniu, że to możliwe, że to naprawdę istnieje! Amalia zagłębia ręce w masie listów, wyrzuca je garściami w powietrze, tak że opadają na nią deszczem

czułych słów. A potem czyta znowu, nieustrudzona, aż wreszcie zaskakuje ją świt.

Ranek rozświetla powoli okna, w zdewastowanym gabinecie słyhać świergot ptaków. Amalia wstaje, jest wyczerpana, chwiejnym krokiem podchodzi do kanapy i powoli siada. Tommaso leży kilka metrów od niej, uśmiecha się, zapomniała o nim. Głęboko wzdychając, obrócił się dwa, trzy razy, jakby dawał jej znać przez

-277-

sen, gniotąc przy tym papierowy materac. To zadziwiające, jak bardzo wydaje się spokojny. Amalia także chciałaby zasnąć, przedłużyć noc w snach, ale jej serce bije zbyt mocno, to wszystko jest takie nowe...

— Panna wdowa... — Znowu się uśmiecha; przezwisko cokolwiek okrutne, zbyt często szeptane przez chorych, by miała o nim nie wiedzieć, wymawia je teraz cichutko, wzruszona: — Dwadzieścia cztery lata, mam dwadzieścia cztery lata — szepcze. — Czy mam jeszcze czas, by pokochać życie?

W ten sposób Amalia, mała dziewczynka, posępna i oschła, zupełnie niedojrzała mimo swojego wieku, zaczyna popadać w obcą jej zadumę.

— Człowiek taki jak on nie powinien umrzeć — myśli.

Amalia wstaje, kieruje się w stronę Tommasa, pochyla się nad nim i woła cichutko: — Tommaso, Tommaso...!

Tommaso odwraca się ku niej, otwiera oczy, uśmiecha się łagodny jak baranek. Amalia pomaga mu się podnieść. Tommaso wstaje bez słów, ściska w dłoni list, nad którym zasnął. Amalia widzi zmięty papier, myśli sobie, że to nieładnie kraść listy, ale nie ośmiela się tego powiedzieć. Tommaso zatrzymuje się na chwilę, rozgląda po gabinecie, widzi szkody, które spowodowała jego wściekłość.

- Ach, znowu narobiłem głupstw!... — mówi po prostu.

- Tak, to nie było mądre — odpowiada Amalia. — Chodźmy, jest już dzień, trzeba wracać.

- Trzeba wracać... — powtarza Tommaso.

Wyciąga do niej jedną rękę, drugą wkłada do kieszeni kurtki. Ruszają.

Wyszli z domu, podążają alejką, która prowadzi do garażu i przybudówek. Na drodze Amalia widzi obejmującą się parę, dwóch

pensjonariuszy, których sen połączył na trawniku przed wielkim domem. Nie może ich rozpoznać, są zbyt skuleni i wtuleni w siebie. Przez chwilę myśli, że powinna ich obudzić, udzielić im

-278-

kilku napomnień, mogą się przeziębic... ale dalej podąża swoją drogą, oddala się z uśmiechem, prowadząc Tommasa za rękę. Dzisiaj wszyscy mogą się kochać...

Wiedzie go do pokoju, on daje sobą kierować, nic nie mówi. Amalia znika w swojej sypialni, która jest tuż obok. Wreszcie może się położyć. Ma jeszcze siły, by sprawdzić, czy budzik jest nastawiony, nakręca go, przyznaje sobie pół godziny snu więcej. Nie szkodzi, jeżeli się nie umyje. Gasi światło. Dzień przeziera przez okiennice, Amalia przyzywa sen i w jednej chwili spływają na nią senne obrazy.

Dwa dni później Amalia otrzymała pierwszy list od kogoś, kto nigdy wcześniej do niej nie pisał. Jej pierwszy list od Juliana Morela.

Montmedy, 10 października 1939 Przepiękna

Amalio,

Czy kiedykolwiek będzie Pani wiedziała, w jakie wprawiała mnie pomieszczenie? Od ponad dwóch miesięcy jestem martwy. Jestem pustą skorupą, w której hula wiatr. Zdradziłem samego siebie, wszystko, czym byłem. Oderwany od istoty, jestem jedynie cieniem snującym się po wrzosowisku, zabłąkanym wspomnieniem... wspomnieniem Ciebie, Amalio! Jesteś jedynym wspomnieniem, jakie mi pozostało, pamięć o Tobie wypala mnie i trawi!

Och! Boże, Boże, dlaczego Pani mnie kochała? Wstydzę się tego, co Pani mówię, wstydzę się tego, co Pani piszę, ale muszę się z Panią zobaczyć, muszę z Panią porozmawiać!

Błagam Panią, by o niczym Pani nie mówiła naszej drogiej Annie, to szaleństwo, w które popadłem, nie powinno jej dotyczyć, mogłoby ją jedynie zniszczyć! Dla większego bezpieczeństwa będę do Pani pisał na adres Alberta, sklepikarza z Relanges. To przyjaciel, na którego może Pani liczyć.

Moje życie jest w Twoich rękach, bądź zdrowa!

Julian

-279-

PS Zostałem właśnie przeniesiony na odcinek fortyfikacji w Montmedy, możesz pisać na adres skrytki pocztowej, bywam na poczcie co dwa, trzy dni!

Amalia nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Ale jednego była pewna: nie pozwoli mu umrzeć! O szóstej wieczorem wyszła dyskretnie i ruszyła biegiem w stronę Relanges. Minać lasek, łąkę, potem przemierzyć kamienistą ścieżkę, która ciągnie się wzdłuż falezy, i jeszcze na dole placyk z kościołem. U sklepikarza czekało już na nią pięć listów.

42

Nic się nie działo.

Kiedy wypowiedziano wojnę, powstały miliony trupów, swoje zwapnione kości wynurzały z błota pól bitewnych nad Marną i Sommą. Niczym krety wykopały tunele, by wyjść z okopów Ver-dun i unosząc z sobą zardzewiałe karabiny i poszarpane tobołki, podążyć drogą prowadzącą do Dames. Zjawy bezzębne, rozczłonkowane szkielety okryte poszarpaną skórą, zwęglone strzępy pociętego mięsa, miazga zgnilizny i kości, metalu i popiołów, czaszki jednych pokryte skórą drugich — zebrały się, by utworzyć najbardziej przerażający z chórów i wykrzyzczyć lodowatym głosem słowa, które pchnęły ich do masakry. Wrzeszczały, nawoływały do wojny w całej Francji, wrzeszczały, by znów zobaczyć czasy cmentarzysk i wpędzić w szaleństwo wszystkich żywych; nie rozróżniając już teraźniejszości od przeszłości, powracały jako przerażone duchy, podążając śladem własnych straszliwych wspomnień. Żyjący — jedni oszaleli z nienawiści, drudzy ze strachu, a jeszcze inni z obłędem w oku kopiący własny grób,

zrezygnowanym i mechanicznym gestem.

Wojna i społeczność umarłych zmobilizowały zatem brutalnie wszystkich żywych w chwili, gdy wojska niemieckie wkroczyły do Polski, ale od tamtej pory nic się nie wydarzyło, nic się nie działo na zachód od Renu, którego wody burzyły się jakby toczyły ze sobą batalię.

-281-

Dni opadały jeden na drugi i pomału codzienność pozwalała ponownie odczuć swój ciężar, tygodnie upływały, podobnie miesiące, powracał zwyczajny czas i rytm pór roku.

Wkrótce nawet umarli znużyli się swoimi krzykami. Przestali wrzeszczeć i gestykulować, jakby nagle ogarnęły ich wątpliwości. Być może już ich nie słyszano ani nie widziano... niektórzy z nich zadawali sobie pytanie, dlaczego właściwie wyszli z grobów, ale nikt nie myślał, by do nich powrócić. Doskonale wiedzieli, że historia ich wezwała i że kiedy umiera się w boju, nie sposób umknąć jej požądaniu. Być może, mówili sobie, wojna się zmieniła, nie jest już taka jak przedtem, trzeba się do niej szykować dłużej. Zatem umościli się wygodnie, postanowili, że zostaną w powietrzu, siedząc, stojąc lub leżąc na chmurach; wyzierali ze starych, w trzech czwartych spalonych gazet, z fragmentów książek toczonych przez robaki, z gier w karty, z gier w kości... i zamiast krzyczeć, zaczęli gadać; czasem nawet można było usłyszeć ich śmiech.

Czekali, cały świat czekał.

Wojna... „Dziwna wojna” określenie Dorgelesa odniosło sukces wbrew woli autora, gdyż nie lubił on żartobliwego znaczenia, jakie mu przypisywano. Musiał jednak zdawać sobie sprawę, że sukces spotyka jedynie trafne określenia i że udało mu się precyzyjnie opisać ten dziwny czas, kiedy naród szedł w spokoju wypełnić swój wojenny obowiązek, w niebiosach zaś rozlegały się paplanina i śmiech umarłych.

Na odcinku fortyfikacji w Montmedy czas płynął jeszcze spokojniej niż w pozostałej części Linii Maginota. „Naprzeciwko” znajdowała się Belgia: nie było głośników, żadnej możliwości „podejrzanych działań”, żadnego zwiadu, który należałoby wykonać, niczego, jedynie trwanie „w oczekiwaniu” W oczekiwaniu na co? Na inwazję od strony Belgii i Luksemburga. Była oczywiście luka w okolicach Savre, więc istniała jeszcze inna hipoteza, ale całe dowództwo skłaniało się raczej ku temu, że atak ominie Linie Maginota. Tak, skłaniało się raczej ku takiej hipotezie,

lecz jedynie się

-282-

skłaniało, ponieważ wszyscy zastanawiali się, czy Niemcy rzeczywiście okażą się tacy głupi, by to uczynić i ponowić uderzenie z 1914 roku, wiedząc, że tym razem się ich spodziewano? Nie, na pewno nie będą tacy głupi. Cóż zatem uczynią? Przedostaną się przez lukę w okolicach Savre. Co prawda linia była tu nieco dziurawa, ale znajdowało się tam sporo mokradeł i bagien: przemierzenie tych terenów zajęłoby im tyle czasu, że z łatwością okrążyłoby się ich przy wyjściu. Doskonale zdawali sobie z tego sprawę, nie rzucają się przecież w paszczę lwa jak dzieci. Co zatem zrobią?

No dobrze, faktycznie trudno przewidzieć, być może nie zrobią nic. Tak, jeżeli się zastanowią, jeżeli okażą się inteligentni, zrozumieją, że nie mają żadnych szans, by się przedostać, zostaną u siebie. Ale z Niemcami nigdy nie wiadomo, są tacy głupi... Więc co postanowiono? Ano nic, po prostu czekano.

Podobnie jak cała Francja, Naczelnny Inżynier Julian Morel również czekał, ale w przeciwieństwie do innych obywateli jego obawy i niepokój w miarę upływu dni i tygodni coraz bardziej rosły, chociaż nic się nie działo. Nie umiałby zliczyć, ile listów posłał do pięknej Amalii: sto, dwieście? Mógłby równie dobrze powiedzieć: tysiąc, to było prawdziwe szaleństwo, chorobliwa kompulsywność, był jak tonący, który łapie się rozpaczliwie sznura słów, żeby nie pójść na dno. Ale od niej nic nie dostał, ani jednego słowa, ani jednego słowa również od Anny. Codziennie szedł na pocztę do Mont-medy, by wrzucić koperty do skrzynki na listy, i za każdym razem odchodził z gorzkim grymasem wykrzywającym mu usta, maszerował, wykręcając sobie dłonie, i korzystał z wszelkich zakrętów dróżki, by jak najbardziej opóźnić moment spotkania z oficerami ze sztabu generalnego, których niezniszczalny dobry humor miazdżył marne resztki, jakie pozostały jeszcze z jego duszy. Jak to się działo, że był jedynym, który zdawał sobie z tego sprawę? Dlaczego inni zamykali oczy, uszy, serca? Czyż nie słyszeli tak jak on duchów obdartych z ciała, które śmieją się w niebiosach? Czyżby był wybranym? Jedynym, który wiedział, że każdy następny dzień był

-283-

tylko odliczaniem do tyłu, kolejnym dniem mniej, dniem mniej... Och,

Amalio! Kocham cię i niedługo umrę, Julian Morel nie żyje, jest już martwy, niedługo umrę! Och, Amalio, dlaczego mi nie odpowiadasz? Dlaczego nie jestem w twoich objęciach? Amalio! Amalio, moja piękna, czy niemożliwe jest kochać się z tobą więcej niż raz?... Tak oto podążał drogą, przetrawiając z każdym krokiem swoje udreki, lęk, samotność, oddalony od wszystkich i jednocześnie dzielący z nimi wspólny los.

9 maja 1940 roku generał Burtaire, dowodzący odcinkiem fortyfikacji w Montmedy, by podtrzymać morale oddziałów, zdecydował, że mężczyźni ze 155. pułku piechoty będą wypuszczani kolejno na przepustki do miasteczek położonych na tyłach.

O przepustkach mówiono na całej linii frontu. Anulowane 16 kwietnia na skutek wydarzeń w Norwegii, zostały przywrócone 26. Nie było wątpliwości, że dzięki powracającemu wiosną słońcu żołnierze, oficerowie i podoficerowie jak najlepiej wykorzystają swój odpoczynek i wrócą w doskonałej formie. Kapitan Albaret, bezpośredni zwierzchnik, a zarazem przyjaciel Juliana Morela, zaniepokojony jego nerwowością i bladą cerą zalecił mu z pewną stanowczością, by skorzystał z okazji, która prędko się nie powtórzy, i nieco się odprężył. Julian pomyślał, że mógłby poświęcić pisaniu trzy całe dni, i podporządkował się zaleceniu bez większych oporów. Tego samego wieczoru, około dziewiątej, zaczął szykować swoją walizkę — rano miał się znaleźć w Mangiennes, uroczym miasteczku nad brzegiem Loison, dwa kroki od lasu Merle i stawów Haut-Fourneau.

Położył się o dziesiątej i zasnął.

Tej samej nocy koło dwudziestej trzeciej na ulicy Bel-Air w okolicach Luksemburga kapitan Archen, dowodzący francuskimi służbami wywiadowczymi w wielkim księstwie — znany jako wytrawny sprzedawca win — pomyślał sobie, że starania, jakie podejmował od ponad osiemnastu miesięcy, by rozwinąć swoją szpiegowską sieć i uczynić ją siłą operacyjną, w końcu zostaną docenione. Już

-284-

prawie od tygodnia czuł, jak bieg wydarzeń przyspiesza, i mógł sobie pogratulować, że 5 maja przesłał informacje, przekazane przez jednego ze swoich niemieckojęzycznych korespondentów (zacieklego antynazistę rezydującego w Luksemburgu), które rozdzielił między dwóch agentów i których trafność nie budziła żadnych wątpliwości: w pobliżu granicy o świcie dnia J, na dwie godziny przed generalnym natarciem, z samolotów Fieseler Storch zostaną zrzućeni komandosi. Ich misją będzie

zablokowanie wszelkiego ruchu w stronę Francji i stawienie czoła oddziałom francuskim, które się z nimi zetkną. Z pięciu punktów przewidzianych na lądowanie cztery mógł wskazać niezwykle precyzyjnie: Bascharage, Petange, Pontpierre i Leudelange.

Od początku wieczoru wszystkie przekazy, które pochodziły od kapitana Archena, miały to samo znaczenie: Niemcy nacierają! Kazał je jeszcze raz potwierdzić i o 23.40 w nocy z 9 na 10 maja wysłał do siedziby służb wywiadowczych w Longwy pierwszą wiadomość: „Sygnalizujemy znaczne poruszenia wojsk niemieckich na granicy niemiecko-luksemburskiej w Palzem”.

Cała sieć była w pełnej gotowości i jak pajak na środku pajęczyny kapitan Archen rejestrował i analizował najmniejsze poruszenia wroga. Godzinę później miał już wyrobioną opinię i dyktował kolejną wiadomość do Longwy: „Rozkaz wzmożonego podsłuchu tej nocy”

O 24.15 do Longwy dotarły obie wiadomości.

Wszystko gotowe, pomyślał kapitan Archen, jeżeli Niemcy liczą na efekt zaskoczenia, zostaną dobrze przyjęci.

10 maja o 3.25 nad ranem w regionie Treves-Euren oberlejt-nant Ernst Hoffmeister pociągnął ku sobie drążek sterowy małego Fieselera Storcha i po kilku metrach oderwał się od ziemi. Unosił z sobą trzech mężczyzn z Luftkommando Hedderich, broń, ekwipunek, miny i amunicję. Ernst Hoffmeister wbił orczyk, podtrzymując piekielny huk motoru, od którego aż wibrowała kabina, a mężczyźni chwycili się za pasy, by nie powpadać na siebie; Storch

-285-

natomiast gwałtownie obrócił się przez skrzydło, obierając kurs na południe. Lecąc wzdłuż nurtu Mozeli, po pięciu minutach osiągało się granicę.

Choć Ernst Hoffmeister kształcił się w najlepszej komandoskiej szkole, nie potrafił nic poradzić na to, że poczuł lekkie ukłucie w sercu, kiedy zrównał się z dwudziestoma czterema innymi Storchami, które również uczestniczyły w operacji. Faktycznie ich bezpieczeństwo gwarantowała jedynie tajemnica misji. Gdyby na nieszczęście wrogowie usłyszeli, spadliby na nich jak owady i zostaliby pokonani, zanim jeszcze zdążyliby rozpoznać swoje obiekty.

O 3.30 kapitan Archen spróbował nadać trzecią wiadomość, ale

Longwy już nie odpowiadało. Awaria prądu. Musiał odczekać blisko pół godziny, by przesłać w końcu: „Incydenty na granicy niemiecko-luksemburskiej. Zabity luksemburski żandarm, brygadzysta żandarmerii poważnie zraniony w Grevenmacher. Żandarm zabity w Bous przez Niemców rezydujących w wielkim księstwie. Przerwana łączność telefoniczna między Echternach i Luksemburgiem — Grevenmacher”*.

Ernst Hoffmeister w chwili przekroczenia granicy luksemburskiej w Wasserbilig przestał myśleć. Wiedział, że narusza przestrzeń powietrzną kraju, któremu Niemcy nie wypowiedziały oficjalnie wojny. W tym momencie musiał zawiesić wszelkie myślenie. Żeby wyobrazić sobie resztę, trzeba było być Fihrerem.

— Heil Hitler! — zakrzyknął, potwornie się wykrzywiając, ponieważ nie odczuwał żadnej sympatii ani dla reżimu, ani dla swojego najwyższego zwierzchnika.

Działać! Działać! Byle nie myśleć! Nie pozostało mu nic innego.

Przelatując nad miastem Luksemburg, dwadzieścia pięć samolotów rozproszyło się w grupy po pięć. Ernst Hoffmeister wysu-

* Roger Bruge precyzuje w swojej książce *Faites sauter la Ligne Maginot*: „Informacje te nie oddają dokładnie sytuacji, ponieważ brygadzysta Jean-Pierre Schammo faktycznie został poważnie zraniony, ale w Bous żandarm Josy Weiss odniósł jedynie lekkie obrażenia”.

-286-

nął się na czoło jednej z nich i rozpoczął pikowanie w stronę celu: Bascharage!

Na lewo, ponad kołdrą mgły, niebo przybrało gryzący turkusowy kolor: świt.

Kilka minut później oznaczył ceglana wieżę ciśnień, którą mu opisywano setki razy podczas szkolenia, po czym tuż za nią dróżkę biegnącą od Hautcharage do Petange. Na prawo druty kolczaste, pole, trzy krowy niczym zabawki ustawione na kawałku kartonu. O kilka setek kilometrów dalej szosa, która prowadzi z Luksemburga do Longwy i miasteczko Bascharage. Ernst Hoffmeister zmniejszył prędkość i zaczął

schodzić, szybując.

Działać, nie myśleć.

Samolot, stykając się z ziemią, zachwiał się niebezpiecznie, podskoczył, po czym się zatrzymał. Trzech komandosów wyskoczyło z kabiny. Ekwipunek został wyladowany w niecałą minutę. A potem gaz do dechy i mały Fieseler Storch wystartował natychmiast. Trzy minuty później dołączyły do niego cztery pozostałe zespoły. Obrano kurs na bazę, by wykonać powtórne okrążenie.

Ani razu nie wystrzelono, nikt nie usłyszał niemieckich jednostek.

O 4.10 Archen, który przemierzał wzdłuż i wszerz swój gabinet przy ulicy Bel-Air, nieoczekiwanie się zatrzymał i dał znak swoim ludziom, by zachowali ciszę. Usłyszał bowiem cichutkie brzęczenie. Mężczyźni w napięciu zaczęli nasłuchiwać. Brzęczenie regularnie narastało, przechodząc w warkot, huk burzy i wreszcie ogłuszający łomot.

Otworzyli okna wychodzące na ulicę i ujrzeli to, co widzieli już Polacy, ale czego żaden z nich wcześniej sobie nie wyobrażał. Musieli się uszczypnąć, żeby w to uwierzyć: setki samolotów, dywan ciężkich bombowców i transporterów wojskowych, unoszący się niecałe czterysta metrów nad ziemią, a ponad nimi w zwartym szyku myśliwce, trzepotliwe drapieżniki, gotowe, by przeszyć swoje ofiary w piekielnym tumultie karabinów i pocisków działowych.

-287-

Kapitan Archen zredagował czwartą lakoniczną wiadomość zaadresowaną do Longwy: „Duży ruch w przestrzeni powietrznej nad Luksemburgiem”.

Tej nocy z 9 na 10 maja musiał wysłać jeszcze dwie wiadomości, ostatnia, nadana o 5.15, nie mogła być jaśniej sformułowana: „Alarm. Najazd wojsk niemieckich na wielkie księstwo”.

Longwy otrzymało je dwie minuty później.

Obie wiadomości od razu zostały przekazane dalej, żadna nie musiała przechodzić przez krętą drogę hierarchii ani przekraczać niezliczonych barier, jakie czasem stawały wątpliwości jednych albo podejrzliwość innych.

O 5.30 generał Conde, który dowodził trzecią armią, nie mógł jeszcze uwierzyć w natarcie i wysłał samoloty zwiadowcze, by sfotografowały dolinę Mozeli.

Zaskoczenie było całkowite.

Podczas gdy oddziały francuskie z niejakim opóźnieniem zmierzały w kierunku Belgii i Holandii, by zatrzymać armię, której już tam nie było, Panzerdivisionen zbliżały się do Sedanu, gdzie znajdował się wyłom w granicy luksemburskiej.

10 maja w Montmedy odwołano wszystkie przepustki. Julian Morel mógł już tylko rozpakować swoją walizkę. Chciał napisać, ale nie było czasu na pisanie. To był koniec, Julian Morel doskonale o tym wiedział.

75. dywizja piechoty generała Karla Weissenbergera, ubezpieczająca flanki dywizji pancernych, które przekroczyły Mozę w Sedanie 13 maja, 15 maja była już widoczna z twierdzy La Fer-te, ostatniego fortu na północno-zachodnim odcinku fortyfikacji w Montmedy, gdzie kończyła się Linia Maginota.

-288-

Rano 16 maja Julian Morel poprosił o „osobiste” widzenie się z kapitanem Albaretem. W okolicach południa niemiecka artyleria zaczęła ostrzeliwać sektor Villy, małe miasteczko umiejscowione poniżej La Ferte. O czternastej, kiedy zgiełk strzałów dobiegający z daleka zaczął cichnąć, Julian Morel, sinoblady i ociekający potem, stał na baczność w gabinecie kapitana. Z powodów osobistych i w imię starej przyjaźni prosił go, by przekazał mu dowodzenie specjalnym oddziałem wojsk inżynieryjnych, które miały nazajutrz wyruszyć wojskowym transporterem do fortu w La Ferte.

Albaret patrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że sektor ten będzie najbardziej zagrożony...

- Tak, kapitanie.

- Julianie, prosiłeś mnie o to spotkanie z powodów osobistych.

- Tak, kapitanie.

- Zatem proszę do mnie mówić „Charles” i nie bądźże taki sztywny jak kołek. Zostało mi trochę wódki, wypijesz kieliszek?

Julian rozluźnił się nieco.

- Tak, dziękuję, bardzo chętnie.

- Coś nie tak, Julianie?

- Nic takiego, po prostu nigdy nie byłem pod obstrzałem.

- Boisz się?

Kapitan Albaret podał dwa kieliszki. Julian wziął jeden i wypił jednym haustem.

- Sądę, że tak jak wszyscy, dokładnie tyle, ile trzeba, by zdobyć się na odwagę.

- Wiesz, że twój stopień nie pozwala mi na powierzenie ci dowództwa nad oddziałem o mniejszej randze niż pluton.

- Wiem o tym, ale są pewne okoliczności... nie zależy mi na dowodzeniu, chodzi mi o kompetencje techniczne...

- Julianie, dlaczego za wszelką cenę chcesz się narazić na niebezpieczeństwo?

- Jeżeli to kwestia osobista, możesz nie odpowiadać.

-289-

- Trudno to ująć w kilku słowach. Gdybym ci powiedział, że... tak, dla mnie... to pytanie o wszystko albo nic... muszę się dowiedzieć... jak najszybciej... wóz albo przewóz.

- Nie wiem, czy dobrze cię rozumiem, ale...

- Chciałbym, żebyś mnie zrozumiał.

- Tak... nie wiem...

- Charles, jeśli pozwolisz, wolałbym się do ciebie zwracać „panie kapitanie”.

- Jeżeli tak ci na tym zależy... słucham.

- Kapitanie, wie pan, że od trzech miesięcy na próżno zwracam się z prośbą o umiejscowienie obrony poniżej twierdzy w La Ferte.

- Tak, wiem.

- Wyobraża pan sobie, co się wydarzy, kiedy Niemcy wyślą tam swoich saperów...

- Rozprawimy się z nimi w okolicach fortyfikacji w Chesnois.

- Z niczym się nie rozprawimy, skoro nie będziemy wiedzieć, gdzie się znajdują...

- A peryskopy?

- Wie pan równie dobrze jak ja, że zostaną zniszczone lub zablokowane w chwili pierwszego ostrzału artylerii.

- Nie te w Chesnois, przecież nie mogą zaatakować dwóch odcinków naraz.

- Miną punkt oznaczony na mapie numerem 226 i wdrapią się na zbocze, które jest niewidoczne z Chesnois.

- Na dole są dwie kazamaty.
- Nie są odpowiednio wyposażone do bezpośredniej obrony.
- To oczywiste, ponieważ wejścia do nich strzeże skrywająca się za fortem wieża: dwa działa kaliber 25 milimetrów i trzy rzędy karabinów, czy to nie wystarczy?
- Tak, normalnie to powinno wystarczyć.
- Co znaczy „normalnie”?
- Od dwóch tygodni są problemy z tą wieżą, blokuje się, kiedy jest ustawiona do ostrzału na południe: to kierunek, w którym jest bezużyteczna.

-290-

- Zatem...
- Przemyślałem sprawę, sądzę, że mogę ją naprawić.
- Julianie...
- Tak, kapitanie?
- Jesteś kompletnym wariatem, ale bardzo cię lubię, co czyni moją decyzję jeszcze trudniejszą.
- Przedstawię twoją propozycję w La Ferte, jeżeli to ich zainteresuje... zastanowię się.
- Niech pan to zrobi szybko, jutro może być już za późno.
- Dobra, dam ci odpowiedź w ciągu godziny.
- Dziękuję, kapitanie.

Julian Morel wyszedł, kapitan Albaret pogrążył się w krótkiej zadumie, a potem powoli, jakby z bólem, podniósł telefon, odczekał i nic nie usłyszał; naciskał nerwowo na widełki, złorzeczył na operatora... wyszedł zobaczyć, co się dzieje, i wtedy dowiedział się, że wszystkie linie zostały odcięte w czasie bombardowań. Usiłowano wszystko zrobić, by przywrócić łączność...

Kapitan opadł na fotel i westchnął. Musiał podjąć decyzję... sam.

Godzinę później Julian Morel otrzymał nakaz misji. Tego samego wieczoru był już w La Ferte-sur-Chiers, skąd następnego dnia o świcie odjechał transporter w kierunku fortu.

Transporter ruszył o czwartej nad ranem i nigdy nie miał dojechać do twierdzy w La Ferte.

Kiedy pocisk wystrzelił, Julian Morel ujrzał olbrzymi czerwony płomień.

43

Pociąg oddala się od Beauvais. Wracam do Paryża.

Jaką katedrę zwiedzę teraz, tę w Strasburgu czy w Albi?

W stronę jakich wyżyn sztuki powinienem się teraz zwrócić, kwintesencji gotyku płomienistego czy też murów kryjących największe przedstawienie Sądu Ostatecznego? Osiemnaście metrów szerokości na piętnaście metrów wysokości. Ekrany, na jakie dzisiaj rzutujemy ruchome obrazy cierpień, których się obawiamy, są wiele mniejsze. Czyżbyśmy mniej się bali? Ja nie, w nowoczesnym odzieniu, noszę w sobie lęki średniowiecza, wszędzie widzę spalone ciała, widły i popioły.

Pociąg, jestem w pociągu. Jedzie do Albi. Przyszedł czas na wyznania, stanę przed Sądem Ostatecznym.

Pewnego wieczoru, kiedy dosyć późno wychodziłem z pokoju Amalii, który znajdował się w przybudówkach, nieopodal strychu profesora Giulianiego (zgodziła się, aczkolwiek beznamiętnie, bym ocierał się o nią w ubraniu i wtulał głowę w jej piersi) zobaczyłem światło w pokoju Anny. Uległem pokusie, by zaskoczyć ją w samotności. Przeszedłszy zatem przez taras, zbliżyłem się bezgłośnie do okien i przylgnąłem oczami do szpar w żaluzjach. Najpierw ujrzałem wielką szafę otwartą na oścież, a w niej mnóstwo drewnianych przegródek wypełnionych kopertami, a potem, na prawo, Annę za biurkiem, siedzącą na brzegu krzesła. Mówiła, a jej piękna twarz była uśmiechnięta i ożywiona, nigdy wcześniej jej takiej nie widzia-

-292-

T

łem. Wtedy w głębi pomieszczenia, po lewej, ujrzałem Naczelnego Inżyniera Juliana Morela, niedbale leżącego na sofie. Anna wstała, instynktownie się odsunąłem. Usłyszałem szelest jej sukni ocierającej się o ramę okienną. Podeszła do sofy i usiadła na ziemi, a Morel, pochyliwszy się, złożył na jej ustach długi pocałunek.

Nie wiedziałem o miłości nic ponadto, co mi powiedział mój chory na posocznicę sąsiad owej nocy, kiedy Amalia „to zrobiła” i aż do tej pory powstrzymywałem się od wyobrażania sobie innych miłosnych przyjemności poza tymi, by ocierając się o ciało kobiety, pieścić i całować jej piersi. Niemniej zrozumiałem natychmiast, że zaraz „to zrobią” i moje zainteresowanie tą kwestią wzrosło dziesięciokrotnie. Całowali się i pieścili, nie było temu końca. Rozwiązywał powoli jej gorset. Zamknąłem oczy. Zobaczyć piersi Anny — to było niemożliwe, nie do pomyślenia. Potem, oczywiście, znowu je otworzyłem i poczułem się fatalnie. Ręka Morela podwijała spódnicę, gładziła w tę i z powrotem nogi Anny, jej ręka natomiast rozpiniała spodnie Morela. To było nie do zniesienia. Tak, tak, robili to, a ja stałem jak osłupiały, zaraz miałem ujrzeć członek Morela, zobaczyłem go, był olbrzymi; upokorzenie opanowało wszystkie włókna mojego ciała, gdyż mój — nawet do ostatka spęczniały — był niewiele większy od kredki. I zobaczyłem Annę, królową Annę, pieszczącą i liżącą ten członek, który był obrzydliwy w swojej sile i mocy.

Wtedy wstąpił we mnie jakiś diabeł, szal, nienawiść, chęć wyrządzenia krzywdy, zranienia, a może po prostu sprzeciw wobec doznawania samemu przemocy, jaką ten spektakl mi narzucał. Właśnie, dlaczego samemu? Moja decyzja była natychmiastowa, piorunująca: Bruno!

Oderwałem się od okiennic, przemierzyłem na palcach taras, zszedłem ze schodów, a potem, porzucając wszelką ostrożność, pobiegłem jak wariat na tyły domu, by wejść przez drzwi dla służby. Zdyszany znalazłem się w pokoju Brunona.

— Bruno! Bruno!... Wstawaj! Chodź, muszę ci coś pokazać! Chodź, musisz o tym wiedzieć!

-293-

Bruno, oślepiiony światłem, wytrzeszczył oczy.

- To ty, Paul? — wymamrotał.

- Tak, to ja, chodź!

I jakby zahipnotyzowany moim przerażeniem wstał z łóżka.

Przemierzyliśmy korytarz, szedł przede mną, mały człowieczek w piżamie, kruchy, niezwykle kruchy, a za nim ja, mój szal i moja nienawiść do Anny i Morela, która z każdą chwilą wzrastała! Zapłacą mi za to!

W ogrodzie chwyciłem go za rękę, była zimna, dygotał na całym ciele. Nie ma litości! Podprowadziłem go aż do żaluzji.

— Popatrz! Popatrz! — wysyczałem w jego ucho niczym wąż.

— Widzisz teraz, widzisz swoją matkę, widzisz ją?!

Jego małe ręce uczepliły się blaszek żaluzji, oczy rozszerzyły się ze strachu, zobaczył.

Paryż, Dworzec Saint-Lazare, nawet nie poczułem upływu czasu. Wysiadałem z pociągu, jestem zdumiony ogólnym poruszeniem, głuchy pogłos niesie się po poczekalni. Pociąg zostawił mnie tu, na skraju życia, niczym grzbiet niewielkiej fali wśród przemierzających się ludzi. Piana mojego życia pokrywa wstydliwą plażę przeszłości, nad którą się pochylam. Zostaje mi jedynie terażniejszość, strona, którą zacząłem czytać, i to zadziwiające stwierdzenie: ja, który powinienem był umrzeć, żyję. Nie boję się już, wstyd i rozterki ulotniły się.

44

Wybuch wojny i nagła choroba Anny wyciągnęły staruszka Elię z rozkosznego odrętwienia, w jakim tkwił przez cały sierpień na skutek potężnego przeziębienia, szybko przerodzonego w zdradziecki bronchit, którego nabawił się, kiedy wspięty na szczycie najwyższej skały Żywych Kamieni wyrzucał z siebie w burzliwą zawieję najbardziej imponującą i oszałamiającą ze swoich przepowiedni.

1 września „lwy o spiżowych skrzydłach” z Luftwaffe przebiły chmury; pozwoliły sobie na to, by skierować się w stronę innych przestworzy niż francuskie, a „ogromny kozioł” dywizji pancernych zwrócił krwiożerczą siłą ciężkich granitowych rogów przeciwko dalekim wschodnim równinom.

Tymczasem Eli nie wątpił, że wcześniej czy później potwory wrócą po śladach i wyrosną u bram świątego kraju, który ledwie podnosząc się z łoża, zbierał dopiero siły i przeciągał się leniwie, niezdolny do wyobrażenia sobie grozy i strachu, jakie szaleństwo czasów miało dopiero zasiać pośród narodu i żołnierzy.

Eli widział już to i wszystko wiedział; przyszłość miała być od tej pory księgą otwartą dla jego oczu. W tej księdze nie dojrzał swojej śmierci, chociaż całą zimę chorował na bronchit, który w żaden sposób nie chciał ustąpić pomimo ton kataplazmu z musztardą, jaki wcierał sobie każdego wieczoru w piersi.

W styczniu musiał przyznać, że jego stan zaczyna być niepokojący. On, tak chudy, zrzucił jeszcze cztery kilo. Zostały jedynie

skóra i kości. Pomimo troskliwej opieki Amalii w początkach kwietnia był tak słaby, że zabroniono mu opuszczać pokój. Trucizna zwątpienia wsączała się w jego duszę.

Wokół świątek instytutu kręcił się na opak. Eli, który przeklął odporność swojego organizmu, w chwili kiedy ten powinien się poddać, był teraz przykuty do łóżka jak zwykły pacjent, Anna zaś leżała w pokoju zmarznięta, podczas gdy wszyscy umierający w instytucie zdawali się kipieć nieprawdopodobną energią. Prawdą jest, że doktor Du Bertrand, nowy pupilek chorych, kazał rozdawać jak leci morfinę i kokainę, nie zapominając przy tym, by od czasu do czasu zaaplikować ją sobie samemu. Nie istniał już żaden rozkład dnia, umierający nie trzymali się swoich miejsc, przechodzili z pokoju do pokoju, błądzili grupkami po ogrodzie, zbiegali w dół doliny. Grali w karty bądź w loteryjkę, kochali się, śpiewali, rozmawiali, tańczyli, płakali aż do wyczerpania. Radioodbiorniki i fonografy trzeszczały dzień i noc w całym domu, roznosząc od kuchni po strych ogłuszającą kakofonię. Doktor Du Bertrand zajął w końcu gabinet Tommasa Giulianiego i w fotelu z oparciem rzeźbionym jak fasada katedry przybierał pozy rzymskiego imperatora. Każdego dnia świętował swoje zwycięstwo, bo mógł sobie powiedzieć — najdziwniejsze, że było to prawdą — iż od czasu, kiedy objął władzę, nie zarejestrował ani jednego zgonu.

Amalia, mroczna i sucha panna wdowa, z anielskim uśmiechem przechadzała się w milczeniu pośród tych trwających w nieskończoność bachanaliów i, zdaniem wszystkich, nabrała ciała. Niezmordowana, porządkowała to, co jeszcze dawało się uporządkować, czuwała nad wszystkim, nad czym jeszcze dawało się czuwać, nigdy nie sprawiając w najmniejszym stopniu wrażenia, że jest przejęta tym, co dzieje się dookoła. Ale ona także, za pośrednictwem Alberta, sklepikarza z Relanges, dostawała swoją dzienną porcję narkotyku w postaci niezliczonych płomiennych listów od Inżyniera Morela.

Nie, z całą pewnością świat nie był już taki jak przedtem, jakby ta wojna, która sprawiała wrażenie, że nigdy się nie skończy, obracała każdą rzecz w swoje przeciwieństwo.

Wkrótce Eli budził się jedynie na dwie, trzy godziny w ciągu dnia, resztę czasu spędzając w półśpiączce. Zdawało się, że jego dusza odmówiła dalszej walki. Odczuwał potworne znużenie, niewypowiedziany smutek. Życie przesunęło mu się przed oczami jak niemy film przywołujący wspomnienia, którym próbował się oprzeć z podobnym

uporem, jak grobla opiera się falom. Widział wszystko i nic nie rozumiał. Została mu jedynie pamięć i chaos.

Dziwił się, że otwiera jeszcze oczy, że widzi jeszcze dzień. Jedynie głębokie poczucie niesprawiedliwości, które budziło się, gdy był na krótko świadomy, nie pozwalało mu umrzeć.

Że jego śmierć może nadejść tak po prostu, znienacka, po tak monumentalnym proroctwie, w którym nic, absolutnie nic nie zapowiadało, że musi umrzeć, było dla niego nie do przyjęcia. Nie, przeznaczenie pomyliło cel, przecież doskonale widział w swoim ostatnim transie, że to nazwisko Morela przecinała kosa. To Inżynier powinien umrzeć, nie on. Gdyby Niemcy przynajmniej nie zaatakowali Polski! Gdyby nie było nalotu samolotów i najazdu czołgów, mógłby to jeszcze zaakceptować. Poza tym, zdarzyło mu się już pomylić, błąd jest rzeczą ludzką... Ale jak pogodzić się z tym, że prorocтво tak natchnione było prawdziwe jedynie po części? Nie, nie umrze, trzeba cierpliwie czekać, czekać... Niemcy zaatakują w końcu Francję, to kwestia tygodni, może dni, a kosa zetnie nazwisko Morela! Wtedy historia obejmie zwykły kurs, a jego śmierć zajmie należne jej miejsce w porządku świata.

Rozumowanie to trzymało go przy życiu, wyzuwając z resztek sił. Skoro jednak wojska niemieckie uparcie trwały w bezruchu, stopniowo grzęznął w rozumowaniu przeciwnym, które schlebiało w pewnym sensie jego miłości własnej: jeżeli umrze, Niemcy nie zaatakują. Biorąc na siebie to poświęcenie, ocali nie tylko Inżyniera Morela, ale z nim również całą Francję.

9 maja w nocy, w momencie kiedy pierwszy Fieseler Storch wystartował z Treves w kierunku granicy luksemburskiej, Eliego obudził ból tak silny, jakby sztylet przecinał mu pierś. Zwymiotował jakieś pół litra krwi.

-297-

10 maja około dziesiątej rano doktor Du Bertrand wszedł do jego pokoju z butelką koniaku w ręce. Był pijany w trupa.

— I kto by pomyślał?! Kto by pomyślał?! — wrzeszczał, skręcając się ze śmiechu.

Amalia, która czuwała nad Elim całą noc, odnalazła nagle w sobie dawną gwałtowność, która zmieniała ją w wilczycę. Przyskoczyła mu do twarzy i rozdrapała policzki paznokciami.

Śmiech Du Bertranda wydawał się niewygasły, ociekając krwią, doktor

zaczął głośno skandować:

- No kto by pomyślał?! Kto by pomyślał?!

- Proszę stąd wyjść! — zasyczała Amalia; tym razem wstąpił w nią wąż.

- No dobrze, już sobie idę — odpowiedział doktor Du Bertrand, przybierając godną minę senatora — już sobie idę, a wy nie dowiecie się, o co chodzi!

Zrobił półobrót, doszedł do drzwi, lecz zanim wyszedł, odwrócił się jeszcze, by imperialnym i wspaniałomyślnym tonem oznajmić:

— Niemcy zaatakowali, będą tutaj jutro! — Po czym, chwiejąc się, wyszedł.

Kiedy Amalia znów podeszła do Eliego, był blady jak trup, ale się uśmiechał, a jego oczy błyszczały jak oczy człowieka powracającego do życia.

45

Historia obrała swój kurs.

12 maja Amalia dostała trzy listy od Juliana, z których ostatni był najbardziej rozpaczliwy. Bardzo podobały jej się te listy, były najpiękniejsze ze wszystkich. Nigdy nie pomyślała, żeby mu odpowiedzieć. Zresztą na co miała odpowiedzieć? Czy można odpowiedzieć na wylew rzeki? Czy chciała mu coś powiedzieć, napisać choćby jedno słowo — na przykład, że go kocha? Ale czym byłoby to słowo tak samotne wśród lawiny odpowiedzi? Żdźbłem trawy, niczym więcej, słowem zagubionym pośród tysięcy innych. 14 maja dostała tylko jeden list, datowany na 11, a jego lakoniczność ją zaniepokoiła. Julian pisał, że jako ochotnik wyjeżdża z misją na front. Następnego dnia nie było już listu, nie było ich również w kolejne dni.

Anielski uśmiech zniknął z twarzy Amalii.

Eli wracał do zdrowia zdumiewająco szybko.

Pod koniec maja po raz pierwszy wyszedł do ogrodu, wspierając się na ramieniu Amalii.

Doszli szeroką alejką aż do garażu, a potem skręcili w stronę ogródka warzywnego, gdzie się zatrzymali, by odpocząć. Przyglądali się przez chwilę zapuszczonym grządkom i chwastom, przekształcającym w ugór ogród, o który niegdyś dbano z taką pedanterią jak o tapicerkę. Eli czuł się dobrze, lepiej niż kiedykolwiek, wyobrażał sobie już, jak sięga po motykę i łopatę. Uchwycił się ramienia Amalii i pociągnął ją w stronę Żywych Ka-

-299-

mieni krokiem, który wydał jej się jeszcze bardziej zdecydowany i dziarski.

Po drodze opowiadała mu o Julianie. Eli był tym zaniepokojony: brak listów od Inżyniera w sposób oczywisty potwierdzał jego przepowiednię, nie chciał jednak, by Amalia była nieszczęśliwa. Usiłował ją uspokoić, wypowiadając kilka topornych banałów, ale nie potrafił być przekonujący. Ton, którego użył, musiał być tak smutny, tak współczujący, że Amalia zatrzymała się, by na niego spojrzeć. Uśmiechnęła się w końcu i powiedziała:

- Nie ma potrzeby, by zadawał pan sobie tyle trudu, Eli. Wiem, co pan myśli. Bardzo dobrze pamiętam, co pan przepowiedział w dniu, w którym zachorowała Anna. Prawdę mówiąc, nie martwię się aż tak bardzo, boję się jedynie, że cierpi, boję się, że odniósł jakieś potworne obrażenia.

- Skoro nie martwisz się aż tak bardzo, to wszystko w porządku... — powiedział Eli.

- Nie, nie, on nie może umrzeć, wiem o tym... Pan zna życie, Eli, panu mogę to powiedzieć: wiem, kiedy kocham się z umarłymi, i wiem, kiedy kocham się z żywymi: on był żywy.

Mówiąc to, Amalia czuła, że nagina trochę rzeczywistość do tego, co przeżyła, gdyż pamiętała bardzo dokładnie, jak się kochali i towarzyszącą temu rozpacz. Ale było w tym jeszcze coś, teraz jednak nie należało ulegać zwątpieniu.

- Kochała się pani z Morelem? — zdziwił się Eli, nadając swojemu głosowi fałszywie obruszony ton.

- Tak — odpowiedziała Amalia — ostatniego lata... Widzi pan, gdyby miał umrzeć, umarłby już dawno.

- Tak, ostatniego lata, mówi pani... — Eli zastanowił się, przypomniał sobie, że się tego domyślał. — Pamięta pani, kiedy to się dokładnie wydarzyło?

- Tego dnia, kiedy zawalił się komin.

- Ach tak, piorun, otóż to, i wrzeszczący Tommaso, kiedy grzebałem psa.

Amalia nie pojęła logiki rozumowania Eliego, więc milczała.

-300-

Niedługo doszli do Żywych Kamieni i na zakręcie ścieżki stanęli jak wryci, ujrzeli bowiem teren zabaw Brunona, zmieniony teraz w

nieprawdopodobne śmietnisko.

W ciągu sześciu miesięcy prac na budowie swojej Linii Maginota Bruno zdołał zebrać niewyobrażalne ilości materiałów, przedmiotów i wszelkiego rodzaju odpadów. Były tutaj szuflady, książki, puszki po konserwach, nogi od krzeseł, butelki, rury, kawałki gipsu, opony, siatki, cegły, menażki, blachy, belki, koła zębate, stare garnki, kamienie, całe wywrotki kamieni... Kontynuowanie tej listy byłoby bezużyteczne, tyle tam było rzeczy, ułożonych w sposób, który trudno opisać.

Najdziwniejsze, że kiedy już ochłonęli z pierwszego wrażenia, że oto znaleźli się na śmietniku, musieli stwierdzić, iż to nagromadzenie przedmiotów rządziło się pewnym porządkiem. Najwyższe stosy osiągały półtora metra i opierając się o skały wyrzeźbione wiatrem, które natura porzrzucała tu i ówdzie, przywodziły na myśl spódnice olbrzymów. Pomiedzy nimi ułożone były, według zasady czytelnej jedynie dla architekta, stosy nieco niższe, które tworzyły mury, okopy, ciągi dziur albo coś w rodzaju sterczących stożków, przypominających ramiona gwiazdy. Miejscami rozciągały się też szerokie plaże, gdzie przedmioty ułożone w pewnych odstępach na piaszczystych pagórkach rysowały kropkowaną linią zadziwiające figury geometryczne. Z tego wszystkiego najczęściej wystawały rury — wbite w ziemię pod kątem czterdziestu pięciu stopni bądź też wystające ze stosów śmieci, stożków i murów. Całość wiała się od skały do skały na przestrzeni ponad pięćdziesięciu metrów i niemal całkowicie tarasowała dostęp do zbocza, które schodziło w dół doliny. Ponad tą linią biegła umocowana do drewnianych palików sieć sznurków i drutów, skąd zwisały puszki po konserwach i butelki, które wstrząsane wiatrem uderzały o siebie, tak że cała przestrzeń rozbrzmiewała ich brzękiem i stukami — powtarzalnymi, ale zarazem przypadkowymi. I ta dziwna muzyka, rodząca się z wnętrza wszystkich tych przedmiotów, narzucała

-301-

milczenie, ponieważ nie sposób było ośmielić się, by przerwać ludzkim głosem nastrój melancholii, samotności i opuszczenia, jaki tworzyła.

Eli i Amalia długo stali bez ruchu, przytuleni do siebie, nie mogąc oderwać wzroku od tego cudacznego dzieła, które świadczyło — w sposób niespójny, co prawda, jednak z niesłychaną mocą — że jakaś dusza próbowała odnaleźć właściwą sobie ekspresję poprzez nagromadzenie tych wszystkich odpadów.

Wieczorny chłód przerwał w końcu ich wspólną zadumę, więc ruszyli z powrotem, nie wypowiadając już ani słowa.

By nie kusić losu, Amalia przestała schodzić do Relanges po listy, które na nią nie czekały. Pielęgnowała w sobie przekonanie, że Julian Morel został zraniony, może poważnie, jednak nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Z uporem i właściwą sobie siłą udało jej się zatem przegnać z głowy wszelkie inne myśli i włożyła całą swoją energię w powstrzymanie anarchii, która opanowała instytut.

Wiedziała, że jedynym prawdziwym lekarstwem jest Anna, usiłowała zatem wydobyć ją z lodowej trumny. Kazała stale palić w piecu w jej pokoju, przykrywała ją kołdrą z gęsiego pierza i każdej nocy wślizgiwała się do jej łóżka.

Na początku czerwca Albert, sklepikarz z Relanges, stanął przed bramą instytutu, z listem od Juliana Morela.

Vittel, 28 maja 1940

Piękna Amalio,

Czerwony płomień był ostatnią rzeczą, jaką ujrzałem.

Nie pamiętam nic więcej poza Panią, gdyż to Panią ujrzałem w tym płomieniu.

Zwracam się do Pani, ale mógłbym się również zwrócić do kogoś o imieniu Anna. Podobno Pani jest młodsza. I dlatego łatwiej jest mi pisać do Pani.

Rozpoznał mnie niejaki doktor Willhaume, ponieważ pracował niegdyś w klinice o nazwie Instytut Giulianiego.

-302-

Tam spotykał mnie wielokrotnie.

To on Panią rozpoznał, jak również starszą od Pani kobietę, kiedy mu opisałem, co zobaczyłem w czerwonym płomieniu.

Mówi, że Pani i Anna pracujecie w tym instytucie.

Obraz, który ujrzałem w płomieniu, był bardzo piękny, Anna podobno także jest bardzo piękna.

Nazywam się Julian Morel, w każdym razie tak wszyscy tutaj mówią.

Mam w głowie odprysk pocisku.

Czy mogłaby mi Pani napisać, czy to wszystko jest prawdą, i jeżeli jest prawdą, czy mógłbym przyjechać do tego instytutu?

Podobno Niemcy znacznie posunęli się naprzód. Szpital niedługo będzie ewakuowany.

Należy mi odpowiedzieć dosyć szybko.

Nie wiem, czy mogę albo czy powinienem Panią i Annę ucałować.

Julian Morel

Amalia przycisnęła list do serca i pobiegła do pokoju Anny.

—Żyje! Wraca! Chce do nas wrócić! — krzyknęła, wchodząc.

Spostrzegłszy, że jej radość nie jest jednak w stanie przebić się przez lodowaty mur, za którym znajdowała się Anna, pochyliła się nad nią, wzięła ją w ramiona i tak jak dziecku, które chcemy obudzić rano w Boże Narodzenie, szepnęła do ucha:

—Julian, to Julian! Wraca.

Anna nie otworzyła oczu, ale po kilku chwilach łza załśniła w kąciku jej powieki, jedna, druga... i wkrótce cieniutka strużka zaczęła torować sobie drogę na zboląlej twarzy.

W promieniach pierwszego słońca zmrożona kora zaczęła opadać, odrobinie ciepła udało się wreszcie zwyciężyć zimę.

46

Wiosna więc zatriumfowała... lody zaczęły się topić.

Oczekiwanie było mrozem. Armia okrzepła na swoich pozycjach niczym kra i mężczyźni wypełniali swoje obowiązki ze spokojem pingwinów.

Na wschodzie słońce wznosiło się nieruchomo nad horyzontem. Duży czerwony balon wiszący tam, u tych wariatów, tych szwabów, tych szkopów, tych Niemców. Niech no tylko przyjdą, śmiały się szyderczo pingwiny, niech no tylko utworzą jak centurioni zasłonę z tarcz, by obronić się przed zawieją śnieżną, a zamarzną na miejscu.

I nagle wielki czerwony balon wzbił się nad horyzont jak pocisk rozpaczy, mocniejszy i jaśniejszy niż słońce tropików, ale zamiast zgasnąć, ponownie opadając, rozpałił niebo, gdyż przestworza dawno już były jak żywica: bezkres płomieni i wybuchów.

Kra zmieniła się w wielki trzask, zapadła się w sobie samej i rozpękła w mgnieniu oka. Teraz został już jedynie strumień, który unosił z sobą wszystko. Skołowane pingwiny z krzykiem rzucały się jedne na drugie, depcząc po sobie i tarzając się w błocie. Na powierzchni wód roiło się od tysięcy, brudnych i powalanych krwią bukłaków, to były ich okrągłe brzuchy, ich piękne białe piersi.

Maj, czerwiec 1940... wiosna łez, żegnajcie ogień świętego Jana, ludzie się mordują.

Anna odzyskała świadomość w samym środku katastrofy. Na zewnątrz, we wszystkich miasteczkach, dzwony biły na alarm.

-304-

Strach ruszył w drogę, ruszył pociągiem: uciekać, uciekać, nie stać w miejscu, uciec jak najdalej. Wewnątrz instytutu: zgiełk muzyki, krzyków, śmiechu, zapach uryny i ekskrementów, tupot w korytarzu... biec, nie ustawać, jak najszybciej wypełnić każdą chwilę, każdą sekundę, poruszać się, biec na oślep, byle nie umrzeć. Takie prawo zdawało się rządzić pensjonariuszami.

Anna oprzytomniała i zaledwie wróciła z wygnania, na jakie skazało ją własne ciało, musiała, wciąż jeszcze słaba, stawić czoło brutalności czasów, które wykluczyły wszelką nadzieję.

Wstała i podążyła starą ścieżką. Nie było w niej już ciepła, które mogłaby rozdawać, nikt jej zresztą o to nie prosił, jednak była, trzymała się na nogach, i sama jej obecność uosabiająca życie — nie życie samo w sobie tak jak wcześniej, lecz pomnik, alegoryczne wyobrażenie życia — wystarczyła, by nerwowe poruszenie umierających nieco zelżało.

Wkrótce jednak zrozumiała, że instytut, którego funkcjonowanie polegało na cierpliwym kierowaniu powolnie dryfującym ciałem i duszą w stronę wieczystego spokoju, nie miał racji bytu w świecie objętym wojną.

Kiedy wróciły jej siły, zgromadziła wszystkich, zarówno pensjonariuszy, jak i personel, który jeszcze się ostał, i niezwykle uroczyście oznajmiła im zamknięcie instytutu. Po raz pierwszy od sześciu miesięcy wielki dom odzyskał na chwilę ciężar i moc milczenia, którym delectowano się tutaj niegdyś.

Dziwna chwila, gdyż każdy czuł, że czas upływa, ale ten czas nie należał już do terażniejszości. Był fragmentem przeszłości, która przybyła się pożegnać.

Anna się uśmiechnęła.

Delectowała się ciszą, jak delectujemy się najlepszymi wspomnieniami. Pozwoliła jej się wygodnie umościć, zgęstnieć, poczekała, aż stanie się ciężka, materialna, by każdy zdał sobie z niej sprawę. Wciągała ją jak powietrze, które wdychamy, zanim zanurzymy się w głębi oceanu, aż w końcu zdecydowała się ją przerwać: trzeba było iść naprzód, iść dalej, żyć, a czasy wymagały, by żyć

-305-

pośród zgiełku. Wkrótce huk eksplozji, wrzaski, płacze zagłuszyły

wszelką mowę. Historia nie zazna już milczenia, Anna nie mogła tracić czasu.

Przemówiła więc:

— Postawiliśmy mury tego domu, by chronił was przed cza sem, który był wam policzony. Nauczyliśmy się pozwalać mu, by upływał na zewnątrz, i nie usiłowaliśmy go powstrzymać, gdyż wiedzieliśmy, że w ten sposób powróci, by się ułożyć u waszego boku jak ogromne uspokojone ciało. Każda chwila mogła zatem być czasem życia, gdyż czas umierania trwał tyle, ile trwało życie. Tak oto udało nam się go uczłowieczyć.

Dzisiaj czas nie zna ani kierunku, ani miary, porywa nas jak byle materię, miesza w swoim tyglu z lawą, słońcem i wodami oceanów jak za pierwszych epok Ziemi. Ten czas nie zna życia, jest wieczny i nieludzki.

I właśnie ten czas wkroczył do naszego domu.

Za dwa dni wyjeżdżam, tym, którzy sobie tego życzą, zostawiam te mury, co nie chronią już przed niczym.

Na powrót zapadła cisza, ale nie trwała długo. Jakiś szept, kilka skarg, w końcu chrapliwy i pijany głos doktora Du Bertrand ostatecznie położył jej kres:

— Ja zostaję! — krzyczał. — Madame opisuje nam piekło, pod czas gdy żyjemy w raju! Zostaję! Czy ktoś umarł, od kiedy tutaj je stem? Mhm? Czy ktoś umarł, moje kurczaczki? Nikt, droga pani! Czy to się pani podoba, czy nie, nikt nie umarł podczas pani snu. Zostawia nam pani swój dom? Ależ ja już go sobie wziąłem. Teraz to mój dom, od dawna należy do mnie! Pijmy, moje kurczaczki! — Zatoczył szeroki łuk ręką, w której trzymał butelkę, zrobił półobrót i runął na ziemię.

Anna w żaden sposób nie zareagowała, nic nie odpowiedziała i wyszła. Odchodząc, słyszała, jak narasta wrzawa, dochodziły ją płacze, strzępki słów, dźwięk skrzeczącego gramofonu i jeszcze dwóch czy trzech radiodbiorników. W niektórych wyła piosenka.

Wyjechać, pozostało jej tylko wyjechać.

47

Naczelny Inżynier Julian Morel przyjechał do instytutu 12 czerwca wczesnym popołudniem. W mundurze i bandażu zawiniętym wokół głowy a la Guillaume ApoUinaire wyglądał stylowo. Uśmiechał się i oglądał świat oczami dziecka. Zatrzymał się na chwilę, kiedy zobaczył dwie kobiety,

które oczekiwały go na peronie, przypatrywał im się z uwagą przez dłuższy czas, zmieszał się, odwrócił i zaczął iść w przeciwnym kierunku.

Zaskoczone, Anna i Amalia wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

Amalia dogoniła go i ujęła czule za rękę. Zatrzymał się.

- Proszę się nie obawiać — powiedziała. — To ja, Amalia, a tam stoi Anna. Czekaliśmy na pana, obydwie.

- Tak, obydwie, widzi pani, to jest mylące, nic nie rozumiem.

- Nic nie szkodzi, spróbujemy panu pomóc, przypomnieć panu. Proszę pójść za mną.

Pozwolił się prowadzić aż do samego salonu. Zarówno Amalia, jak i Anna spoglądały na Juliana Morela z namiętnością.

- Jestem naprawdę zawstydzony... — czuł, że znowu mu się wszystko miesza... — Jest pani moim ostatnim wspomnieniem, widziałem kobietę w czerwonym płomieniu, ale pani nie jest do siebie podobna... jak mogłem... nie umiem stwierdzić, która z was...

- Proszę się niczym nie martwić — powiedziała Anna z czułością. —

Kiedy pan tutaj przyjeżdżał, bardzo często widywał nas pan razem.

Najważniejsze, że pan wrócił.

-307-

W tym momencie do salonu niczym trąba powietrzna wpadł Bruno.

- Wujek Morel! — krzyczał, kipiąc z radości. — Mamo! Signo-ra! Czy wiesz, że wujek Inżynier jest tutaj?!

- Wiem, Bruno, wiem — odpowiedziała Anna, śmiejąc się, by ukryć zmieszanie.

- A więc dziś wieczorem, dobrze? Dziś wieczorem, mamó si-gnoro, mu pokażę! Dasz mi świeczki?

- Uspokój się kochanie, wujek Morel jest zmęczony, był ranny, nie pamięta za dobrze wszystkiego. Trzeba być cierpliwym.

Anna poczuła podobne ukłucie w sercu jak kilka miesięcy wcześniej.

Jej powrotu do zdrowia Bruno nie przyjął z taką radością. Wolałaby nawet, żeby — jak to często z dziećmi bywa — wyrzucił jej długą nieobecność, ale nawet to nie nastąpiło. Zrobił wysiłek, by okazać jej czułość, rzucił się nawet spontanicznie w jej ramiona, ale wciąż był wycofany, zawsze taki oschły, zimny, zdystansowany... Nic się nie zmieniło, miała wrażenie, że wciąż żywi tę samą pradawną urazę, której ciało małego chłopca nie mogło zapomnieć.

- A więc masz na imię Bruno... — powiedział Julian Morel, spoglądając na niego oczami wytrzeszczonymi ze zdziwienia.

- Tak, wujciu, to ja, nie przypominasz sobie? — odpowiedział Bruno, myśląc, że takiego spojrzenia nigdy wcześniej nie widział, można się było w nim utopić, to było przerażające.

- A co chciałbyś mi pokazać?

- Moją Linie Maginota!

- To coś, co Bruno wybudował na terenie Żywych Kamieni — wytłumaczyła Amalia. — Coś bardzo dziwnego.

Zapadło milczenie. Julian patrzył na Brunona z zainteresowaniem, sprawiał jednak wrażenie, że nie za bardzo rozumie. Amalia zdała sobie sprawę, że nazwa Żywe Kamienie nic nie znaczy, jeżeli nie wiadomo, o co chodzi.

— Znajdują się na końcu ogrodu — podjęła — skały wyrzeźbione przez wiatr. Zresztą dlaczego mamy tam nie pójść, skoro to

-308-

zrobi Brunonowi przyjemność, a poza tym, być może, rozpozna pan to miejsce.

— Sam nie wiem... ale będę szczęśliwy, jeżeli sprawię tym przyjemność...

Annie nie podobało się to wszystko, czuła niejasno, że to się odbywa poza nią, że jej wola nie może w żaden sposób wpłynąć na to, co się dzieje. I choćby to było niewinne, czuła jakiś niesmak. Mimo wszystko spróbowała zaoponować:

- To doprawdy nie jest dobry moment, mamy dużo do zrobienia, nie zapominajcie, że jutro wyjeżdżamy.

- No właśnie, jeżeli jutro wyjeżdżamy... — załkał Bruno. — Obiecałaś mi, signora! Obiecałaś!

- Pójdę tam, nie płacz — powiedział Julian Morel.

— O tak! — wykrzyknął Bruno.

Anna wzruszyła ramionami.

- Tak, macie rację, sama nie wiem dlaczego... przecież mamy czas. Przepraszam, Bruno, nie wiedziałam, że to takie ważne... dostaniesz swoje świece.

- Tak, i jeszcze lampy naftowe, pokażę mu wszystko, pokażę mu Soetrich!

Jeszcze długo potem Anna pamiętała przerażający, dziki głos, jakim Bruno wypowiedział nazwę „Soetrich”, i jak pod wpływem tego głosu przebiegł ją potworny dreszcz.

Od pamiętnej wrześniowej nocy, podczas której Tommaso Giuliani zdewastował swój gabinet, wyszedł on ze swojego pokoju tylko jeden raz. Opuścił strych około drugiej nad ranem i minąwszy garaż, przemierzył ogród. We wszystkich oknach wielkiego domu paliły się światła. Usłyszał muzykę, głosy, trzaskanie drzwi.

— Wszystko się zmieniło... — powiedział do siebie. — Muszę to zrozumieć.

Wszedł do gabinetu, którego do tej pory nikt nie posprzątał. Mógł stwierdzić rozmiar szkód, jakie spowodował. Stojąc nieruchomo na środku pomieszczenia, przyglądał się kupie szczątków — porozrzucone książki, połamane meble, deszcz pomiętych listów; czuł się słabo, ale nie cierpiał... nigdy wcześniej czegoś takiego nie doznał. Pomyślał o swoim ciele, które kiedyś połamano, i o tym, co z niego zostało na corso Garibaldi, kiedy go pogruchotano uderzeniami kilofa. Ciało szybko się wzmocniło, nie potrzeba było nawet sześciu miesięcy. Ale jego osoba... nawet nie zauważył, że jego osoba, zmieniona w pole bitwy, jaką teraz miał przed oczami, potrzebowała nie sześciu miesięcy, by się na nowo uformować, lecz piętnastu lat. I to nieznanne uczucie spokoju, wyciszenia, to musiało być to... był w końcu sobą, pozbieranym, może tym Giulianiem, który istniał wcześniej.

Podszedł do kupy listów i cierpliwie pozbierał wszystkie te, które powstały przed jego wielkim kryzysem w 1931 roku, a potem te z kolejnych dwóch lat. W trzy godziny zapełnił szuflady. Zabrał je

-310-

z sobą i wrócił na strych do swojego wysokiego, białego pokoju. Więcej z niego nie wyszedł.

Starannie posegregował listy i przeczytał je po kolei, niczego nie omijając, wszystko to, co Julian Morel napisał do Anny od czasu ich spotkania w kościele w Relanges.

To była obrzydliwa praca. Słowa, wyzute z rzeczywistego kontekstu, miały w sobie chłód słownikowych wyrazów. Julianowi Mordowi nie brakowało wyobraźni ani wrażliwości, ale nie kończące się opisy budowy, za jaką był odpowiedzialny na Linii Maginota, albo dywagacje na temat katedr powaliłyby każdego, nawet cierpiących na bezsenność. Tommaso zastanawiał się, jak Anna mogła być zainteresowana takim rodzajem literatury.

Kiedy doszedł do końca ostatniego listu, datowanego na 27 czerwca 1933 roku, włożył głowę między dłonie i głęboko westchnął.

Wszystkie listy, które go poprzedzały, były w gruncie rzeczy niezmordowaną repetycją tego samego listu, wiecznym powrotem ich pierwszego spotkania. Ale w liście z 27 czerwca można było wreszcie przeczytać, że to, co się miało wydarzyć, faktycznie się wydarzyło. Słowa wypełniły się miłością, czułość wylewała się z każdej linijki, zdania nabrały cielesności i płonęły niczym pakuły. Atrament wsiąkał w papier jak likier w prześcieradło i Tommaso nie wątpił, że wszystkie listy, które zostały napisane później, będą powtórzeniem tego.

Podniósł się z krzesła i zaczął przemierzać pokój wzdłuż i wszerz, jak w swoje najgorsze dni.

To, z czym musiał się zmierzyć, wydawało się nie do przyjęcia. Każdy list Morela sprzed 1933 roku dowodził niewinności Anny. Nie było w nich nic, nic poza dziecięcą paplaniną, która ciągnęła się przez trzy lata. Musiał się zmierzyć z tym, że Bruno był jak najbardziej jego synem, oraz z tym, że on sam zwariował. Jak przepowiedział Eli, wszystko zostało napisane. Jego własne szaleństwo zapisało to, co miało się wydarzyć, odpowiedziało mu, że Anna i Julian byli kochankami, i faktycznie zostali nimi, niemal wbrew sobie, jakby usiłowali dać mu powód do choroby.

-311-

Chciał zaszczekać wbrew sobie, ale pies w nim schronił się gdzieś na boku, może pod łóżkiem, spuścił łeb, podkulił ogon i nie ośmielał się ruszyć. Jęknął, lecz był to jęk człowieka, wyraz ludzkiego cierpienia.

Był tylko człowiekiem, nieszczęśliwym człowiekiem.

Przez kolejne dni i tygodnie Tommaso jęczał i płakał jak dziecko.

Potem zasiadł do pracy, pisał, usiłował zrozumieć. Ale im więcej pisał, tym mniej rozumiał. Jego szaleństwo stało przy nim jak zamknięty sejf, do którego na próżno szukał szyfru.

Powoli odnajdywał spokój w rezygnacji i zobojętnieniu. Zwrócił twarz ku przyszłości: wyjdzie naprzeciw Annie, naprzeciw swojemu synowi, powie im, że nic o sobie nie wiedział, poprosi pokornie, by pozwolili mu zostać. Zajmie miejsce, które mu pozwolą zająć, będzie kochał, o nic nie prosząc. Nie pragnął niczego więcej, tylko kochać, kochać syna, tulić go w ramionach, kochać Annę, kochać do tego stopnia, by pozwolić jej żyć z tym, z kim będzie chciała.

Spędzał długie godziny, leżąc w łóżku, wyobrażając sobie scenę ponownego spotkania, która mu wyciskała łzy. Marzył, być może, zbyt

wiele i z każdym dniem odsuwał chwilę, w której będzie musiał stanąć oko w oko z nagą rzeczywistością.

W pobielanym pokoju na strychu Tommaso Giuliani czekał.

13 czerwca 1940 roku wypadł w środę.

Anna i Amalia biegały cały dzień, by przygotować wszystko do odjazdu.

Tommaso ze swojego pokoju usłyszał, jak poniżej, w garażu, uruchamiano starego voisina. Amalia podjechała nim pod sam ganek. Majestatycznym i staroświeckim wozem posuwała się szeroką alejką, jakby powoziła zabytkową karocą.

Zaczęto znosić walizy.

Około południa, jak zwykle, Amalia zaniósła Tommasowi posiłek. Od dawna już nie śmieli z sobą rozmawiać. Tego dnia jednakże Amalia, sprawiająca wrażenie niezwykle poruszonej, na odchodnym powiedziała:

-312-

— Tommaso, jutro wyjeżdżamy. Jeżeli chcesz z nami pojechać, musisz spakować swoje bagaże.

Nic nie odpowiedział. Amalia wyszła.

Eli śledził przygotowania do wyjazdu, nie biorąc w nich udziału. Za cały bagaż miał czarną skórzaną torbę.

Na fotelu pośrodku trawnika usadowiono Juliana Morela. Słońce mocno grzało. Eli postanowił przynieść mu kapelusz. Przysiadł na chwilę obok, usiłując zagaic rozmowę. Julian Morel wydawał się bardzo przygnębiony, otwierał szeroko oczy ze zdziwienia, jednak jego spojrzenie było puste. Ścisnął kurczowo poręcz fotela. Eli patrzył ze smutkiem, jak na próżno szamoce się wśród marnych resztek, jakie mu pozostały jeszcze z życia. Jak w przypadku inwazji niemieckiej — przeznaczenie troszeczkę się spóźniało, ale wydawało się oczywiste, że jest to tylko kwestia dni, godzin może. Wszystko się skończy... — pomyślał — czas wraca do początku miłości i czyste dusze wyjdą z chaosu bez uszczerbku...

Wszystko się skończy... wszystko zostało napisane — pomyślał Tommaso w tej samej chwili, ale wciąż nie odważył się opuścić łóżka.

Bruno natomiast działał na swojej Linii Maginota. Dół w Soetrich był tak udany, że strach go oblatywał na samą myśl o nim. Olbrzymia skała znajdowała się na samej jego krawędzi i przy pierwszym popchnięciu natychmiast runęłaby w dół. Na brzegu zaś była połać ruchomego piasku i nawet mrówki, które po nim chodziły, wpadały do dziury. Skoro to, co się wydarzy, będzie przeraźliwie odrażające i wstrętne, trzeba się mimo

wszystko postarać, żeby miało w sobie również jakieś piękno, Bruno pracował więc nad oświetleniem. Pozbierał wszystkie lampy naftowe, które trzymano na piętrach na wypadek awarii elektryczności. Wpadł też na świetny pomysł, by wyszperać lusterka, które znajdowały się w szufladach nocnych stolików; zabrał wszystkie prostokątne lusterka z łańcuszkiem. Służyły do porannej toalety, żeby chorzy mogli oglądać swoje twarze i podziwiać, jak wciąż są piękne. Teraz lusterka były rozłożone wszędzie, wystarczyło do nich przykleić świece, by światła było jeszcze więcej.

-313-

Bruno biegał po swoim placu budowy, rozmieszczał lampy i świece, cofał się, by ocenić spodziewany efekt, poprawiał...

Chodziło o to, żeby było strasznie, strasznie piękne.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, zapalił knot spirytusowej lampki, po czym z cierpliwością mrówki to samo zrobił ze wszystkimi lampkami i wszystkimi świeczkami. Wówczas wspinał się na najwyższą skałę, usadowił się na samym szczycie i czekał, aż zrobi się ciemno.

Mniej więcej w tym samym momencie Tommaso Giuliani usiadł na łóżku. Musiał się zdecydować, Amalia powiedziała, że wyjeżdżają. Pomyślał, że byłoby dobrze ostatni raz podumać na dachu, spojrzeć jeszcze raz na dom, ogród i dolinę — decyzję podejmie po zachodzie słońca. Przypomniawszy sobie gesty, które mu pozwoliły niegdyś dosięgnąć lukarny, i wskoczył na dach.

Na zachodzie czerwony blask słońca. W cieniu, po stronie doliny, niby setki świetlików, małe tańczące płomienie, migoczące blaski. Życie, pomyślał, nie zadając sobie pytania, co się właściwie dzieje.

Życie.

Decyzja została podjęta.

O dziesiątej Bruno zszedł ze skały i pobiegł w stronę wielkiego domu, żeby powiedzieć, że mogą przychodzić, bo wszystko jest już gotowe. Przed domem zebrał się tłum.

Tommaso wyszedł z garażu i ruszył w stronę domu. Serce biło mu mocno. Gdzie znajdzie Annę?

Dostrzegł ją na zakręcie drogi, był z nią jej syn i Amalia, ale również chorzy i cały personel. Wszyscy czekali, panowało ogólne poruszenie jak przed spektaklem teatralnym. Pomyślał o światłach, które widział w okolicy Żywych Kamieni. Nie był to idealny moment na doniosłą scenę powitania — zbyt wielu ludzi. Najlepiej pójdzie i sprawdzi przed

wszystkimi, co to były za światła, tam poczeka.

Zawrócił i ruszył w stronę Żywych Kamieni.

Przed domem zaczęto się niecierpliwić. Naczelnny Inżynier Julian Morel ciągle jeszcze nie przyszedł. Bruno był stanowczy: to

-314-

ranny na wojnie inżynier, twórca Linii Maginota, miał dokonać odsłony jego dzieła, dla niego w końcu je wybudował, nie ruszą się stąd, dopóki się nie pojawi. Eli widział go, jak włóczył się po gabinecie kilka minut wcześniej, poszedł więc go poszukać, ale teraz i on nie wracał.

Gabinet był jedynie z grubsza posprzątany, Morel, przechodząc, potknął się o paczkę listów umieszczoną w kartonie. Zatrzymał się, by je przeczytać. Eli miał poważne trudności, by go od tego oderwać. Julian tłumaczył, że odnosi wrażenie, iż coś mu to przypomina. Poczciwy staruszek pomyślał, że jeszcze nie czas, by mu powiedzieć, kto je napisał. Rozmawiali przez chwilę, wreszcie Eli zdołał go wyciągnąć na dwór. Kiedy dołączyli do całego towarzystwa, jakież zniecierpliwienie i radość ich przywitały!

Julian dygotał, drżały mu zwłaszcza dłonie.

Niewielka grupa ruszyła w stronę Żywych Kamieni.

Czerwcową noc, spokojną i ciepłą, podmuchy wiatru delikatne jak pieczytka. Płomienie świec drgały i nagle malały, redukując się do niebieskiego punkciku, który trwał, trwał, aż w końcu w najmniej oczekiwanym momencie wyrzucił z siebie nowy płomień, biały błysk, który wgryzał się w noc niczym zęby. Z kolei płomienie lamp naftowych, bardziej żółte, szerokie i mniej kapryśne, roztaczały wokół siebie czerwone aureole jak odległe planety, malowane słońca, zawieszane tu i ówdzie na nie kończącym się płótnie ciemności. I wszystkie te płomienie wzmagaly się, przeplatały, wie-łokrotniały w lusterkach ułożonych we wszystkich kierunkach, tak że Linia Maginota zdawała się wprost szeleścić światłem. Rozciągała się jak długie ciało o nieprawdopodobnych kształtach, rozpóścierając w rytmie swojego świetlistego pulsowania nadnaturalne wypustki: butelkę unoszącą się jak pijane widmo w przestworzach, rząd butów jakby maszerujących po piasku, kamienne ramię trzymające garnek, kauczukowe jelita trawiące nogi krzesel, czy też w końcu czarne dziury, uskoki, przepaście, paszcze i gęby, których wargi, najeżone puszkami od konserw i krzemiennymi narzędziami, zdawały się zastygać w krwiożerczym wołaniu.

Instynktownie grupa zwiedzających zatrzymała się w pewnym oddaleniu i każdy kontemplował ten frapujący spektakl z wytrzeszczonymi oczami. Spacer, z początku bukoliczny, zabawa, jakiej dobrowolnie się oddali, stwarzająca pretekst ku temu, by po raz ostatni być razem, wreszcie życzliwa i radosna strona charakteru każdego z nich, dzięki której ulegli kaprynowi dziecka, zawiodły ich w sidła ceremonii, jakiej nikt się nie spodziewał.

—Oto Linia Maginota — powiedział Bruno. W ciszy jego pi skliwy głosik rozległ się bardzo wyraźnie.

Zrobił dwa kroki do przodu, oddzielając się od zgromadzenia, po czym się odwrócił. Jego oczy błyszczały niczym dwie gwiazdy.

Przed sobą widział — tym razem przywołany za jego sprawą — zatrzymany obraz z przeszłości, kiedy piorun uderzył w komin. Wszyscy tutaj byli, twarze znane i nieznanne, nieruchome sylwetki, te same zaskoczona spojrzenia, w których centrum znajdował się on, Bruno, a co więcej, mógł jeszcze ująć w tym obrazie wujka Inżyniera, który — bardziej nieruchomy niż wszyscy — patrzył na niego, Brunona, czyli Grubego Joe, jak na prawdziwego i jedyne go króla wszystkich królestw ziemi, jak na anioła o białych skrzydłach i z mieczem z wielkiej księgi prawa wszelkich niegodziwości.

- A teraz, wujku Inżynierze — powiedział Bruno, dysząc (nie mógł bowiem powstrzymać wzruszenia) — a teraz, wujku Inżynierze, pokażę ci Soetrich, a więc to, co zrobiłem najpiękniejszego.

- Soetrich? — spytał Julian Morel, szeroko się uśmiechając. — A co to takiego Soetrich?

- To miejsce, gdzie powstawała Linia Maginota, nad którą pan pracował przed wojną — odpowiedziała Anna.

Bruno podszedł do niego i ujął go za rękę. Na oczach całego zgromadzenia ruszyli ramię w ramię wzdłuż linii światła. W pewnym momencie Bruno zatrzymał się i podniósł lampę naftową, po czym podał ją Inżynierowi.

— Proszę spojrzeć w dół, jest bardzo głęboki, uczyniłem go głębszym od samej Ziemi.

Uszli jeszcze jakieś dziesięć metrów. Bruno się zatrzymał.

— Proszę, to tutaj, trzeba tylko podejść do krawędzi...

Julian Morel spojrział na Brunona, który wydawał się bardzo szczęśliwy,

bardzo dumny. Uśmiechnął się, zrobił dwa kroki i... stanął.

- Prawie nic nie widzę — powiedział.

- Trzeba się jeszcze trochę posunąć do przodu. Julian Morel zrobił kolejne dwa kroki.

- Ach tak, już teraz widzę, że to bardzo wielka dziura.

— Och, tak, bardzo duża, trzeba zobaczyć dno, to pułapka na wrogów.

Julian podszedł do brzegu dziury, której się domyślał. Nagle poczuł, jak piasek usuwa mu się spod nóg, rzucił się gwałtownie do tyłu, ale się pośliznął i znalazł na ziemi, z nogami zwisającymi w dół, wypuścił więc z ręki lampę naftową, która natychmiast wpadła do dziury. Pośladki mu się coraz bardziej obsuwały, w końcu jego stopy oparły się o jakiś korzeń i zatrzymał się.

Na dnie dołu zaczęła się palić rozlana nafta. Siedział jakby na brzegu falezy, spojrzął w dół i ujrzał ciało w płomieniach. Długie, ciemne ciało, które leżało na plecach. Zobaczył też drewniane oszczepy, które płonęły jak pochodnie, a jedno z takich ostrzy przeszło to ciało na wylot. I zobaczył wtedy w czerwonym ogniu twarz zmienioną w jedno wielkie błękitne spojrzenie. Jego pamięć otworzyła się w tym momencie niczym książka i krzyknął:

— Tommaso! Tommaso Giuliani!

Bruno zbliżył się ostrożnie i teraz on z kolei spojrzął w dół.

— Pan umarły... — wyszeptał z powątpiewaniem. Potem, spakowany, uciekł, krzycząc: — Signoro! Mamo! Signoro! To pan umarły! Signoro! Wpadł do dołu!

49

Wyjazd opóźnił się o trzy dni. Pogrzeb Tommasa odbył się na cmentarzu przy kościele w Relanges.

Pamiętam ten ponury obraz w majowym słońcu.

Część pensjonariuszy chciała uczestniczyć w ceremonii i — niestosowny szczegół, który utkwiał mi w pamięci — wszyscy przyszli z walizkami. Z pewnością chcieli przez to zaznaczyć, że woleli pójść w ślady Anny i raczej wyjechać, niż zostać w instytucie z doktorem Du Bertrandem. Nie mogę sobie przypomnieć, czy ja też postąpiłem tak jak oni. Jeżeli tego dnia zszedłem do Relanges z walizką, musi jeszcze gdzieś leżeć niedaleko cmentarza, ponieważ kiedy odjeżdżaliśmy, nie miałem jej już z sobą. Kiedy pensjonariusze podchodzili, by rzucić na trumnę garść

ziemi, widząc mężczyzn i kobiety ciągnących swoje bagaże i formujących kolejkę jak przed okienkiem na dworcu, nie mogłem się powstrzymać od myśli, że nie wątpili o celu podróży, którą mieli podjąć.

Pamiętam Annę i jej nieprawdopodobną siłę. Widzę ją: bladą, wyprostowaną jak posąg na czele pochodu, pogodną rzeźbę na dziobie statku, który płynie przez bezkres cierpienia i żalu. Czuło się, że jest gotowa, by zmierzyć się z każdą burzą.

Pamiętam Brunona, który podskakiwał u jej boku, biegał, kręcił się i miotał, niezdolny ustać na miejscu.

Biedny Bruno poczuł na sobie zaciskające się kleszcze, kiedy Anna powiedziała mu, że Tommaso był jego ojcem. Ojciec: nie wiedział zbyt dobrze, co to właściwie znaczy, ale z całą pewnością

-318-

musiało to być bardzo ważne, ponieważ signora wydawała się wstrząśnięta, kiedy mu to mówiła, i płakała, płakała tak, jak nigdy nie sądził, że może płakać, w każdym razie dużo więcej i bardziej niż on, kiedy się dowiedział o śmierci Krocionoga, który był przecież wszystkim, co miał na świecie najważniejszego. Zamiast dowiedzieć się, co naprawdę znaczy ojciec, który jest taki ważny, spróbował sam wymyślić jakieś wytłumaczenie. Ojciec był to więc pan z garażu i z samochodu, o oczach tak wielkich jak jego, znaleziony potem w dole Soetrich. To musiało być to, ale było to jeszcze bardziej skomplikowane, ponieważ dobrze wiedział, że nigdy nie wpadłby do dołu Soetrich i nigdy by go tam nie znaleziono, gdyby nie wykopał dołu dla wujka Inżyniera Morela, bo wiatr podszeptał mu do ucha, że trzeba go będzie zabić, kiedy grzebali Krocionoga. Zatem ten pan w samochodzie to był jego ojciec, ale tego nie wiedział i nie wiedział również, kiedy kopał dół, nie mógł przecież tego wiedzieć, że znajdą w nim jego ojca. Tak, ale nawet wytłumaczenie tak trafne jak to, które pozwalało widzieć rzeczy trochę jaśniej, nie wystarczało, mimo wszystko trzeba jeszcze pomyśleć. Bruno myślał dużo. I w końcu znalazł jedyne właściwe wytłumaczenie: jego ojciec to był pan umarły, który był nim, tylko dorosłym, i którego zabił, nie zdając sobie z tego sprawy. To dosyć dobrze streszczało bieg wypadków. I teraz to właśnie ścisnęło go tak mocno jak kleszcze, miażdżąc mu kompletnie piersi i serce. I również to przeszkodzi mu urosnąć, ponieważ w dole Soetrich ostatecznie umarł jako dorosły. A więc nigdy już nie urosnie i zawsze będzie się nazywał Gruby Joe.

I faktycznie, Bruno przestał rosnąć; do końca swoich dni pozostał

uwięziony w ciele i umysłowości małego chłopca, którym był w momencie wypadku. Miał wówczas siedem lat.

Pamiętam Juliana Morela i Amalię, trzymała go za rękę jak dziecko. Pamiętam Elięgo, który w pośpiechu wpisywał do swojego notesu kilka dodatkowych znaków. Śmierć Tommasa go zaskoczyła. Pamiętam również, że zrozumiałem tego dnia, iż muszę się rozstać z moją chorobą. Nie chciała już zagarniać mojego życia i, co

-319-

dziwne, miałem uczucie, że jestem bez niej samotny i jakby czegoś pozbawiony.

Nigdy nie przestałem nosić po niej żałoby.

Pamiętam długi czarny szereg kroczący powoli zboczem wzgórza, po tym jak pochód opuścił cmentarz, by powrócić do instytutu. Wyobraziłem sobie niewidzialną dłoń, która z finezją, piórkiem umoczone w chińskim atramencie, kreśli kolejne zakręty drogi. Aż w końcu ja sam, ponieważ się ociągałem, stałem się czarnym punkcikiem na końcu tej linii.

Pamiętam, że szalona myśl, by pisać, przyszła mi do głowy właśnie wtedy. Za bardzo chciałem popaść w nową chorobę.

A teraz w Paryżu pada.

Pamiętam, że kiedy zacząłem iść tą częścią drogi, która biegła wzdłuż falezy, poczułem za plecami czyjaś obecność.

Krople deszczu uderzają o szyby okienne pokoju, w którym piszę. Spływają po szkle, tworząc sieć migotliwych strumyczków.

Usłyszałem, że ktoś coś mówi, męski tubalny głos. Zatrzymałem się pośrodku drogi i odwróciłem się. Nie było nikogo. Pamiętam, że wzruszyłem ramionami. Znow zacząłem się wspinać w stronę instytutu. Znajdowałem się o jakieś dobre sto metrów za pochodem, przyspieszyłem więc nieco kroku. Głos znowu się odezwał. Był nieco wyższy, znowu się odwróciłem i tym razem dostrzegłem, ale dużo dalej, niż bliskość głosu pozwoliłaby sądzić, sylwetkę mężczyzny, który podążał za mną. Był ubrany na biał.

Piszę, a słowa są jak krople deszczu. Kapią na kartkę tak, jak krople spadają na szybę. Historia kropli wody, która spada z nieba, jest tak złożona i pewna jak historia słowa odrywającego się od mojego pióra. Woda płynie od oceanu do oceanu, słowa — od myśli do myśli.

Byłbym nieprecyzyjny, gdybym napisał, że pamiętam, jak rozpoznałem Tommasa Giulianiego w białej postaci, która mnie śledziła. Nieprecyzyjny, ponieważ aż do tamtej pory nigdy wcześniej go nie

widziałem. Potrzebowałem dużo czasu, by go rozpoznać.

-320-

Pamiętam, że doszedłem do bram instytutu całkiem zziajany. Przed gankiem pochód zdążył się rozproszyć i zebrać wokół samochodów. Pensjonariusze, którzy uczestniczyli w pogrzebie, ładowali swoje walizki. Ci, którzy postanowili zostać, wyglądali przez okna wielkiego domu lub stali na tarasie i w ogrodzie, patrząc na odjeżdżających z uśmiechem.

Piszę to, kiedy deszcz się wzmacnia i uderza w kwadraty mojego okna. Byłem gotów opuścić instytut, lecz teraz dostrzegam, że dopiero dzisiaj z nim się rozstaję.

Niedługo poruszę kolumnę samochodów, szeroka aleja poprowadzi je aż do bramy, na czele stary voisin obity skórą; uginające się pod ciężarem kufrów, paczek, walizek, trzęsące się i skrzypiące będą jechać powoli w kierunku szosy.

Wówczas się oddalę, zobaczę, jak za koronami drzew znika wielkie gmaszysko, podobnie jak oddalam się od niego w momencie pisania, kiedy zacierają się wspomnienia, które we mnie budziło.

Głos Tommasa Giulianiego nie opuścił mnie od momentu, kiedy zacząłem pisać. Wciąż mam przed oczami jego postać. Nic się nie zmienił, dzisiaj jest młodszy ode mnie, odprężony, uśmiechnięty. Nigdy nie zwrócił się bezpośrednio do mnie, nie patrzy na mnie, nasze spojrzenia nigdy się nie spotkały. Na początku sądziłem, że to, iż słyszę głos umarłego, jest czymś nadzwyczajnym, myślałem, że zgłębię największe sekrety, będę dopuszczony do niewypowiedzianych tajemnic. Muszę przyznać, że to, co usłyszałem do tej pory, okazało się rozczarowujące. Jest prawdą, że pomimo całej wiedzy, którą Eli usiłował mi przekazać na temat dekodowania i interpretacji znaków, nie czuję się pewnie w tej dziedzinie. Od czasu kiedy Tommaso Giuliani wpadł do dołu wykopanego przez własnego syna i oszczep przeszył mu pierś, toczy on nieustającą konwersację, z której docierają do mnie jedynie strzępki. Nie wiem, z kim rozmawia. Może z innymi umarłymi, chociaż nigdy ich nie widziałem ani nie słyszałem. Oczywiście na początku notowałem wszystko, co mówił. W kilka lat wypełniłem dwa grube zeszyty. Pewnego dnia naszła mnie ochota, by je przeczytać za jednym razem. To, co

-321-

było w nich napisane, wydało mi się tak proste, tak banalne, że kontynuowanie przedsięwzięcia uznałem za bezużyteczne. Powierzyłem

zeszyty Eliemu, ale on nigdy nie potrafił mi powiedzieć nic konkretnego na temat ewentualnego znaczenia tych zapisków. I chociaż nie jestem zdolny pojąć, co może się skrywać za pozorną płaskością tego, co mówi Tommaso Giuliani — płaskością, która, być może, nic nie kryje — nie przeszkadza mi to słuchać go uważnie za każdym razem, kiedy do mnie mówi. Ciągle mam wrażenie, że któregoś dnia coś z tego wszystkiego zrozumie.

Przestało padać. Ostatnie strużki wody spływają po szybach. Pomimo że prawa fizyki, które determinują ich drogę, są dobrze znane (siła ciężenia, zmienna natężenia przepływu wody, współczynnik tarcia na szkle), rysunki, jakie tworzą, i ich nieregularności są absolutnie nieprzewidywalne.

Podobnie słowa, których używam, jak również bez wątpienia te, które wypowiada Tommaso Giuliani, kiedy składa mi wizytę (pomimo obowiązujących tutaj praw gramatycznych, składniowych czy narracyjnych potrafią tworzyć zaskakujące obrazy bądź fragmenty opowieści i rozmów).

Jest za dwadzieścia dziesiąta. Skończę ten rozdział z pewnością przed południem. Nie mogę się pozbyć klucza w sercu. Przyszła chwila, by opuścić instytut.

Pamiętam słońce ponad dachem, trzy wysokie kominy wznoszące się jak gnomony oraz to, co zostało z czwartego i widniało w połowie dachu jak miejsce po wyłamanej zębce: czas wyrwany z korzeniami.

Niedługo kolumna samochodów ruszy z miejsca. Trzęsące się, przeładowane, będą się posuwać powoli po szerokiej alejce. Zająłem miejsce w trzecim, razem z Elim. Madame Yvonne, potężna kucharka, siedziała za kierownicą. Bałem się chwili, kiedy przekroczymy bramę. Znaczyła granicę, początek końca, końca pewnej historii, która była historią mojego dzieciństwa i mojej choroby,

-322-

końca, którego tak oczekiwałem i który nie mógł nadejść. Historia domagała się, bym zostawił śmierć za sobą i wkroczył w życie.

Wkroczyłem w nie z zamkniętymi oczami. Nie widziałem, jak wielkie gmaszysko znika za koronami drzew.

Czy kiedykolwiek przejrzałem na oczy? Wydaje mi się, że życie, które przeszedłem, by dojść do tego momentu — jest jedenasta trzydzieści — było jedną długą nocą.

Jutro, być może, wstanie dzień.

Tytuł oryginału

Llstitut Giuliani. La conversation des morts, I